

POWIEŚĆ, NA PODSTAWIE KTÓREJ POWSTAŁ
NAJGŁOŚNIEJSZY SERIAL XXI WIEKU.

MICHAEL DOBBS



HOUSE *of* CARDS



BEZWZGLĘDNA GRA O WŁADZĘ

Michael Dobbs

HOUSE OF CARDS

Bezwzględna gra o władzę

znak *litera*
nova

Część I

Przetasowanie

Nic nie trwa wiecznie. Ani śmiech, ani żądza, ani nawet samo życie. Wszystko się kiedyś kończy. Dlatego chcemy wyciągnąć jak najwięcej z tego, co mamy.

Po co marnować życie w pogoni za własnym epitafium? „Na zawsze w naszych sercach”. Kto poza ostatnim półgłówkiem ma coś takiego wyryte na nagrobku? To nic innego jak dawanie upustu taniemu sentymentalizmowi. Spójrzmy prawdzie w oczy, życie to gra o sumie zerowej, a o tym, kto wygra, a kto przegra, decyduje polityka. I czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy bierzemy udział w tej grze.

„Powszechnie szanowany”. Kolejna piramidalna bzdura. Nie na mój nagrobek. Człowieka motywuje nie szacunek, lecz strach. To na nim buduje się imperia i za jego sprawą wszczyna rewolucje. W tym tkwi sekret wielkich ludzi. Kiedy ktoś się ciebie boi, zniszczysz go, zmiążdżysz, a w efekcie on zawsze obdarzy cię szacunkiem. Prymitywny strach jest upajający, wszechogarniający, wyzwalaający. Zawsze silniejszy od szacunku.

Zawsze.

Rozdział 1

Czwartek, 10 czerwca

Wydawało jej się, że wróciła do domu dosłownie przed chwilą, potykając się z wyczerpania na ostatnim schodku, a już poranne promienie słońca wypełzły zza zasłonki i zaczęły mościć się na poduszce, pchając się jej do oczu jak natarczywe palce. Z irytacją odwróciła się na drugi bok. Głowę miała ciężką, nogi obolałe, a łóżko obok siebie puste. To był kiepski pomysł, żeby pomagać w wykańczaniu tej drugiej butelki liebfraumilch. Straciła czujność i utknęła gdzieś w kącie z jakimś obleśnym typem z „Sun”, całym w pryszczach i seksualnych aluzjach. Musiała mu wylać resztkę wina na koszulę, żeby odpuścił. Zajrzała teraz szybko pod kołdrę, chcąc sprawdzić, czy jednak nie dała ciała i facet na pewno się tam nie czai. Westchnęła – nawet nie zdążyła zdjąć skarpetek.

Mattie Storin ubiła pięścią poduszkę i położyła się z powrotem. Zasługiwała na jeszcze kilka chwil w łóżku; wiedziała, że dziś w nocy nie pośpi. Wieczór wyborczy. Dzień Potępienia. Zemsta Wyborców. Ostatnie tygodnie były dla Mattie mordercze, naczelny dawał jej popalić, terminy goniły, ona sama miotała się od radosnego podniecenia do wyczerpania. Może po dzisiejszym wieczorze mogłaby wziąć kilka dni wolnego, uporządkować swoje życie, poszukać zarówno wina, jak i mężczyzn lepszej jakości. Szczelniej owinęła się kołdrą. Nawet w blasku wczesnoletniego słońca poczuła chłód.

Tak było odkąd wyjechała z Yorkshire prawie rok temu. Miała nadzieję, że zostawi wszystkie oskarżenia i złość za sobą, ale nadal

rzucały zimny cień, ciągnęły się za nią wszędzie, a zwłaszcza do łóżka. Zadrzała, wtuliła twarz w twardą, zbitą poduszkę.

Próbowała podejść do sprawy filozoficznie. W końcu nic jej już nie rozpraszało, żadne względy emocjonalne nie przeszkadzały odkrywać, czy rzeczywiście ma w sobie to, czego trzeba, żeby zostać najlepszą korespondentką polityczną w tym bezwzględnie zmaskulinizowanym świecie. Nikim poza sobą nie musiała się przejmować, nawet kotem. Trudno jednak mieć filozoficzne podejście, kiedy marzną ci stopy. I kiedy nie masz już czystych ubrań. Odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka, po czym odkryła, że szuflada z bielizną jest pusta. Źle policzyła, zapomniała, za dużo roboty i za mało czasu na wszystko, a zwłaszcza na cholerne pranie. Przeszukała pozostałe szuflady, zajrzała w każdy kąt, nabałaganiała, ale nic nie znalazła. Do diabła, cieszyła się, że żaden facet nie musi jej teraz oglądać. Sięgnęła do kosza z brudną bielizną, pogrzebała w nim i wyciągnęła parę majtek sprzed tygodnia, za to tylko raz noszonych. Wywróciła je na lewą stronę i włożyła. Gotowa do boju. Mattie Storin z westchnieniem otworzyła drzwi łazienki i ruszyła na spotkanie dnia.

Kiedy czerwcowe niebo zaczął zasnuwać zmierzch, cztery zestawy telewizyjnych lamp HMI włączyły się z głuchym łoskotem, zalewając front budynku intensywnym blaskiem. Jaskrawe światło przenikało głęboko poza pseudogeorgiańską fasadę centrali partii. W oknie na trzecim piętrze zafalowała zasłona, poruszona przez kogoś, kto wyrzwał szybko na zewnątrz.

Ćma też zobaczyła lampy. Czekwała na nadchodzącą noc ukryta w szczelinie w jednej z pobliskich wież eleganckiego kościoła Świętego Jana, zbudowanego przez Wrena na środku Smith Square. Kościół od dawna był budynkiem świeckim, świętemu Janowi podziękowano za

usługi, ale cztery wapienne wieże wciąż dominowały nad tym bezbożnym teraz placem w sercu Westminsteru. Patrzyły z góry, jakby krzywiąc się z dezaprobatą. Natomiast ćma – przeciwnie. Zaczęła drzeć z podniecenia. Rozpostarła skrzydła, przyciągana dziesięcioma tysiącami watów i milionem lat instynktu.

Wyprężyła się w wieczornym powietrzu i podążyła wzdłuż rzeki światła. Poleciała nad głowami gromadzącego się tłumu, ponad krzątanią nabierających tempa przygotowań. Leciła i zbliżała się coraz bardziej, chętna, żarliwa, nieobliczalna, ambitna, nie zważając na nic poza tą mocą, która ją przyciągała, mocą przechodzącą wszelkie wyobrażenia, potęgą, której nie można się oprzeć. Nie miała wyboru.

Błysnęło, kiedy odwłok ćmy uderzył w soczewkę lampy, a ułamek sekundy później jej skrzydła owinęły się wokół rozpalonego szkła i wyparowały. Zwęglone, szerniałe truchelko spadało na ziemię, emanując rozpaczą. Noc pochłonęła swoją pierwszą ofiarę.

Kolejna wczesna ofiara wieczoru opierała się o lakierowany bar w pubie Marquis of Granby, dwa kroki od narastającego zgiefku przed siedzibą partii. Markiz Granby był żyjącym ponad dwieście lat temu popularnym dowódcą wojskowym i patronem rekordowej liczby pubów w całym kraju, ale sam wdał się w politykę, pogubił, narobił długów i umarł w nędzy. Charlesa Collingridge'a czekał podobny los, jak twierdziło wielu jego tolerancyjnych przyjaciół. Co prawda Charlie Collingridge nie został nigdy wybrany do parlamentu ani na żaden urząd, ale markiz też nie: w dawnych czasach panowały inne zwyczaje. Collingridge miał około pięćdziesięciu pięciu lat, wyglądał na starszego, steranego życiem i nie miał za sobą szczególnie błyskotliwej kariery wojskowej – dwa lata obowiązkowej służby przyniosły mu głównie poczucie niższości. Charlie zawsze próbował zachowywać się

przyzwocie, ale był szczególnie podatny na nieszczęśliwe wypadki. Tak to już bywa, kiedy się nałogowo pije.

Rano ogolił się i zawiązał krawat, ale teraz było już widać lekki ślad zarostu, a krawat się rozluźnił i zwisał smętnie jak flaga spuszczone do połowy masztu. Oczy Charliego mówiły barmanowi, że duża wódka, którą podał gościowi dwie kolejki wcześniej, nie była jego pierwszą tego dnia. Charlie był jednak pijakiem sympatycznym, zawsze mającym w zanadrzu uśmiech i miłe słowo. Pchnął pusty kieliszek przez kontuar.

– Jeszcze jeden? – zapytał barman z powątpiewaniem.

– I jeden dla pana, przyjacielu – odparł Charlie, sięgając po portfel.

– Ach, ale najwyraźniej cierpię na brak funduszy – wymamrotał, wpatrując się z niedowierzaniem w samotny banknot. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął klucze, szarą chustkę do nosa i kilka monet. – Na pewno gdzieś tutaj...

– Tyle wystarczy – powiedział barman, wskazując banknot. – Ja dziękuję. To będzie długa noc.

– Tak. Istotnie. Mój młodszy brat Hal, zna go pan?

Barman pokręcił głową, przesunął drinka po lakierowanym kontuarze, ciesząc się, że staremu pijakowi skończyły się pieniądze, więc zaraz skończy się też jego pobyt w tym pubie.

– Nie zna pan Hala? – zapytał Charlie ze zdziwieniem. – Musi go pan znać. – Pociągnął łyk. – Wszyscy znają Hala. – Kolejny łyk. – Jest premierem.

Rozdział 2

Polityk powinien mieć wizję. Tak, wizja to jest to. Bardzo przydatna rzecz, nie uważacie? W końcu przy dobrej pogodzie większość polityków sięga wzrokiem aż do... no cóż, znam paru, którzy sięgają wzrokiem aż na drugi brzeg Tamizy, prawie do Bat tersea.

Francis Ewan Urquhart był człowiekiem pełniącym wiele ról: posłem, członkiem Tajnej Rady Królewskiej, co dawało mu prawo do stawiania przed nazwiskiem tytułu Right Honourable, ministrem oraz komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. Ten wieczór należał do niego, jednak nie sprawiał mu przyjemności. Wciśnięty w róg małego, dusznego salonu, Urquhart był przyparty do ohydnej lampy stojącej z lat sześćdziesiątych, która wyglądała, jakby miała się zaraz przewrócić. Otaczał go wianuszek matron zajmujących się kontaktem z wyborcami w jego okręgu, które odcinały mu drogę ucieczki, trajkocząc z dumą o swoich dokonaniach z ostatniej chwili i obolałych nogach. Zastanawiał się, po co w ogóle zawracały sobie głowę odwiedzaniem wyborców. Byli w końcu w podmiejskim Surrey, zamieszkanym przez klasy społeczne A i B – jak w terminologii badaczy opinii publicznej nazywano wyższą i właściwą klasę średnią – gdzie każdy trzymał paszport w szufladzie i range rovera na podjeździe (którego koła, nawiasem mówiąc, miały kontakt z błotem tylko podczas nieostrożnych powrotów w piątkowe noce, kiedy przejeżdżały po trawniku przed domem, albo gdy podrzucano małych Johnnych i Emmy do prywatnej szkoły). Agitacja w tej okolicy uchodziła niemal

za rzecz w złym guście. Jego partia nie tyle liczyła tu głosy, co je ważyła.

– Jeszcze pasztecika, panie Urquhart? – Tęga kobieta w kwiecistej bluzce, która falowała, jakby ukryły się pod nią dwa niesforne koty, podetknęła mu pod nos talerz zwiotczonych wypieków.

– Nie, dziękuję, pani Morecombe. Chyba pęknę!

Ze zniecierpliwienia. Rodzinna wada, sięgająca wiele pokoleń wstecz. Urquhartowie byli dumnymi wojownikami z gór północnej Szkocji, mieli zamek nad brzegiem Loch Ness, ale zjawili się MacDonaldowie i zamek legł w gruzach. Urquhart pamiętał z dzieciństwa rześkie, krystaliczne powietrze na wrzosowiskach, gdzie w towarzystwie starego łowczego leżał godzinami na wilgotnym torfie, wśród słodko pachnących paproci, i czekał, aż podejdzie odpowiedni kozioł. Wyobrażał sobie, że tak samo jego starszy brat Alastair czeka na Niemców, ukryty w krzakach pod Dunkierką. Brat nazywał go FU¹ i często im obu obrywało się za to przezwisko od ojca, chociaż minęło jeszcze parę lat, zanim Francis zrozumiał dlaczego. Znosił to bez słowa skargi, szczęśliwy, że może się pałętać za swoim starszym bratem. Jednak Alastair nie wrócił. Matka się załamała, nigdy nie doszła do siebie. Żyła wspomnieniami o swym straconym synu, zaniedbując Francisa, więc FU w końcu udał się na południe, do Londynu. Do Westminsteru. Do Surrey. Porzucił rodzinne obowiązki. Matka nigdy więcej się do niego nie odezwała. Przehandlowanie rodzinnych włości choćby za całą Szkocję byłoby niewybaczalne, a co dopiero za jakieś Surrey.

Westchnął, jednocześnie się uśmiechając. Był to osiemnasty lokalny sztab wyborczy, który odwiedził tego dnia, a entuzjazm, na którym oparł swój poranny humor, już dawno wyparował. Do

zamknięcia lokali wyborczych zostało jeszcze czterdzieści minut. Koszula Urquharta była tak mokra od potu, że można by ją wyżymać. Czuł się zmęczony, poirytowany, osaczony przez zastęp kobiet, które chodziły za nim krok w krok niczym wierne spaniele.

Jednak nie przestawał się uśmiechać, bo bez względu na wynik jego życie miało się zmienić. Całymi latami piął się po szczeblach politycznej kariery, od szeregowego deputowanego w Izbie Gmin, przez niższe stolki ministerialne, aż po obecną posadę rzecznika dyscypliny klubowej, dającą mu prawo stałego uczestnictwa w posiedzeniach gabinetu i będącą jednym z dwudziestu najbardziej wpływowych stanowisk rządowych. Miał dzięki niej wspaniałe biuro przy Downing Street 12, zaledwie kilka kroków od siedziby premiera. To pod numerem dwunastym po raz pierwszy i jedyny spotkało się dwóch z najśłynniejszych Brytyjczyków wszech czasów – Wellington i Nelson. Wśród tych ścian rozbrzmiewało echo historii i władzy, która teraz należała do niego.

Jednak władza Urquharta nie wynikała bezpośrednio ze sprawowanego przez niego urzędu. Rzecznik dyscypliny nie był pełnoprawnym członkiem gabinetu. Nie kierował żadnym ministerstwem ani potężną urzędniczą machiną. Pozostawał właściwie anonimowy, harował bez przerwy za kulisami, bez przemówień i telewizyjnych wywiadów. Człowiek cienia. A także dyscypliny. Był „egzekutorem”, do którego zadań należało sięgnąć czasem po kij. A to oznaczało, że budził nie tylko szacunek, ale też pewien strach. To on dysponował najczulszym politycznym radarem w rządzie, on pierwszy wiedział, co w trawie piszczycy. Aby zapewnić obecność posłów swojego klubu podczas ważnych głosowań i zadbać, by oddali głos zgodnie z linią partii, musiał wiedzieć, gdzie można ich znaleźć, a więc znać

ich sekrety – z kim knują, z kim sypiają, czy będą na tyle trzeźwi, żeby wziąć udział w głosowaniu, czy można ich przyłapać z ręką w cudzej kieszeni albo w majtkach cudzej żony. Wszystkie te tajemnice były zebrane w czarnym notesie zamkniętym w sejfie, do którego nawet premier nie miał kluczy.

W Westminsterze taka wiedza to potęga. Wielu członków parlamentarnej frakcji Urquharta zawdzięczało utrzymanie stanowiska zdolności biura rzecznika dyscypliny do rozwiązania, a czasem zatuszowania ich osobistych problemów. Niedoszli buntownicy z tylnych ław czy zwiedzeni ambicją partyjni liderzy z przednich rzędów zmieniali zdanie, kiedy przypominał im się jakiś wcześniejszy grzeszek, który partia wybaczyła, lecz o którym nigdy nie zapomniała. Zdumiewające, jak elastyczni stawali się politycy skonfrontowani z możliwością konfliktu między swoim życiem publicznym i prywatnym. Nawet ten drażliwy ponurak ze Staffordshire, minister transportu – który planował wygłosić przemówienie wykraczające znacznie poza swoje kompetencje i zapaść się zbyt daleko na podwórko premiera – jednak się opamiętał. Wystarczyło zatelefonować do domu jego kochanki zamiast do małżeńskiego gniazdka.

– Francis, jak mnie tu, kurwa, znalazłeś?

– Och, Keith, czyżbym się fatalnie pomylił? Tak mi przykro, chciałem tylko zamienić z tobą słówko o tym twoim przemówieniu, ale wygląda na to, że zajrzałem nie do tego spisu numerów, co trzeba.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– A co, nie wiesz? Mamy dwa rejestry. Jeden oficjalny, a drugi... No, ale nic się nie martw, dobrze pilnujemy tej naszej czarnej listy. To się już nie powtórzy. – Pauza i po chwili: – Prawda?

Minister transportu westchnął z melancholią i poczuciem winy.

– Nie, Francis, to się już nie powtórzy. Cholera jasna. – Światu przybył jeszcze jeden skruszony grzesznik.

Partia miała wobec Francisa Urquharta dług wdzięczności i wszyscy o tym wiedzieli. A po tych wyborach przyjdzie pora, żeby uregulować rachunek.

Urquharta wyrwała nagle z zamyślenia jedna z oblegających go dam. Jej oczy zdradzały podniecenie, policzki miała zaróżowione, oddech przesycony kwaśnym wspomnieniem po kanapkach z jajkiem i rzeżuchą, a jej nieśmiałość i dyskrecja ustąpiły pod naporem upału i emocji wyborczego wieczoru.

– Niech nam pan powie, panie Urquhart, jakie ma pan plany. Będzie pan jeszcze kandydował w następnych wyborach? – zapytała zuchwale.

– Co ma pani na myśli? – odparł zbity z tropu, wietrząc afront.

– Nie myśli pan o emeryturze? Skończył pan przecież sześćdziesiąt jeden lat, prawda? Podczas następnych wyborów będzie pan miał co najmniej sześćdziesiąt pięć – naciskała.

Wysoki i kościsty, musiał się nisko schylić, żeby spojrzeć jej prosto w twarz.

– Pani Bailey, umysł mi jeszcze nie szwankuje, a w wielu krajach wkraczałbym właśnie w wiek szczytowej formy politycznej – odparł tonem, w którym nie było już ani śladu dobroduszości. – Mam jeszcze wiele do zrobienia. Chcę to i owo osiągnąć.

Odwrócił się, nie usiłując nawet ukryć zniecierpliwienia, chociaż w głębi duszy przyznawał jej rację. Płomiennoruda czupryna, którą szczyił się w młodości, już dawno wyblakła – złoto zmieniło się w srebro, jak lubił żartować. Nosił nieco za długie włosy, jakby chcąc to

sobie zrekompensować. Wychudł, tak że jego ciało nie wypełniało już tradycyjnie skrojonych garniturów równie dobrze jak kiedyś, a niebieskie oczy z upływem kolejnych zim stawały się coraz chłodniejsze. Dzięki wysokiemu wzrostowi i wyprostowanej sylwetce zawsze prezentował się dystyngowanie. Jednak pewien minister, któremu kiedyś pokrzyżował szyki, powiedział mu, że jego uśmiech przypomina uchwyt urny z dawno ostygłymi prochami. „I oby to czym prędzej były twoje prochy, ty stary sukinsynu” – warknął ów minister. Urquhart nie był już pierwszej młodości – ani nawet w średnim wieku – i nie mógł tego ukryć, nawet przed samym sobą. Doświadczenie przestało być jego sprzymierzeńcem.

Ile to już lat patrzył, jak młodszy i mniej zdolni szybciej awansują? Ile razy ocierał im łzy, podcierał tyłki, chował ich sekrety głęboko pod ziemię, żeby utorować im drogę na szczyt? Tak, byli mu coś winni! Miał jeszcze czas, żeby pokazać, ile jest wart, ale zarówno on sam, jak i pani Bailey wiedzieli, że zegar tyka.

Mimo że się od niej odwrócił, rzeczona dama nie odpuszczała. Zaczęła perorować na temat propozycji wprowadzenia ruchu jednokierunkowego koło centrum handlowego na High Street. Posłał błagalne spojrzenie swojej żonie Mortimie, zajętej wymianą frazesów z partyjnymi działaczkami na drugim końcu pokoju. Od razu się zorientowała, że mężowi już dawno należy się ratunek, więc pospieszyła w jego stronę.

– Drogie panie, proszę nam wybaczyć, ale przed ogłoszeniem wyników musimy jeszcze wrócić do hotelu, żeby się przebrać. Nie wiem, jak mam paniom dziękować za pomoc. Jesteście dla Francisa po prostu niezastąpione.

Urquhart zdobył się nawet na posłanie pani Bailey uśmiechu ulotnego jak życie jętki, który zniknął, niemalże zanim dało się go dostrzec, do naprawy stosunków jednak wystarczył. Francis ruszył szybko do drzwi. Żegnał się właśnie z gospodynią, kiedy zatrzymała go machaniem ręki szefowa jego kampanii, która notowała coś pracownicy, rozmawiając jednocześnie przez telefon.

– Właśnie zbieram ostatnie wyniki sondaży – wyjaśniła.

– A ja się zastanawiałem, dlaczego to nie zostało zrobione godzinę temu. – Jeszcze jeden ledwie dostrzegalny uśmiech na wargach, po którym w oczach Urquharta nie było jednak ani śladu.

– Nie wygląda to tak różowo jak ostatnio – odparła, czerwieniąc się na tę reprimendę. – Najwyraźniej wielu naszych zwolenników zostało w domu. Trudno wyrokować, ale podejrzewam, że nasza przewaga spadnie. Nie wiem o ile.

– Niech ich szlag. Jak się parę lat pomęczą z opozycją, to może łaskawie ruszą tyłki z kanapy.

– Kochanie – wtrąciła uspokajająco jego żona, jak to czyniła przy wielu podobnych okazjach. – Bądź bardziej wielkoduszny. Przy przewadze dwudziestu dwóch tysięcy głosów możemy sobie chyba pozwolić na leciuteńki spadek poparcia, prawda?

– Mortimo, nie czuję się wielkoduszny. Jest mi gorąco, jestem zmęczony i mam serdecznie dość pogaduszek o zasłyszanych opiniach wyborców. Zabierz mnie stąd, na litość boską.

Ruszył do wyjścia, a Mortima odwróciła się, żeby pomachać na pożegnanie tłumnie zebrany. Zdażyła akurat zobaczyć, jak brzydka lampa stojąca wali się z hukiem na podłogę.

Atmosfera kontrolowanego zagrożenia, która panowała zazwyczaj w gabinecie naczelnego, ustąpiła miejsca poczuciu narastającej paniki.

Poranne wydanie już dawno poszło do druku, ze śmiałym nagłówkiem na pierwszej stronie, obwieszczającym: „Łatwe zwycięstwo!”. Tyle że to było o szóstej, cztery godziny przed zakończeniem głosowania. Naczelny „Daily Chronicle” zaryzykował przedwczesne ogłoszenie wyników wyborów, żeby poranne wydanie jego gazety wzbudziło chociaż minimalne zainteresowanie, kiedy znajdzie się w kioskach. Jeśli miał rację, będzie pierwszym, który ogłosił nowinę. Jeśli się mylił, wpadł po uszy w bagno, a wokół niego już krążyły aligatory.

Dla Greville’a Prestona były to pierwsze wybory oglądane z perspektywy redaktora naczelnego i nie czuł się zbyt pewnie. Nie zdołał ukryć zdenerwowania, które przejawiało się w ciągłym zmienianiu nagłówków, bezustannym domaganiu się od działu politycznego najświeższych wiadomości oraz w coraz bardziej obscenicznym języku. Na stanowisko naczelnego ściągnął go nowy właściciel Chronicle Newspapers zaledwie kilka miesięcy wcześniej, stawiając przed nim jeden prosty, podstawowy cel: sukces. W kontrakcie Prestona nie przewidziano porażki i wiedział, że drugiej szansy nie dostanie. Nie okazał też cienia współczucia innym pracownikom „Chronicle”. Księgowi żądali natychmiastowej poprawy sytuacji finansowej, co wymagało bezwzględnych cięć, więc wielu starszych stażem członków zespołu „zracjonalizowano”, to znaczy zastąpiono mniej doświadczonymi i znacznie tańszymi kolegami po fachu. Na wyniki finansowe podziałało to świetnie, ale poważnie podkopało morale. Czystka wprawiła stałych czytelników w konsternację, ocalałe resztki zespołu pozostawiła w stanie niepewności, a Prestona – z poczuciem wiszącej nad nim nieuchronnej katastrofy, których to obaw właściciel gazety najwyraźniej nie zamierzał rozwiewać.

W ramach strategii zwiększania sprzedaży Preston obniżył poziom pisma, co na razie nie przyniosło przewidywanych rezultatów. Był niewysokim mężczyzną, który pojawił się w redakcji w aurze nowego Napoleona, ale teraz schudł tak bardzo, że musiał zacząć nosić szelki, żeby przytrzymać opadające spodnie, i wypijał morze kawy, by podtrzymać opadające powieki. Dawniej był szykowny i elegancki, ale teraz ten efekt psuły niezliczone krople potu, które zraszały mu czoło i sprawiały, że okulary w grubych oprawkach zjeżdżały mu z nosa. Kiedyś stukał palcami o blat biurka w zamyśleniu, teraz pstrykał nimi ze zniecierpliwieniem. Starannie wyreżyserowaną próbę emanowania autorytetem władzy niweczyła wewnętrzna niepewność. Nie był już przekonany, czy potrafi stanąć na wysokości zadania – jakiegokolwiek. Przestał nawet posuwać swoją sekretarkę.

Odwrócił się teraz od migających monitorów telewizyjnych ustawionych pod jedną ze ścian w swoim gabinecie i spojrzał na dziennikarkę, która ostatnio wyjątkowo uprzykrzała mu życie.

– Skąd wiesz, że źle to wygląda, do cholery?! – krzyknął.

Mattie Storin ani drgnęła. Miała dwadzieścia osiem lat i była najmłodszym członkiem działu politycznego, zwerbowanym na miejsce jednego ze starszych korespondentów, który naraził się księgowym, gdyż miał w zwyczaju przeprowadzać wywiady podczas przeciągających się lunchów w Savoyu. Jednak mimo stosunkowo młodego wieku i krótkiego stażu pracy Mattie była pewna swoich opinii, co nieudolni mężczyźni mylili z uporem. Krzyki nie robiły na niej wrażenia, sama też potrafiła wydrzeć się w odpowiedzi. Była w końcu wzrostu Prestona i „niemal równie piękna”, jak często sobie z niego kpiła. Co z tego, że on prawie cały czas gapił się na jej biust? Pomogło jej to dostać tę pracę, a czasem także pomagało postawić na

swoim w toczonych przez nich sporach. Nie uważała go za seksualne zagrożenie. Zbyt dobrze znała jego sekretarkę, a molestowanie przez kurdupli w ohydnych czerwonych szelkach było ceną, jaką zdecydowała się zapłacić, przyjeżdżając na południe. Jeśli przetrwa tutaj, będzie mogła zrobić karierę wszędzie.

Odwróciła się do niego z rękami wepchniętymi w obronny geście w kieszenie modnie workowatych spodni. Mówiła powoli, mając nadzieję, że głos nie zdradzi jej zdenerwowania:

- Grev, każdy poseł partii rządzącej, z którym udało mi się porozmawiać w ciągu ostatnich dwóch godzin, obniża prognozy. Dzwoniłam do przewodniczącego komisji wyborczej w okręgu premiera i według niego z sondaży wynika, że poparcie spadło o pięć procent. To nie wygląda na przytłaczające wotum zaufania. Coś się dzieje, wyraźnie to czuć. Rząd wcale jeszcze nie ma zwycięstwa w kieszeni, a już na pewno nie będzie to łatwe zwycięstwo.

- No i co?

- No i to, że daliśmy za mocny tekst.

- Bzdury. Wszystkie sondaże podczas wyborów pokazywały, że rząd wygra w pieprzonych cuglach, a ty chcesz, żebym zmienił pierwszą stronę, opierając się na... czym? Kobiecej intuicji?

Mattie wiedziała, że jego wrogość wynika z nerwów. Wszyscy naczelni żyją na krawędzi, ale sekret polega na tym, żeby nie dać tego po sobie poznać. Preston dawał.

- No dobra - rzucił. - W poprzednich wyborach mieli ponad sto mandatów przewagi. No to teraz mi powiedz: ile będą mieli jutro? Jak ci podpowiada twoja kobieca intuicja? Sondaże przewidują, że dostaną o jakieś siedemdziesiąt mandatów więcej niż opozycja. Co o tym myśli mała Mattie Storin?

Stanęła na palcach, żeby móc spojrzeć na niego z góry.

– Jak chcesz, to ufaj sondażom, Grev, ale na ulicy tak to nie wygląda. Wśród zwolenników rządu nie ma entuzjazmu. Frekwencja będzie niska. Przez to nie utrzymają tak dużej większości.

– No, dawaj – naciskał. – Jaka będzie przewaga?

Nie mogła wiecznie stać na palcach. Pokręciła powoli głową, żeby podkreślić ostrożność swoich szacunków. Blond włosy zafalowały jej wokół ramion.

– Tydzień temu powiedziałabym, że pięćdziesiąt. Teraz myślę, że mniej – odparła. – Może dużo mniej.

– Jezu, nie mogą mieć mniej. Przez cały czas popieraliśmy tych sukinsynów. Nie mogą nawalić.

„I ty też nie możesz” – pomyślała. Wszyscy wiedzieli, na czym stoi ich naczelny: na środku jednego z największych bagien na Fleet Street. Jeśli chodzi o poglądy polityczne, Preston był niewzruszony tylko w jednej kwestii: tego, że jego gazeta nie może sobie pozwolić na znalezienie się po przegranej stronie. Nie był to zresztą jego własny pogląd, ale narzucony mu przez nowego właściciela pisma, Benjamina Landlessa. Jedną z niewielu przyjemnych cech tego biznesmena z cockneyowskim rodowodem było to, że nie silił się na fałszywą skromność i nie próbował ukrywać swoich prawdziwych przekonań – bez skrępowania się z nimi obnosił. Jak stale przypominał swoim i tak już niepewnym przyszłości pracownikom, dzięki rządowej polityce konkurencji łatwiej kupić dziesięciu nowych naczelnych niż jedną nową gazetę, „więc nie wkurwiamy rządu, popierając drugą stronę”.

Landless dotrzymał słowa. Wprowadził rosnącą armię swoich gazet do rządowego obozu, a w zamian oczekiwał tylko tego, żeby rządząca partia uzyskała odpowiedni wynik w wyborach. Nie było to oczywiście

realistyczne oczekiwanie, ale Landless przekonał się, że stawianie rozsądnych wymagań nigdy nie pomagało jego pracownikom w pełni rozwinąć talentów.

Preston podszedł do rzędu telewizyjnych monitorów z nadzieją na lepsze wieści. Mattie spróbowała jeszcze raz. Przysiadła na rogu ogromnego biurka naczelnego, zasłaniając stos sondaży, którym tak ślepo wierzył, i przedstawiła swoje argumenty:

– Posłuchaj, Grev, spójrz na to z szerszej perspektywy. Kiedy Margaret Thatcher razem z jej torebką wreszcie zmuszono do odejścia, rozpaczliwie potrzebowali zmiany stylu. Chcieli nowej mody. Czegoś mniej szorstkiego, mniej dominującego. Mieli dosyć ordaliów i tego, że cholerna baba rozstawia ich po kątach. – „Kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć” – pomyślała. – Więc w swojej mądrości wybrali Collingridge’a, bo dobrze wypadł w telewizji, był pewny siebie, układny, starsze panie go lubiły i wydawał się niekontrowersyjny. – Lekceważąco wzruszyła ramionami. – Ale stracili pazur. Taka polityka jest mdła jak pudding ryżowy, cała energia i entuzjazm wyparowały. Collingridge prowadził kampanię z wigorem nauczyciela szkółki niedzielnej. Gdyby przez kolejny tydzień trzeba było słuchać, jak klepie te frazesy, chyba nawet jego żona zagłosowałaby na opozycję. Wszystko jedno na kogo, byleby była jakaś odmiana.

Preston odwrócił się od telewizorów i gładził się po brodzie. Wreszcie chyba jej uważnie słuchał. Po raz dziesiąty tego wieczoru Mattie zaczęła się zastanawiać, czy naczelny pryska swoją staranną koafiurę lakierem, by utrzymać ją w nieskazitelnym stanie. Podejrzewała, że zaczyna łysieć. A już na pewno używa pęsetki do brwi.

Preston wrócił do ataku.

– Okej, darujmy sobie ten mistycyzm i trzymajmy się konkretów, dobra? Jak duża będzie większość? Będą znów rządzić czy nie?

– Pochopnie byłoby twierdzić, że nie będą – odparła.

– A ja nie mam zamiaru robić nic pochopnego, Mattie. Wystarczy mi jakakolwiek większość. Do diabła, w tych okolicznościach byłoby to niezłe osiągnięcie. Właściwie historyczne. Cztery wygrane z rządu, czegoś takiego nigdy jeszcze nie było. Dlatego pierwsza strona zostaje.

Preston szybko zakończył temat i nalał sobie kieliszek szampana z butelki, która stała na regale. Jej nie poczęstował. Zaczął grzebać w papierach, chcąc ją odprawić, ale Mattie nie dawała się tak łatwo zbyć. Jej dziadek był współczesnym wikingiem, który w burzliwych pierwszych miesiącach 1941 roku uciekł z okupowanej przez nazistów Norwegii, przepływając Morze Północne przeciekającym kutrem rybackim, i wstąpił do RAF-u. Mattie odziedziczyła po nim nie tylko skandynawską urodę, ale także hart ducha, który nie zawsze przypadł do gustu nieudolnym mężczyznom. Ale niech tam!

– Zastanów się przez chwilę i zadaj sobie pytanie, czego możemy się spodziewać po kolejnych czterech latach rządów Collingridge'a – natarła. – Może jest zbyt miły, żeby być premierem. Program miał tak cieniutki, że się posypał już w pierwszym tygodniu kampanii. Nie opracował żadnych nowych pomysłów. Jedyny jego plan to trzymać kciuki i mieć nadzieję, że ani Rosjanie, ani związkowcy za głośno nie pierdną. Myślisz, że właśnie tego naprawdę chce ten kraj?

– Delikatnie i z gracją to ujęłaś, jak zawsze, Mattie – zadrwił Preston, wracając do protekcyjnego tonu. – Ale się mylisz. Ludzie chcą konsolidacji, nie wstrząsów politycznych. Nie chcą, żeby wszystkie zabawki wypadały z wózka za każdym razem, kiedy wiezie

się dziecko na spacer. – Potrząsnął palcem jak dyrygent upominający niesubordynowanego muzyka, żeby grał zgodnie z partyturą. – Więc parę lat ciepłego piwa i krykieta to nie taka zła wiadomość. A powrót naszego kumpla Collingridge’a na Downing Street to wiadomość wręcz wspaniała!

– To pieprzony koszmar – mruknęła i odwróciła się na pięcie.

1 Inicjały Francisa Urquharta, FU (wymawiane „ef ju”), to jednocześnie skrót od „fuck you”, najbardziej dosadnej w angielszczyźnie formy powiedzenia komuś, że ma odejść i dać nam spokój (przyp. tłum.).

Rozdział 3

Jezus kazał nam wybaczać naszym wrogom, a kimż e jest em, by poprawiać Wszechmogąc ego? Lecz w swej nieskończonej mądrości ni choler y nie wspominał o wybaczeniu naszym przyjaciołom, a już zwłaszcza naszym rodzinom. Z chęcią zast osuję się do jego rad w tej kwestii. W każdym razie, skoro już o tym mowa, mnie znacznie łatwiej przy chodzi w ybaczenie samemu sobie.

Autobus linii 88 przejechał z hukiem ulicą, tak że zatrzęśły się szyby w oknach, co wreszcie obudziło Charlesa Collingridge'a. Po bracie premiera można by się spodziewać czegoś więcej niż małego jednopokojowego mieszkania nad biurem podróży w Clapham, ale Charlie musiał ograniczyć swoje potrzeby. Kiedy w pubie skończyły mu się pieniądze, wrócił do domu, żeby przegrupować siły. Leżał teraz rozwalony w fotelu, nadal w pomiętym garniturze, chociaż już zupełnie bez krawata.

Spojrzał na swój stary zegarek i zaklął. Spał przez kilka godzin, a jednak ciągle czuł się wyczerpany. Nie zdąży na przyjęcie, jeśli się nie pośpieszy, ale najpierw potrzebował drinka, żeby się pozbierać. Nalał sobie duży kieliszek wódki, nawet już nie smirnoffa, tylko byle jakiej czystej z supermarketu. Może była tania, ale człowiek nie zionął po niej alkoholowym odorem ani nie śmierdziała, kiedy się ją rozlało.

Zabrał kieliszek ze sobą do łazienki, gdzie wymoczył się w wannie, poddając swe zmęczone członki cudownemu działaniu gorącej wody. Coraz częściej wydawało mu się, że należą do kogoś zupełnie innego. „Chyba się starzeję” – pomyślał.

Stanął przed lustrem i spróbował naprawić szkody wyrządzone przez ostatnią popijawę. Zobaczył twarz swojego ojca, jak zwykle pełną wyrzutu, przynaglającą go do osiągnięcia celów, które zawsze wymykały mu się z rąk, dopytującą, dlaczego nigdy nie udawało mu się pójść w ślady swojego starszego brata Henry'ego. Obaj mieli takie same atuty, chodzili do tej samej szkoły, ale Hal zawsze jakoś miał nad nim przewagę i stopniowo przyćmił go swoją karierą i małżeństwem. Charles nie czuł się tym rozgoryczony. Był człowiekiem wielkodusznym, zdecydowanie zbyt wielkodusznym, i pobłażliwym. Jednak Hal zawsze przychodził mu z pomocą, gdy Charlie jej potrzebował, dawał mu rady i pozwalał mu się wyplakać na swoim ramieniu, kiedy Mary od niego odeszła. Tak, szczególnie kiedy Mary odeszła. Ale czy nawet ona nie wypomniała mu sukcesu Hala? „Ty się do tego nie nadajesz! Do niczego się nie nadajesz!”. A Hal miał znacznie mniej czasu, żeby przejmować się problemami brata, odkąd zamieszkał przy Downing Street.

Jako chłopcy dzielili się wszystkim, jako młodzi mężczyźni – tym i owym, nawet paroma dziewczynami. I samochodem, jednym z pierwszych mini, dopóki Charlie nie wjechał nim do rowu, a później wyszedł z wraku chwiejnym krokiem i przekonał młodego policjanta, że zatacza się w wyniku szoku i doznanych obrażeń, a nie dlatego, że pił. Jednak dziś w życiu Hala pozostało niewiele miejsca dla młodszego brata i Charlie czuł... właściwie co czuł, tak w głębi duszy, kiedy pozwalał sobie na szczerość? Złość, parszywą, cholerną wściekłość, narastającą butelka po butelce – nie na Hala, oczywiście, ale na życie. Nie ułożyło mu się, a on nie rozumiał dlaczego.

Przejechał żyłką po starych zacięciach na obwisłej twarzy i zaczął doprowadzać się do porządku. Zaczesał na łysiejącej czaszce, świeża

koszula i nowy, czysty krawat. Wkrótce będzie gotowy na fetę z okazji wieczoru wyborczego, na którą wciąż miał wstęp dzięki więzom rodzinnym. Przeciągnął ścierką do naczyń po butach, dzięki czemu odzyskały nieco połysku, i był prawie gotów. Ponowny rzut oka na zegarek. Och, wcale nie było tak późno. Akurat zdąży wypić jeszcze jednego drinka.

Po północnej stronie rzeki, na peryferiach Soho, taksówka utknęła w korku. Zawsze było tu wąskie gardło, a wieczór wyborczy najwyraźniej wyciągnął na ulicę jeszcze większe tłumy. Na tylnym siedzeniu taksówki Roger O'Neill ze zniecierpliwieniem wyłamywał sobie palce, bezradnie patrząc na mijających ich rowerzystów i pieszych. Coraz bardziej się denerwował, nie miał zbyt wiele czasu. Dostał jasne instrukcje. „Pośpiesz się, Rog – powiedzieli. – Nie możemy czekać, kurwa, całą noc, nawet na ciebie. I nie będzie nas aż do wtorku”.

O'Neill nie spodziewał się, że będzie traktowany w sposób uprzywilejowany, i rzeczywiście nie był. Nigdy nie próbował wykorzystywać swojego stanowiska. Był dyrektorem public relations partii, ale miał szczerą nadzieję, że nic o tym nie wiedzą. Czasami myślał, że musieli go rozpoznać, widzieć jego zdjęcie w gazetach, ale kiedy paranoja opadała, uświadamiał sobie, że najprawdopodobniej nigdy nie czytali prasy, nie mówiąc już o chodzeniu na wybory. Co tych ludzi obchodziła polityka? Jak dla nich do władzy mógłby dojść nawet pieprzony Hitler. Jakie znaczenie miało to, kto rządzi, kiedy forsa leżała na ziemi i można było obłowić się bez podatku?

Taksówce wreszcie udało się przebić przez Shaftesbury Avenue i skręcić w Wardour Street, gdzie znów trafili na zwarty sznur samochodów. Szlag, nie zdąży. Otworzył gwałtownie drzwi.

- Pójdę pieszo – krzyknął do kierowcy.

- Przykro mi, kolego. Nie moja wina. Fortunę mnie te korki kosztują – odparł szofer, mając nadzieję, że pasażer w swej niecierpliwości nie zapomni o napiwku.

O'Neill wyskoczył na jezdnię, wcisnął kierowcy w rękę banknot i, umknąwszy spod kół kolejnemu motocykliście, przedarł się przez niekończący się szpaler peep-show i chińskich knajp, po czym skręcił w wąski, wyjęty żywcem z Dickensa zaułek, w którym piętrzyły się sterty śmieci. Przecisnął się między plastikowymi workami i kartonowymi pudłami, i puścił się biegiem. Był w kiepskiej formie, więc wysiłek sprawił mu ból, ale nie miał daleko. Kiedy dotarł do Dean Street, skręcił w lewo, a sto jardów dalej dał nura w wąską bramę jednego z tych budynków w Soho, które większość ludzi przegapia, koncentrując się na szukaniu zabawy i unikaniu korków. Prowadziła na niewielkie podwórko, otoczone ze wszystkich stron warsztatami wydzielonymi ze starych wiktoriańskich magazynów. Podwórko było puste, poznaczone głębokimi cieniami. Na kocich łbach zadźwięczały jego szybkie kroki, kiedy skierował się w stronę zielonych drzwiczek w przeciwległym, najciemniejszym kącie podwórza. Zanim wszedł, zatrzymał się i rozejrzał pospiesznie. Nie zapukał.

Po niecałych trzech minutach z powrotem pojawił się w drzwiach. Nie zerkając na boki, czym prędzej wmieszał się w ciągnący Dean Street tłum. Po cokolwiek tu przyszedł, ewidentnie nie był to seks.

Za ceglana fasadą siedziby partii przy Smith Square, naprzeciwko wapiennych wież Świętego Jana, panowała dziwnie przygaszona atmosfera. Przez ostatnie tygodnie trwała tu bezustanna bieganina, ale w dniu samych wyborów większość działaczy zniknęła. Wyruszyli do okręgów, tych daleko wysuniętych placówek politycznego świata,

w których usiłowali jeszcze pozyskać ostatnich zwolenników sprawy. O tej porze większość tych, którzy zostali, jadła wczesną kolację w pobliskich restauracjach lub klubach, starając się emanować pewnością siebie, ale wciąż wracając do prowadzonych niepewnym tonem dyskusji o najnowszych plotkach na temat frekwencji, sondaży z lokali wyborczych i najważniejszych mandatów. Niewielu miało apetyt, więc niebawem zaczęli wracać, przepychając się przez coraz większe tłumy gapiów, przechodząc przez kordon policji i mijając rosnące kupki zwęglonych ciem.

Przez ostatni miesiąc biura w tym budynku były przepelnione, przegrzane i niemożliwie zagracone, ale od jutra wszystko będzie wyglądać inaczej. Wybory to czas zmian i ofiar z ludzi. Zanim przyjdzie weekend, bez względu na wynik wielu z nich straci pracę, ale prawie wszyscy wrócą po więcej, chcąc znów przyssać się do piersi władzy. Na razie przygotowali się na nieskończone, jak im się wydawało, czekanie.

Big Ben wybił dziesiątą. Koniec. Lokale wyborcze zostały zamknięte i już żadne apele, wyjaśnienia, ataki, insynuacje, pomówienia ani koszmarnie obsuwy nie wpłyną na wyniki. Kiedy ostatnie uderzenie starego zegara rozmyło się w wieczornym powietrzu, kilku partyjnych działaczy uścisnęło sobie w milczeniu dłonie w uspokajającym geście, z wyrazem szacunku za dobrze wykonaną robotę. Jak dobrze, mieli przekonać się już za chwilę. Tak jak podczas wielu poprzednich wieczorów wyborczych, niczym w religijnym rytuale odwrócili się w stronę ekranów telewizyjnych, skąd popłynął znajomy głos sir Alastaira Burneta. Wyglądał jak współczesny Mojżesz o rumianych policzkach, przemawiający tonem

pełnym otuchy, a jego srebrzyste włosy były akurat tak podświetlone, by przywodzić na myśl aureolę.

– Dobry wieczór – zaczął głosem łagodnym jak płynący spokojnie strumyk. – Kampania wyborcza dobiegła końca. Zaledwie kilka sekund temu tysiące lokali wyborczych w całym kraju zamknęło swoje podwoje, a my czekamy teraz na werdykt obywateli. Pierwsze wyniki mają się pojawić już za czterdzieści pięć minut. Za chwilę nadamy na żywo wywiad z premierem Henrym Collingridge'em w jego okręgu w Warwickshire, a także z liderem opozycji, który jest teraz w południowej Walii. Najpierw jednak sondaż exit poll, przeprowadzony specjalnie dla telewizji ITN przez Harris Research International przed stu pięćdziesięcioma trzema lokalami wyborczymi w całym kraju podczas dzisiejszego głosowania. Badanie to przewiduje następujące wyniki...

Najważniejszy prezenter wiadomości w Wielkiej Brytanii otworzył szarą kopertę formatu A4 z takim namaszczeniem, jakby zawierała jego własny akt zgonu. Wyjął z niej dużą kartę i rzucił na nią okiem. Nie za szybko, nie za wolno podniósł wzrok z powrotem do kamery, drocząc się z trzydziestoma milionami wiernych, czując, że jedzą mu z ręki. Miał do tego prawo. Już ogłosił, że te wybory, dziewiąte, które relacjonował w telewizji w trakcie dwudziestu ośmiu spędzonych tu lat, będą jego ostatnimi.

– Według prognozy na podstawie badania exit poll przeprowadzonego specjalnie dla ITN, a podkreślam, że jest to prognoza, nie są to oficjalne wyniki... – Zerknął jeszcze raz na kartę, żeby się upewnić, czy dobrze przeczytał.

– No dawaj, ty stary pierdzielu! – Dobiegł krzyk skądś w gmachu przy Smith Square. Z innej strony dał się słyszeć dźwięk

przedwcześnie poluzowanego korka od szampana. Jednak większość zebranych stała w zupełnej ciszy. Oto tworzyła się historia, a oni byli jej częścią. Sir Alastair popatrzył na nich, potrzymał ich w niepewności przez jeszcze jedno uderzenie serca.

– ...rząd zostaje wybrany na następną kadencję z większością trzydziestu czterech mandatów.

Wydawało się, że cały budynek zadrżał w posadach, kiedy ze środka buchnął ryk triumfu pomieszanego z ulgą. Trzydzieści cztery, jasna cholera! Zwycięstwo, a jeśli gra się na śmierć i życie, liczy się tylko wygrana, nie to, jak przebiegała rozgrywka ani jak niewiele zabrakło przeciwnikom. Później przyjdzie czas na trzeźwe refleksje, na werdykt historii. Ale do diabła z historią – na razie wystarczy, że przetrwali. Wszędzie było widać łzy radości, wyczerpania i ulgi, która dla wielu była prawie tak dobra jak orgazm, a zdaniem niejednego starego wygi – znacznie lepsza.

Na przedzielonym na pół ekranie pojawiły się nieme ujęcia przywódców obu partii, pokazujące, jak każdy z nich reaguje na prognozę. Collingridge kiwał głową, godząc się z faktami, z bladym uśmiechem dalekim od satysfakcji. Natomiast uśmiech jego rywala był szeroki i nie pozostawiał widzom wątpliwości, że opozycja jeszcze nie przyznaje się do porażki. „Poczekamy, zobaczymy” – mówił bezgłośnie przeciwnik premiera w poczuciu triumfu. Jego usta poruszyły się ponownie, kiedy powiedział coś, co później specjaliści od czytania z ruchu warg uznali za dwa słowa po walijsku. Oba bardzo niestosowne.

– Kurwa! – wrzeszczał Preston, a włosy opadały mu na oczy, odsłaniając sekrety przeświecającej spod spodu łysiny. – Co oni narobili, do chuja?! – Spojrzał na ruiny porannego wydania i zaczął

z wściekłością gryzmolić w notesie. – „Rząd z mniejszą przewagą” – spróbował. Cisnął zmiętą kartkę do kosza.

– „Łeb w łeb” – zaproponowała Mattie, usiłując nie okazywać choćby cienia satysfakcji.

– „Collingridge ledwo, ledwo” – podjął jeszcze jedną próbę naczelny.

Wszystko wylądowało w koszu.

Preston rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu pomocy i natchnienia.

– Poczekajmy – doradziła Mattie. – Do pierwszych wyników zostało tylko trzydzieści minut.

Rozdział 4

Tłum jest wulgarny. Zawsze graj pod publiczność i wychwalaj prostego człowieka, niech myśli, że jest księciem.

W obsługującej partię agencji reklamowej nie czekano ze świętowaniem na pierwsze wyniki. Z pewnością siebie typową dla wszystkich zwolenników pozytywnego myślenia pracownicy Merrill Grant & Jones Company S.A. od prawie trzech godzin tłoczyli się w holu recepcji w siedzibie agencji, aby stać się świadkami historycznych wydarzeń i obejrzeć je z najdrobniejszymi szczegółami na dwóch ogromnych telewizorach. Szampan lał się strumieniami, pity pod hurtowe ilości pizzy i big maców, a przewidywania dotyczące drastycznego spadku przewagi partii rządzącej tylko mobilizowały imprezowiczów do coraz bardziej gorączkowych wysiłków. Już teraz, o tak wczesnej porze, było jasne, że dwa figowce, które od kilku lat zdobiły recepcję, nie przetrwają nocy; z dużą dozą prawdopodobieństwa to samo można było powiedzieć o kilku młodych sekretarkach. Co mądrzejsi narzucili sobie spokojniejsze tempo, nie było jednak widać powodów do zachowywania zbyt powściągliwości. Ludzie reklamy powściągliwością się nie zajmują. Zresztą sam klient dawał prawdziwy przykład grozy.

Jak wielu żądnych przygód ekspatów z Dublina, Roger O'Neill był znany z błyskotliwości, niepowstrzymanej skłonności do przesady i nienasyconego pragnienia rzucania się w wir wszystkiego. Tryskał tak obezwładniającą energią i tak wielkim entuzjazmem, że nikt nie był do końca pewien, czym się zajmował, zanim wstąpił do partii – chyba

czymś związanym z public relations albo z telewizją. Krążyły też plotki o jakichś problemach z urzędem skarbowym, a może z irlandzką policją – ale był do wzięcia, kiedy zwolniło się stanowisko dyrektora PR, i objął je zarówno z wdziękiem, jak i kompetencją, napędzany nieskończoną ilością gauloise'ów i wódki z tonikiem.

W młodości świetnie się zapowiadał jako łącznik ataku na boisku rugby, ale nie było mu dane rozwinąć w pełni tego talentu, bo przez swój wybujały indywidualizm nie nadawał się do sportów zespołowych. „Kiedy on jest na boisku – skarżył się jego trener – mam dwie drużyny: Rogera i czternastu pozostałych. Pieprzyć go”. I tak też się stało – Roger był dymany na wszelkie sposoby w wielu dziedzinach życia, aż fortuna się do niego uśmiechnęła i sprowadziła go na Smith Square. W wieku czterdziestu lat jego niesforna ciemna czupryna już zauważalnie siwiała, a po muskulaturze nie pozostało nawet wspomnienie, ale O'Neill nie przyjmował do wiadomości tych dowodów na wkroczenie w wiek średni, tuszując je starannie dobraną garderobą, noszoną z celową nonszalancją, która najlepiej eksponowała metki znanych projektantów. Nonkonformistyczne podejście i pozostałości irlandzkiego akcentu nie zawsze zjednywały mu sympatię partyjnych osobistości – „Wszystko pic na wodę i wciskanie kitu”, jak głośno zauważyła jedna z nich – ale innych po prostu obezwładniał jego niezwykły wigor.

Przedzieranie się przez polityczno-biznesowy gąszcz znacznie ułatwiała mu jego sekretarka. Penelope „Cześć, jestem Penny” Guy. Pięć stóp dziesięć cali wzrostu, ekscytujący dobór ubrań i olśniewająca figura do ich zaprezentowania. Na tle westminsterskiego towarzystwa wyróżniała ją jeszcze jedno. Była czarna. Jej skóra nie była po prostu śniada czy ciemna, ale miała lśniąca barwę nocy, sprawiającą, że jej

oczy błyszcząły, a uśmiech rozjaśniał cały pokój. Penny skończyła historię sztuki, stenografowała z szybkością stu dwudziestu słów na minutę i była bezlitośnie praktyczna. Oczywiście jej pojawienie się u boku O’Neilla wywołało lawinę plotek, ale samą swoją kompetencją uciszała, jeśli nie przekonywała do siebie, niewiernych Tomaszów, których nadal nie brakowało.

Penny była też uosobieniem dyskrecji. „Mam życie prywatne – wyjaśniała, kiedy ją o to pytano. – I takie ma zostać”.

W tej chwili w Merrill Grant & Jones – czy też Grunt & Groans, czyli Stękach i Jękach, jak wołała nazywać agencję Penny – bez wysiłku brylowała w towarzystwie kilku pełnokrwistych media buyerów oraz zastępcy dyrektora kreatywnego, jednocześnie pilnując, aby kieliszek i papierosy O’Neilla były zawsze pod ręką, ale ściśle racjonowane. Nie chciała, żeby przesadził, na pewno nie dzisiaj. Na razie był pogrążony w rozmowie z dyrektorem zarządzającym agencji.

– Przyszłość zaczyna się właśnie tutaj, Jeremy. Nie zapominajmy o tym. Potrzebujemy tej analizy marketingowej jak najszybciej. Musi pokazać, jak skuteczne były nasze działania, jak błyskotliwe zrobiliśmy reklamy, jak istotne przyniosły efekty, jak trafiliśmy do docelowych wyborców. Jeśli wygramy, wszyscy mają wiedzieć, że zawdzięczają to nam. Jeśli przegramy, niech Bóg ma nas w swojej opiece... – Nagle potężnie kichnął. – Szlag! Przepraszam. Cholerny katar sienny. Ale jeśli przegramy, chcę móc pokazać całemu pieprzonemu światu, że w public relations pobiliśmy tamtych na głowę i nawaliła wyłącznie polityka. – Przysunął się do rozmówcy, tak że niemal stykali się czołami. – Wiesz, co jest potrzebne, Jeremy. Tu chodzi o naszą reputację, nie tylko polityków, więc tego nie spieprz. Dopilnuj, żeby

analiza była gotowa najpóźniej do soboty rano. Ma się znaleźć w niedzielnych gazetach i rzucać się w oczy jak dupa aktorki.

– A ja myślałem, że to ja jestem kreatywny – zauważył Jeremy, pociągając kolejny łyk szampana. – Ale w takim razie nie mamy za dużo czasu.

O'Neill zniżył głos, przysunął się jeszcze bliżej, tak że reklamiarz poczuł jego oddech przesycony kwaśnym zapachem francuskiego tytoniu.

– Jeśli nie dacie rady dotrzeć do konkretnych danych, to je wymyślcie, do cholery. Wszyscy będą zbyt wykończeni, żeby się im dokładnie przyglądać, a jak zdążymy pierwsi i narobimy największego szumu, to włos nam z głowy nie spadnie. – Urwał tylko po to, żeby wydmuchać nos, co bynajmniej nie zmniejszyło zakłopotania jego rozmówcy. – I nie zapomnij o kwiatach. Z samego rana wyślij ogromny bukiet żonie premiera na Downing Street. W kształcie gigantycznej litery „C”. Ma go dostać, kiedy tylko się obudzi.

– Od ciebie, oczywiście.

– Wkurzy się, jak kwiaty nie przyjdą, bo już jej powiedziałem, że będą. Niech telewizja sfilmuje, jak je wnoszą.

– I niech wie, kto je przysłał – dodał reklamiarz.

– Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, Jeremy.

„Jednak tylko twoje nazwisko będzie na bileciku” – chciał dorzucić Jeremy, ale się powstrzymał. Ze szczerością można było przesadzić. Zdążył się już przyzwyczać do wygłaszanych w zawrotnym tempie monologów O'Neilla oraz do jego nietypowych poleceń i procedur księgowych. Partia polityczna była specyficznym klientem: grała według innych, czasem niebezpiecznych zasad. Co prawda rozgłos, jaki Jeremy i jego młoda agencja zdobyli dzięki temu klientowi przez

ostatnie dwa lata, aż nadto wystarczał, by zdusić uporczywie powracające obiekcje. Jednak teraz, kiedy czekali nerwowo na wyniki, zdjął go niemy strach na myśl o tym, co się stanie, jeśli przegrają. Mimo zapewnień O’Neilla o jeździe na tym samym wózku, Jeremy nie miał wątpliwości, że to agencja zostanie kozłem ofiarnym. Inaczej to wyglądało, kiedy zaczęli współpracę, a sondaże przewidywały łatwe zwycięstwo, ale wyniki exit polls zachwiały jego pewnością siebie. W tej branży liczył się image, a reputacja była równie trwała, co wczorajsze kwiaty.

O’Neill trajkotał dalej, tryskając niespożytą energią, rozbuchany, żywiołowy, aż ich uwagę przykuł dwumetrowy sir Alastair na ekranie telewizora. Przyciskał palce do ucha, z głową przekrzywioną na bok. Odbierał w słuchawce jakąś wiadomość.

– Proszę państwa, jesteśmy gotowi na pierwsze oficjalne wyniki. Ponownie Torbay, jak słyszę. Bije dziś wszelkie rekordy. Zaledwie czterdzieści trzy minuty po zamknięciu lokali wyborczych, a już widzę, że kandydaci ustawiają się za przewodniczącym komisji. Łączymy się na żywo...

Aula ratusza w Torbay. Wiktoriańska, zatłoczona, duszna, rozpaczliwie gorąca, rozsadzana namacalnym napięciem. Pliki policzonych kart do głosowania rozłożone na stołach, z boku ustawione puste czarne blaszane urny. Po jednej stronie sceny, wśród zalewu hiacyntów i zielistek, rozetek i burmistrzowskich regaliów, zebrali się kandydaci. Za chwilę miano ogłosić pierwsze wyniki, ale to, co się działo, bardziej przypominało jasełka niż wybory: możliwość pokazania się w ogólnokrajowych mediach przyciągnęła rekordowo dużą liczbę cudacznych kandydatów, którzy teraz starali się z całych sił

wykorzystać swoje pięć minut, machając balonikami i kolorowymi kapeluszami, żeby zwrócić uwagę kamerzystów.

Kandydat Słoneczko, ubrany w zjadliwie żółty trykot i powiewający plastikowym słonecznikiem, równie dużym, co groteskowym, z pełnym rozmysłem stanął tuż przed grzecznie i konserwatywnie ubranym torysem. Torys, który na tę okazję odprasował garnitur i ostrzygł włosy, usiłował przesunąć się w lewo, żeby uciec od tego zenującego cudaka, ale tylko nadział się na faceta z Frontu Narodowego, podburzającego właśnie tłum do zamieszek poprzez demonstrowanie zaciśniętej pięści i obficie wytatuowanego ramienia. Torys, rozpaczliwie pragnąc zachować się właściwie, niepewny, co w takich sytuacjach zaleca jego instrukcja dla kandydatów, niechętnie wycofał się z powrotem za słonecznik. W tym czasie młoda kobieta reprezentująca partię Dbajmy o Czystość Naszych Mórz, ubrana w błękitno-zielony szyfon, paradowała tam i z powrotem przed zebranymi, ciągnąc za sobą kilka metrów materiału, który wydymał się jak fala przyływu.

Burmistrz odkaszlnął do mikrofonu.

– Szanowni państwo! Jako przewodniczący komisji wyborczej okręgu Torbay niniejszym oświadczam, że głosowanie przyniosło następujące wyniki...

– I tak to wygląda w kolorowym Torbay – włączył się grobowy głos sir Alastaira. – Partia rządząca ma swój pierwszy mandat, ale przy zmniejszonej przewadze i spadku poparcia, jak pokazuje komputer, o prawie osiem procent. Co to oznacza, Peter? – zapytał prezydent, podczas gdy realizator dał przebitkę na komentatora naukowego stacji. Na ekranie pojawiła się dość wymięta postać w okularach i oksfordzkich tweedach.

- To znaczy, że badanie exit poll jest mniej więcej trafne, Alastair.

Rozdział 5

Polityka wymaga poświęcenia. Poświęcenia innym, rzecz jasna. To, co człowiek może osiągnąć, poświęcając się dla ojczyzny, blaknie przy tym, co można uzyskać, pozwalając innym, by poświęcili się pierwsi. Jak mawia moja żona, liczy się wyczerpanie czasu.

– Świetny show, prawda, Roger? Znowu mamy większość. Nie wyobrażasz sobie, jaki jestem zachwycony. Odetchnąłem. Nie posiadam się z radości. Świetna robota. Brawo!

Prezes jednego z największych klientów biznesowych Stęków i Jęków wylewał swój entuzjazm na O’Neilla bez żadnych widocznych efektów. Brzuchaty przemysłowiec bawił się, pocił, uśmiechał. Wieczór zmieniał się w prawdziwą fetę zwycięstwa, bez względu na to, że rząd właśnie stracił dwa pierwsze mandaty.

– Dzięki za miłe słowo, Haroldzie. Tak, sądzę, że przewaga trzydziestu czy czterdziestu mandatów wystarczy. Ale to częściowo także twoja zasługa – odparł O’Neill. – Dopiero co przypominałem premierowi, że twoje poparcie wykracza daleko poza datki na kampanię przekazane przez waszą firmę. Pamiętam twoje przemówienie na spotkaniu w Towarzystwie Przemysłowym w marcu. Boże, ależ było dobre, nie chcę tu bluźnić, ale naprawdę potrafisz różnić prawdę między oczy. Z pewnością masz profesjonalne przygotowanie w tym zakresie? – Nie czekając na odpowiedź, O’Neill rozpedził się dalej. – Mówiłem Henry’emu... przepraszam, premierowi! Mówiłem mu, jaki jesteś dobry i że musimy znaleźć więcej platform

dla takich kapitanów przemysłu jak ty, dzięki którym wiedzielibyśmy, jak to wygląda na przodku.

– Na pewno nie było takiej potrzeby – odparł kapitan przemysłu bez cienia szczerości. Szampan zdołał już pokonać jego wrodzoną ostrożność, a przed oczami zaczęły mu się materializować obrazy gronostajów i Izby Lordów. – Słuchaj, jak to się już skończy, może moglibyśmy zjeść razem lunch, tylko ty i ja? W jakimś trochę cichszym miejscu, co? Mam kilka innych pomysłów, które mogą go zainteresować, i z chęcią posłuchałbym, co o nich sądzisz. – Popatrzył wyczekująco, wytrzeszczając oczy. Pociągnął kolejny potężny łyk wina. – A skoro już mowa o rżnięciu prawdy między oczy, to powiedz mi, Roger, ta twoja sekretareczka...

Zanim mogli dogłębniej podrażnić tę kwestię, O’Neillem wstrząsnęła seria kichnięć o sile wybuchu wulkanu. Niemal zgiął się wpół, oczy nabiegły mu krwią i nie było nadziei na kontynuowanie rozmowy.

– Przepraszam – wycharczał, usiłując dojść do siebie. – Katar sienny. Zawsze jakoś wcześniej mnie bierze. – Jakby dla podkreślenia swoich słów, wydmuchał nos z dźwiękiem godnym orkiestry złożonej z licznych trąb i kilku bębnów basowych. Widząc, że dogodny moment minął, przemysłowiec się wycofał.

Rząd stracił kolejny mandat – do parlamentu nie wszedł obecny podsekretarz stanu odpowiedzialny za transport, żółtodziób, który przez ostatnie cztery lata gnał na miejsce każdej większej kraksy na autostradzie, ciągnąc za sobą media. Nabrał niemal religijnego przekonania, że zdolność rasy ludzkiej do krwawego samopoświęcenia nie ma granic. Jakoś szczególnie mu to teraz nie pomagało zaakceptować własnej ofiary. Wysunął podbródek niczym tarczę

mającą go ochronić przed przeciwnościami losu, natomiast jego żona się rozplakała.

– Kolejne złe wieści dla rządu – skomentował sir Alastair. – Zobaczymy, jak to przyjmuje premier, kiedy połączymy się z nim na żywo już za kilka minut, aby poznać wyniki głosowania w jego okręgu. A tymczasem, co teraz przewiduje komputer? – Wcisnął guzik i odwrócił się w stronę dużego monitora komputerowego za swoim ramieniem. – Bliżej trzydziestu niż czterdziestu, tak na pierwszy rzut oka.

W studiu zaczęła się dyskusja na temat tego, czy przewaga trzydziestu mandatów wystarczy, żeby rząd przetrwał pełną kadencję, ale komentatorom ciągle przerywano, bo wciąż napływały nowe wyniki. Tymczasem w agencji reklamowej O'Neill odłączył się od grupy rozgorączkowanych biznesmenów i przepchnął się przez rosnące grono coraz bardziej elokwentnych adoratorów, którzy obstąpili Penny. Mimo ich protestów odciągnął ją szybko na bok i szepnął jej coś do ucha. Jednocześnie w telewizji znów pojawiła się rumiana twarz sir Alastaira, który oznajmił, że już za chwilę ogłoszony zostanie wynik premiera. Wśród świętujących zapanowała pełna szacunku cisza. O'Neill wrócił do kapitanów przemysłu. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Nikt nie zauważył, jak Penny zabiera swoją torebkę i cicho wymyka się na zewnątrz.

W studiu podano, że opozycja zyskuje kosztem partii rządzącej. Trudno nazwać ten wieczór wspaniałym. Potem przyszła kolej Collingridge'a. Na jego widok pracownicy Stęków i Jęków zareagowali rykiem lojalnej aprobaty. Większość z nich w ferworze świętowania zdążyła stracić przekonania polityczne, z którymi zaczynała imprezę. A niech tam, to tylko wybory.

Henry Collingridge pomachał z ekranu, a przyklejony do warg uśmiech sugerował, że traktuje wyniki z większą powagą niż jego widownia. Wygłosił raczej formalne podziękowania bez zapędów polemicznych. Spod makijażu wyglądała poszarzała z wyczerpania twarz. Przez chwilę patrzyli posepnie, niemal trzeźwo, jak szybkim krokiem schodzi z podwyższenia, żeby wyruszyć w długą drogę powrotną do Londynu. A potem znów zaczęli świętować.

Kilka minut później przez atmosferę imprezy przebił się krzyk:

– Panie O’Neill! Panie O’Neill! Telefon do pana. – Ochroniarz, który zasiadał za kontuarem recepcji, podniósł aparat do góry i teatralnym gestem wskazywał słuchawkę.

– Kto dzwoni? – bezgłośnie, samymi wargami, zapytał O’Neill z drugiego końca holu.

– Co? – Ochroniarz nie zrozumiał. Wyglądał na podenerwowanego.

– Kto to? – powtórzył bezgłośnie O’Neill.

– Nic nie słyszę! – wrzasnął ochroniarz, przekrzykując gwar.

O’Neill otoczył usta dłońmi i jeszcze raz ponowił pytanie, tym razem wydobywając z siebie głos godny zwycięskiego przyłożenia na stadionie rugby przy Lansdowne Road w Dublinie.

– Kancelaria premiera! – ryknął sfrustrowany ochroniarz, nie mogąc się powstrzymać i nie mając pewności, czy przypadkiem nie powinien stać na baczność.

Efekt był piorunujący. W holu zapanowała pełna oczekiwania cisza. Tłum nagle rozstąpił się przed O’Neillem, tworząc prowadzącą do telefonu aleję. Roger posłusznie ruszył naprzód, starając się wyglądać skromnie i rzeczowo.

– To jedna z jego sekretarek. Połączy pana – powiedział z respektem ochroniarz, wdzięczny, że może komuś przekazać tę

budzącą trwogę odpowiedzialność.

– Halo. Dobry wieczór. Tak, tu Roger. – Krótka pauza. – Panie premierze! Jakże miło pana słyszeć. Wielkie, wielkie gratulacje. Wyniki są naprawdę znakomite w tej sytuacji. Mój stary ojciec mawiał, że zwycięstwo smakuje słodko, bez względu na to, czy wygrywamy pięć do zera, czy pięć do czterech... – Potoczył wzrokiem po sali. Wszystkie twarze były zwrócone w jego stronę. – Słucham? A, tak. Tak! Bardzo miło z pana strony. Właśnie w tej chwili jestem w agencji.

W holu zapanowała teraz taka cisza, że można było usłyszeć płacz figowców.

– Uważam, że spisali się wspaniale, a ja na pewno bym sobie bez nich nie poradził... Mogę im to powiedzieć?

O'Neill zakrył dłonią mikrofon i odwrócił się do zebranych, którzy wpatrywali się w niego w zachwycie.

– Premier każe podziękować wam wszystkim w swoim imieniu za pomoc w prowadzeniu tak fantastycznej kampanii. Mówi, że miała decydujące znaczenie. – Wrócił do telefonu i słuchał przez kilka sekund. – I nie zażąda zwrotu pieniędzy!

Zerwała się burza oklasków i wiwatów. O'Neill trzymał aparat wysoko, żeby wyłapać każdy dźwięk.

– Tak, panie premierze. Chciałem powiedzieć, że ogromnie się cieszę, jestem absolutnie poruszony, że rozmawiam z panem jako pierwszy zaraz po ogłoszeniu wyników w pana okręgu... Ja też czekam z niecierpliwością na nasze spotkanie. Tak, będę później przy Smith Square... Oczywiście, oczywiście. W takim razie do zobaczenia. I jeszcze raz gratuluję.

Delikatnie odłożył słuchawkę, z poważną miną, odpowiedzią do zaszczytu, który go spotkał. Odwrócił się do zebranych. Twarz

rozjaśnił mu nagle szeroki uśmiech, rozległy się gromkie wiwaty i wszyscy naraz usiłowali uścisnąć mu rękę.

Śpiewali jeszcze For He's a Jolly Good Fellow na jego cześć, kiedy w aucie przy sąsiedniej ulicy Penny odłożyła słuchawkę telefonu samochodowego i zaczęła malować usta, patrząc w lusterko.

Rozdział 6

Mój stary łowczy nauczył mnie na wrzoso wiskach czegoś, co zapamiętałem na zawsze. Byłem dzieckiem – ile mogłem mieć lat, osiem? Ale jeśli przypomnicie sobie własne dzieciństwo, to właśnie w tym wieku lekcje do nas docierają, zapadają w pamięć.

Powiedział mi tak: jeśli musisz zadać ból, niech będzie to ból przemożny, dojmujący, tak żeby tamten wiedział, że zawsze możesz skrzywdzić go znacznie bardziej niż on ciebie. Łowczy mówił o dzikich psach. Jednak ta lekcja okazała się przydatna także w polityce.

Piątek, 11 czerwca

Tłum przy Smith Square znacznie się powiększył, kiedy dołączyli do niego zwolennicy, przeciwnicy i zwykli ciekawscy czekający na przyjazd premiera. Już dawno wybiła północ, ale dziś zegary biologiczne były wystawione na ciężką próbę. Gapie widzieli na monitorach techników telewizyjnych, że konwój premiera, eskortowany przez policjantów na motocyklach i ścigany przez samochody kamerzystów, już dawno zjechał z autostrady M1 i zbliżał się właśnie do Marble Arch. Będzie na miejscu za niecałe dziesięć minut, więc trzech młodych cheerleaderów zatrudnionych przez partię zagrzewało tłum mieszanką patriotycznych piosenek i okrzyków.

Mieli trudniejsze zadanie niż przy poprzednich wyborach. Chociaż ludzie chętnie powiewali olbrzymimi flagami brytyjskimi, to z mniejszym entuzjazmem podchodzili do machania wielkimi

plakatami z fotografią Henry'ego Collingridge'a, które właśnie wyniesiono z siedziby partii. Parę osób w tłumie miało przy sobie kieszonkowe radia i informowało sąsiadów o wynikach. Raczej nie poprawiało to nastroju. Nawet cheerleaderzy przerywali co jakiś czas wznoszenie okrzyków i zbijali się w ciasną gromadkę, żeby omówić najświeższe wiadomości. Pojawił się też element rywalizacji, bo grupka zwolenników opozycji, ośmielona doniesieniami, postanowiła zinfiltrować tłum i właśnie zaczynała wymachiwać własnymi transparentami oraz wykrzykiwać swoje hasła. Kilku policjantów wkroczyło do akcji, aby dopilnować, by żadnej ze stron nie poniosły emocje. Kolejnych kilkunastu czekało w autokarze zaparkowanym za rogiem, przy Tufton Street. Dostali polecenie: pokazać się, ale nie ingerować.

Komputery prognozowały teraz przewagę dwudziestu ośmiu mandatów. Dwóch cheerleaderów oderwało się od pracy i wdało w gorącą dyskusję, czy to wystarczy, by mieć wymaganą większość. Doszli do wniosku, że chyba tak, i wrócili do swojego zadania, ale ludzie tracili zapał, wczesny entuzjizm coraz bardziej słabł, wypierany przez niepokój. Postanowili więc zaoszczędzić sobie wysiłku aż do przyjazdu Henry'ego Collingridge'a.

Natomiast w środku budynku przy Smith Square Charles Collingridge coraz bardziej się upijał. Jeden ze starszych członków partii umieścił go w gabinecie przewodniczącego, gdzie stał wygodny fotel, na którym mógł usiąść pod portretem brata, a Charlie znalazł gdzieś butelkę. Poznaczoną popękkanymi naczynkami twarz miał mokrą od potu, oczy błyszczące i przekrwione.

– Zaczny gość, ten mój brat Hal. Wspaniały premier – bełkotał. Po alkoholu ewidentnie sepleniał i plątał mu się język, kiedy powtarzał

dobrze znaną historię swoich bliskich. – Mógł przejąć rodzinny interes, wie pan, zrobić z niego jedną z najświetniejszych firm w kraju, ale zawsze wolał politykę. Co prawda produkcję baterii wannowych mnie też nigdy nie interesowało, ale ojciec to lubił. Wie pan, że teraz w ogóle importują to cholerstwo z Polski? A może z Rumunii...?

Przerwał własny monolog, wylawszy sobie resztkę whisky ze szklanki na spodnie. Nastąpiły nerwowe przeprosiny, które dały przewodniczącemu partii, lordowi Williamsowi, okazję do oddalenia się na bezpieczną odległość. W jego mądrych starych oczach nie było tego widać, ale konieczność udzielania gościny bratu premiera budziła w nim głęboki sprzeciw. Charlie Collingridge nie był złym człowiekiem, skądże znowu, ale był człowiekiem słabym, który coraz częściej stawał się cholernie uciążliwy, a Williams lubił, by na jego okręcie panował porządek. Starzejący się aparaczyk był jednak doświadczonym nawigatorem i wiedział, że nie ma sensu próbować wyrzucać za burtę brata admirała. Poruszył kiedyś ten problem bezpośrednio z premierem, próbował porozmawiać o nasilających się plotkach i coraz częstszych złościwościach pod adresem jego brata publikowanych w brukowcach. Jako jeden z niewielu pozostałych w partii ludzi, którzy pływali po tych wodach jeszcze w epoce przedthatcherowskiej, miał do tego prawo, a niektórzy mogliby twierdzić, że wręcz obowiązek. Na nic się to jednak nie zdało.

– Ciągle przelewam krew, na tym polega moja praca – powiedział premier. – Błagam, nie prosź mnie, żeby to była krew mojego własnego brata.

Premier przysięgł, że przekona Charliego, by ten się pilnował, czy też raczej, że sam będzie go pilnował, ale oczywiście nigdy nie miał

czasu go niańczyć. Poza tym wiedział, że Charlie obieca wszystko, czego będzie się od niego chciało, mimo że był coraz mniej zdolny dotrzymać słowa. Henry nie moralizował ani się nie złościł; wiedział, że presja polityki zawsze najbardziej odbija się na innych członkach rodziny. Częściowo była to więc jego wina. Williams też to rozumiał, w końcu czyż sam nie przerobił trzech małżeństw przez te prawie czterdzieści lat w Westminsterze? Zawsze było mnóstwo niezamierzonych strat: polityka pozostawiała na swej drodze ból i udręczone rodziny. Williams patrzył, jak Collingridge wytacza się chwiejnie z pokoju i poczuł ukłucie smutku, ale szybko je zdusił. Nie można było kierować partią, opierając się na emocjach.

Michael Samuel, minister środowiska, jeden z najnowszych i najbardziej telegenicznych członków gabinetu, podszedł, żeby przywitać się ze starym przewodniczącym. Mógłby być jego synem, a Williams traktował go trochę jak swojego protegowanego. To on otworzył mu drogę do ministerialnej kariery, kiedy zarekomendował młodego posła na stanowisko sekretarza parlamentarnego. Był to najskromniejszy z zaszczytów, jakie mogą przyspaść deputowanym: bezpłatna praca dla ministra na zasadzie przynieś, podaj, pozamiataj, bez skarg i bez pytań – a takie cechy robią wrażenie na premierach, kiedy ci wybierają kandydatów do awansu. Pomoc Williama zapoczątkowała pasmo spektakularnych sukcesów Samuela, który wytrwale piął się po szczeblach ministerialnej kariery, a ich przyjaźń pozostała mocna.

– Jakiś problem, Teddy? – zapytał Samuel.

– Premier może sobie wybierać przyjaciół i rząd. – Westchnął stary polityk. – Ale nie rodzinę.

– To tak jak my nie możemy sobie wybierać współpracowników.

Samuel ruchem głowy wskazał drzwi. Do środka właśnie wszedł Urquhart z żoną. Samuel zmierzył go chłodnym spojrzeniem. Nie lubił Urquharta, który nie poparł jego awansu na członka gabinetu i który niejednokrotnie opisywał Samuela jako „współczesnego Disraelego, zbyt przystojnego i zbyt inteligentnego, żeby miało mu to wyjść na dobre”.

Fasada, za którą skrywał się tradycyjny, nadal pokutujący antysemityzm, czasem okazywała się bardzo krucha. Williams dał jednak Samuelowi, błyskotliwemu młodemu prawnikowi, dobrą radę.

– Francis ma rację – powiedział. – Nie bądź przeintelektualizowany, nie kłuj w oczy swoimi sukcesami. Nie bądź zbyt liberalny w kwestiach obyczajowych i nie wychylaj się w kwestiach finansowych.

– Czyli powinienem przestać być Żydem.

– I, na litość boską, miej oczy dookoła głowy.

– O to się nie martw, to robimy od dwóch tysięcy lat.

Samuel patrzył teraz bez entuzjazmu, jak tłum popycha Urquharta z żoną w jego kierunku.

– Dobry wieczór, Francis. Witaj, Mortimo – Samuel zmusił się do uśmiechu. – Gratulacje. Siedemnaście tysięcy głosów przewagi. Znam mniej więcej sześćuset posłów, którzy rano będą ci bardzo zazdrościć takiego zwycięstwa.

– Michael! Cieszę się niezmiernie, że raz jeszcze udało ci się zahipnotyzować wyborców płci żeńskiej w Surbiton. Gdybyś tylko potrafił zdobyć także głosy ich mężów, też mógłbyś mieć taką przewagę jak ja!

Pośmiali się trochę z tych przekomarzanek, przyzwyczajeni do ukrywania faktu, że nie darzą się wzajemną sympatią, ale szybko

zapadła między nimi cisza, bo żadnemu nie przychodził do głowy stosowny sposób wymigania się od dalszej rozmowy.

Uratował ich Williams, który właśnie odłożył słuchawkę telefonu.

– Nie chcę przeszkadzać, ale lada chwila będzie tu Henry.

– Zejdę z tobą – zaoferował się natychmiast Urquhart.

– A ty, Michael? – zapytał Williams.

– Zaczekam tutaj. Wszyscy tam polecą, kiedy przyjedzie. Nie chcę, żeby mnie stratowali.

Urquhart zastanowił się, czy to nie jakiś przytyk pod jego adresem, ale postanowił to zignorować i zszedł z Williamsem po schodach, na których tłoczyli się podekscytowani pracownicy centrali. Wieść o rychłym przyjeździe premiera zdążyła się rozejść, a pojawienie się przewodniczącego partii i rzecznika dyscypliny klubowej na chodniku przed gmachem zelektryzowało tłum. Rozległy się skoordynowane wiwaty, kiedy opancerzony czarny daimler z eskortą objechał plac i wyłonił się zza kościoła Świętego Jana, gdzie powitał go blask telewizyjnych reflektorów i błysk tysiąca fleszy: rzesza fotografów, zarówno zawodowców, jak i amatorów, starała się uchwycić tę scenę.

Kiedy samochód się zatrzymał, Collingridge wychynął z tylnego siedzenia i odwrócił się, żeby pomachać do tłumy i kamer. Urquhart przepchnął się do przodu, zbyt gorliwie próbując uścisnąć dłoń premiera, a w rezultacie tylko zatarasował mu drogę. Wycofał się z przepaszającym uśmiechem. Po drugiej stronie auta lord Williams, z galanterią i poufałością, jaka przychodzi po wielu latach znajomości, pomógł wysiąść żonie premiera i pocałował ją w policzek niczym dobroduszny wujaszek. Skądś pojawił się bukiet oraz ze dwudziestu partyjnych oficjeli i dygnitarzy, z których wszyscy usiłowali przyłączyć się do imprezy. Zakrawało na cud, że temu tabunowi udało się

przecisnąć przez drzwi wahadłowe do wnętrza budynku bez ofiar w ludziach.

Podobne sceny ścisku i chaosu powtórzyły się w środku, kiedy świta premiera torowała mu drogę na górę, z przystankiem jedynie na wygłoszenie tradycyjnych podziękowań dla pracowników. Trzeba je było powtórzyć, bo fotografowie z prasy nie zdążyli się zebrać. Przez cały ten czas, czekanie, przepychanie się, rejwach, premier się uśmiechał.

Jednak kiedy znaleźli się na górze, w stosunkowo bezpiecznym apartamencie lorda Williamsa, uwidoczniły się oznaki napięcia, tak dobrze ukrywane przez cały wieczór. W ustawionym w rogu telewizorze właśnie ogłaszano, że komputer przewiduje jeszcze mniejszą przewagę partii rządzącej. Collingridge westchnął ciężko i przeciągle.

– Wyłączcie to cholerstwo – szepnął, po czym rozejrzał się powoli po pokoju. – Charlie się tu dziś pokazał? – zapytał.

– Tak, był tutaj, ale...

– Ale co?

– Gdzieś nam zginął.

Spojrzenie premiera napotkało wzrok przewodniczącego.

– Przykro mi – dodał starszy polityk tak cicho, że premier musiał niemalże czytać z ruchu warg.

„Dlaczego ci przykro? Że mam brata pijaka? Że omal nie przerznąłem tych wyborów, że oddałem tylu naszych kolegów pod topór i narobiłem więcej szkód niż Goering? Przykro ci, że będziesz musiał taplać się w szambie, w którym będą chcieli utopić mnie i nas wszystkich? Ale i tak dziękuję, że się przejmujesz, stary przyjacielu”.

Opadła z niego adrenalina i nagle zorientował się, że jest rozpaczliwie zmęczony. Po tygodniach bezustannego oblężenia, kiedy nie miał ani chwili dla siebie, poczuł przemożną potrzebę samotności. Odwrócił się, żeby poszukać jakiegoś spokojniejszego, zacisznego miejsca, ale drogę zablokował mu Urquhart, stojący tuż za jego plecami. Rzecznik dyscypliny wciskał mu jakąś kopertę.

– Myślałem trochę o przetasowaniach w rządzie – powiedział Urquhart ze spuszczonym wzrokiem, głosem zdradzającym konsternację zmieszaną z wahaniem. – Może nie jest to najodpowiedniejszy moment, ale ponieważ będzie pan to rozważał przez weekend, to przygotowałem kilka propozycji. Wiem, że woli pan konkretne pomysły od pustych kartek, zatem – podał premierowi odręcznie napisaną notatkę – mam nadzieję, że to się panu przyda. – Domagał się miejsca w pierwszym szeregu i to traktowanego jako mu należne, a nie darowane.

Collingridge spojrział na kopertę i coś w nim pękło, ta cienka ściana oddzielająca uprzejmość od szczerości. Podniósł zmęczony wzrok na swojego współpracownika.

– Masz rację, Francis. To nie jest odpowiedni moment. Może powinniśmy pomyśleć o zapewnieniu sobie większości, zanim zaczniemy zwalniać naszych kolegów.

Urquhart zamarł, potwornie zażenowany. Sarkazm dotknął go do żywego, znacznie bardziej, niż premier zamierzał, a ten zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

– Przepraszam, Francis. Chyba jestem trochę zmęczony. Oczywiście słusznie wybiegasz myślami w przyszłość. Słuchaj, przyjdźcie z Teddym w niedzielę po południu, żeby to omówić. Może

byłbyś tak dobry i dał teraz Teddy'emu kopię tej listy, a drugą przesłał mi na Downing Street jutro... a raczej dziś rano.

Twarz Urquharta nie zdradzała kłębiących się w nim emocji. Zbyt niecierpliwie wyglądał zmian w rządzie i przeklinał swoją głupotę. Wrodzona pewność siebie jakoś go opuszczała, kiedy miał do czynienia z Collingridge'em, wychowankiem państwowego gimnazjum, któremu, gdyby wziąć pod uwagę jego klasę społeczną, trudno byłoby uzyskać członkostwo w każdym z klubów Urquharta. Odwrócenie ról w rządzie denerwowało Francisa, wywoływało jego niepokój. W obecności premiera nie był sobą. Popęłnił błąd i obwinił za to Collingridge'a bardziej niż siebie, ale teraz nie pora na odzyskiwanie straconej pozycji. Schował się pod maską życzliwości, skłaniając głowę na znak zgody.

– Oczywiście, panie premierze. Od razu dam Teddy'emu kopię listy.

– Lepiej skopiuj ją sam. Byłoby niedobrze, gdyby nam tu dzisiaj wyciekła. – Collingridge uśmiechnął się konspiracyjnie, próbując wciągnąć Urquharta z powrotem w atmosferę spisku władzy, która zawsze unosi się wokół Downing Street. – W każdym razie na mnie chyba pora. BBC będzie chciało, żebym za cztery godziny tryskał energią i humorem, więc na resztę wyników poczekam na Downing Street.

Odwrócił się do Williamsa.

– À propos, co w tej chwili przewiduje ten przeklęty komputer?

– Zatrzymał się na dwudziestu czterech jakieś pół godziny temu. Bardziej chyba nie spadnie. – W głosie przewodniczącego nie było poczucia zwycięstwa. Pod jego kierownictwem partia właśnie zaliczyła najgorsze wybory od prawie dwudziestu lat.

- Nieważne, Teddy. Większość to większość. No i rzecznik dyscypliny będzie miał co robić, zamiast siedzieć z założonymi rękami przy przewodze ponad stu mandatów. Co, Francis? - I z tymi słowami wyszedł z pokoju, zostawiając Urquharta z kopertą rozpaczliwie ściskaną w dłoni.

W ciągu kilku minut po wyjściu premiera tłum zarówno w środku, jak i na zewnątrz zaczął się wyraźnie przerzedzać. Urquhart, nadal czując się sponiewierany i nie w nastroju ani żeby świętować, ani współczuć, skierował się na zaplecze pierwszego piętra, gdzie, jak wiedział, powinien znaleźć biurowe ksero. Pokój 132A nie był właściwie pokojem, raczej klitką bez okien o szerokości ledwie sześciu stóp, gdzie trzymano artykuły biurowe i kopiowano poufne materiały. Urquhart otworzył drzwi i poczuł smród, jeszcze zanim zdążył znaleźć włącznik światła. Na podłodze przy wąskim metalowym regale leżał Charles Collingridge. Wypróżnił się w spodnie przez sen. Nigdzie nie było widać kieliszka ani butelki, ale w powietrzu wisiał ciężki zapach whisky. Charlie najwyraźniej zszedł wszystkim z oczu, żeby znaleźć najmniej krępujące miejsce, w którym mógłby paść.

Urquhart sięgnął po chusteczkę i przytrzymał ją sobie przy twarzy, usiłując ochronić się przed odorem. Przeszedł nad leżącym na podłodze ciałem i odwrócił je na plecy. Potrząśnięcie za ramiona nie przyniosło większych efektów poza zakłóceniem na chwilę ciężkiego, niespokojnego oddechu śpiącego. Mocniejsze potrząśnięcie nic więcej nie dało, a lekkie klepnięcie w policzki przyniosło równie mizerne rezultaty.

Urquhart patrzył na swoje znalezisko ze wstrętem. Nagle zeszywniał, czując, jak jego pogarda miesza się z uczuciem upokorzenia, jakiego doznał od premiera. A tutaj przecież nadarzała

się okazja, żeby odplacić za zniewagę. Chwytał Charliego za klapy marynarki, pociągnął go do góry, wziął zamach, gotowy uderzyć, walnąć grzbietem dłoni w mordę tego żalosnego drania, wyładować swoje upokorzenie i złość na wszystkich Collingridge'ów. Zadrzał, gotowy do ciosu.

Wtem z kieszeni marynarki Charliego wypadła koperta, na oko niezapłacony rachunek za prąd, ostatnie wezwanie, całe w czerwonych napisach, i nagle Urquhart uświadomił sobie, że istnieje inny sposób na przechylenie szali na jego korzyść. Jednak nie uderzy Charliego, nie z jakiejś szczególnej delikatności ani nie z poczucia, że Charlie nic mu nie zawinił, poza tym, że śmierdzi. Urquhart wiedział, że może zranić Henry'ego Collingridge'a, zadając ból jego bratu, co do tego nie było wątpliwości, ale taka rana nie wystarczy, nie będzie dość trwała. Poza tym nie było to ani odpowiednie miejsce – jakaś cuchnąca klitka – ani pora. Francis Urquhart był na to o wiele za dobry. Lepszy od nich wszystkich.

Pozwolił śpiącemu Charlesowi Collingridge'owi opaść łagodnie z powrotem na podłogę, wygładził mu klapy marynarki i zostawił go w spokoju.

– Ty i ja, Charlie, bardzo się do siebie zbliżymy. Zostaniemy wielkimi przyjaciółmi. Nie dokładnie w tej chwili, oczywiście. Jak się trochę umyjesz, co?

Odwrócił się do kserokopiarki, wyjął z kieszeni listę, skserował ją, po czym wyciągnął rachunek z kieszeni Charliego i też go skopiował. A potem zostawił swojego nowego, pijanego przyjaciela, żeby odespał swoją ostatnią libację.

Rozdział 7

Czy to nie ten cały Clausewitz powiedział kiedyś, że wojna to kontynuowanie polityki innymi środkami? Mylił się, oczywiście, potwornie się mylił. Polityka? Wojna? Jak stale przypomina mi moja żona Mortima, nie ma tu żadnej różnicy.

Niedziela, 13 czerwca

Służbowy samochód Urquharta skręcił z Whitehall w Downing Street, gdzie powitał go salutujący sztywno policjant i setka eksplodujących fleszy. Była niedziela, tuż przed czwartą. Zostawił Mortimę w domu w Pimlico razem z ósemką gości – większym gronem niż zwykle w niedzielę, ale akurat wypadała rocznica śmierci jego ojca, którą miał w zwyczaju zagłuszać rozrywką. Dziennikarze i garstka dziennikarek zebrali się za barierkami po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko najsłynniejszych drzwi wejściowych świata, które w chwili, gdy podjechał samochód, były otwarte na oścież. Urquhart często myślał, że to polityczna czarna dziura, w której znikali nowi premierzy i z której rzadko, jeśli w ogóle, wychodzili bez asysty w postaci hord strzegących ich urzędników służby cywilnej, i to dopiero po tym, jak ci wyszali z nich życie.

Urquhart pamiętał, żeby zająć w aucie miejsce z tyłu po lewej stronie, tak aby, kiedy wysiądzie przed numerem dziesięć przy Downing Street, nic go nie zasłaniało przed kamerami telewizyjnymi i obiektywami fotoreporterów. Wyprostował się, prezentując swój wzrost w całej okazałości. Przywitały go wykrzykiwane chóralnie pytania gromadki dziennikarzy, co dało mu pretekst, żeby podejść

i zamienić z nimi kilka słów. Dostrzegł Manny'ego Goodchilda, legendarnego korespondenta Press Association, trwającego na posterunku w swoim wysłużonym kapelusiku i ulokowanego dogodnie między ekipami telewizyjnych wiadomości ITN i BBC.

– Jak tam, Manny, postawiłeś coś na wynik? – zapytał.

– Panie Urquhart, wie pan, że mój naczelny krzywo by patrzył na firmowanie moich słów jego pieniędzmi.

– A mimo to? – Urquhart uniósł brew.

Wargi starego dziennikarskiego wygi poruszyły się jakby niezależnie od siebie, jak dwie wijące się gąsienice.

– Ujmę to w ten sposób: pani Goodchild już wykupiła wakacje na Majorce, a dzięki panu Collingridge'owi ja też z nią pojedę.

Urquhart westchnął teatralnie:

– Nie ma tego złego...

– A skoro już o złym mowa, panie Urquhart. – Manny nabierał wiatru w żagle, a jego koledzy po fachu stłoczyli się wokół niego. – To czy zjawił się pan tutaj, żeby doradzać premierowi w sprawie przetasowań w rządzie? Czy po takich rozczarowujących wynikach wyborów nie będą konieczne generalne porządki? I czy to oznacza nowe stanowisko dla pana?

– No cóż, mamy przedyskutować różne tematy, ale sądzę, że może to obejmować także zmiany w rządzie – odparł Urquhart z fałszywą skromnością. – Poza tym pamiętajmy, że wygraliśmy. Nie bądź takim pesymistą, Manny.

– Chodzą plotki, że spodziewa się pan objęcia jakiegoś nowego, ważnego stanowiska.

Urquhart się uśmiechnął.

– Nie mogę komentować plotek, Manny, a poza tym wiesz, że o tym decyduje premier. Jestem tu po prostu po to, żeby dać mu pewne wsparcie moralne.

– A zatem będzie pan doradzał premierowi razem z lordem Williamsem?

Udało mu się utrzymać uśmiech.

– Lord Williams już przyjechał?

– Ponad godzinę temu. Zastanawialiśmy się, kiedy pojawi się ktoś jeszcze.

Urquhart musiał przywołać całe swoje wieloletnie doświadczenie w polityce, żeby nie okazać zaskoczenia.

– W takim razie muszę iść – oznajmił. – Nie mogę dać na siebie czekać.

Skinął im uprzejmie głową, odwrócił się na pięcie i przeszedł przez jezdnię, zarzucając plan pomachania do kamer z progu domu pod numerem dziesięć, na wypadek, gdyby wyglądało to arogancko.

Za holem o posadzce z czarno-białych kafelków zaczynał się wyłożony chodnikiem korytarz, prowadzący do sali posiedzeń rządu. Na jego końcu czekał młody sekretarz polityczny premiera. Kiedy Urquhart podszedł bliżej, wyczuł, że młodzieniec jest skrępowany.

– Premier pana oczekuje, panie rzeczniku.

– Wiem, dlatego tu jestem.

Sekretarz drgnął.

– Jest w gabinecie na górze. Dam mu znać, że pan przyjechał. – Odpracowawszy swój obowiązek i nie czekając na dalsze sarkastyczne uwagi, młody człowiek ruszył szybko po schodach na górę.

Zanim znów się pojawił, minęło dwanaście minut wypełnionych wyłamywaniem palców, postukiwaniem w zegarek i spoglądaniem

z roztargnieniem na portrety poprzednich premierów zdobiące słynne schody. Urquhart nigdy nie mógł pozbyć się wrażenia, że wielu z tych, którzy piastowali ten urząd w ostatnich latach, było postaciami zupełnie pozbawionymi znaczenia. Bezbarwnymi, nienadającymi się do tej roli. Natomiast ludzie tacy jak Lloyd George czy Churchill byli wspaniałymi urodzonymi liderami, ale czy dziś pozwolono by im wspiąć się na sam szczyt? Jeden był rozwiązły i handlował tytułami para; drugi zdecydowanie za dużo pił, miał długi i wybuchowy temperament. Obaj byli gigantami, ale żaden nie dałby rady współczesnym mediom. Zamiast nich światem rządzą dziś pigmeje, ludzie małego formatu i jeszcze mniejszych ambicji, wybrani nie dlatego, że byli wyjątkowi, ale dlatego, że byli grzeczni, ludzie, którzy przestrzegali reguł gry, zamiast tworzyć własne, ludzie... Cóż, ludzie tacy jak Henry Collingridge.

Te myśli przerwał mu powrót sekretarza politycznego.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, panie rzeczniku. Premier jest gotowy na rozmowę z panem.

Pokój, który pełnił funkcję gabinetu Collingridge'a, znajdował się na pierwszym piętrze, a jego okna wychodziły na ogród i St. James's Park. Był skromny, tak jak wiele innych z tego labiryntu pomieszczeń, składających się na drugi co do ważności budynek w kraju. Kiedy Urquhart wszedł do środka, zorientował się, że – mimo wyraźnych prób uprzątnięcia dużego biurka – przez ostatnią godzinę przekładano tu sterty papierów i robiono mnóstwo notatek. Z kosza na śmieci wyglądała pusta butelka po bordo, a na parapecie przyczaiły się talerze z okruszkami i zwiędłym liściem sałaty. Przewodniczący partii siedział po prawej stronie premiera, a na pokrytym zieloną skórą blacie

rozłożone były jego notatki. Obok piętrzył się stos szarych teczek z biogramami postów.

Urquhart przysunął sobie krzesło, takie bez poręczy, i usiadł przed pozostałą dwójką, czując się jak uczeń w gabinecie dyrektora. Sylwetki Collingridge'a i Williamsa rysowały się na tle okna. Urquhart musiał patrzeć pod słońce, mrużąc oczy. Własną teczkę z notatkami oparł niespokojnie na kolanach.

– Francis, byłeś tak dobry, że podzieliłeś się ze mną swoimi przemyśleniami w kwestii przetasowań w rządzie – zaczął premier. Bez ceremonii, od razu przeszedł do rzeczy. – Jestem ci bardzo wdzięczny. Wiesz, jak bardzo takie sugestie się przydają, żeby pobudzić własne rozważania.

Urquhart skłonił głowę w milczącym podziękowaniu.

– Widać, że włożyłeś w nie wiele pracy. Ale zanim przejdziemy do konkretów, sądzę, że powinniśmy najpierw porozmawiać o szerszych celach. Zaproponowałeś... jakby to nazwać? Dość radykalne przetasowanie. – Collingridge popatrzył na leżącą przed nim kartkę przez okulary do czytania, których nigdy nie używał publicznie. Przesunął palcem po liście. – Sześciu nowych członków gabinetu, wśród pozostałych znacząca rotacja tek. – Westchnął, opadł na oparcie krzesła, jakby chciał się zdystansować od tych pomysłów. – Wytlumacz mi po co. Dlaczego tak ostro? Co twoim zdaniem mamy poprzez to osiągnąć?

Urquhartowi zapaliła się czerwona lampka. Nie podobało mu się to. Miał nadzieję, że zostanie włączony do narady na najwcześniejszym etapie, ale tych dwóch już go uprzedziło i nie wiedział, na czym stanęli. Nie miał szans, żeby przejrzeć poglądy

premiera, żeby odczytać jego myśli. Dla rzecznika dyscypliny partyjnej to niebezpieczna sytuacja. Zastanawiał się, czy ktoś go tu nie wrabia.

Mrugając, oślepiiony światłem, które wlewało się do pokoju zza głowy premiera, nie mógł odczytać wyrazu jego twarzy. Żałował teraz, że przelał swoje myśli na papier – nie zostawiało mu to żadnego pola manewru, żadnej drogi ucieczki – ale było już za późno na żale. Williams wpatrywał się w niego jak jastrząb. Urquhart zaczął mówić powoli, żeby nie obudzić ich czujności, szukając słów, które mogłoby z powrotem zasłonić odkryte karty.

– Oczywiście, panie premierze, to tylko sugestie, pokazujące, jakie ma pan możliwości. Myślałem, ogólnie rzecz biorąc, że być może lepiej zgrzeszyć nadmiarem działania, że tak powiem, przeprowadzić raczej więcej niż mniej zmian, po prostu żeby pokazać, że ma pan wszystko pod kontrolą. Że oczekuje pan od swoich ministrów mnóstwa nowych pomysłów i nowego sposobu myślenia. Byłaby to też okazja do odejścia kilku naszych starszych kolegów, co jest przykre, ale konieczne, jeśli ma pan wprowadzić do rządu trochę świeżej krwi. – „Niech to szlag” – pomyślał nagle, co za cholernie niezręczna uwaga w sytuacji, kiedy ten wiekowy sukinsyn Williams siedzi po prawej ręce premiera. Ale już padła, nie mógł jej cofnąć. – Jesteśmy u władzy dłużej niż jakakolwiek partia po wojnie, co stwarza nowe wyzwanie – ciągnął. – Znudzenie. Musimy zapewnić ekipie rządzącej świeży wizerunek. Musimy uważać, żeby nie wpaść w zastój, nie spróchnieć.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili premier zaczął powoli stukać ołówkiem w blat biurka.

– Bardzo interesujące, Francis, i zgadzam się z tobą... w dużej mierze.

Ach, to wahanie, ta króciutka pauza, co może ona oznaczać? Urquhart zorientował się, że ma splecione dłonie, a paznokcie wbijają mu się w ciało.

– Właśnie o takich problemach rozmawialiśmy z Teddym – ciągnął premier. – O nowym pokoleniu w polityce, o znalezieniu nowego impulsu do działania, wprowadzeniu nowych ludzi na nowe stanowiska. Uważam wiele twoich propozycji zmian na niższych szczeblach ministerialnych, nie w samym gabinecie, za bardzo przekonujące. – Ale to nie one się liczyły, wszyscy trzej o tym wiedzieli. Ton premiera się zmienił, stał się bardziej posępny. – Problem w tym, że zbyt daleko idące zmiany na górze mogą być bardzo destrukcyjne. Większość członków gabinetu potrzebuje roku, żeby się odnaleźć w nowym ministerstwie, a w tej chwili rok to bardzo długo, bo przez cały ten czas nie będzie można pokazać żadnych konkretnych oznak postępów. Zdaniem Teddy’ego proponowane przez ciebie zmiany w gabinecie zamiast pomóc we wdrażaniu naszego nowego programu, w sumie raczej by go opóźniły.

Jakiego nowego programu? Urquhartowi chciało się wyc. Program wyborczy miał tyle charakteru co worek wodorostów.

– Ale, z całym szacunkiem, panie premierze, czy nie uważa pan, że redukując nam większość, elektorat pokazał, że w pewnym stopniu pragnie zmian?

– Interesująca uwaga. Ale, jak sam powiedziałeś, za naszego życia żaden rząd nie był u władzy tak długo jak my. Nie popadając bynajmniej w samozachwyty, Francis, nie sądzę, żeby udało nam się zapisać w ten sposób na kartach historii, gdyby wyborcy uważali, że brakuje nam pary. W sumie moim zdaniem ten wynik pokazuje, że są zadowoleni z tego, co mamy do zaoferowania.

Pora na zmianę taktyki.

– Rzeczywiście, może ma pan słuszność, panie premierze.

– Jest jeszcze jedna rzecz, cholernie istotna w tej sytuacji – ciągnął Collingridge. – Nie możemy sprawiać wrażenia, że panikujemy. Wysłałibyśmy zupełnie niewłaściwy sygnał. Pamiętaj, że Macmillan pogрузzył własny rząd, wyrzucając jedną trzecią swojego gabinetu. Odebrano to jako oznakę słabości. W ciągu roku pożegnał się ze stanowiskiem. Wcale mi się nie spieszy, żeby to powtórzyć. – Stuknął ostatni raz w biurko ołówkiem, po czym go odłożył. – Ja myślę o znacznie spokojniejszym rozwiązaniu.

Collingridge przesunął kartkę w stronę rzecznika dyscypliny. Była na niej wydrukowana lista gabinetowych resortów, w sumie dwudziestu dwóch, z podanymi obok nazwiskami.

– Jak widzisz, Francis, proponuję, żeby w ogóle nie wprowadzać zmian w składzie gabinetu. Mam nadzieję, że zostanie to odebrane jako oznaka siły. Mamy zadanie do wykonania, więc moim zdaniem powinniśmy pokazać, że chcemy od razu zabrać się do roboty.

Urquhart szybko odłożył kartkę na biurko, bojąc się, że drżenie dłoni może zdradzić jego uczucia.

– Jeśli tego pan sobie życzy, panie premierze.

– Właśnie tego. – Króciutka pauza. – I oczywiście zakładam, że mam twoje pełne poparcie?

– Oczywiście, panie premierze.

Urquhart ledwo poznawał własny głos, który brzmiał, jakby dochodził z jakiejś zupełnie innej części pokoju. To nie były jego słowa. Ale nie miał wyboru: mógł albo wyrazić poparcie, albo popełnić samobójstwo przez natychmiastową rezygnację. Nie mógł jednak tak tego zostawić.

- Muszę przyznać, że... ja sam liczyłem na jakąś zmianę. Trochę nowych doświadczeń... nowe wyzwanie. - Zająknął się, czując nagle suchość w ustach. - Może pan pamięta, panie premierze, rozmawialiśmy o możliwości...

- Francis - przerwał mu premier, jednak nie bez życzliwości - jeśli przesunę cię na inne stanowisko, będę musiał też przesunąć innych. Wszystkie kostki domina zaczną się walić. A potrzebuję cię tutaj. Jesteś znakomitym rzecznikiem dyscypliny. Poznałeś na wylot członków naszego klubu parlamentarnego, prześwieciłeś ich serca i dusze. Musimy pogodzić się z faktem, że przy tak małej większości nie unikniemy paru trudnych okresów przez następne kilka lat. Muszę mieć rzecznika dyscypliny, który będzie dość silny, żeby sobie z nimi poradzić. Potrzebuję cię, Francis. Tak dobrze sobie radzisz za kulisami. Pracę na pierwszej linii możemy zostawić innym.

Urquhart spuścił oczy, nie chcąc, by dostrzegli w nich błysk zawodu, poczucie, że został oszukany. Collingridge wziął to za znak zgody.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny za zrozumienie i poparcie, Francis.

Urquhart czuł się, jakby zatrzęsęły się za nim drzwi celi. Podziękował im obu, pożegnał się. Williams nie odezwał się ani słowem.

Wyszedł przez piwnicę budynku pod numerem dziesięć, drogą prowadzącą obok ruin starych kortów tenisowych z czasów Tudorów, gdzie grywał Henryk VIII, do kancelarii rządu, wychodzącej na Whitehall, z dala od skrzyżowania z Downing Street i poza zasięgiem wzroku czekających dziennikarzy. Nie mógł się z nimi zmierzyć. Rozmawiał z premierem niecałe pół godziny i nie panował nad swoją twarzą na tyle, by mieć pewność, że potwierdzi kłamstwa, które

musiałby im zaserwować. Kazał ochroniarzowi w kancelarii zadzwonić po swój samochód. Darował sobie towarzyską pogawędkę.

Rozdział 8

Prawda jest jak dobre wino. Często znajduje się je w najciemniejszym kącie piwnicy. Co jakiś czas trzeba je odwrócić. A także delikatnie odkurzyć, zanim wyjmie się je na światło dzienne i spożytkuje.

Sfatygowane bmw od prawie kwadransa stało przed domem na Cambridge Street w Pimlico. Siedzenia były zavalone porzuconymi gazetami i opakowaniami po batonikach zbożowych, które w takiej ilości mogła naprodukować tylko wyjątkowo zapracowana singielka, a pośrodku tego chaosu siedziała Mattie Storin i zagryzała wargi. Ogłoszenie późnym popołudniem przetasowań w rządzie – czy raczej ich braku – wywołało gorączkową dyskusję na temat tego, czy premier wykonał genialne, zuchwałe posunięcie, czy po prostu stracił zimną krew. Musiała usłyszeć opinie ludzi, którzy pomogli w ukształtowaniu tych decyzji. Williams był jak zwykle przekonujący i życzliwy, ale do Urquharta nie sposób było się dodzwonić.

Nie rozumiejąc do końca dlaczego, po skończonej zmianie w „Chronicle” Mattie postanowiła przejechać koło londyńskiego domu Urquharta, położonego zaledwie o dziesięć minut drogi od Izby Gmin w jednej z eleganckich bocznych uliczek zdobiących lepsze części Pimlico. Spodziewała się, że dom będzie ciemny i pusty, ale zobaczyła palące się światła i oznaki ruchu. Zadzwoiła jeszcze raz, ale nadal nikt nie odbierał.

Westminsterski świątek jest klubem rządzącym się wieloma niepisanymi zasadami, do którego wstępu zazdrośnie strzegą zarówno politycy, jak i dziennikarze – zwłaszcza ci ostatni, tak zwane lobby

sprawozdawców parlamentarnych, po cichu i dyskretnie regulujące działania mediów w pałacu westminsterskim. Pozwala ono na przykład na prowadzenie rozmów i wywiadów przy ściśle przestrzegającym zapewnieniu, że źródło nigdy nie zostanie ujawnione, nie padnie najdrobniejsza wskazówka co do jego tożsamości, wszystko pozostanie w cieniu. Zachęca to polityków do szalonej niedyskrecji i nadużywania zaufania innych, co z kolei umożliwia sprawozdawcom parlamentarnym dotrzymywanie terminów i tworzenie niezwykłych nagłówków. Kodeks omerta jest dla takiego sprawozdawcy przepustką, bez której nikt nie otworzy przed nim – lub przed nią – drzwi ani ust. Ujawnienie źródeł to najgorsza zbrodnia, a dobijanie się do prywatnego domu ministra znajduje się tylko trochę niżej na liście godnych pogardy zachowań, mogących prowadzić do zerwania wszystkich przydatnych kontaktów. Korespondenci polityczni nie ścigają swojej zwierzyny aż do jej domu, to w złym tonie, za coś takiego dostaje się krechę i ogólny opierdol.

Mattie znów przygryzła sobie policzek od środka. Denerwowała się. Nie nagiwała beztrąsko zasad, ale dlaczego ten cholernik nie odbiera telefonu? Co on do diabła kombinuje?

W jej głowie rozległ się ochryply głos mówiący z północnym akcentem, głos, którego tak często jej brakowało, odkąd odeszła z „Yorkshire Post” i opuściła starego mądrego naczelnego, który dał Mattie pierwszą prawdziwą pracę. Jak on to mówił? „Zasady, moja mała, są niczym więcej niż ciepłym kocem dla staruszków, którym mogą się owinać i ochronić przed chłodem. Istnieją po to, żeby mądrych poprowadzić, a głupich wykastrować. Ani mi się waży wchodzić do mojego gabinetu i mówić, że przepuściłaś dobry materiał z powodu czyichś pieprzonych zasad”.

– Dobra, dobra, odczep się, ty żałosny sukinsynu – powiedziała Mattie na głos. Przejrzała się w lusterku i przeczesła ręką włosy, żeby trochę je doprowadzić do porządku, otworzyła drzwi auta, wyszła na chodnik i od razu poczuła, że wolałaby być gdzie indziej. Dwadzieścia sekund później w domu przy Cambridge Street rozbrzmiał dźwięk bogato zdobionej mosiężnej kołatki u frontowych drzwi.

Urquhart otworzył. Był sam, ubrany po domowemu, bo nie spodziewał się wizyt. Żona wróciła do ich domu na wsi, a gosposia nie pracowała w weekendy. Kiedy spojrzął na Mattie, w jego oczach mignęło zniecierpliwienie. W panujących na ulicy ciemnościach nie rozpoznał jej od razu.

– Panie Urquhart, próbowałam skontaktować się z panem przez cały dzień. Mam nadzieję, że nie przyszłam nie w porę.

– O wpół do jedenastej w nocy? To ma być w porę? – Zniecierpliwienie zmieniło się w irytację.

– Proszę mi wybaczyć, ale potrzebuję pana pomocy. Żadnych zmian w rządzie, ani jednej. To zupełnie niezwykle. Usiłuję zrozumieć logikę stojącą za tą decyzją.

– Logikę? – W głosie Urquharta zabrzmiał dla odmiany sarkazm. – Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia. – Zaczął zamykać drzwi, ale ze zdumieniem spostrzegł, że jego nieproszony i uparty gość zrobił krok naprzód. Chyba ta głuptaska nie chce włożyć stopy w drzwi, to byłoby aż nazbyt komiczne. Mattie jednak odezwała się spokojnie i cicho:

– Panie Urquhart. To byłby świetny tekst. Ale chyba nie chciałby pan, żebym go wydrukowała.

Urquhart popatrzył na nią zaintrygowany. O co jej do licha chodzi? Mattie dostrzegła jego wahanie i dorzuciła trochę więcej przynęty.

– Tak by to szło: „Wczoraj wieczorem wiele wskazywało na głębokie podziały w rządzie z powodu braku przetarasowań. Rzecznik dyscypliny klubowej, o którego ambicjach objęcia nowego stanowiska mówiono od dawna, nie chciał bronić decyzji premiera”. Jak by się to panu podobało?

Dopiero teraz, kiedy wzrok przyzwyczył mu się do panującego za progiem mroku, Urquhart rozpoznał nową korespondentkę „Chronicle”. Nie znał jej za dobrze, ale widział ją w akcji i przeczytał dość jej tekstów, by podejrzewać, że nie jest głupia. Tym bardziej zdumiewało go, że stała tu teraz w drzwiach, próbując go zastraszyć.

– Nie mówi pani poważnie – powiedział powoli.

Mattie uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście, że nie. Ale jakoś trzeba sobie radzić. Nie odbierał pan telefonu ani nie chciał rozmawiać osobiście.

Jej szczerość go rozbroiła. Poza tym, kiedy tak stała w świetle lampy nad drzwiami, a w jej krótkich blond włosach błyszczały złote refleksy, musiał przyznać, że widywał w lobby mniej atrakcyjne widoki.

– Bardzo bym chciała, żeby mi pan pomógł, panie Urquhart. Potrzebuję czegoś konkretnego, jakiegoś punktu zaczepienia, inaczej mogę tylko coś wyssać z palca. Nic więcej mi pan teraz nie daje. Proszę, niech mi pan pomoże.

– Powinienem być wściekły. I zadzwonić do tego pani naczelnego, żądając przeprosin za takie bezczelne najście.

– Ale nie zadzwoni pan. Prawda? – Powiedziała to z celową kokieterią. Chociaż wcześniej ich kontakty ograniczały się do minimum, pamiętała spojrzenie, jakim obrzucił ją pewnego dnia, kiedy mijali się w kularach, w Central Lobby pałacu westminsterskiego, i ten dyskretny, typowo męski błysk w oku,

z którym objął wzrokiem ją całą, ani przez chwilę nie dając po sobie poznać, że to coś więcej niż czysto służbowe zainteresowanie.

– Może niech jednak pani wejdzie... panno Storin, czy tak?

– Proszę mi mówić Mattie.

– Salon jest na górze – powiedział takim tonem, jakby to było wyznanie. Zaprowadził ją do gustownie, choć bardzo tradycyjnie urządzonego pokoju. Na musztardowych ścianach wisiały olejne obrazy przedstawiające konie i wiejskie pejzaże, meble były intarsjowane i eleganckie. Do tego wysokie regały pełne książek, rodzinne zdjęcia w ramkach, kominek z białego marmuru. Rolety w oknach były jedwabne, oświetlenie skąpe, atmosfera poważna. Urquhart nalał sobie dużą whisky single malt, starego glenfiddicha, i bez pytania drugą dla niej, po czym usadowił się w obitym ciemną skórą fotelu. Na poręczy leżała książka z popękanym grzbietem, zbiór dramatów Moliera. Mattie przycupnęła nerwowo na brzeżku sofy naprzeciwko. Wyciągnęła z torby na ramię mały notes, ale Urquhart pokazał jej gestem, żeby go schowała.

– Jestem zmęczony, panno Storin... Mattie. Mam za sobą długą kampanię i nie jestem pewien, czy będę się wyrażać szczególnie celnie. Proszę więc nic nie zapisywać, jeśli łaska.

– Oczywiście. Rozmawiamy nieoficjalnie. Mogę wykorzystać to, co mi pan powie, ale nie mogę się na pana powoływać. Żadnych śladów.

– Właśnie.

Odłożył Moliera, a ona notes i usiadła wygodniej na sofie. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę. Obcisła. Zauważył to, ale bez drapieżności. Wydawało się, że jego oczom nic nie umyka, że jego spojrzenie sięga głębiej niż większości ludzi. Oboje wiedzieli, że wdali się w pewną grę.

Wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy, zapalił i zaciągnął się głęboko, po czym zaczął:

– Jaka byłaby twoja reakcja, Mattie, gdybym ci powiedział, że premier uważa brak zmian w rządzie za najlepszy sposób na kontynuowanie tego, co zaczęliśmy? Żeby ministrowie nie pogubili się w nowych obowiązkach? Cała naprzód?

– Stwierdziłabym, panie Urquhart, że nie musi pan zachowywać anonimowości, żeby mówić mi coś takiego!

Urquhart zaśmiał się, rozweselony szczerością młodej dziennikarki. Zaciągnął się głęboko nikotyną. Takie połączenie najwyraźniej go satysfakcjonowało.

– Powiedziałabym też – ciągnęła Mattie – że zdaniem wielu osób wybory pokazały potrzebę świeżej krwi i nowego sposobu myślenia. Straciliście mnóstwo mandatów. Wyborcy nie poparli was szczególnie entuzjastycznie, prawda?

– Mamy wyraźną większość i zdobyliśmy znacznie więcej mandatów niż główna partia opozycyjna. Całkiem niezły wynik po tylu latach u władzy... Nie sądzisz?

– Chcę usłyszeć pana zdanie, nie moje.

– Zrób mi tę przyjemność.

– Ale nie jest to szczególnie obiecujące na przyszłość, na następne wybory, prawda? Zero zmian. Statek trzyma kurs i tonie.

– To chyba trochę za ostre słowa – powiedział Urquhart, wiedząc, że powinien znacznie bardziej protestować.

– Byłam na jednym z pana wieców wyborczych.

– Naprawdę, Mattie? Bardzo mi miło.

– Mówił pan o nowej energii, nowych pomysłach, nowej inicjatywie. Główna myśl wszystkich pana wywodów była taka, że

nastąpią zmiany i że pojawią się nowi gracze. – Urwała, ale Urquhart nie wyrywał się z odpowiedzią. – W pana ulotce wyborczej, mam ją tutaj... – Wyłowiła lśniąca kolorową kartkę z pliku papierów, którymi wypchana była jej torba. – Można w niej przeczytać o „ekscytujących nowych wyzwaniach”. A to wszystko jest mniej więcej tak ekscytujące jak gazety sprzed tygodnia. A ja za dużo mówię.

Uśmiechnął się, pociągnął łyk. Milczał.

– Zapytam pana wprost, panie Urquhart. Naprawdę myśli pan, że to najlepsze, co premier może zrobić?

Urquhart nie odpowiedział, ale jeszcze raz podniósł powoli szklankę do ust i ponad jej kryształową krawędzią spojrział na Mattie.

– Czy pana zdaniem Henry Collingridge to najlepszy premier, na jakiego stać ten kraj? – naciskała, ścisząc głos.

– Mattie, jak na litość boską mam odpowiedzieć na takie pytanie? Jestem rzecznikiem dyscypliny klubowej, całkowicie lojalnym wobec premiera... i jego przetasowań w rządzie. A raczej ich braku. – W jego głosie znów odezwała się nuta sarkazmu.

– Tak, ale co z Francisem Urquhartem, człowiekiem bardzo ambitnym, który gorąco pragnie, by jego partia odniosła sukces? Czy on popiera tę decyzję?

Brak odpowiedzi.

– Panie Urquhart, w moim jutrzejszym tekście wiernie oddam wyrażaną przez pana publicznie lojalność wobec decyzji premiera oraz pana uzasadnienie. Ale...

– Ale?

– Rozmawiamy nieoficjalnie. Intuicja mi podpowiada, że nie jest pan zachwycony tym, co się dzieje. Chcę wiedzieć. Pan chce mieć pewność, że pana prywatne przemyślenia nie trafią ani do moich

kolegów, ani do pańskich, ani nie staną się przedmiotem zwykłych plotek. Ma pan na to moje słowo. Zachowam te informacje dla siebie, bo to wszystko może się okazać ważne w następnych miesiącach. A tak przy okazji, nikt nie wie, że do pana przyjechałam.

– Proponujesz mi układ? – mruknął cicho.

– Tak. Wydaje mi się, że tego właśnie pan chce. Kogoś takiego jak ja. Tuby do wyrażenia swoich poglądów.

– A dlaczego myślisz, że chciałbym czegoś takiego?

– Bo mnie pan wpuścił.

Niebieskie oczy wpatrywały się w nią, wbijały się gdzieś głęboko, wywołując podekscytowanie.

– Chce pan być graczem, a nie po prostu pionkiem – powiedziała.

– Lepsza nawet najgorsza reputacja niż bycie zapomnianym, co?

– Ja tak uważam – odparła, odwzajemniając spojrzenie, przytrzymując z uśmiechem jego wzrok.

– Spróbujmy, Mattie. Prosta historia. O premierze otoczonym przez ambicje, nie własne, ale ambicje innych. Po wyborach te ambicje wzrosły. Premier musi je hamować, zdusić, w przeciwnym razie mogą wymknąć się spod kontroli i całkowicie go unicestwić.

– Chce mi pan powiedzieć, że mamy do czynienia z ostrą rywalizacją i sporą różnicą zdań w łonie rządu?

Umilkł na chwilę, żeby starannie dobrać słowa, po czym podjął powoli, z namysłem:

– Wielki wiąz, który czeka, aż zgnije. A kiedy już zacznie gnić, jego koniec to tylko kwestia czasu. Można więc przypuszczać, że niektórzy zastanawiają się, jak może wyglądać sytuacja za półtora roku albo za dwa lata i gdzie chcą się znaleźć, jeśli – kiedy – drzewo się zawali. Bo w końcu wszystkie kiedyś runą.

- To dlaczego premier nie pozbędzie się tych, którzy brużdżą?

- Bo nie może ryzykować, że zawiedzeni byli ministrowie zaczną siać zamęt w tylnych ławach, kiedy ma większość zaledwie dwudziestu czterech mandatów, która może wyparować przy pierwszej parlamentarnej fuszerce. Wszystko musi robić po cichu, tak dyskretnie, jak tylko się da. Nie może nawet przesunąć panów kłopotliwych na nowe stanowiska w rządzie, bo za każdym razem, kiedy jakiś minister obejmuje nowy resort, doznaje przyływu animuszu i chce się odznaczyć, zrobić wrażenie. Staje się znów przedmiotem zainteresowania ważnych ludzi w mediach, takich jak ty. Nagle okazuje się, że ministrowie nie wykonują po prostu swojej pracy, ale także lansują się z myślą o wyścigu o przywództwo w partii, który nieuchronnie musi nadejść. To jest jak rak. Rząd w chaosie, wszyscy rzucają trwożliwe spojrzenia przez ramię, dezorientacja, niezgoda, oskarżenia o brak silnej ręki – i nagle mamy kryzys przywództwa.

- Czyli wszyscy muszą zostać tam, gdzie są. Uważa pan, że to rozsądna strategia?

Pociągnął solidny łyk whisky.

- Gdybym był kapitanem Titanica i zobaczył przed sobą na wprost cholernie wielką górę lodową, myślę, że chciałbym zmienić kurs.

- Powiedział to pan dziś premierowi?

- Mattie – zbeształ ją – za wiele ode mnie wymagasz. Nasza pogawędka sprawia mi niekłamaną przyjemność, ale obawiam się, że posunąłbym się za daleko, gdybym zaczął ujawniać szczegóły prywatnych rozmów. Za taką zbrodnię karzą rozstrzelaniem.

- W takim razie zapytam o lorda Williamsa. Wyjątkowo długo siedział dziś u premiera, skoro decydowali tylko o tym, żeby nic nie robić.

– Człowiek, który posiwał, służąc swojej partii. Znasz takie powiedzenie: „Strzeż się starca, który się spieszy”?

– Nie myśli pan chyba, że Williams mógłby zostać liderem partii? Przecież jest już członkiem Izby Lordów!

– Nie, oczywiście, że nie. Nawet drogi Teddy nie jest aż takim egotykiem. Jest jednak starszym mężem stanu i chciałby zagwarantować, że przywództwo partii trafi we właściwe ręce.

– Czyje?

– Jeśli nie jego, to jednego z jego młodych akolitów.

– Na przykład?

– Nie masz własnych podejrzeń?

– Samuel. Chodzi panu o Michaela Samuela – stwierdziła podekscytowana, zaciskając wargi.

– Można by tak pomyśleć, Mattie.

– Skąd pan o tym wie?

– Nie mogę tego skomentować. – Urquhart uśmiechnął się i dopił whisky. – Chyba dość już tych spekulacji. Powinniśmy zakończyć tę rozmowę.

Mattie niechętnie skinęła głową.

– Dziękuję panu, panie Urquhart.

– Za co? Przecież nic nie powiedziałem – odparł, wstając.

W głowie huczało jej od różnych teorii, kiedy usiłowała dopasować do siebie kawałki układanki. Odezwała się dopiero, gdy podali sobie ręce na pożegnanie przy frontowych drzwiach.

– A pani Urquhart?

– Nie ma jej. Wyjechała na wieś.

Ich dłonie były nadal złączone.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić.

– Pozdrowię, Mattie. Pozdrowię.

Puściła jego dłoń i odwróciła się, żeby wyjść, ale się zawahała.

– Ostatnie pytanie. Wybory do władz partyjnych. Gdyby miały się odbyć, startowałby pan?

– Dobranoc, Mattie – uciął Urquhart, zamykając drzwi.

„Daily Chronicle”, poniedziałek, 14 czerwca, strona 1:

Premier zaskoczył wczoraj wielu obserwatorów, ogłaszając, że nie przeprowadzi żadnych zmian w składzie gabinetu. Po kilkugodzinnej naradzie z przewodniczącym partii lordem Williamsem, a także z rzecznikiem dyscypliny klubowej Francisem Urquhartem, Henry Collingridge wysłał swojej partii sygnał oznaczający „trzymać kurs”.

Jednak nasze źródła wśród wysoko postawionych polityków w Westminsterze wyraziły wczoraj wieczorem zdumienie tą decyzją. W niektórych kręgach odebrano ją jako obnażającą słabość pozycji premiera po uznanej za bezbarwną kampanii wyborczej.

Coraz częściej pojawiają się spekulacje, że Collingridge nie wystartuje w kolejnych wyborach, a niektórzy ministrowie już zaczynają manewry, mające wzmocnić ich pozycję na wypadek przedterminowych wyborów do władz partyjnych. Jeden z członków gabinetu porównał premiera do „kapitana Titanica wpływającego w obszar gór lodowych”.

Bezprecedensową decyzję o braku zmian w składzie gabinetu – po raz pierwszy po wojnie wybory nie przyniosły przetasowań na szczeblu rządowym – interpretowano jako najskuteczniejsze narzędzie umożliwiające Collingridge’owi utrzymanie pod kontrolą rosnącej rywalizacji wśród swoich rządowych współpracowników. Rzecznik dyscypliny klubowej bronił wczoraj tej decyzji, twierdząc, że to „najlepszy sposób, żeby dalej robić swoje”, ale już zaczynają się spekulacje na temat prawdopodobnych kandydatów do objęcia przywództwa w partii.

Lord Williams, z którym skontaktowaliśmy się wczoraj późnym wieczorem, nazwał wszelkie aluzje do rychłych wyborów na lidera partii „nonsensem”. Jak stwierdził: „Premier zapewnił partii czwarte, historyczne

zwycięstwo w wyborach. Jesteśmy w znakomitej formie”. Piastowane przez Williama stanowisko przewodniczącego partii miałoby kluczowe znaczenie podczas wyścigu o partyjne przywództwo, a sam Williams jest blisko związany z Michaeliem Samuelem, ministrem środowiska, który mógłby być jednym z kandydatów.

Polityczni przeciwnicy od razu wytknęli premierowi niezdecydowanie. „W rządzie widać wyraźne oznaki niezadowolenia – stwierdził lider opozycji. – Nie sądzę, by premier Collingridge miał dość siły i poparcia, żeby sobie z nim poradzić. Już teraz czekam z niecierpliwością na następne wybory”.

Jeden z członków rządu porównał zaistniałą sytuację do „wielkiego wiązu, który czeka, aż zgnije”.

Rozdział 9

Niektórym ludziom nigdy nie udaje się żyć w zgodzie ze swoimi zasadami. W Westminsterze dobrze jest się czasem pokazać z nimi na lunchu, ale nie za często, żeby nie wyjść na świętoszka.

Wtorek, 22 czerwca

O'Neill był zachwycony i – w pierwszej chwili – trochę zaskoczony, że dostał od Urquharta zaproszenie na lunch w jego klubie przy St. James's Street. Rzecznik dyscypliny nigdy nie okazywał PR-owcowi partii szczególnej serdeczności, teraz jednak zaproponował, aby „uczlili wspaniałą robotę, jaką dla nich wykonywał przez całą kampanię”. O'Neill wziął to za oznakę swojego rosnącego prestiżu w partii.

No i był to cholernie dobry lunch, ze wszystkimi szykanami. O'Neill, jak zawsze cały w nerwach, wzmocnił się wcześniej dwiema potężnymi wódkami z tonikiem, ale okazało się, że nie były konieczne. Dwie butelki chateau talbot rocznik '78 i kilka dużych koniaków wystarczyły, nawet jak na jego irlandzki apetyt. Za bardzo się rozgadał, wiedział o tym, zawsze to samo, ale nie mógł nic na to poradzić. Dawniej Urquhart go peszył. Miał w sobie jakąś chłodną rezerwę, poza tym ktoś kiedyś podsłuchał, jak nazwał O'Neill'a „Ziutkiem od marketingu”. Jednak dziś okazał się troskliwym gospodarzem, który uważnie słucha swojego paplającego gościa. Siedzieli teraz w solidnych fotelach, obitych popękana skórą, ustawionych wokół stołów do snookera w salce na tyłach klubu White's. Kiedy nikt nie grał, było to

ciche i dyskretne miejsce, gdzie członkowie klubu mogli zabrać swoich gości.

– Powiedz mi, Roger, jakie masz teraz plany, po skończonych wyborach. Zamierzasz zostać w partii? Nie możemy sobie pozwolić, żeby tracić takich świetnych ludzi jak ty.

O'Neill jeszcze raz błysnął ujmującym uśmiechem, zgasił papierosa, którego palił, w nadziei, że może zanosi się na jakieś przyzwoite hawańskie cygaro, i zapewnił gospodarza, że zostanie w partii, dopóki premier go zechce.

– Ale jak to możliwe, że cię na to stać, Roger? Pozwolisz mi na drobną niedyskrecję? Wiem, jak niewiele partia płaci swoim pracownikom, a po wyborach z pieniędzmi jest zawsze krucho. Przez następne parę lat pewnie będzie ciężko. Zamrożą ci pensję, obetną budżet. Zawsze to samo, my politycy jesteśmy stereotypowo krótkowzroczni. Nie kuszą cię jakieś hojniejsze oferty, które na pewno dostajesz z zewnątrz?

– Cóż, nie zawsze jest łatwo, Francis, jak się słusznie domyślasz. Rozumiesz, nie chodzi aż tak bardzo o pensję. Pracuję w polityce, bo mnie ona fascynuje i bardzo bym chciał odegrać w niej jakąś rolę. Ale to by była tragedia, gdyby obcięto nam budżet. Tyle jeszcze zostało do zrobienia. – Uśmiechał się szeroko, oczy mu błyszczały, ale już zatańczył w nich niepokój na myśl o tym, co właśnie usłyszał. Zaczął bawić się nerwowo kieliszkiem. – Powinniśmy już teraz zacząć pracować na rzecz następnych wyborów. Zwłaszcza w obliczu tych wszystkich absurdalnych plotek o podziałach wewnątrz partii. Potrzebny nam dobry PR, a żeby go stworzyć, mnie potrzebny jest budżet.

- Interesująca uwaga. Czy przewodniczący Williams chce tego słuchać? – Urquhart uniósł pytająco brew.

- A jacyś przewodniczący w ogóle chcą?

- Być może mógłbym coś na to poradzić, Roger. Chciałbym ci pomóc. Bardzo bym chciał. Mógłbym pogadać z przewodniczącym o twoim budżecie, jeśli chcesz.

- Naprawdę? To byłoby zdumiewająco miło z twojej strony, Francis.

- Ale najpierw muszę cię o coś zapytać, Roger. I nie będę owijać w bawełnę.

Starszy polityk popatrzył lodowatym wzrokiem prosto w oczy O'Neilla, jak zwykle rozbiegane. O'Neill głośno wydmuchał nos. Jeszcze jeden nawyk, znany Urquhartowi, podobnie jak ciągle postukiwanie dwoma palcami w prawą dłoń. Tak jakby w O'Neillu toczyło się jakieś drugie życie, oddzielone od reszty świata, manifestujące się tylko poprzez fizyczną nadpobudliwość i drgające powieki PR-owca.

- Odwiedził mnie ostatnio stary znajomy – podjął Urquhart – z dawnych lat, kiedy jeszcze pracowałem na kierowniczych stanowiskach w City. To człowiek z działu finansów agencji reklamowej naszej partii. Był bardzo zaniepokojony. Bardzo dyskretny, ale poważnie zaniepokojony. Twierdził, że masz w zwyczaju prosić agencję o znaczące sumy w gotówce na pokrycie swoich wydatków.

Rozedrganie na chwilę ustąpiło. Urquhart pomyślał, że rzadko było mu dane widzieć, by O'Neill znieruchomiał.

- Roger, zapewniam cię, że to nie jest żaden podstęp ani pułapka. Wszystko zostanie między nami. Ale jeśli mam ci pomóc, muszę być pewien faktów.

Twarz i oczy O'Neilla znów zaczęły „chodzić”, kiedy ten zaśmiał się nerwowo.

– Francis, zapewniam cię, że nic złego się nie dzieje, zupełnie nic. To głupstwo, oczywiście, ale cieszę się, że poruszyłeś ze mną tę kwestię. Po prostu czasami ponoszę wydatki związane z PR-em, które łatwiej pokryć przez agencję, niż przepuszczać przez machinę partyjną. Na przykład postawię dziennikarzowi drinka albo zabiorę darczyńcę partii do restauracji. – O'Neill recytował pospiesznie swoje wyjaśnienia, najwyraźniej dobrze przećwiczone. – Widzisz, jeśli zapłacę za to z własnej kieszeni, muszę prosić partię o zwrot. A wypisanie cholernego czeku trwa i trwa, ze dwa miesiące albo i więcej. Wiesz, jacy oni są, jakby atrament na czeku schnął w nieskończoność. Szczerze mówiąc, z moją pensją mnie na te wydatki nie stać. Więc obciążam nimi agencję. Od razu dostaję kasę z powrotem, a oni księgują to u siebie. Taka bezodsetkowa pożyczka dla partii. A tymczasem ja mogę robić swoje. To naprawdę drobne kwoty.

O'Neill sięgnął po kieliszek, podczas gdy Urquhart ułożył dłonie w wieżyczkę i patrzył, jak jego rozmówca pije do dna.

– Tak drobne jak dwadzieścia dwa tysiące trzysta funtów w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, Roger?

O'Neill omal się nie udławił. Twarz wykrzywił mu grymas, kiedy usiłował jednocześnie zaczerpnąć powietrza i wydusić z siebie konieczne dementi

– To na pewno nie było aż tyle – zaprotestował. Kiedy jednak zastanawiał się, co powiedzieć dalej, tylko bezsilnie opadła mu szczęka. Tej części wyjaśnień nie przećwiczył. Wił się teraz jak mucha

złapana w pajęczynę. A Urquhart jeszcze ciaśniej omotał go jedwabistymi nićmi.

– Roger, regularnie obciążałeś agencję wydatkami, z których się dokładnie nie rozliczałeś, na sumę dokładnie dwudziestu dwóch tysięcy trzystu funtów od początku września zeszłego roku. Początkowo były to stosunkowo niewielkie kwoty, ale ostatnio wzrosły do czterech tysięcy miesięcznie. Nie stawia się aż tylu drinków ani kolacji, nawet podczas kampanii wyborczej.

– Zapewniam cię, Francis, że wszystkie te wydatki były w pełni uzasadnione!

– Droga jest, co? Kokaina.

Szkliste oczy O’Neilla zamarły z przerażenia.

– Roger, jako rzecznik dyscypliny partyjnej muszę zapoznać się z każdym problemem znanym ludzkości. Musiałem zajmować się przypadkami bicia żon, cudzołóstwa, oszustw, chorób psychicznych. Raz miałem nawet do czynienia z kazirodztwem. Nie, nic się nie martw, nie pozwoliliśmy mu ponownie startować w wyborach, oczywiście, ale publiczna awantura nie przyniosłaby żadnych korzyści. Dlatego prawie nigdy nikt o tych rzeczach nie słyszy. Na kazirodztwo się nie godzę, ale ogólnie rzecz biorąc, nie moralizujemy. W moim przekonaniu każdy może mieć jedną słabość – dopóki pozostaje ona prywatna.

Urwał na chwilę. W oczach O’Neilla znów pojawił się błysk – desperacji.

– Jeden z moich podwładnych posłów odpowiedzialnych za dyscyplinę jest lekarzem. Specjalnie go mianowałem do tej funkcji, żeby pomagał mi wyłapywać oznaki stresu. W końcu mamy pod opieką dobrze ponad trzystu posłów, z których wszyscy żyją pod

ogromną presją. Zdziwiłbyś się też, ile mamy przypadków zażywania narkotyków. Jest taki uroczy, prywatny ośrodek odwykowy pod Dover, gdzie wysyłamy naszych narkomanów, czasem na kilka miesięcy. Większość udaje się całkowicie wyleczyć. Jeden z nich został nawet ministrem. – Urquhart pochylił się, zmniejszając dystans dzielący go od rozmówcy. – Ale lepiej wcześniej ich rozpoznać, Roger. A kokaina stała się ostatnio poważnym problemem. Podobno jest modna, cokolwiek miałoby to znaczyć, i cholernie łatwo ją dostać. Z bystrego faceta robi geniusza, jak mówią. Szkoda, że tak silnie uzależnia. I jest droga.

Przez całą swoją przemowę Urquhart ani na sekundę nie spuszczał wzroku z O’Neilla. W śmiertelnych katuszach, które ten cierpiał, było coś przejmującego i fascynującego zarazem. Wszelkie wątpliwości, jakie Urquhart mógł mieć w kwestii diagnozy, rozwiały się na widok drżących dłoni i ust, które się otwierały, ale nie mogły mówić. Kiedy wreszcie O’Neill znalazł słowa, przypominały one skowyt.

– O czym ty mówisz? Nie jestem narkomanem. Nie biorę narkotyków!

– Oczywiście, że nie, Roger – powiedział Urquhart najbardziej uspokajającym tonem ze swojego repertuaru. – Ale chyba musisz przyjąć do wiadomości, że niektórzy mogą wyciągnąć z twojego zachowania pochopne i bardzo niefortunne wnioski. A premier, zwłaszcza w swoim obecnym nastroju, nie będzie chciał ryzykować. Uwierz mi, nie chodzi tu o skazywanie bez procesu, ale po prostu o wybór ciszy i spokoju.

– Henry na pewno w to nie wierzy! Chyba mu nie powiedziałaś... – O’Neill z trudem łapał powietrze, jakby go ubódł rozjuszony byk.

– Oczywiście, że nie, Roger. Chcę, żebyś uważał mnie za przyjaciela. Ale przewodniczący partii...

– Williams? Co powiedział?

– O narkotykach? Nic. Obawiam się jednak, że drogi lord nie jest jednym z twoich największych fanów. Raczej nie brał twojej strony w rozmowie z premierem. Najwyraźniej uważa, że to raczej ciebie, a nie jego, należy obwiniać za wyniki wyborów.

– Co? – Zabrzmiało to jak skrzek.

– Nie martw się, Roger, wziąłem cię w obronę. Nie ma się czego bać, dopóki masz moje poparcie.

Urquhart wiedział, co robi. Doskonale rozumiał paranoję, która ogarnia umysł kokainisty, oraz wpływ, jaki wymyślona historyjka o antypatii ze strony przewodniczącego wywrze na kruchą psychikę O’Neilla. Ten facet miał nieokiełznany apetyt na złą sławę, który mógł być zaspokajany tylko dzięki dalszej protekcji premiera – nie mógł sobie pozwolić na jej utratę. „Dopóki masz moje poparcie”. Te słowa wciąż dźwięczały O’Neillowi w uszach. „Jedno potknięcie i po tobie” – mówiły. Pajęczyna strachu zacisnęła się wokół O’Neilla. Nadeszła pora, żeby zaoferować mu wyjście z sytuacji.

– Roger, widziałem już tylu ludzi, których zniszczyły plotki. Korytarze wokół Westminsteru mogą stać się polem śmierci. To byłaby tragedia, której nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyś miał przykrości, czy to z powodu wrogości ze strony Teddy’ego Williamsa, czy po prostu dlatego, że źle by zrozumiano twoje rozwiązanie kwestii wydatków i twój... katar sienny.

– Co powinienem zrobić? – spytał O’Neill płaczliwym głosem.

– Zrobić? Ależ Roger, radziłbym, żebyś mi zaufał. Potrzebujesz silnego stronnika w wewnętrznych kręgach partii, zwłaszcza w tej

chwili. Morze jest wzburzone, idzie coraz większa fala, statek premiera nabiera wody, więc on nie będzie się długo zastanawiać, czy wyrzucić kogoś takiego jak ty za burtę, jeśli mogłoby mu to pomóc samemu się uratować. Tacy ludzie jak on uważają cię za niewiele więcej niż balast.

Słowa rzecznika dyscypliny odnosiły zamierzony skutek. O'Neill wiercił się w fotelu, aż jęczała pod nim stara skóra tapicerki, i usiłował napić się z kryształowego kieliszka, nie zauważając nawet, że jest już pusty. Urquhart urwał na chwilę, delektując się każdym szczegółem.

– Pomóż mi, Francis.

– Właśnie po to cię zaprosiłem, Roger.

O'Neill zaczął płakać. Łzy płynęły mu po policzkach.

– Nie pozwolę im pozbyć się takiego bystrzacha jak ty, Roger. – Urquhart mówił tonem pastora czytającego psalm. – Twoje wydatki są zasadne co do pensa. Tak powiem tym z agencji. Poradzę im, żeby utrzymali taką formę rozliczeń i zachowali ją w tajemnicy, żeby uniknąć niepotrzebnej zazdrości ze strony tych członków partii, którzy chcą obciążyć budżet na reklamę. Ale trzeba zrobić więcej. Dopilnujemy, aby premier został w pełni poinformowany o twoich dobrych uczynkach. Poradzę mu też, żeby nie tracił czujności i dalej prowadził kampanię, jeśli ma przetrwać trudne nadchodzące miesiące. Twój budżet ocaleje. I ty też, Roger.

– Francis, wiesz, że będę ci dożywotnie wdzięczny... – wymamrotał O'Neill.

– Ale w zamian musisz coś dla mnie zrobić, Roger.

– Wszystko.

– Jeśli mam cię chronić, muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w centrali partii.

– Oczywiście.

- A zwłaszcza, co kombinuje przewodniczący. To bardzo ambitny i niebezpieczny człowiek, prowadzi własną rozgrywkę, jednocześnie deklarując lojalność wobec premiera. Musisz być moimi oczami i uszami, Roger, i natychmiast informować mnie o wszystkim, czego się dowiesz na temat planów przewodniczącego. Od tego może zależeć twoja przyszłość.

O'Neill ocierał oczy i wydmuchiwał nos w potwornie upapraną chusteczkę.

- Ty i ja, Roger, musimy wspólnie nad tym pracować. Będziesz musiał pomóc przeprowadzić partię przez czekające ją trudności. Jak ten Horacjusz na moście.

- Francis, nie wiem, jak ci dziękować.

- Jeszcze się dowiesz, Roger, jeszcze się dowiesz.

Trzasnęły drzwi. Mortima wróciła. Wbiegła po schodach i zaglądała do każdego pokoju, aż znalazła go na tarasie na dachu. Patrzył na wieżę Wiktorii, pyszniącą się na południowym krańcu pałacu westminsterskiego, podświetloną reflektorami rozjaśniającymi londyńską noc. Brytyjska flaga powiewała w łagodnych podmuchach powietrza unoszącego się znad rozgrzanych ulic. Budynek parlamentu wyglądał jak wycięty z plastra miodu. Urquhart palił papierosa, co było rzadkim widokiem.

- Francis, wszystko w porządku?

Odwrócił się, jakby zaskoczony, że ją widzi, po czym znów poszukał wzrokiem wieży Wiktorii, górującej nad dachami Westminsteru.

- Kiedy zadzwoniłeś i powiedziałeś, że coś się stało, pomyślałam, że może jesteś chory. Przestraszyłeś mnie i...

– Mają tam, w tej wieży, rozkaz egzekucji Karola I oraz Deklarację Praw. Ustawy parlamentu sprzed ponad pięciuset lat. – Mówił, jakby jej nie słyszał ani nie zauważył jej zaniepokojenia.

– Coś się jednak stało. – Przysunęła się bliżej, wzięła go pod rękę. Jego wzrok musiało przykuwać coś z głębi nocy, jakaś zjawa czy widok, który tylko on mógł dostrzec.

– Jeśli się wsłuchasz, Mortimo, usłyszysz krzyki tłumu przed tymi bramami.

– A ty je słyszysz?

– Tak.

– Francis? – Jej głos nadal drżał z niepokoju.

Dopiero wtedy otrząsnął się z zamyślenia. Ścisnął jej dłoń.

– Miło, że tak szybko wróciłaś. Przepraszam, jeśli się przeze mnie martwiłaś. Nie, nie jestem chory, nic mi nie jest. Właściwie już od dawna się tak dobrze nie czułem.

– Nie rozumiem. Byłeś taki rozczarowany, że nie zaproponowano ci nowego stanowiska.

– Nic nie trwa wiecznie. Nawet wielkie imperia, a co dopiero słabi premierzy. – Głos miał pełen pogardy. Podał jej papierosa. Zaciągnęła się głęboko mocnym dymem.

– Będziesz potrzebował pomocników – szepnęła, oddając mu papierosa.

– Chyba już jakichś znalazłem.

– Tę młodą dziennikarkę, o której wspominałeś?

– Być może.

Przez chwilę nie odpowiadała. Stali w ciemnościach, dzieląc noc, chłonąc stłumione odgłosy toczącego się pod nimi życia i tę atmosferę spisku.

- Będzie lojalna?
- Lojalność wśród dziennikarzy?
- Musisz ją czymś do siebie przywiązać, Francis.

Spojrzał na nią ostro, posłał zdawkowy uśmiech, który szybko zniknął. Nie było w nim oznak wesołości.

- Jest o wiele za młoda, Mortimo.
- Za młoda? Za piękna? Za inteligentna? Zbyt ambitna? Nie sądzę, Francis. Nie dla takiego mężczyzny jak ty.

Znów się uśmiechnął, tym razem cieplej.

- Jak zwykle, Mortimo, jestem twoim dłużnikiem.

Była od niego o dwanaście lat młodsza, nadal pełna życia, a te kilka dodatkowych funtów, których jej z czasem przybyło, nosiła z elegancją. Była jego najlepszym przyjacielem, jedyną osobą, której pozwalał zajrzeć w głąb siebie i na której mógł bezdyskusyjnie polegać. Każde z nich miało swoje życie, rzecz jasna, on w Westminsterze, a ona... Cóż, uwielbiała Wagnera. Nigdy nie podzielał tej pasji. Często znikła na wiele dni, jeździła za granicę z innymi ludźmi, by dzielić z nimi namiętności Pierścienia Nibelunga. Nigdy nie kwestionował jej lojalności ani ona jego.

- To nie będzie łatwe – powiedział.
- Porażka też nie jest.
- Czy są jakieś granice? – zapytał tak łagodnie, na ile łagodne może być takie pytanie.

Wspięła się na palce, żeby ucałować go w policzek, po czym wróciła do środka, zostawiając go sam na sam z nocą.

Rozdział 10

Znałem kiedyś człowieka, który miał tak dziurawą pamięć, że zapomniał, iż po wiesił u siebie obraz Howarda Hodgkina przekręcony na bok i zorientował się dopiero po trzech latach. Pamiętał za to, że był członkiem zarządu galerii Tate, chociaż nigdy nie pełnił tej funkcji. Został ministrem sztuki, rzecz jasna. Ciekawe, co się z nim działo potem.

Środa, 30 czerwca

Strangers' Bar – „Bar Obcych” – w Izbie Gmin to niewielkie pomieszczenie z ciemną boazerią, cichymi zakątkami i oknami wychodzącymi na Tamizę, do którego posłowie mogą zabrać swoich „obcych” gości, czyli tych niebędących deputowanymi. Bar jest zazwyczaj zatłoczony, głośny i huczy w nim od plotek, czasem dochodzi do przemocy psychicznej, a zdarza się, że i do fizycznej. Niektórzy politycy po prostu nie bywają trzeźwi.

O'Neill opierał się jednym łokciem o bar, a drugim usiłował nie wytrącić piwa z ręki przyjmującego go tu parlamentarzysty.

– Jeszcze po jednym, Steve? – zapytał swojego nienagannie ubranego towarzysza.

Stephen Kendrick był nowo wybranym posłem opozycji, który jeszcze nie zdążył się odnaleźć. Wysyłał sprzeczne sygnały: jego jasnoszary moherowy garnitur od Armaniego i perłowobiałe mankiety kontrastowały z kuflem bittera Federation, który ścisnął w starannie wypielęgnowanej dłoni.

- Wiesz lepiej ode mnie, że obcy nie mogą tu kupować alkoholu. Tak czy inaczej, jestem tu dopiero od dwóch tygodni, więc chyba trochę za wcześnie, żeby sobie rujnować karierę, ryzykując, że mnie przyłapią na zbyt długich rozmowach z pitbullem premiera – czy też raczej wilczarzem irlandzkim. Niektórzy z moich bardziej dogmatycznych kolegów mogliby to uznać za zdradę. Jeszcze jedno i szlus! – Uśmiechnął się i mrugnął do barmanki. Pojawił się przed nimi kolejny kufel ciemnego bittera i podwójna wódka z tonikiem.

- Wiesz, Rog, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nigdy tak naprawdę się nie spodziewałem, że tu trafię. Jeszcze nie mogę się zdecydować, czy to sen, czy cholerny koszmar. – W jego głosie pobrzmiwał wyraźny północny akcent z ubogich dzielnic Blackburn. – Dziwnie się ten los plecie, co? Kiedy siedem lat temu pracowaliśmy razem w tej małej firmie PR-owej, kto by pomyślał, że ty zostaniesz głównym przydupasem premiera, a ja najnowszym i najzdolniejszym posłem opozycji?

- Na pewno nie ta blondyneczka telefonistka, którą obracaliśmy na zmianę.

- Kochana Annie.

- Myślałem, że miała na imię Jennie.

- Rog, nie pamiętam, żebyś szczególnie zwracał uwagę na ich imiona.

Te żarciki wreszcie przełamały lody. Kiedy O'Neill zadzwonił do nowego posła z propozycją spotkania się na drinka, żeby wypić za stare dobre czasy, obu trudno było wrócić do dawnej, swobodnej poufałości. Przez pierwsze dwie kolejki rozgrywali lekki sparing, unikając tematu polityki, który zdominował ich życie. Teraz O'Neill uznał, że pora na skok na głęboką wodę.

- Steve, jeśli o mnie chodzi, możesz mi stawiać przez całą noc. Chryste, widząc, co się teraz u nas dzieje, chyba nawet święty by się rozpił.

Kendrick przyjął takie otwarcie.

- Fakt, zrobiło się cholernie nieprzyjemnie, i to cholernie szybko. Twoi rzeczywiście zachowują się, jakby im gumka w majtkach pękła. Do diabła, aż mi się wierzyć nie chce w te plotki. Samuel wściekły na Williamsa, że oddał premierowi jego głowę na tacy, Williams wpieniony na Collingridge'a za spieprzenie wyborów, Collingridge piekli się o wszystko i wszystkich. Zajebicie!

- Wszyscy są wykończeni, nie mogą się doczekać wakacji. Kłócą się o to, jak zapakować samochód.

- Nie bierz mi za złe tego, co powiem, stary, ale twój szef będzie musiał jak najszybciej ukrócić te przepychanki, bo inaczej krewa. Może jestem tu żółtodziobem, ale jak takie plotki się już raz rozejdą, to zaczynają żyć własnym życiem. Stają się faktem. No, ale to pewnie właśnie w tym momencie na ratunek ruszasz ty i twoja potężna machina PR-owa, jak Siódmy Regiment Kawalerii wyłaniający się zza wzgórza.

- Raczej jak Custer w swojej ostatniej bitwie – powiedział O'Neill z pewnym rozgoryczeniem.

- Co się stało, Rog, wujek Teddy zabrał ci wszystkie żołnierzyki czy coś w tym stylu?

O'Neill opróżnił szklanekę, przechylając ją gwałtownym ruchem nadgarstka. Kendrick, u którego ciekawość wygrała z ostrożnością, zamówił następną kolejkę.

- Skoro już pytasz, Steve, to tak między nami, starymi przyjaciółmi, nasz wiekowy i zdecydowanie przeceniany

przewodniczący postanowił wycofać się za barykady. Właśnie teraz, kiedy musimy wyjść i walczyć.

– Ach, czyżbym słyszał lamenty sfrustrowanego specja od public relations, któremu powiedziano, żeby na jakiś czas zwinął kramik?

O'Neill ze złością odstawił szklanę na bar.

– Pewnie nie powinienem ci o tym mówić, ale i tak się niedługo dowiesz. Kojarzysz ten program rozwoju szpitali, który obiecywaliśmy w wyborach, że do każdej sumy uzbieranej lokalnie drugie tyle dokłada rząd? Genialny pomysł. Mieliśmy już gotową wspaniałą kampanię promocyjną, która miała trwać przez całe lato, kiedy wy, skurczysyny w kaszkietach, będziecie się byczyć na Costa del Cuba czy gdzie tam jeździecie.

– Ale?

– Nic z tego nie będzie, no nie? Miałem wszystko gotowe, Steve. A zanim wy byście spakowali wiaderka oraz łopatki i wrócili w październiku, podbiłbym serca i umysły wyborców w każdym decydującym okręgu w tym kraju. Mieliśmy przygotowaną całą kampanię. Reklama, dziesięć milionów ulotek, reklama bezpośrednia. „Wyleczymy szpitale”. Ale... Stary skurwiel wszystko odwołał. Tak po prostu.

– Dlaczego? – spytał Kendrick pocieszającym tonem. – Problemy finansowe po wyborach?

– To właśnie jest jakiś koszmarny absurd, Steve. Pieniądze są w budżecie, a ulotki już wydrukowaliśmy, ale ten nie pozwala nam ich rozprowadzić. Właśnie przyszedł dzisiaj spod dziesiątki, znaczy z Downing Street, i powiedział, że sprawa odwołana. Stracili zimną krew, nic innego. A potem miał jeszcze czelność zapytać, czy te

cholerne ulotki w przyszłym roku będą nieaktualne. Kompletna amatorszczyzna!

O'Neill pociągnął kolejny łyk wódki i popatrzył w dno swojej szklanki. Miał nadzieję, że zgodnie z instrukcjami Urquharta nie okazał zbyt daleko posuniętej nielojalności, nie wyszedł poza urażoną dumę zawodową i nieco pijackiej wylewności. Nadal był zaintrygowany. Nie miał pojęcia, dlaczego Urquhart kazał mu wymyślić całkowicie nieprawdziwą historyjkę o nieistniejącej kampanii reklamowej i rozpowszechnić ją w Strangers' Bar, ale jeśli dzięki temu Williams miał wpaść w szambo, to w pełni popierał ten ruch. Kręcąc szklanką, tak że wirował w niej plasterek cytryny, dostrzegł, że Kendrick przygląda mu się w zamyśleniu.

– Co się dzieje, Rog?

– Gdybym to ja wiedział, stary. Zupełna pieprzona zagadka. Totalny rozpiżdziel.

Czwartek, 1 lipca

Obecna sala obrad Izby Gmin została zbudowana stosunkowo niedawno – zrekonstruowano ją po wojnie, kiedy to jedna z bomb Luftwaffe ominęła port, za to przypadkiem trafiła prosto w matkę wszystkich parlamentów. Jednak mimo relatywnej młodości Izby, można w niej poczuć atmosferę sprzed stuleci. Jeśli usiadzimy cicho w rogu pustej sali na jednej z wąskich zielonych ław, świeżość blaknie, a między rzędami znów zaczynają się przechadzać duchy Chathama, Walpole'a, Foxa i Disraelego.

To miejsce ma charakter, gorzej jednak z wygodą. Siedzieć w ławach może tylko około czterystu z sześciuset pięćdziesięciu posłów, którzy, żeby słuchać prymitywnych głośników wbudowanych w oparcia, muszą pochylić głowę na bok, przez co sprawiają wrażenie,

jakby byli pogrążeni w głębokim śnie. Co czasem jest nie tyle wrażeniem, co faktem.

Projekt sali wzorowano na starej kaplicy Świętego Stefana, w której obradowali pierwsi parlamentarzyści, usadzeni jak chłopcy z chóru kościelnego w zwróconych do siebie ławkach, jednak współczesna konfiguracja nie ma w sobie nic anielskiego. Posłowie siedzą naprzeciwko siebie w pozycji konfrontacyjnej, jako antagoniści. Oddzielają ich dwie czerwone linie na podłodze, oddalone od siebie o dwie długości miecza, co jest jednak mylące, bo największe niebezpieczeństwo czyha w odległości nie większej niż ostrze sztyletu – w tylnych ławkach.

Prawie wszyscy premierzy zostają z urzędu wykopani, wywaleni czy zmuszeni do rezygnacji w wyniku krwawej rozgrywki. Ponad połowa posłów partii rządzącej jest zazwyczaj przekonana, że oni sami poradziliby sobie na tym stanowisku znacznie lepiej. Ci, których wyrzucono z tej posady albo którym nigdy jej nie zaproponowano, siedzą za plecami swojego przywódcy i szukają odpowiedniego miejsca między jego łopatkami. Szef rządu jest poddany nieustającej presji. Co tydzień musi się rozliczać przed parlamentem ze swoich działań podczas sesji pytań do premiera, instytucji słynącej z braku umiaru. Teoretycznie daje ona posłom możliwość uzyskania informacji od szefa rządu Jej Królewskiej Mości; w praktyce jest to walka o przetrwanie, przypominająca bardziej rzymską arenę Nerona i Klaudiusza niż ideały demokracji parlamentarnej. Posłowie opozycji zwykle nawet nie udają, że w ich pytaniach chodzi o informacje: chcą wyłącznie krytykować, wyrządzić szkodę. „Czy ta nędzna namiastka premiera się odpierdoli?” – czy coś w ten deseń. Także udzielane odpowiedzi rzadko mają przekazać informacje, ale raczej stanowić

odwet, zadać ból i upokorzyć. To premier ma ostatnie słowo. Daje mu to przewagę w walce, jak gladiatorowi, który mógł zadać ostatni cios. Dlatego musi wygrać – wszyscy tego od niego oczekują. Biada premierowi, który przegra. Pod pewnym siebie uśmiechem zawsze kryje się napięcie i przerażenie. Macmillan pod wpływem tego stresu chorował, Wilson nie mógł spać, zaś Thatcher traciła panowanie nad sobą. A Henry Collingridge nigdy nie dorósł do poziomu żadnego z nich.

Dzień po wieczornym wypadzie O’Neilla do Strangers’ Bar nie układał się dla premiera pomyślnie. Sekretarz prasowy Downing Street złapał ospę wietrzną od swoich dzieci, więc normalny briefing dla dziennikarzy był słabszy niż zwykle i co gorsza spóźniony, co szczególnie zirytowało niecierpliwego Collingridge’a. Opóźniło się też posiedzenie gabinetu, które co prawda rozpoczęło się o zwykłej porze, dziesiątej rano w czwartek, ale potem ciągnęło się w atmosferze chaosu, kiedy kanclerz skarbu usiłował wyjaśnić, bez ewidentnego obrażania Collingridge’a, że zmniejszona przewaga partii rządzącej odbiła się negatywnie na rynkach finansowych, uniemożliwiając wprowadzenie w życie w tym roku podatkowym programu rozwoju szpitali, który z takim entuzjazmem obiecywali podczas kampanii wyborczej. Premier powinien trzymać dyskusję w ryzach, ale ta toczyła się rozwlekale dalej i zakończyła żenująco.

– Może to szkoda, że kanclerz nie był trochę ostrożniejszy, zanim pozwolił nam na podejmowanie pochopnych zobowiązań – skomentował minister edukacji tonem ociekającym jadem.

Kanclerz odmruknął ponuro, że to nie jego wina, iż wyniki wyborów okazały się gorsze, nawet niż się spodziewali cynicy na giełdzie, i natychmiast tej uwagi pożałował. Collingridge usiłował

przywołać ich do porządku i polecił ministrowi zdrowia przygotować odpowiednie wyjaśnienie zmiany planów. Postanowiono także, że zostanie ono ogłoszone za dwa tygodnie, tuż przed tym, jak parlament rozjedzie się na przerwę wakacyjną.

– Miejmy nadzieję – powiedział siedemdziesięcioletni Lord Kanclerz – że wtedy wszyscy będą już mieli myśli zaprzątnięte letnimi szaleństwami.

Posiedzenie gabinetu przedłużyło się o dwadzieścia pięć minut, co oznaczało, że briefing premiera z urzędnikami przed sesją pytań też się opóźnił, a zły humor Collingridge'a sprawił, że tego, co mówili, słuchał jednym uchem. Kiedy wkroczył do wypełnionej po brzegi Izby Gmin tuż przed wyznaczoną godziną rozpoczęcia sesji, nie był ani tak dobrze uzbrojony, ani tak czujny jak zazwyczaj.

Najwyraźniej nie miało to większego znaczenia, bo Collingridge odpierał pytania opozycji i przyjmował poklask własnej partii z należytą, jeśli nie wręcz natchnioną swobodą. Zawodowa rutyna. Przewodniczący Izby Gmin, prowadzący obrady, zerknął na zegar i stwierdził, że została tylko nieco ponad minuta sesji, więc może akurat starczy czasu na jeszcze jedno, końcowe wystąpienie. Następne na liście zapytań poselskich było pytanie od jednego z nowych deputowanych. To dobry moment, uznał przewodniczący, żeby wprowadzić świeżą krew.

– Stephen Kendrick! – zawołał.

– Numer sześć, sir. – Kendrick wstał na chwilę, żeby podać numer pytania z listy, które figurowało przy jego nazwisku: „Poprosić premiera o wymienienie jego oficjalnych spotkań i obowiązków zaplanowanych na dziś”. Było to pytanie puste, czysto rytualne, takie samo jak pytania numer jeden, dwa i cztery, które padły wcześniej.

Collingridge podniósł się powoli ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie i zerknął na czerwoną teczkę z materiałami z briefingu, już otwartą na mównicy przed nim. Monotonnym głosem odczytał dobrze znaną wszystkim formułkę: „Odsyłam pana posła do odpowiedzi, której udzieliłem przed chwilą na pytania numer jeden, dwa i cztery”. Ponieważ ta wcześniejsza odpowiedź nie mówiła nic poza tym, że dzień upłynie mu na spotkaniach z ministrami oraz ugoszczeniu na kolacji belgijskiego premiera, który przyjechał z wizytą, nikt się jeszcze nie dowiedział niczego ciekawego o zajęciach szefa rządu – ale nie o to chodziło. Uprzejmościom przed starciem gladiatorów stało się zadość i zaraz miała się rozpocząć walka. Kendrick wstał z ławy po stronie opozycji.

Steve Kendrick był hazardzistą, człowiekiem, który odniósł sukces w branży nagradzającej tupet i wielkie jaja. Nikt, może poza jego byłą żoną, nie był bardziej zaskoczony niż on sam tym, że postanowił wystartować w wyborach do parlamentu, ryzykując pracę dającą mu fundusz reprezentacyjny i sportowy samochód. Nie to, że spodziewał się, ani że w ogóle chciał, wygrać – w końcu partia rządząca miała w tym okręgu całkiem sporą przewagę – ale walka o poselski mandat miała mu pomóc w wyrobieniu sobie marki oraz nawiązaniu kontaktów towarzyskich i zawodowych. Przez kilka tygodni nie schodził z pierwszych stron pism PR-owych. „Człowiek o wrażliwości społecznej” to zawsze dobrze brzmi w tak agresywnie komercyjnej branży.

To, że wygrał siedemdziesięcioma sześcioma głosami, jak się okazało po ich trzykrotnym przeliczeniu, było dla niego przykrym szokiem. Oznaczało znacznie zmniejszone dochody i wstrząsy w życiu prywatnym, które teraz zostanie wzięte pod lupę, przy czym istniała

spora szansa, że w następnych wyborach i tak wyleci. Po co więc zachowywać ostrożność? Nie miał nic do stracenia poza swoją anonimowością.

Kendrick spędził niespokojną noc i pełen frustracji poranek na rozmyślaniach nad tym, co powiedział O'Neill. Po co odwoływać kampanię PR-ową promującą program cieszący się poparciem wyborców, mający przysporzyć partii głosów? Za cholerę nie miało to sensu, chyba że... Chyba że zagrożony był cały program, a nie sama kampania. Na pewno musi chodzić właśnie o to. No nie? Bo o co innego? A może po prostu był zbyt niedoświadczony, żeby rozumieć, co jest grane? Im usilniej próbował rozwiązać zagadkę, tym bardziej mu się ona wymykała. Powinien drążyć czy oskarżać? Pytać czy potępiać? Wiedział, że jeśli źle to rozegra, zrobi niezatarte pierwsze wrażenie – dyżurnego głupka.

Kiedy wstawał, w głowie wciąż kłębiły mu się wątpliwości, jak szerszenie w gnieździe. Jego chwilowa niepewność sprawiła, że ogólny rwetes ucichł – parlamentarzyści wyczuli jego niezdecydowanie. Czy nowego posła sparaliżowało? Kendrick nabrał powietrza i uznał, że nie ma sensu martwić się o swoją godność. Skoczył na głęboką wodę.

– Czy premier zechce wyjaśnić Wysokiej Izbie, dlaczego anulował obiecany program rozwoju szpitali?

Bez krytyki. Bez wdawania się w szczegóły. Bez ozdobników ani rozwlekłych komentarzy, które dałyby premierowi czas na unik. Podniósł się szum, podczas gdy nowy szeregowy deputowany z powrotem usiadł. Program rozwoju szpitali? Anulowany? Spektakl przybrał nowy, interesujący obrót i ponad trzystu widzów zwróciło się jak jeden mąż w stronę Collingridge'a. Premier podniósł się z miejsca, czując, że krew zupełnie odpłynęła mu z mózgu. Wiedział, że

w czerwonej teczce nie ma nic, z czego mógłby czerpać inspirację, żadnej podpory, żadnej brzytwy, której mógłby się chwycić. Przeciek, kradzież, ruina, przejebane. Uśmiechnął się szeroko. Tak trzeba. Tylko ci siedzący tuż obok niego dostrzegli, jak bieleją mu knykcie, kiedy zaciska dłonie na mównicy.

– Mam nadzieję, że pan poseł nie da się ponieść sezonowi ogórkowemu, przynajmniej przed nadejściem sierpnia. Ponieważ jest nowym deputowanym, skorzystam z okazji, żeby mu przypomnieć, iż w ciągu ostatnich czterech lat sprawowania przez nas rządów realne wydatki na służbę zdrowia znacząco wzrosły, o sześć do ośmiu procent. – Collingridge wiedział, że uderza w niewybaczalnie protekcyjny ton, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Co innego mógł zrobić? – Służba zdrowia skorzystała bardziej niż wszystkie inne służby sektora publicznego na naszym sukcesie w walce z inflacją, co można porównać...

Ze swojego miejsca w jednym z tylnych rzędów obitych zieloną skórą ław Kendrick gapił się na premiera. Collingridge nie patrzył mu w oczy, rozglądał się dookoła. Pogubił się.

– Odpowiedz na pytanie – warknął Kendrick z północnym akcentem, który jakoś sprawia, że takie grubiaństwo uchodzi, a przynajmniej nie dziwi. Kilku innych posłów poparło głośno tę sugestię.

– Odpowiem na pytanie na swój własny sposób i w swoim czasie – odparował premier. – Opozycja odstawia tu żalostną szopkę i leje krokodyle łzy, dobrze wiedząc, że wyborcy doszli do własnych wniosków i całkiem niedawno zagłosowali na ten rząd. Popierają nas, a ja mogę raz jeszcze podkreślić naszą determinację, by chronić ich oraz ich szpitale.

Impertynenckie okrzyki dezaprobaty z ław opozycji przybrały na sile. Większości z nich oficjalny raport z obrad parlamentu, tak zwany Hansard, nie odnotuje, gdyż jego autorzy zapadają czasem na wyjątkową głuchotę, ale premier słyszał je wyraźnie, każdą sylabę. W jego własnych tylnych ławach zaczynało się nerwowe poruszenie. Posłowie strony rządzącej nie byli pewni, dlaczego Collingridge po prostu nie potwierdzi wprowadzenia programu i nie wepchnie Kendrickowi jego zarzutów z powrotem do gardła.

Collingridge brnął dalej wśród przerywających mu pokrzykiwań parlamentarzystów.

– Wysoka Izba powinna wiedzieć... że żaden rząd nie ma w zwyczaju... omawiać z wyprzedzeniem szczegółów nowych planów wydatków publicznych... Ogłosimy nasze zamiary we właściwym czasie.

– Czyli jednak uwaliliście ten cholerny program, co? – ryknął ze swojego miejsca poniżej przejścia czcigodny, choć zwykle dość grubiański poseł z Newcastle West, tak głośno, że nawet autorzy Hansardu nie mogli twierdzić, że go nie usłyszeli.

Twarze przywódców opozycji, którzy wreszcie połapali się w tej grze, rozjaśniły uśmiechy. Lider opozycji, którego od stojącego przy mównicy Collingridge'a dzieliło niecałe sześć stóp, odwrócił się do siedzącego obok kolegi i powiedział scenicznym szeptem: „Wiesz, on to chyba spartolił. Zwiewa z podkulonym ogonem!”. Zaczął machać swoim egzemplarzem listy zapytań, podobnie jak wszyscy jego partyjni koledzy. Przypominało to żagle starożytnych galeonów wypływające na bitwę.

Collingridge poczuł, jak wzbiera w nim ból tysiąca spotkań z posłami w Izbie Gmin. Nie był na to przygotowany. Nie potrafił

wyznać prawdy, ale nie mógł też skłamać przed parlamentem. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa, które pozwoliłyby mu kroczyć po cienkiej linii między szczerością a zupełnym oszustwem. Kiedy patrzył na triumfujące gęby w ławach naprzeciwko i słuchał ich drwin, przypominał sobie wszystkie liczne kłamstwa, które opowiadali o nim przez lata, okrucieństwo, jakim się wykazali i łzy, które przez nich wypłakała jego żona. Wpatrując się w wykrzywione twarze, zaledwie kilka stóp przed nim, poczuł, że jego cierpliwość się wyczerpała. Musiał to zakończyć i przestało go obchodzić, jak to zrobi. Podniósł rękę.

– Nie muszę wysłuchiwać takich uwag od sfory ujadających psów – syknął i usiadł. Jak niedźwiedź wycofujący się z areny.

Zanim od strony ław opozycji zdążyły się podnieść okrzyki triumfu i wściekłości, Kendrick znów zerwał się na równe nogi.

– W kwestii proceduralnej, panie przewodniczący. Uwagi pana premiera są absolutnie haniebne. Zadałem proste i jasne pytanie, dlaczego pan premier nie ma zamiaru dotrzymać swojej obietnicy wyborczej, a w odpowiedzi dostałem tylko obelgi i uniki. Rozumiem niechęć pana premiera do przyznania się do gigantycznego, bezwstydnego oszustwa wobec elektoratu, ale czy nie da się nic zrobić, aby chronić prawo deputowanych Wysokiej Izby do uzyskania uczciwej odpowiedzi na uczciwe pytanie? Wiem, że jestem tu nowy, ale na pewno znajdzie się coś na ten temat w ustawie o reklamie i opisie produktów i usług, zakazującej wprowadzania odbiorców w błąd.

Przez ławy opozycji przetoczyła się fala aprobaty, podczas gdy przewodniczący Izby usiłował przekrzyczeć zgietk:

– Pan poseł jest może nowy, ale najwyraźniej zdążył się już wnikliwie zapoznać z procedurą parlamentarną, będzie zatem wiedział, że nie odpowiadam za treść i ton wypowiedzi premiera, podobnie jak nie ponoszę odpowiedzialności za zadawane mu pytania. Przechodzimy do następnego punktu obrad!

Kiedy przewodniczący starał się zaprowadzić porządek, czerwony na twarzy Collingridge wstał i wyszedł ze złością z sali, gestem pokazując rzecznikowi dyscypliny, żeby udał się za nim. Gonił go bardzo nieparlamentarny, szyderczy okrzyk: „Tchórz!”. Z ław partii rządzącej dobiegała tylko niepewna cisza.

– Skąd wiedział, Chryste Panie? Skąd ten skurwysyn wiedział?

Ledwie zatrzasnęły się drzwi do gabinetu premiera, mieszczącego się tuż za salą obrad Izby Gmin, rozpoczęła się tyrada. Układny zwykle szef rządu Jej Królewskiej Mości odrzucił fasadę spokoju i miotał jak dzika fretka z Warwickshire.

– Francis, tak po prostu nie może być. Tak nie może być, do cholery. Dostajemy raport kanclerza wczoraj na komisji rządowej, gabinet w pełnym składzie po raz pierwszy omawia go dzisiaj z samego rana, a po południu zna go już każdy zasmarkany gnojek z opozycji. Wiedziało z dziesięciu ministrów, tylko garstka urzędników służby cywilnej była poinformowana o sprawie. Kto jest przyczyną przecieku, Francis? Kto? Jesteś rzecznikiem dyscypliny. Masz znaleźć tego drania i powiesić go na wieży zegarowej za jaja!

Urquhart odetchnął głęboko z ulgą. Aż do wybuchu premiera nie miał pojęcia, czy karzący palec sprawiedliwości już nie jest wymierzony w jego stronę. Uśmiechnął się, ale tylko w myślach.

– To mnie po prostu zdumiewa, Henry, że jeden z naszych kolegów z gabinetu chciałby celowo ujawnić coś takiego – zaczął,

niepostrzeżenie wykluczając w ten sposób możliwość przecieku przez służbę cywilną, a więc zawężając krąg podejrzanych do członków gabinetu.

– Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, upokorzył mnie. Chcę, żeby wyleciał, Francis. Chcę, nie, żądam, żebyś znalazł tego nędznego robaka. A potem rzucił go wronom na pożarcie.

– Henry, mogę coś powiedzieć, jako przyjaciel?

– Oczywiście!

– Obawiam się, że od wyborów za dużo jest wśród naszych kolegów przepychanek. Zbyt wielu z nich chce kogoś wygryźć.

– Wszyscy chcą wygryźć mnie, wiem o tym, ale kto byłby takim... takim wyrachowanym kretynem, takim kutasem, żeby umyślnie ujawnić coś takiego?

– Nie wiem... – powiedział z ledwie dostrzegalnym wahaniem – na pewno.

Collingridge wychwycił to drgnięcie w głosie rzecznika.

– Jakaś hipoteza, na litość boską.

– To by było nie fair.

– Nie fair? Myślisz, że to przed chwilą było fair? Że mi się dobrali do dupy jak listonosz do gosposi?

– Ale...

– Żadnych „ale”, Francis. Skoro raz do tego doszło, może dojść ponownie i dojdzie na pewno. Rzucaj oskarżenia, insynuacje, co tam chcesz, do cholery. Nikt tu niczego nie protokołuje. Ale chcę usłyszeć nazwiska! – Collingridge walnął pięścią w biurko tak mocno, że aż podskoczyła lampka do czytania.

– Skoro nalegasz, mogę pospekulować. Nie wiem nic na pewno, rozumiesz... Spróbujmy drogą dedukcji. Ze względu na ograniczenia

czasowe wydaje się bardziej prawdopodobne, że przeciek poszedł z wczorajszej komisji rządowej niż z dzisiejszego posiedzenia całego gabinetu. Zgoda?

Collingridge skinął głową.

- A oprócz ciebie i mnie, kto jeszcze jest w tej komisji?

- Kanclerz skarbu, minister finansów, zdrowia, edukacji, środowiska, handlu i przemysłu - wyliczył premier. Urquhart nic nie mówił, zmuszając Collingridge'a do samodzielnego dokończenia tego logicznego rozumowania. - Kanclerz i minister finansów raczej nie ujawniliby tego, że dali ciała. Ale minister zdrowia zawzięcie sprzeciwiał się skasowaniu programu, więc on, Paul McKenzie, miał powód. Harold Earle z resortu edukacji zawsze miał długi język. A Michael Samuel trochę za bardzo lubi towarzystwo mediów, jak na mój gust.

Podejrzenia i wątpliwości czające się w ciemnych zakamarkach umysłu premiera wychodziły na światło dzienne.

- Są jeszcze inne możliwości, Henry, ale moim zdaniem mało prawdopodobne - włączył się Urquhart. - Jak wiesz, Michael jest w bardzo bliskich stosunkach z Teddym Williamsem. Rozmawiają o wszystkim. Przeciek mógł wyjść z centrali partii. Nie od Teddy'ego, na pewno nie, on by nigdy... Ale ktoś z tamtejszych urzędników mógł to ujawnić. Niektórzy z nich przez całe życie chlapią jęzorem na wszystkie strony.

Collingridge rozmyślał przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Czy to naprawdę mógł być Teddy? - zastanowił się. - Nigdy nie był moim największym stronnikiem, inne pokolenie, ale wyciągnąłem go z lamusa i dzięki mnie znów stał się częścią ekipy. I tak mi się odpłaca?

- To tylko podejrzenie, Henry...

Premier opadł na krzesło, wyczerpany, jakby nie miał już siły opędzać się od tej myśli.

- Może ostatnio za bardzo polegałem na Teddym. Myślałem, że nie ma żadnych osobistych interesów, nie kieruje nim ambicja, skoro już jest w Izbie Lordów. Człowiek ze starej gwardii. Lojalny. Czyżbym się mylił, Francis?

- Nie wiem. Kazałeś mi spekulować.

- Dowiedz się, Francis. Zrób to, co musisz. Chcę dorwać drania, kimkolwiek jest. I wyciągnąć mu jaja przez uszy, tak żeby cały Westminster słyszał, jak wrzeszczy.

Urquhart skinął głową i spuścił wzrok, niby jak wierny sługa, a w rzeczywistości nie chcąc, żeby premier dostrzegł tańczącą w jego oczach radość. Collingridge właśnie ogłosił rozpoczęcie sezonu łowieckiego. Urquhart znów był na wrzosowiskach, stał pewnie ze strzelbą w dłoni i czekał, aż ptaki wzbiją się do lotu.

Rozdział 11

Krzysztof Kolumb potwornie wszystkich rozczarował. Kiedy wyruszał, nie miał pojęcia, dokąd zmierza, a kiedy dopłynął, nie miał pojęcia, gdzie się znalazł. Jeśli chcesz wydymać tubylców, znacznie lepiej zostać w domu.

Piątek, 16 lipca – czwartek, 22 lipca

Praca w Izbie Gmin może być porywająca, czasem może mieć nawet historyczne znaczenie, ale norma jest inna. Norma jest gówniana. Ślęczenie po godzinach, masa obowiązków, zbyt częste służbowe przyjęcia i zbyt rzadkie chwile wytchnienia – wszystko to gwarantuje, że długa przerwa wakacyjna kusi posłów jak oaza na pustyni. A w oczekiwaniu na nią wyczerpuje się cierpliwość i puszczają nerwy. W ostatnich dniach przed przerwą Urquhart krążył po korytarzach i barach parlamentu, próbując podnieść morale i stłumić wątpliwości wielu szeregowych posłów partii rządzącej, coraz bardziej zaniepokojonych chaotycznymi działaniami Collingridge'a. Morale łatwiej zniszczyć, niż odbudować, a niektóre stare wygi uważały, że może Urquhart trochę za bardzo się stara, bo jego wysiłki przypominały wielu deputowanym, iż premier żegluje po zaskakująco wzburzonych wodach. Jeśli jednak rzecznik dyscypliny czymś tu zawinił, to, w powszechnym mniemaniu, jedynie wyjątkową, a czasem wręcz agresywną, lojalnością. Ale jakie to miało znaczenie? Bryzy południowej Francji wzywały i już wkrótce miały rozwiązać wiele z parlamentarnych trosk.

Sierpień był zaworem bezpieczeństwa i dlatego rządy miały skłonność do ogłaszania trudnych decyzji w ostatnich dniach

przedwakacyjnego luzu. Często wymigiwały się przy tym od podania szczegółów, umieszczając je w tak zwanych „odpowiedziach pisemnych” publikowanych w Hansardzie, obszernym oficjalnym sprawozdaniu z obrad parlamentu. W ten sposób sprawa trafiała otwarcie do publicznie dostępnych dokumentów urzędowych, ale w czasie, kiedy większość posłów sprzątała swoje biurka i usiłowała przypomnieć sobie, gdzie schowała paszport. Nawet jeśli ktoś doczytał się szczegółów, nie było właściwie czasu ani okazji, żeby robić z tego powodu większe zamieszanie. Rząd mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę – o ile czytało się drobny druk.

Dlatego można było mówić o sporym pechu, kiedy całe dziesięć dni przed planowaną publikacją odpowiedzi pisemnej ministra obrony znaleziono kserokopię jej brudnopisu pod krzesłem w Annie's Bar, knajpie, w której zbierali się na plotki posłowie i dziennikarze. Co gorsza minister w owej odpowiedzi ogłaszał zamiar objęcia poważnymi cięciami Armii Terytorialnej, czyli ochotniczych sił rezerwy, motywując to tym, że w epoce jądrowej mają one coraz mniejsze znaczenie w rządowych planach obronnych. Sytuacja była tym bardziej kłopotliwa, że brudnopis znalazł sprawozdawca parlamentarny dziennika „Independent”. Wszyscy go lubili, szanowali, a on umiał sprawdzić, co trzeba, zanim opublikował materiał. Kiedy więc tekst ukazał się na pierwszej stronie jego gazety cztery dni później, na początku ostatniego tygodnia przed przerwą wakacyjną, ludzie wiedzieli, że jest wiarygodny. Obsuwa szybko zamieniła się w chaos.

Odwet przyszedł z niespodziewanej strony. Armia Terytorialna nie płaciła dużo, ale jej szeregi były liczne i wpływowe. Służba w niej wiązała się ze znaczącym prestiżem. W okręgowych organizacjach

partyjnych w całym kraju można było spotkać starszych członków, którzy z dumą stawiali przy nazwisku litery TD, oznaczające „Territorial Decoration”, odznaczenie za długą służbę w tej formacji. Byli gotowi bronić jej do ostatniej kropli atramentu w swoich wiecznych piórach.

Kiedy więc posłowie zebrali się na posiedzeniu z liderem Izby, żeby zakończyć ostatnie sprawy w tej sesji parlamentu, powietrze było ciężkie nie tylko od letniego upału, ale także od oskarżeń o zdradę i pełnych emocji apeli o zmianę decyzji. Prawie wszystkie padały z ław partii rządzącej. Opozycja nie musiała się wysilać, siedziała sobie zadowolona niczym rzymskie lwy, które patrzą, jak chrześcijanie sami odwalają całą robotę.

Właśnie wstał sir Jasper Grainger, OBE (Oficer Orderu Imperium Brytyjskiego), JP (sędzia pokoju) i oczywiście TD. Z dumą nosił starannie wyprasowany krawat w kolorach pułku oraz ciężki tweedowy trzyczęściowy garnitur, nie chcąc sprzeniewierzyć się swoim zasadom mimo marnej klimatyzacji. Był starszym, doświadczonym posłem i przewodniczącym parlamentarnej komisji obrony. Osobą, z której słowami się liczone.

– Czy mogę wrócić do kwestii poruszonej przez kilku moich szanownych kolegów, dotyczącej tych niepotrzebnych i niezwykle szkodliwych cięć? Czy lider Izby Gmin ma świadomość, jak głębokie emocje budzi ta sprawa wśród jego własnych zwolenników? – Jego gniew rósł, a w kącikach ust zbierały się białe kropelki śliny. – Czy ma pojęcie, jak bardzo zaszkodzi ona rządowi w nadchodzących miesiącach? Czy da Izbie czas, choćby teraz, na debatę i uchylene tej decyzji? W przeciwnym razie wyda rząd na pastwę oskarżeń

o działanie w złej wierze, wobec których ten będzie bezbronny, tak jak kraj będzie bezbronny wobec złych przyjaciół!

Gromkie okrzyki poparcia rozległy się ze wszystkich stron, oprócz przednich ław, na których siedzieli członkowie rządu. Lider Izby Gmin, Simon Lloyd, wyprostował się i raz jeszcze przygotował na podejście do mównicy. Zaczynał myśleć, że powinna być zbudowana z worków z piaskiem. Był solidnym człowiekiem, który mógł wiele wytrzymać, ale od dwudziestu minut trwał tu istny kocioł, a on zaczynał się denerwować, czując, że odpowiedź, którą wcześniej przygotował, coraz słabiej chroni go przed granatami rzucanymi w niego przez jego własną stronę. Cieszył się, że premier i minister obrony siedzą koło niego w pierwszym rządzie. Dlaczego miałby cierpieć sam? Przeszł z nogi na nogę, tak jak jego polemika przeskakiwała z tematu na temat.

– Mój szanowny kolega nie rozumie istoty sprawy. Opublikowany w gazetach dokument był wykradzioną własnością rządu. Wykradzioną! I ta kwestia ma zdecydowanie większe znaczenie niż szczegóły samego tego dokumentu. Jeśli ma się odbyć debata, to powinna dotyczyć tego rażącego naruszenia zasad. Pan poseł jest człowiekiem zarówno honorowym, jak i doświadczonym, i szczerze mówiąc, spodziewałbym się, że mnie tu poprze, potępiając z całą mocą kradzież ważnych dokumentów rządowych. Musi zdawać sobie sprawę, że uparcie wracając do treści tego dokumentu, de facto usprawiedliwia pospolitą kradzież.

Brzmiało to dobrze – przez chwilę, dopóki sir Jasper nie wstał, żeby poprosić o pozwolenie na ponowne zabranie głosu w tej sprawie. Normalnie by go nie dostał, ale okoliczności nie były normalne. Wśród powiewających w całej sali list zapytań poselskich, którymi machali

posłowie, przewodniczący przyznał mu głos. Stary żołnierz wyprostował się jak struna, zjeżył wąs i nadał policzki, poczerwieniałe z autentycznej złości.

– To mój szanowny kolega lider nie rozumie istoty sprawy! – zagrzemiał. – Czy nie pojmuję, że wolałbym żyć obok pospolitego brytyjskiego złodzieja niż pospolitego rosyjskiego żołnierza? A właśnie takim losem grozi nam prowadzona przez niego polityka!

Wybuchł rwetes, którego uspokojenie zajęło przewodniczącemu pełną minutę. W tym czasie lider Izby odwrócił się i rzucił premierowi oraz ministrowi obrony spojrzenie pełne czystej desperacji. Pochylili się do siebie, poszeptali, aż Collingridge skinął krótko głową liderowi Izby. Ten jeszcze raz podniósł się z miejsca.

– Panie przewodniczący... – zaczął i urwał, żeby odchrząknąć, bo gardło miał wysuszone na wiór. – Panie przewodniczący, moi szanowni koledzy członkowie gabinetu i ja wysłuchaliśmy uważnie głosów Wysokiej Izby. Za pozwoleniem premiera oraz ministra obrony oświadczam, że w świetle skarg padających dziś ze wszystkich stron rząd jeszcze raz rozpatrzy tę istotną kwestię, aby sprawdzić...

Co takiego chciał sprawdzać, innych wydawało się niewiele obchodzić. Słowa lidera utonęły w potwornej wrzawie. Rząd wywiesił białą flagę. Koledzy poklepywali sir Jaspersa po plecach, opozycja wznosiła szydercze okrzyki, sprawozdawcy parlamentarni gryzmolili w notesach. Wśród ogólnego rwetesu i zamętu Henry Collingridge siedział samotnie, opuszczony i jakby skurczony, gapiąc się na swoje skarpetki.

– Ugotowany, nie sądzisz? Przerobiony na kebab, usmażony na chrupko – obwieścił Manny Goodchild z PA, kiedy Mattie przepchnęła się przez tłum kłębiący się przed salą obrad. Nie zatrzymała się.

W każdym kącie trwały dyskusje: postowie opozycji triumfowali, przypisując sobie zwycięstwo, natomiast członkowie partii rządzącej ze znacznie mniejszym przekonaniem argumentowali, że wygrał zdrowy rozsądek. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że widzieli premiera na mękach.

Mattie ścigała swoją zwierzynę. Dojrzała górującą nad ciżbą wysoką postać Urquharta, który oddalał się z kamienną twarzą, unikając pytań kilku wzburzonych posłów. Zniknął w pobliskich drzwiach. Mattie popędziła za nim. Zobaczyła, jak wbiega, przeskakując po dwa stopnie, po marmurowych schodach prowadzących na górną galerię.

– Panie Urquhart! – zawołała zdyszonym głosem w ślad za uciekającym rzecznikiem. – Proszę! Muszę poznać pana opinię.

– Nie jestem pewien, czy mam dziś jakąś, panno Storin – rzucił Urquhart przez ramię, nie przystając.

– Chyba nie wracamy do gry pod tytułem „Rzecznik dyscypliny nie chce poprzeć premiera”?

Nagle Urquhart zatrzymał się i odwrócił, stając twarzą w twarz ze zdyszaną Mattie. Oczy mu płonęły. Nie wskazywały na dobry humor.

– Tak, Mattie, myślę, że masz prawo czegoś oczekiwać. No, to co o tym sądzisz?

– Ugotowany. Taka jest oficjalna opinia. Jeśli wcześniej Collingridge’owi palił się grunt pod nogami, to teraz płomienie sięgną mu do bardziej wrażliwych części anatomii.

– Owszem, można tak powiedzieć. Premier musi czasem zrzucić szaty, oczywiście. Ale żeby dać je z siebie zerwać tak publicznie...

Mattie na próżno czekała na dokończenie zdania. Urquhart nie miał zamiaru potępić premiera, nie tak otwarcie, tu, na schodach.

Jednak chociaż słowa potępienia nie padły, nie było też żadnej próby usprawiedliwienia.

– Ale to drugi duży przeciek w ciągu kilku tygodni. Skąd się biorą?

Wpatrywał się w nią z tą jastrzębią drapieżnością, która tak ją fascynowała i może odrobinę przerażała.

– Jako rzecznik dyscypliny klubowej jestem odpowiedzialny jedynie za dyscyplinę wśród posłów partii rządzącej. Trudno ode mnie oczekiwać, że będę też pilnował kolegów z gabinetu jak dyrektor uczniów.

Mattie omal się nie zachłysnęła:

– To robota kogoś z gabinetu?

– Czyżbym coś takiego powiedział? – Uniósł brew.

– Ale kogo? I dlaczego?

Przysunął się bliżej.

– Proszę, przejrzałaś mnie na wylot, panno Mattie Storin. – Śmiał się z niej teraz i stał tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała. – W odpowiedzi na twoje pytanie: po prostu nie wiem – ciągnął. – Ale niewątpliwie premier każe mi się dowiedzieć.

– Oficjalnie czy nieoficjalnie?

– Chyba już dosyć powiedziałem – odparł i ruszył po schodach w górę.

Ale Mattie nie dała się spławić.

– Fascynujące. Dziękuję. Oczywiście rozmawiamy anonimowo.

– Przecież nic ci nie powiedziałem.

– Premier ma zamiar wszcząć dochodzenie, aby dowiedzieć się, który z jego kolegów ministrów ujawnia poufne informacje.

Zatrzymał się ponownie, odwrócił.

– Och, Mattie, nie mogę tego w żaden sposób skomentować. Ale jesteś o wiele bardziej przenikliwa od większości swoich niezbyt inteligentnych kolegów po fachu. Wydaje mi się, że to raczej twoje logiczne rozumowanie, a nie moje słowa, doprowadziły cię do tych wniosków.

– Nie chciałabym wpędzić pana w kłopoty.

– Ależ, Mattie, myślę, że właśnie dokładnie tego byś chciała. – Droczył się z nią, niemal flirtował.

Odwzajemniła jego spojrzenie i odparła tylko trochę głośniejszym szeptem:

– Pan wie znacznie więcej o kłopotach ode mnie. Znajdzie pan we mnie chętną uczennicę.

Nie była właściwie pewna, dlaczego to powiedziała. Powinna oblać się rumieńcem, ale nic takiego nie nastąpiło. On powinien zbyć tę aluzję, ale jakby przytrzymał ją wzrokiem, delektował się nią.

Nagle złapała go za rękaw.

– Jeśli mamy razem coś zbroić, musimy nauczyć się sobie ufać, więc ustalmy jedną rzecz. Nie zaprzecza pan, że premier zarządzi dochodzenie w kwestii postępowania członków gabinetu. A nie zaprzeczając, pan to potwierdza.

Tym razem to on zniżył głos.

– Można by tak powiedzieć, Mattie. Ale nie mogę tego skomentować.

– Taki tekst zamierzam napisać. Jeśli niesłusznie, błagam, niech mnie pan natychmiast powstrzyma.

Mocniej ścisnęła go za ramię. Przykrył jej dłoń swoją.

– Powstrzymać cię, Mattie? Przecież dopiero zaczęliśmy.

Rozdział 12

Życie na długoterminowo w kredycie, indyjskim żarciu i angielskich chłopcach raczej na długo człowieka nie zado woli. Ale z tych trzech rzeczy polecałbym długoterminowo w kredyt.

„Coś zbroić. Czy właśnie to zamierzam zrobić? Tak, najprawdopodobniej” – stwierdził Urquhart, wspinając się dalej po schodach. Oparł się o ścianę i głośno roześmiał, ku konsternacji dwóch mijających go kolegów, którzy przemknęli obok, kręcąc głowami. Wreszcie dotarł na galerię dla publiczności, gdzie zwykli obywatele wciskają się w rzędy wąskich ławek, żeby oglądać toczące się w dole obrady Izby. Poszukał wzrokiem drobnego i nienagannie ubranego hinduskiego dżentelmena, któremu załatwił miejsce na galerii, i dał mu znak, żeby podszedł. Hindus z trudem wygramolił się z ciasnych, zatłoczonych ław, zahaczając po drodze o kolana innych widzów i mamrocząc niemal bezgłośnie przeprosiny, aż stanął przed Urquhartem. Ten gestem nakazał mu milczenie i wyprowadził na niewielki korytarz za galerią.

– Panie Urquhart, sir, było to niezwykle fascynujące i bardzo pouczające półtorej godziny. Jestem panu niezmiernie zobowiązany za pomoc w uzyskaniu tak wygodnego miejsca. – W akcencie gościa pobrzmiwały wyraźne echa subkontynentu, a mówiąc, poruszał miarowo głową na boki w zmanierowany, charakterystyczny dla Hindusów sposób.

Urquhart wiedział, że to banialuki, bo nawet dla dżentelmena tak drobnej postury jak Firdaus Jhabwala siedzenia na galerii musiały być

wyjatkowo niewygodne, ale skinął z wdzięcznością głową. Prowadzili uprzejmą pogawędkę, czekając na wydanie Jhabwali z depozytu jego teczki dyplomatki z czarnej skóry. Początkowo stanowczo odmówił oddania jej w obce ręce, przekonało go dopiero stwierdzenie, że nie zostanie wpuszczony na galerię, jeśli nie zdeponuje teczki u ochrony.

– Bardzo się cieszę, że my, Brytyjczycy, nadal możemy z pełnym zaufaniem powierzyć nasz dobytek zwykłemu człowiekowi pracy – stwierdził bardzo poważnym tonem, poklepując teczkę.

– W rzeczy samej – odparł Urquhart, który nie miał zaufania ani do zwykłego człowieka pracy, ani do Jhabwali. Ten ostatni był jednak wyborcą, który prowadził różne kwitnące lokalne biznesy i ofiarował pięćset funtów na jego kampanię, nie prosząc w zamian o nic poza osobistym spotkaniem w Izbie Gmin. „Nie w okręgu – wyjaśnił sekretarce Urquharta przez telefon. – Ta sprawa ma wymiar ogólnokrajowy, a nie lokalny”.

Pięćset funtów za poczęstowanie herbatą wydawało się okazijną ceną. Idąc przodem, Urquhart oprowadził gościa po największych atrakcjach – wspaniałe mozaiki Pugina w Central Lobby, freski w kaplicy św. Stefana, sklepiony dębowy sufit Westminster Hall, tak wysoki i ciemny, że niemal ginął z pola widzenia. Te krokwie miały tysiąc lat, były najstarszą częścią pałacu. To tutaj Jhabwala poprosił o krótki przystanek.

– Byłbym wdzięczny za chwilę ciszy w tym miejscu, w którym skazano króla Karola i wystawiono na widok publiczny trumnę Winstona Churchilla.

Rzecznik dyscypliny uniósł ze zdziwieniem brew.

– Panie Urquhart, proszę nie myśleć, że jestem pretensjonalny – powiedział z naciskiem Hindus. – Moja rodzina jest związana

z brytyjskimi instytucjami od niemal dwustu pięćdziesięciu lat, od czasów Kompanii Wschodnioindyjskiej i lorda Clive'a, któremu moi przodkowie doradzali i pożyczali znaczące środki. Zarówno przedtem, jak i potem, moja rodzina zajmowała prestiżowe stanowiska w indyjskim sądownictwie i administracji. – Słysząc w tym było wyraźną dumę, ale nawet wypowiadając te słowa swoim szczebiotliwym głosem, Jhabwala spuścił ze smutkiem wzrok. – Jednak od odzyskania niepodległości, panie Urquhart, ten niegdyś wielki subkontynent powoli wkracza w mroczny okres. Współczesna dynastia Gandhich pokazała, że jest znacznie bardziej skorumpowana od wszystkich, którym moja rodzina służyła w czasach kolonialnych. Jestem parsem, a więc należę do mniejszości, która zaznała niewiele dobrego od nowych władz. Dlatego przeprowadziłem się do Wielkiej Brytanii. Drogi panie Urquhart, proszę mi wierzyć, że czuję się częścią tego kraju i tej kultury w znacznie większym stopniu niż współczesnych Indii. Codziennie budzę się wdzięczny, że mogę nazywać siebie obywatelem brytyjskim i kształcić moje dzieci na brytyjskich uniwersytetach.

– To bardzo... wzruszające – odparł Urquhart, który nigdy nie odnosił się ze szczególnym entuzjazmem do cudzoziemców zajmujących miejsca na brytyjskich uczelniach, czemu kilkakrotnie dał wyraz publicznie. Poprowadził gościa dalej, do pokoi konferencyjnych znajdujących się poniżej Westminster Hall. Szli, stukając butami o wytarte kamienne płyty, a promienie słońca wpadały ukosem przez wiekowe okna, układając się w świetliste stopnie, schodzące aż do podłogi.

– A czym dokładnie pan się zajmuje, panie Jhabwala? – spytał Urquhart z wahaniem, bojąc się, że czeka go kolejny monolog.

- Ja, proszę pana, jestem handlowcem, nie człowiekiem wykształconym jak moi synowie. Wszelką nadzieję na edukację porzuciłem podczas zawieruchy odzyskiwania niepodległości. Musiałem więc dawać sobie radę nie dzięki umysłowi, ale zapalowi i ciężkiej pracy. Mogę z radością powiedzieć, że odniosłem pewien sukces.

- O jakiego rodzaju handlu pan mówi?

- Prowadzę różne interesy, panie Urquhart. Nieruchomości. Hurt. Lokalne finanse. Ale nie jestem ograniczonym kapitalistą. W pełni zdaję sobie sprawę z moich obowiązków wobec społeczeństwa. Właśnie o tym chciałbym z panem porozmawiać.

Dotarli do pokoju konferencyjnego i na zaproszenie Urquharta Jhabwala usiadł na jednym z zielonych krzeseł, przeciągając z zachwytem palcami po złotej opuszczonej kracie – heraldycznym symbolu pałacu i parlamentu – wytłoczonej na skórzanym oparciu.

- Zatem, panie Jhabwala, jak mogę panu pomóc? – zaczął Urquhart.

- Ależ nie, drogi panie Urquhart, to ja chciałbym pomóc panu.

Rzecznik zmarszczył czoło, zbity z tropu.

- Panie Urquhart, nie urodziłem się w tym kraju. To oznacza, że z konieczności muszę szczególnie ciężko pracować, żeby zyskać szacunek w społeczeństwie. A więc próbuję. Lokalny Klub Rotariański, różne organizacje charytatywne. I, jak pan wie, z pełnym entuzjazmem popieram premiera.

- Obawiam się, że dziś po południu nie widział go pan w najlepszej formie.

- Dlatego podejrzewam, że potrzebuje przyjaciół i zwolenników bardziej niż kiedykolwiek – oświadczył Jhabwala, klepiąc dłonią

skórzaną teczkę, leżącą przed nim na stole.

Zmarszczka na czole Urquharta się pogłębiła, kiedy rzecznik usiłował rozszyfrować znaczenie uwag swojego gościa i kierunek, w jakim ten zmierzał.

– Panie Urquhart. Wie pan, że darzę pana ogromnym podziwem.

– Ta-a-a-k – odparł ostrożnie Urquhart.

– Z chęcią skromnie wspomogłem pańską kampanię wyborczą i z radością uczynię to ponownie. Dla pana, panie Urquhart. I dla naszego premiera!

– Chciałby pan... wpłacić... darowiznę?

Głowa Hindusa znów zaczęła się kiwać na boki. Urquharta wprowadziło to w konsternację.

– Kampanie wyborcze muszą być bardzo kosztowne, drogi panie Urquhart. Zastanawiam się, czy wolno by mi było ofiarować niewielki datek. Aby uzupełnić szkatułę?

Jeśli chodzi o darowizny od cudzoziemców, dla Urquharta było to stąpanie po grząskim gruncie. Takie sprawy wielokrotnie wpędzały polityków w kłopoty, czasem nawet do więzienia.

– Cóż, jestem pewien, że... Jak sam pan mówi, takie rzeczy są kosztowne... Chyba moglibyśmy... – Na litość boską, Urquhart, weź się w garść! – Panie Jhabwala, czy mógłbym spytać, o jakiej kwocie pan myślał?

W odpowiedzi Jhabwala pokręcił zamkiem szyfrowym swojej teczki i pstryknął dwoma mosiężnymi zapieczętowanymi. Wieko odskoczyło, a gość odwrócił teczkę, prezentując Urquhartowi zawartość.

– Czy pięćdziesiąt tysięcy funtów będzie wystarczającym gestem poparcia?

Urquhart oparł się potężnej pokusie wzięcia jednego z plików banknotów do ręki i przeliczenia. Zauważył, że wszystkie pakiety składały się z używanych banknotów dwudziestofuntowych i były spięte gumkami recepturkami, a nie banderolami. Nie miał większych wątpliwości, że żaden z nich nie został oficjalnie zaksięgowany.

– To... niezwykle hojny gest, panie Jhabwala. Tak, z pewnością, jak mówię, niesłychanie hojny. Ale... to trochę niespotykane, żeby tak duża darowizna na rzecz partii była wpłacana... w gotówce.

– Drogi panie Urquhart, proszę zrozumieć, że podczas wojny domowej w Indiach moja rodzina straciła wszystko. Nasz dom i firma zostały zniszczone, a my ledwie uszliśmy z życiem. Motłoch spalił nasz lokalny bank do gołej ziemi, ze wszystkimi depozytami i archiwami. Centrala banku oczywiście przepraszała, ale bez dokumentów mogli zaoferować mojemu ojcu tylko wyrazy ubolewania zamiast środków, które u nich zdeponował. Wiem, że mogę się w tym wydać nieco staroświecki, ale nadal wolę ufać raczej kasie w gotówce niż kasjerom.

Biznesmen błysnął zębami w uspokajającym uśmiechu. Urquhart był przekonany, że zawartość teczki oznacza kłopoty. Wziął głęboki wdech.

– Mogę być z panem szczery, panie Jhabwala?

– Ależ oczywiście.

– Niektórzy darczyńcy, którzy ofiarowują nam datki po raz pierwszy, czasem wierzą, że partia może coś dla nich zrobić, podczas gdy w rzeczywistości nasze możliwości są bardzo ograniczone...

Jhabwala skinął ze zrozumieniem głową, jednocześnie nie przerywając kiwania nią na boki.

– Nie chcę niczego poza pokazaniem mojego mocnego poparcia dla premiera. I dla pana, panie Urquhart. Jako poseł z naszego okręgu

rozumie pan zapewne, że z racji prowadzonych interesów czasem wchodzę w jak najbardziej przyjacielskie kontakty z miejscowymi władzami, w takich kwestiach jak pozwolenia na budowę czy przetargi. Mogę w którymś momencie poprosić pana o radę, ale zapewniam, że nie chodzi mi o żadne przysługi. Nie chcę nic w zamian. Absolutnie nic, nie, nie! Może tylko z wyjątkiem takiej prośby, że chcielibyśmy z żoną dostąpić zaszczytu spotkania z premierem w jakimś dogodnym momencie, zwłaszcza gdyby miał kiedyś przyjechać do naszego okręgu. Czy to byłoby do przyjęcia? Dla mojej żony to by wiele znaczyło.

Pięć stów za herbatę, pięćdziesiąt tysięcy za zdjęcie. Hojny kontrahent.

– Jestem pewien, że to da się załatwić. Może chciałby pan wraz z małżonką przyjść kiedyś na przyjęcie na Downing Street?

– To byłby oczywiście zaszczyt i może także okazja do zamienienia z nim kilku słów na osobności, aby wyrazić mój ogromny entuzjazm i podziw.

A zatem chodzi o coś więcej niż tylko zdjęcie, ale tego należało się spodziewać.

– Rozumie pan, że sam premier osobiście nie mógłby przyjąć od pana darowizny. Byłoby to, jakby to ująć? Niedelikatne z jego strony, gdyby wdawał się w takie sprawy.

– Oczywiście, oczywiście, panie Urquhart. Dlatego chcę, żeby pan przyjął pieniądze w jego imieniu.

– Obawiam się, że mogę dać panu tylko najprostsze pokwitowanie. Może byłoby lepiej, gdyby dostarczył pan pieniądze bezpośrednio skarbnikom partii.

Jhabwala zamachał z przerażeniem rękami.

– Panie Urquhart, sir, nie potrzebuję pokwitowania. Nie od pana. Pan jest moim przyjacielem. Pozwoliłem sobie wygrawerować na tej teczce pańskie inicjały. Proszę spojrzeć. – Stuknął opuszką palca w złote drukowane litery FU. – To taki drobny gest, który, jak mam nadzieję, przyjmie pan w dowód wdzięczności za pana wspaniałą robotę w Surrey.

„Ty cwany, przymilny sukinsynu” – pomyślał Urquhart, przez cały czas odwzajemniając szeroki uśmiech Jhabwali i zastanawiając się, jak długo będzie musiał czekać na pierwszy telefon dotyczący pozwolenia na budowę. Powinien był wyrzucić Hindusa na zbity pysk, ale zamiast tego serdecznie uściśnął mu dłoń. W głowie kłuł mu się pewien pomysł. Ten człowiek i jego pieniądze z pewnością oznaczały kłopoty, co do tego nie było już żadnych wątpliwości. Pytanie brzmiało: kłopoty dla kogo?

Rozdział 13

Westminster był kiedyś nadziemnym bagnem. Osuszono je, zbudowano pałac i wspaniałe opactwo, wypełniono szlachetną architekturą i nienasyconą ambicją. Ale w gruncie rzeczy to nadal bagno.

Piątek, 23 lipca

Praed Street, Paddington. Obskurny kiosk na ulicy, która za dnia była skromna, a nocą, zdaniem miejscowej policji, o wiele zbyt ambitna. Młoda czarnoskóra kobieta z wahaniem przystanęła na chodniku, odetchnęła powietrzem zachodniego Londynu i weszła do środka. Za kratą i brudnymi szybami wewnątrz było ciemne i stęchłe. Sprzedawca, tęgi Włoch w średnim wieku, w obcisłej koszulce i z papierosem przyklejonym w kąciку ust, siedział pochylony nad jakimś pisemkiem, takim ze znikomą ilością słów. Niechętnie podniósł wzrok. Kobieta zapytała o koszt usługi zapewniającej adres korespondencyjny, którą reklamował na wiszącej w oknie kartce. Jak wyjaśniła, jej znajomy potrzebuje zaufanego adresu, pod który przychodziłaby część jego prywatnej korespondencji. Sprzedawca zmiotł dłonią popiół z papierosa, który strząsnął wcześniej na ladę.

– Ten pani znajomy jakoś się nazywa?

W odpowiedzi przesunęła w jego stronę kopię starego rachunku za prąd.

– Żadnego kredytu. Pracuję tylko z gotówką.

– Ja też – odparła.

Uśmiechnął się oblesnie mięsistymi wargami.

– A zniżki dajesz?

Popatrzyła na jego brzuch wylewający się spod koszulki.

– Ciebie musiałabym skasować podwójnie.

Uniósł wargę w szyderczym uśmiešku, nagryzmolił coś na kartce. Kobieta zapłaciła za minimalny wymagany okres trzech miesięcy, włożyła do torebki pokwitowanie, które będzie potrzebne do odbioru poczty, i wyszła. Sprzedawca gapił się na jej oddalający się delikatnie zaokrąglony tyłek, aż kontemplację przerwała mu jakaś emerytka, skarżąca się na brak swojej porannej gazety. Nie widział, jak młoda kobieta wsiada do czekającej na zewnątrz taksówki.

– W porządku, Pen? – zapytał O'Neill, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi i usadowiła się obok niego na siedzeniu.

– Bez problemów, Rog – odparła jego asystentka. – Ale dlaczego sam nie mógł tego załatwić, do cholery?

– Przecież ci mówiłem. Musi rozwiązać jakieś delikatne sprawy osobiste i potrzebuje zaufanego adresu, na który będzie przychodzić jego poczta. Świńskie pisemka, z tego, co wiem. Dlatego żadnych pytań i w ogóle nikomu ani słowa. Okej?

O'Neill był rozdrażniony, czuł się nieswojo. Urquhart zobowiązał go do zachowania tajemnicy, więc prawdopodobnie byłby wściekły, gdyby odkrył, że O'Neill przekroczył ustalone granice i zepchnął swoją brudną robotę na Penny Guy. Roger wiedział jednak, że może jej ufać. Poza tym nie podobało mu się, że Urquhart traktuje go jak chłopca na posyłki i sprawia, że czuje się śmiesznie mało znaczącym knypkiem.

Kiedy taksówka ruszyła, opadł na oparcie siedzenia i zaczął przebierać nerwowo palcami w kieszeni, aż natrafił na małą plastikową torebeczkę. To go wkrótce uspokoi. Sprawdzi, że znów poczuje się sobą.

Upał przybierał na sile, kiedy mężczyzna w sportowej marynarce i kapeluszu z wąskim rondem wkroczył do oddziału Union Bank of

Turkey przy Seven Sisters Road. Przedstawił się cypryjskiemu kasjerowi i zapytał o otwarcie konta. Oczy miał ukryte za przyciemnianymi okularami i mówił z lekkim, ale wyczuwalnym regionalnym akcentem, którego kasjer nie potrafił umiejscowić.

Już po kilku minutach zjawił się kierownik i potencjalny nowy klient został zaprowadzony do cichego azylu, w którym nikt im nie przeszkadzał. Wymienili uprzejmości, po czym przybysz wyjaśnił, że mieszka w Kenii, ale przyjechał na kilka miesięcy do Wielkiej Brytanii, żeby rozszerzyć swój portfel nieruchomości wypoczynkowych. Chce zainwestować w hotel, który buduje się na obrzeżach tureckiego kurortu Antalya, na południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Kierownik odparł, że nie zna Antalyi osobiście, ale słyszał, że to piękne miejsce. Oczywiście bank z przyjemnością będzie służyć wszelką pomocą. Zaprezentował potencjalnemu klientowi prosty formularz rejestracyjny, w którym trzeba było wpisać między innymi nazwisko, adres i dane poprzedniego banku, aby uzyskać z niego opinię o kliencie. Ten przeprosił, że może jedynie podać dane banku w Kenii, ale, jak tłumaczył, to jego pierwszy pobyt w Londynie od prawie dwudziestu lat. Kierownik zapewnił, że bank jest jak najbardziej przyzwyczajony do uzyskiwania informacji z zagranicy, a kontakt z placówką z Kenii nie stanowi szczególnego problemu.

Klient się uśmiechnął. Wiedział, że system działa według własnych kaprysów. Sprawdzenie danych potrwa co najmniej cztery tygodnie, a prawdopodobnie miną kolejne cztery, zanim zostanie ustalone, że są to dane fałszywe. Dość czasu na realizację jego zamiarów.

– A w jaki sposób chciałby pan otworzyć konto, sir? – zapytał kierownik.

Klient rozpiął podręczną torbę z brązowego sztruksu i postawił ją między nimi na stole.

– Chciałbym wpłacić początkowy depozyt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów – gotówką.

– Ależ oczywiście... – odparł kierownik, usiłując ukryć zachwyty.

Francis Urquhart odchylił się na krzesło i, nie zdejmując okularów, potarł oczy. Szkła były stare, nienoszone od lat, co najmniej o dwie recepty za słabe w stosunku do jego aktualnych soczewek kontaktowych, więc oczy zaczynały go boleć. Proste przebranie, ale uznał, że aż nadto wystarczy, żeby uniknąć rozpoznania przez kogokolwiek poza jego najbliższymi współpracownikami. Była jednak pewna korzyść z bycia najbardziej anonimowym członkiem rządu Jej Królewskiej Mości.

Kiedy Urquhart podpisywał niezbędne formularze nieczytelnymi gryzmołami, kierownik skończył przeliczać pieniądze i zaczął wypisywać pokwitowanie. „Banki są jak hydraulicy – pomyślał Urquhart – gotówka do ręki i nikt o nic nie pyta”.

– Jeszcze jedna rzecz – odezwał się Urquhart.

– Ależ oczywiście.

– Nie chcę, żeby pieniądze leżały odłogiem na rachunku bieżącym. Chciałbym, żebyście kupili dla mnie trochę akcji. Może pan to załatwić?

Kierownik z zachwytem kiwał głową. Większa prowizja.

– Proszę kupić dwadzieścia tysięcy akcji zwykłych Renox Chemical Company S.A. Chodzą w tej chwili po nieco ponad dwieście czterdzieści pensów za sztukę, jak sądzę.

Kierownik spojrział na ekran komputera i zapewnił klienta, że jego zamówienie zostanie zrealizowane jeszcze dziś przed godziną

szesnastą, co będzie kosztować 49 288 funtów i 40 pensów, łącznie z opłatą skarbową i prowizjami maklerskimi. Na nowym koncie zostanie więc dokładnie 711 funtów i 60 pensów. Urquhart złożył zamaszty, i tak samo jak wcześniej nieczytelny, podpis pod jeszcze kilkoma formularzami.

Kierownik uśmiechnął się, podsuwając swojemu nowemu klientowi pokwitowanie.

– To wielka przyjemność robić z panem interesy, panie Collingridge.

Poniedziałek, 26 lipca – środa, 28 lipca

Koniec kadencji. Ostatni tydzień przed przerwą wakacyjną. I fala upałów. Wielu posłów już porzuciło Westminster, a ci, którzy zostali na stanowiskach, byli roztargnieni i niecierpliwi. Przetrawianie trzydziestostopniowych upałów w budynku, w którym klimatyzacja sprowadzała się do otwarcia okna i wachlowania się listą zapytań poselskich, było męczarnią. Wkrótce jednak miało być po wszystkim. Jeszcze tylko siedemdziesiąt dwie godziny utarczek.

Rządowi nie przeszkadzała ta atmosfera rozprężenia. Dokumentacja wykaże, że przynajmniej oni wytrwali na stanowiskach, produkując całe tomy odpowiedzi pisemnych i komunikatów prasowych, podczas gdy inni opadli z sił. Szczególnie wdzięczni za panującą duchotę, odwracającą uwagę od innych kwestii, byli urzędnicy ministerstwa zdrowia, gdyż wiele z przygotowywanych przez nich odpowiedzi pisemnych dotyczyło zawieszenia programu rozwoju szpitali. Dzięki przeciekowi i tak już wszyscy o tym wiedzieli, ale teraz, kiedy sprawie nadano oficjalny bieg, mogli przynajmniej pokazać się w świetle dziennym i nie chować się po kątach za każdym razem, kiedy ktoś o to zapytał.

Ministerstwo miało też inne pilne kwestie, którymi należało się zająć. Kolejki do szpitali. Komunikat prasowy w sprawie ostatniej epidemii świnki w Walii oraz rutynowe oświadczenie dotyczące trzech nowych leków, które rząd, zgodnie z opinią swojego głównego doradcy medycznego oraz Komisji do spraw Bezpieczeństwa Leków, dopuszczał do ogólnego obrotu. Jednym z tych preparatów był Cybernox, nowy lek opracowany przez Renox Chemical Company S.A., który okazał się zaskakująco skuteczny w zwalczaniu głodu nikotynowego u uzależnionych szczurów i psów rasy beagle. Takie same znakomite rezultaty uzyskano podczas szeroko zakrojonych badań na ludziach, a teraz wszyscy zainteresowani będą mogli kupić ten specyfik w aptece na receptę.

Oświadczenie wywołało nagłe ożywienie w Renox Chemical. Na następny dzień zwołano konferencję prasową. Dyrektor marketingu kazał rozpocząć zaplanowane wcześniej rozsyłanie druków reklamowych do wszystkich lekarzy rodzinnych w kraju, a makler firmy poinformował giełdę o dopuszczeniu nowego farmaceutyku do obrotu.

Reakcja była natychmiastowa. Kurs akcji Rexon Chemical Company S.A. podskoczył z dwustu czterdziestu czterech do dwustu dziewięćdziesięciu pięciu pensów. Dwadzieścia tysięcy akcji zwykłych kupionych dwa dni wcześniej przez maklerów Union Bank of Turkey było teraz warte pięćdziesiąt dziewięć tysięcy funtów, plus minus trochę drobniaków.

Tuż przed południem następnego dnia kierownik tego banku odebrał telefon z poleceniem sprzedaży wszystkich akcji i wpłacenia całej sumy na odpowiednie konto. Rozmówca wyjaśnił także, że niestety inwestycja w Antalyi nie będzie realizowana, a posiadacz

konta wraca do Kenii. Czy bank będzie uprzejmy zamknąć ów rachunek? Wizyty wdzięcznego klienta może się spodziewać jeszcze tego popołudnia.

Kilka minut przed zamknięciem banku o piętnastej ten sam mężczyzna w kapeluszu, sportowej marynarce i przyciemnianych okularach wszedł do oddziału przy Seven Sisters Road. Zaproszono go do gabinetu kierownika, gdzie czekała herbata, ale odmówił. Przyglądał się, jak kierownik z asystentką wykładają na biurko pakiety banknotów dwudziestofuntowych na łączną sumę 58 250 funtów oraz 92 funty i 16 pensów w innych nominałach, po czym umieścił je wszystkie na dnie swojej brązowej, sztruksowej torby. Uniósł brwi na widok kwitu na siedemset czterdzieści dwa funty opłat, którymi bank obłożył jego krótko istniejące konto, ale, zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami kierownika, postanowił nie robić z tego sprawy. Poprosił o przesłanie mu wyciągu z konta na adres w Paddington i podziękował bankowcowi za uprzejmość.

Następnego dnia rano, niecały tydzień po spotkaniu Firdausa Jhabwali z Urquhartem, rzecznik dyscypliny dostarczył skarbnikowi partii pięćdziesiąt tysięcy funtów w gotówce. Wysokie wpłaty gotówkowe czasem się zdarzały, a skarbnik wyraził radość z powodu znalezienia nowego źródła finansowania. Urquhart zasugerował, żeby biuro skarbnika poczyniło odpowiednie kroki, by zapewnić darczyńcy i jego żonie zaproszenie na jedno czy dwa przyjęcia dobroczynne na Downing Street. Poprosił także, aby poinformowano go, kiedy to nastąpi, tak by mógł się umówić z sekretarzem politycznym premiera i zagwarantować państwu Jhabwalom dziesięć minut sam na sam z szefem rządu.

Skarbnik zanotował dokładnie adres darczyńcy, obiecał, że od razu napisze odpowiednio enigmatyczny list z podziękowaniem, i zamknął pieniądze w sejfie.

Jako jedyny z członków rządu Urquhart wyjechał tego wieczoru na wakacje całkowicie rozluźniony.

Część II

Przełożenie

Rozdział 14

Wygrałem kiedyś w szkole drugą nagrodę. Dostałem Biblię oprawioną w skórę. Wykaligrafowana po wewnętrznej stronie okładki dedykacja mówiła, że to nagroda za moje osiągnięcia. Jakie osiągnięcia? Drugie miejsce?

Przeczytałem tę Biblię od deski do deski. Zauważyłem, że święty Łukasz powiedział, iż powinniśmy wybaczać naszym wrogom. Przeczytałem wszystko, co jeszcze mówił, i słowa wszystkich świętych ewangelistów. Nigdzie żaden z nich nie wspomina o wybaczeniu naszym przyjaciołom.

Sierpień

Czas wytchnienia, spychania trosk na bok, czas letnich deszczy i świeżości, lodów, truskawek, lizaków i śmiechu, przypominania sobie tych wszystkich rzeczy, które powinny być treścią życia. Tyle że gazety w sierpniu były po prostu straszne.

Pod nieobecność polityków i głównych korespondentów politycznych drugoligowi sprawozdawcy parlamentarni usiłowali wypełnić próżnię i scementować swoją karierę. Podchwytywali więc każdy szept. To, co we wtorek było tylko mało znaczącą spekulacją na piątej stronie, do piątku czasem stawało się głównym newsem. Sierpniowi dziennikarze chcieli wyrobić sobie nazwisko i aż nazbyt często postanawiali tego dokonać, szargając nazwisko Henry'ego Collingridge'a. Gnijących w tylnych ławach posłów, zapomnianych przez Boga i ludzi, nagle zaszczycono istotnymi tekstami, w których nazywano ich „partyjną starszyzną”. Nowych określano jako „dobrze

się zapowiadających”. Wypowiedzi ich wszystkich obszernie cytowano, o ile tylko były pikantne i sprośne. Nie brakowało plotek o braku zaufania premiera do kolegów z gabinetu, podobnie jak doniesień o ich niezadowoleniu z niego. A ponieważ nie było nikogo, kto by tym plotkom autorytatywnie zaprzeczył, milczenie poczytywano za autorytatywną zgodę. Spekulacje karmiły się same sobą i pleniły jak szalone.

Tekst Mattie wywołał plotki o „oficjalnym dochodzeniu” w sprawie rządowych przecieków. Niedługo potem ewoluowały one w przewidywania mówiące, że jednak dojdzie do przetasowań na jesieni. Po Westminsterze rozeszły się wieści o tym, że Henry Collingridge coraz częściej traci nad sobą panowanie, mimo że spędzał wakacje w ustronnej, oddalonej o setki mil prywatnej posiadłości w okolicach Cannes.

To podczas tej sierpniowej kanikuły brat premiera także stał się bohaterem serii artykułów prasowych, głównie w rubrykach plotkarskich. Dziennikarze raz po raz zwracali się do Biura Prasowego Rządu na Downing Street z prośbą o skomentowanie sugestii, że premier ratuje „drogiego Charliego” przed coraz większym zainteresowaniem ze strony wierzycieli, z urzędem skarbowym włącznie. Oczywiście Biuro Prasowe nie chciało niczego takiego komentować – to sprawy osobiste, nie urzędowe – więc w relacjach medialnych odnotowywano oficjalne „bez komentarza”, którym biuro kwitowało najbardziej niestworzone oskarżenia, ale zwykle z dodatkiem aluzji i podtekstów, stawiających rządową odpowiedź w jak najgorszym świetle.

Sierpień ściślej powiązał premiera z jego nieśmierdzącym groszem bratem. Nie to, że Charlie mówił coś głupiego – miał dość rozsądku,

żeby trzymać się z daleka od prasy. Ale anonimowy telefon do jednej z żądnych sensacji niedzielnych gazet pomógł wytropić go w tanim hotelu na prowincji w Bordeaux. Wysłano tam reportera z misją spojenia młodszego Collingridge'a winem na tyle, by wydobyć z niego kilka klasycznych „charlizmów”, ale udało mu się tylko doprowadzić do tego, że Charlie zwymiotował gwałtownie na niego i jego notes, po czym padł na pysk. Reporter czym prędzej zapłacił jakiejś biuściastej dziewczynie pięćdziesiąt funtów, żeby nachyliła się nad śpiącym, a fotograf uwiecznił tę czułą chwilę dla potomności i jedenastu milionów czytelników gazety.

„»Jestem splukany i wycyckany« – mówi Charlie” – krzyczał nagłówek, zaś tekst pod zdjęciem podawał, że brat premiera został niemalże bez środków do życia i nie wytrzymuje presji nieudanego małżeństwa i sławnego brata. W takiej sytuacji reakcja Biura Prasowego – „absolutnie bez komentarza” – wydała się jeszcze bardziej nieczuła niż zwykle.

W następny weekend tę samą fotografię zamieszczono obok zdjęcia premiera wypoczywającego w komforcie na południu Francji – czyli, w oczach Anglików, rzut beretem od swojego niedomagającego brata. Wymowa była jasna: Henry'emu nie chciało się ruszyć znad basenu, żeby mu pomóc. O tym, że ta sama gazeta tydzień wcześniej donosiła, jak głęboko Henry jest zaplątany w rozwiązywanie problemów finansowych Charliego, najwyraźniej zapomniano – aż Biuro Prasowe Rządu zadzwoniło do naczelnego z pretensjami.

– A czego się spodziewacie, do cholery? – padła odpowiedź. – Zawsze pokazujemy obie strony medalu. Popieraliśmy go, mimo wszystkich wad, przez całą kampanię wyborczą. Teraz pora przywrócić równowagę.

Tak, gazety w sierpniu były straszne. Naprawdę potworne.

Wrzesień–październik

Sytuacja się pogorszyła. Na początku września lider opozycji oświadczył, że odchodzi, aby zrobić miejsce „silniejszej ręce, która będzie wysoko dzierżyć nasz sztandar”. Zawsze wyrażał się nieco zbyt rozwleknie i kwiecście, co zresztą było jednym z powodów, dla których został odsunięty – to i przegrane wyborów, rzecz jasna. Załatwili go młodszy koledzy z większą energią i większą ambicją, którzy skradali się po cichu, tak że zorientował się dopiero, kiedy było za późno. Ogłosił swój zamiar rezygnacji w pełnym emocji wywiadzie, udzielonym późnym wieczorem w jego okręgu w sercu Walii, ale do weekendu zdążył nieomal zmienić zdanie pod naciskiem swojej nadal niezmiernie ambitnej żony, dopóki nie odkrył, że nie może liczyć na ani jeden głos w gabinecie cieni. Kiedy już jednak odszedł, partyjni koledzy ze swadą chwalili swego upadłego przywódcę. Jego upadek zjednoczył partię skuteczniej niż wszystko, co udało mu się osiągnąć, kiedy piastował funkcję.

Pojawienie się nowego lidera politycznego zelektryzowało media i było prawdziwą uczką, kawałem surowego mięsa, w które mogły wbić zęby. Choć oczywiście ich to nie zaspokoilo. Zaostrzyło tylko ich apetyt. Jeden poleciał, pora na następnych?

Kiedy Mattie dostała wezwanie, żeby czym prędzej wracać do redakcji, siedziała z matką w kuchni starego kamiennego domu pod Catterick.

– Ale przecież dopiero co przyjechałaś, kochanie – zaprotestowała jej owdowiała matka.

– Nie poradzą sobie beze mnie – odparła Mattie.

To matkę trochę udobruchało.

– Tata byłby z ciebie taki dumny – westchnęła, podczas gdy Mattie zeszkrobywała zwęgloną warstwę z przypalonego tostu. – Na pewno nie chodzi o żadnego młodego człowieka, za którym tęsknisz? – dodała wesoło, z przekorą.

– O pracę, mammo.

– Ale... Nie spotkałaś w Londynie kogoś, kto wpadł ci w oko, nie było nic takiego? – naciskała matka, przyglądając się córce z ciekawością i stawiając przed nią talerz z jajkami na bekonie prosto z patelni. Mattie od swojego przyjazdu przed dwoma dniami była dziwnie małomówna. Coś się działo. – Tak się o ciebie martwiłam, kiedy zerwałaś z tym, jak mu tam...

– Tonym, mammo. On ma imię. Tony.

– Dla mnie nie ma, odkąd był na tyle głupi, żeby cię rzucić.

– To ja rzuciłam jego, mammo, przecież wiesz. – Nie był zły ten Tony, wręcz przeciwnie, ale nie miał ambicji, żeby jechać na południe, nawet z Mattie.

– No to jak? – mruknęła matka, wycierając ręce w kuchenną ścierkę. – Masz tam kogoś? W tym Londynie?

Mattie się nie odezwała. Gapiła się w okno, ignorowała śniadanie. Jej matce wystarczyło to za odpowiedź.

– Sam początek, co, kotuś? No, to dobrze. Wiesz, tak się bardzo martwiłam, jak pojechałaś do tego Londynu. Takie nieprzyjazne miasto samotników. Ale jeśli znalazłaś swój kawałek szczęścia, to wszystko w porządku. – Wsypała sobie łyżeczkę cukru do kubka z herbatą i zamieszała. – Może nie powinnam tego mówić, ale wiesz, co myślał twój tata. Nic by mu nie sprawiło większej przyjemności, niż tak siedzieć i patrzeć, jak sobie układasz życie.

– Wiem, mammo.

– Ma jakieś imię?

Mattie pokręciła głową.

– To nie tak, mamo.

Ale matka wiedziała lepiej, widziała to w twarzy córki, w jej nieobecny wzroku zdradzającym, że była myślami gdzieś indziej, w Londynie, odkąd tylko przyjechała. Położyła Mattie rękę na ramieniu.

– Wszystko w swoim czasie. Twój tata byłby z ciebie taki dumny, kotuś.

Czyżby? Mattie w to wątpiła. Dotknęła tylko rękawa tego mężczyzny, ale przez następne tygodnie chodziła jak zahipnotyzowana, nie mogła spać, podskakiwała na dźwięk dzwonka telefonu w nadziei, że to on. Myślała o nim tak, jak nie powinna myśleć o kimś, kto miał o trzy lata więcej, niż miałby jej ojciec, gdyby żył. Nie, tata nigdy by nie zrozumiał, a już na pewno nie pochwalił. Mattie też nie rozumiała. Dlatego nic nie powiedziała i zabrała się za stygnące śniadanie.

Rozdział 15

Kongresy partii mogą być świetną rozrywką. Przypominają gniazdo kukulek. Nic tylko rozsiaść się wygodnie i patrzeć, jak każdy usiłuje wypchnąć pozostałych.

Opozycja wybrała nowego lidera niedługo przed dorocznym kongresem partii na początku października. Proces wyłaniania następnego przywódcy najwyraźniej rozbudził działaczy, dał im nową nadzieję, wskrzeszenie i odkupienie, pięknie obwiązane czerwoną wstążeczką. Partia, która zebrała się na kongresie, w niczym nie przypominała tej hałastry, która zaledwie kilka miesięcy wcześniej przegrała wybory. Świętowali pod transparentem z równie wielkim, co prostym napisem: „Zwycięstwo”.

To, co działo się tydzień później, kiedy na swoim kongresie zebrało się stadko Collingridge’a, stanowiło zupełny kontrast. Centrum konferencyjne w Bournemouth wypełnione czterema tysiącami entuzjastycznych uczestników mogło napawać optymizmem, ale czegoś brakowało. Ducha. Ambicji. Jaj. Nagie ceglane ściany i chromowane sprzęty podkreślały tylko posępność zebranych.

Co stanowiło poważne wyzwanie dla O’Neilla. Jako dyrektor public relations został obarczony zadaniem przedstawienia kongresu w odpowiednim świetle i tchnięcia optymizmu w zebranych. Zamiast tego można było zobaczyć, jak z rosnącym zdenerwowaniem rozmawia z poszczególnymi przedstawicielami medialnego cyrku, jak przeprasza, usprawiedliwia, wyjaśnia – i obwinia. W szczególności, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, obwinał lorda Williama.

Przewodniczący obciął budżet, opóźniał decyzje, nie kontrolował sytuacji. Krążyły plotki, że nie chce robić szumu wokół kongresu, bo spodziewa się, że partyjni koledzy dadzą premierowi popalić. „Partia zwątpiła w przywództwo Collingridge’a” – brzmiał tytuł pierwszej relacji „Guardiana” z Bournemouth.

Debaty na sali przebiegały zgodnie ze sztywnym, ustalonym wcześniej harmonogramem. Nad trybuną wisiał ogromny napis: „Znaleźć właściwą drogę”. Wielu wydawał się dość ambiwalentny. Mówcy usiłowali się do niego zastosować, a na obrzeżach sali podniósł się rozpraszający uwagę zebranych gwar, nad którym porządkowi nie byli w stanie zapanować. Dziennikarze i politycy zbici w niewielkie grupki w barach kawowych i wydzielonych strefach odpoczynku mieszały herbatę i dawali upust niezadowoleniu. Przedstawiciele mediów zewsząd słyszeli narzekania. Byli posłowie, którzy teraz nie weszli do parlamentu, wyrażali swoją frustrację, chociaż większość prosiła, żeby ich nie cytować z obawy, że zaprzepaszczą szansę na walkę o bezpieczniejszy mandat w następnych wyborach. Jednak przewodniczący ich okręgowych organizacji partyjnych nie wykazywali takiej ostrożności. Nie tylko stracili swoich posłów, ale także mieli przed sobą kilka lat kontrolowania lokalnych samorządów przez opozycję, która będzie nominować burmistrza i przewodniczących komisji oraz dysponować owocami lokalnej władzy.

A jak to melancholijnie stwierdził jeden z poprzednich premierów, były jeszcze „wydarzenia, mój chłopcze, wydarzenia”, które nawet najtwardszych doprowadzą do rozpacz i rwania włosów z głowy. Jednym z najważniejszych wydarzeń tygodnia miały być wybory uzupełniające, przewidziane na czwartek. Poseł z Dorset East, sir

Anthony Jenkins, dostał udaru zaledwie cztery dni przed wyborami parlamentarnymi. Został wybrany, kiedy przebywał na intensywnej terapii, i pochowany w dniu, w którym powinien składać przysięgę wierności królowej. Dorset East będzie musiało stoczyć walkę od nowa. Partia rządząca miała w tym okręgu, położonym zaledwie kilka mil od Bournemouth, przewagę prawie dwudziestu tysięcy głosów, więc premier postanowił, że wybory uzupełniające odbędą się w tym samym tygodniu co kongres. Niektórzy to odradzali, ale on przekonywał, że w sumie ryzyko się opłaca. Szum wokół kongresu zapewni dobre tło kampanii, a wielu wyborców zagłosuje na rządowego kandydata na kanwie współczucia dla sir Anthony'ego („Nie ci, którzy znali tego dziada” – mruknął jego agent). Działacze pracujący przy kongresie mogliby zrobić sobie parę godzin wolnego i zabrać się do jakże potrzebnej agitacji w terenie, a kiedy zrealizują swoje zadanie i partia odniesie sukces, premier odczuje ogromną satysfakcję (i robi sobie reklamę tanim kosztem), mogąc powitać zwycięskiego kandydata podczas własnego przemówienia na kongresie. Był to jakiś plan. Z naciskiem na „jakiś”.

Jednak uczestnicy kongresu wracający autokarami z porannych wypraw w teren donosili o chłodnym przyjęciu i narzekaniach wyborców. Mandat zostanie utrzymany, oczywiście, co do tego nikt nie miał wątpliwości – był obsadzany przez partię od wojny – ale perspektywa miażdżącego zwycięstwa, którego domagał się Collingridge, zaczynała z każdym dniem coraz bardziej się oddalać.

Cholera. To będzie ciężki tydzień, a nie zwycięska feta, jaką zaplanowało kierownictwo partii.

Środa, 13 października

Mattie obudziła się z łupiącym bólem głowy. Wyjrzała przez okno na płachtę szarości zasnuwającą niebo. Od morza ciągnął zimny, mokry wiatr, który dokuczał mewom i szarpał jej oknem.

– Kolejny dzień w raju – mruknęła, odrzucając kołdrę.

Właściwie powinna być wdzięczna. Jako przedstawicielka poważnej, ogólnokrajowej gazety była jednym z niewielu szczęśliwców, którym zaproponowano pokój w hotelu służącym za kwaterę główną uczestników kongresu. Inni dziennikarze nocowali w bardziej odległych miejscach i do centrum kongresowego docierali przemoknięci do suchej nitki. Mattie należała jednak do garstki wybrańców, zakwaterowana w hotelu, w którym mogła swobodnie obracać się wśród polityków i urzędników partyjnych. Stąd właśnie jej ból głowy: poprzedniego wieczoru obracała się nieco zbyt swobodnie. Dwa razy dostała niedwuznaczną propozycję – najpierw od kolegi po fachu, a znacznie późniejszym wieczorem od jednego z ministrów, który kosza od Mattie powetował sobie przeniesieniem zainteresowania na pewną młodą kobietę z firmy PR-owej. Ostatnio widziano ich, jak oddalali się razem w kierunku parkingu.

Mattie nie była w tych sprawach pruderyjna. Ona i inni dziennikarze specjalnie podlewali polityków alkoholem, co miało swoją cenę, kiedy piec się przegrzał. Politykowi, którzy przychodził do baru, chodziło zazwyczaj o jedną z dwóch rzeczy – seks albo oczernienie kogoś – więc takie spotkania były dla Mattie wspaniałą okazją do posłuchania plotek. Największy problem stanowiło to, ile z tych urywków jej odurzony umysł będzie w stanie rano sklecić w całość. Wyciągnęła nogi, próbując pobudzić krążenie i nieśmiało zaczęła małą gimnastykę. Wszystkie mięśnie krzyczały, że to kiepski sposób na leczenie kaca, więc postawiła raczej na otwarte okno – które

to posunięcie natychmiast uznała za swoją drugą złą decyzję tego dnia. Niewielki hotel stał wysoko na klifie, co było idealnym miejscem, jeśli chciało się złapać trochę letniego słońca, ale nieprzyjemnie odsłoniętym w taki jesienny poranek, wśród chmur mknących po sztormowym niebie. Przegrzany pokój w kilka sekund zmienił się w lodówkę, więc Mattie postanowiła nie podejmować już żadnych decyzji, dopóki nie zje jakiegoś delikatnego śniadania.

Kiedy wyszła spod prysznic, usłyszała szuranie na korytarzu. Dostawa. Owinęła się ręcznikiem i podeszła do drzwi. Na wykładzinie w holu leżał stos porannych gazet – jej praca. Pozbierała je i rzuciła niedbale na łóżko. Kiedy rozsypały się chaotycznie po zmiętej pościeli, wysunęła się spomiędzy nich pojedyncza kartka i sfrunęła na podłogę. Mattie przetarła oczy, kiedy ją podnosiła, po czym uczyniła to ponownie. Poranne mgły rozwiewały się powoli. W końcu przeczytała tytuł na górze kartki: „Badanie opinii publicznej nr 40, 6 października”. Jeszcze wyraźniejszy był napis dużymi drukowanymi literami: TAJNE.

Usiadła na łóżku, jeszcze raz przetarła oczy, żeby mieć pewność, że nic się jej nie przywidziało. „Przecież nie zaczęli dawać takich wkładek do »Mirror«” – pomyślała. Wiedziała, że partia rządząca przeprowadza co tydzień sondaże opinii publicznej, ale te trafiały do ściśle ograniczonego grona odbiorców: członków gabinetu i garstki partyjnych prominentów. Przy rzadkich okazjach pokazywano jej kopie, ale tylko wtedy, gdy zawierały dobre wieści, które partia chciała trochę rozpropagować. W przeciwnym razie wyniki sondaży trzymano w ścisłej tajemnicy. W umyśle Mattie, który szybko odzyskiwał sprawność, natychmiast pojawiły się dwa pytania. Jakie dobre wieści

można znaleźć w najnowszym badaniu? I dlaczego dostarczono je zawinięte w gazety, jak porcję dorsza z frytkami?

Kiedy czytała dokument, ręka zaczęła jej drżeć z niedowierzania. Partia wygrała wybory przed kilkoma miesiącami, zgarniając czterdzieści trzy procent głosów. Teraz poparcie dla niej spadło do trzydziestu jeden procent i traciła całe czternaście procent do opozycji. Lawina i trzęsienie ziemi. Były jednak jeszcze gorsze wieści. Przerażliwie spadła popularność premiera. Był lata świetlne za nowym liderem opozycji. Mniej więcej tak popularny jak glista ludzka. Collingridge'a darzono większą antypatią niż jakiegokolwiek premiera od czasu Anthony'ego Edena, kiedy ten już oszalał.

Mattie poprawiła ręcznik, którym się obwiązała, i przykucnęła na łóżku. Nie musiała się już zastanawiać, dlaczego dostała te informacje. To była bomba, ona musiała tylko podpalić lont. Jeśli wybuchnie w trakcie kongresu partii, szkody, których narobi, będą katastrofalne. Był to celowy sabotaż i genialny materiał – jej materiał, o ile pierwsza o tym napisze.

Rzuciła się do telefonu i wykręciła numer.

– Co? – ziewnęła w słuchawkę zaspana kobieta.

– Dzień dobry, pani Preston? Tu Mattie Storin. Przepraszam, bardzo przepraszam, jeśli panią obudziłam. Mogę prosić Greva?

Usłyszała stłumione pomruki, zanim w telefonie odezwał się jej naczelny.

– Kto umarł? – warknął.

– Co?

– Kto umarł, do cholery? Bo dlaczego byś dzwoniła do mnie o takiej porąbanej porze?

– Nikt nie umarł. To znaczy... Przepraszam. Zapomniałam, która godzina.

– Niech cię szlag.

– Ale godzina nieważna – odparowała. – To genialny materiał.

– Niby co?

– Przyszło z porannymi gazetami.

– No, to mi ulżyło. Jesteśmy tylko o jeden dzień do tyłu za resztą.

– Nie, Grev, posłuchaj mnie, dobra? Zdobyłam najnowsze wyniki sondaży poparcia dla partii. Są sensacyjne!

– Skąd je masz?

– Ktoś mi je zostawił pod drzwiami.

– W ozdobnym papierze, co? – Naczelnicy nigdy nie starał się specjalnie ukryć sarkazmu, a już na pewno nie o tak wczesnej porze.

– Ale są naprawdę niewiarygodne, Grev.

– No jasne, że są. To kto zostawił ten prezencik pod drzwiami, święty mikołaj?

– Yy, nie wiem. – Po raz pierwszy w jej głos wkradł się cień wątpliwości. Ręcznik się z niej zsunął i siedziała na łóżku nago. Czuła się, jakby szef się na nią gapił. Przytomniała w ekspresowym tempie.

– No, Henry Collingridge ich tam pewnie nie podrzucił. W takim razie, jak myślisz, kto chciał ci dać taki cynk?

Milczenie Mattie zdradziło jej zmieszanie.

– A nie zabalowałaś przypadkiem wczoraj z kolegami?

– Grev, co to do cholery ma do rzeczy?

– Ktoś cię podpuścił, mała. W tej chwili chłopaki siedzą sobie pewnie w barze, walą klina i polewają ze śmiechu. W przeciwieństwie do mnie.

– Ale skąd wiesz?

– Nie wiem. Ale sęk w tym, że ty, Wonder Woman, też nie wiesz!

Po stronie Mattie znów zapanowało pełne zakłopotania milczenie, podczas gdy na darmo próbowała podciągnąć zsunięty ręcznik, aż w końcu podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę przekonania naczelnego:

– Nie chcesz nawet wiedzieć, co w nich jest?

– Nie. Nie, jeśli nie wiesz, skąd się wzięły. I pamiętaj, że im bardziej sensacyjnie wyglądają, tym bardziej pewne, że ktoś cię wkręca. Pieprzona ściema!

Trzask rzucanej słuchawki huknął jej w uchu jak wystrzał. Zabolałoby, nawet gdyby nie miała kaca. Nagłówki na pierwszej stronie, które już widziała oczami wyobraźni, rozplynęły się i zlały z szarą poranną mgłą. Kac zaczął ją męczyć milion razy wścieklej. Potrzebowała czarnej kawy. I to bardzo. Zrobiła z siebie idiotkę. Nie po raz pierwszy. Ale zazwyczaj jednak nie była przy tym zupełnie naga.

Rozdział 16

Po co rysować linię na piasku? Powieje wiatr i zanim się obejrzy sz, wr acasz do punktu w yjścia.

Mattie przeklinała pod nosem swojego naczelnego, zbiegając po szerokich hotelowych schodach do jadalni, gdzie serwowano śniadanie. O tak wczesnej porze dopiero garstka entuzjastów była już na nogach. Mattie usiadła sama przy stoliku, modląc się w duchu, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie. Ukryła się we wnęce za egzemplarzem „Expressu” i miała nadzieję, że inni dojdą do wniosku, że pracuje, a nie leczy kaca.

Pierwsza filiżanka kawy odbiła się od niej jak płasko rzucony kamyczek od powierzchni wody, ale druga pomogła – trochę. Przygnębienie zaczynało powoli słabnąć, a Mattie zaczynała interesować się resztą świata. Rozejrzała się po małej wiktoriańskiej salce. W przeciwnym rogu dostrzegła innego korespondenta politycznego, pogrążonego w rozmowie z jednym z ministrów. Poza tym pewien partyjny prominent z żoną, prezenterka telewizyjnych wiadomości, naczelny jednej z niedzielnych gazet, dwie inne osoby, które wyglądały znajomo, ale nie mogła sobie na razie przypomnieć, kim są. Młodego człowieka przy sąsiednim stoliku na pewno nie знаła. Siedział zupełnie jak Mattie, tak jakby chciał się ukryć przed pozostałymi. Na krześle obok leżał stos papierów i teczek, a on sam wyglądał trochę niedbale, jak roztargniony naukowiec. „Partyjny analityk” – doszła do wniosku. Nie dlatego, że jej intelekt wrócił już do formy, ale dlatego, że na jego stoliku między herbatę a tost wciśnięta

była teczka z rzucającym się w oczy logo partii oraz nazwiskiem. K.J. Spence.

Pod wpływem stałego bombardowania kofeiną Mattie zaczynała stopniowo odzyskiwać instynkt zawodowy, więc sięgnęła do swojej nieodłącznej torby na ramię po spis wewnętrznych telefonów partii, który w jakimś momencie wyblagała albo ukradła – nie pamiętała dokładnie.

„Spence, Kevin. Wewnętrzny 371. Badania opinii publicznej”.

Sprawdziła nazwisko na teczce sąsiada, starając się nie działać pochopnie. Nie chciała znów się zbłaźnić, przynajmniej nie przed lunchem. Sarkazm naczelnego podważył jej wiarę w sondaże z przecieku, ale jednocześnie chciała coś uratować z tego fiaska. Może mogłaby się dowiedzieć, jakie są prawdziwe wyniki. Złowiła spojrzenie mężczyzny przy stoliku.

– Kevin Spence, prawda? Z centrali partii? Jestem Mattie Storin z „Chronicle”.

– Wiem, kim pani jest – odparł speszony, ale jednocześnie szczęśliwy, że go poznała.

– Mogę się do ciebie przysiąc na kawę, Kevin? – zapytała, i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do jego stolika.

Kevin Spence miał trzydzieści dwa lata, ale wyglądał starzej. Nie ożenił się i przez całe życie był niewolnikiem partyjnej maszyny, z pensją dziesięciu tysięcy dwustu funtów rocznie (bez dodatków). Nieśmiały, w okularach, skrępowany, podskoczył śmiesznie na krześle, nie wiedząc, czy powinien wstać, kiedy młoda kobieta przysiadła się do jego stolika przy śniadaniu. Mattie uścisnęła mu rękę i uśmiechnęła się do niego, a on już po chwili opowiadał z zapałem i ze szczegółami

o regularnych raportach, które składał podczas wyborów premierowi i partyjnej komisji do spraw kampanii.

– Przez całą kampanię twierdzili, że prawie nie zwracają uwagi na sondaże – drążyła – że jedyny, sondaż, który się liczy...

– ...to ten w dniu wyborów – wszedł jej w słowo, zachwycony, że nadają na tej samej fali. – Tak, to taka nasza mała fikcja. Moja praca polega na tym, żeby brali sondaże na poważnie, chociaż między nami mówiąc, panno Storin...

– Mattie.

– Można powiedzieć, że niektórzy traktują je zbyt poważnie.

– Jak to możliwe, Kevin?

– Zawsze jest jakiś margines błędu. No i anomalia w wynikach, akurat wtedy, kiedy jej nie potrzebujesz! Taki złośliwy sondażyk wciąż nam wyskakuje od czas do czasu.

– Jak ten, który właśnie widziałam – zauważyła Mattie, czując ukłucie wstydu na myśl o swoim wcześniejszym upokorzeniu.

– Co ma pani na myśli? – zapytał Spence z nagłą ostrożnością, odstawiając herbatę na spodek.

Mattie przyjrzała mu się i dostrzegła, że życzliwy urzędnik przybrał oficjalną pozę, splótł dłonie na obrusie. Oblewał się miarowo rumieńcem, od kołnierzyka aż po białka oczu, a same oczy straciły zapal. Spence nie był zawodowym politykiem i nie potrafił ukryć emocji. Zmieszanie aż się z niego wylewało, ale dlaczego tak się zdenerwował? Nagle Mattie przeklęła się w duchu. Czyżby cholerne wyniki były jednak prawdziwe? To może pomachać nimi na wabia, jak sztandarem, i zobaczyć, czy ktoś zasalutuje? Zdażyła już dzisiaj wywinąć kilka salt i zrobić z siebie idiotkę. Jeszcze jeden podskok nie zrani bardziej jej zawodowej dumy.

– Jak rozumiem, Kevin, najnowsze wyniki sondaży są sporym rozczarowaniem. Zwłaszcza te dotyczące premiera.

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Dłonie nadal trzymał splecione jak do modlitwy, a może po to, żeby się nie trzęsły? W chwili nieuwagi sięgnął po swoją herbatę, ale udało mu się tylko ją rozlać. Rozpaczliwie usiłował wytrzeć obrus serwetką.

Tymczasem Mattie znów pogrzebała w torbie i wyciągnęła tajemniczą kartkę, którą następnie rozprostowała na stole. Po raz pierwszy zauważyła wtedy na dole strony inicjały KJS. Resztki kaca wyparowały.

– Czy to nie twoje najnowsze wyniki, Kevin?

Spence usiłował odsunąć kartkę od siebie, jakby była czymś skażona.

– Na litość boską, skąd to pani wzięła? – Rozejrzał się rozpaczliwie dookoła, sprawdzając, czy nikt nie zauważył ich wymiany zdań.

Mattie podniosła kartkę i zaczęła czytać na głos:

– Badanie opinii publicznej numer czterdzieści...

– Błagam, panno Storin!

Był człowiekiem nieprzyzwyczajonym do przemilczeń i ukrywania prawdy, zbyt prostoliniowym, żeby przejść przez to suchą stopą, i dobrze o tym wiedział. Nie widział sposobu ucieczki od tego dylematu i uznał, że jedyną szansą przetrwania jest zdanie się na łaskę swojej towarzyszki. Powiedział błagalnie, przyciszonym głosem:

– Nie powinienem z panią rozmawiać. To ściśle tajne.

– Ależ, Kevin, to tylko kawałek papieru.

Jeszcze raz rozejrzał się niespokojnie po sali.

– Pani nie rozumie. Jeśli te wyniki wyciekną i wyjdzie na to, że to ja je pani dałem, będę skończony. Zrobiony na szaro. Załatwiony na

amen. Wszyscy szukają kozłów ofiarnych. Tyle krąży plotek. Premier nie ufa przewodniczącemu, przewodniczący nie ufa nam i nikt się nie będzie litował nad kimś takim jak ja. Lubię swoją pracę, panno Storin. Nie mogę sobie pozwolić na to, że mnie obwinia o ujawnienie pani poufnych danych.

– Nie wiedziałam, że tak kiepsko u was z morale.

Spence wyglądał jak kupka nieszczęścia.

– Nie ma pani pojęcia. Nigdy nie było gorzej. Szczerze mówiąc, większość z nas głównie stara się nie wychylać, żeby jak najmniej oberwać, jak już wszystko się rypnie. – Pierwszy raz spojrział jej prosto w oczy. – Błagam, Mattie, nie wciągaj mnie w to.

Czasami nienawidziła swojej pracy i siebie samej. Na przykład teraz. Musiała go wycisnąć jak cytrynę.

– Kevin, nie ujawniłeś tego raportu. Ty to wiesz, ja to wiem i powiem to każdemu, kto będzie pytał. Ale jeśli mam ci pomóc, sama też potrzebuję trochę pomocy. To jest twój raport z ostatnich sondaży, prawda?

Ponownie podsunęła mu kartkę. Spence jeszcze raz spojrział na dokument udręczonym wzrokiem i kiwnął głową.

– Ty je przygotowujesz i udostępniasz ściśle określonym osobom.

Kolejne kiwnięcie.

– Muszę się dowiedzieć od ciebie tylko jednej rzeczy, Kevin: kto je dostaje. To chyba nie jest tajemnica państwowa, co?

Jej rozmówca zupełnie stracił wolę walki. Długo wstrzymywał oddech, zanim odpowiedział:

– Ponumerowane kopie w zamkniętych kopertach są przekazywane wyłącznie członkom gabinetu oraz pięciu osobom z kierownictwa centrali: zastępcy przewodniczącego i czterem dyrektorom. – Usiłował

zwilżyć usta łykiem herbaty, ale okazało się, że większość zdążył wylać. – Jak, na litość boską, to zdobyłaś? – spytał żałośnie.

– Powiedzmy po prostu, że ktoś był nieuważny.

– Ale nie moje biuro? Powiedz mi, że to nie było moje biuro!

– Nie, Kevin. Wystarczy policzyć. Właśnie podałeś mi nazwiska ponad dwudziestu osób, które oglądają te dane. Jak się do tego doda ich sekretarzy i asystentki, mamy dobrze ponad pięćdziesiąt możliwych źródeł. – Posłała mu jeden ze swoich najbardziej krzepiących, ciepłych uśmiechów. – Nic się nie martw, nie wmieszam cię w to.

Na jego twarzy odmalowała się bezbrzeżna ulga.

– Ale bądźmy w kontakcie – dodała.

Zanim Mattie wyszła z jadalni, udało się jej zdobyć wdzięczność Spence'a, dzięki czemu poczuła się lepiej, a także jego domowy numer telefonu, co jeszcze bardziej poprawiło jej samopoczucie. Myślała z euforią o artykule na pierwszą stronę, który będzie teraz mogła napisać, a także o satysfakcji, jaką będzie miała, patrząc, jak naczelny bije się w piersi. Redakcja będzie miała używanie przez tydzień. Jednak przez to wszystko przebijiała inna, znacznie istotniejsza kwestia. Każda z tych pięćdziesięciu paru osób mogła być zdrajcą, który chce pogrążyć Collingridge'a, ujawniając wyniki sondaży. Kto to jest, do diabła?

Pokoju 561 nie można było nazwać pięciogwiazdkowym. Był maleńki, położony daleko od głównego wejścia, na końcu korytarza na ostatnim piętrze, wciśnięty pod skosy dachu. Tu nie mieszkała partyjna wierchuszka, zdecydowanie był to pokój dla personelu.

Penny Guy dała się zaskoczyć. Nie słyszała zbliżających się kroków, dopiero otwarte gwałtownie drzwi. Usiadła sztywno wyprostowana na

łóżku, przestraszona, odsłaniając dwie idealnie kształtne piersi.

– Cholera, Roger, czy ty nigdy nie pukasz? – Rzuciła w intruza poduszką, raczej ze zniecierpliwieniem niż ze złością. – I co do diabła robisz tak wcześnie na nogach? Normalnie zwlekasz się dopiero na lunch.

Nie zadała sobie trudu, żeby się zakryć, kiedy O'Neill usiadł w nogach łóżka. Była między nimi swoboda sugerująca brak napięcia seksualnego, co dla większości znających ich ludzi byłoby zaskoczeniem. O'Neill bez przerwy z nią flirtował, zwłaszcza publicznie, i potrafił być zaborczy, kiedy na horyzoncie pojawiali się inni mężczyźni. Jednak przy tych dwóch okazjach, kiedy Penny błędnie odebrała sygnały i zaproponowała mu coś więcej niż usługi sekretarki, O'Neill był bardzo czuły, bardzo ciepły i wymamrotał, że jest zbyt wykończony. Podejrzewała, że nie chodziło o nią, że zachowywał się tak wobec wszystkich kobiet, że miał w sobie dużą dozę niepewności, skrywaną pod pochlebstwami i seksualnymi aluzjami. Był kiedyś żonaty, dawno temu, bolesne wspomnienia wciąż go dręczyły, zamiast zniknąć w pomroce dziejów; tę część swojego życia prywatnego też bardzo chciał ukryć. Penny pracowała dla O'Neilla od prawie trzech lat i była mu oddana, pragnęła wyleczyć go z tej niepewności, ale on nigdy nie był skłonny opuścić gardy. Tym, którzy go dobrze nie znali, wydawał się ekstrawertykiem, zabawnym, pełnym wdzięku, pomysłów i energii, ale Penny obserwowała, jak staje się coraz bardziej nieobliczalny. Jego ostrożność, wręcz paranoja w kwestii związków pogorszyła się w ostatnich miesiącach, kiedy coraz bardziej ulegał fascynacji presją życia politycznego, nawet jeśli coraz trudniej było mu sobie z nią radzić. Ostatnio rzadko zjawiał się w biurze przed południem. Zaczął często dzwonić w prywatnych

sprawach, denerwować się, nagle gdzieś zniknąć. Penny nie była w żadnym razie naiwna, ale rzeczywiście go kochała i to uczucie ją zaślepiło. Wiedziała, że jest mu niezbędna, jeśli nie w łóżku, to właściwie w każdym innym momencie dnia. Łączyła ich silna więź, więc chociaż jej to nie wystarczało, była gotowa poczekać.

– Wstałeś tak wcześnie, żeby przyjść i mnie uwodzić, co? – zażartowała, wydymając zalotnie wargi.

– Załóż coś na siebie, ty mała zdziro. To nie fair. One są nie fair! – wykrzyknął, wskazując jej ciało.

Figlarnie, prowokacyjnie odrzuciła kołdrę. Była zupełnie, olśniewająco naga.

– Och, Pen, kochanie, chciałbym utrwalić ten moment na zawsze olejem na płótnie i powiesić na ścianie.

– Ale nie w łóżku.

– Pen, daj spokój! Przecież wiesz, że tak bladym świtem nie jestem w najlepszej formie.

Niechętnie sięgnęła po szlafrok.

– Faktycznie, wcześniej jak na ciebie, Rog. Nie balowałeś chyba całą noc, co?

– Wyobraź sobie, poznałem jedną niezwykle piękną brazylijską gimnastyczkę, która uczyła mnie zupełnie nowych ćwiczeń. Nie mieliśmy kółek gimnastycznych, więc użyliśmy żyrandola. Okej?

– Zamknij się, Rog – powiedziała stanowczo, a jej nastrój przygaśł, szarzejąc jak poranne niebo. – Co jest grane?

– Taka młoda, a taka cyniczna?

– Nigdy mnie to nie zawiodło.

– Co? Młodość czy cynizm?

– Jedno i drugie. Zwłaszcza, jeśli chodzi o ciebie. Powiedz, po co naprawdę przyszedłeś.

– Dobra, dobra. Musiałem coś komuś podrzucić. Tu, w pobliżu. No i... pomyślałem sobie, że wpadnę i powiem ci dzień dobry. – Była to niemal prawda, na tyle, na ile się do niej zbliżał ostatnimi czasy, ale nie cała. Nie wspomniał, że Mattie Storin omal go nie przyłapała, kiedy wkładał pewien dokument w leżące pod jej drzwiami gazety, więc potrzebował miejsca, żeby się na jakiś czas schować. Pędził korytarzem, jakby mijał całą angielską obronę, biegnąc z piłką do linii bramkowej. Ale czad! A więc przewodniczący partii będzie miał przez to kłopoty. Super. Złośliwy dziad wyjątkowo szorstko go traktował przez ostatnie kilka tygodni, jak słusznie zauważył Urquhart. Ogarniętemu paranoją O’Neillowi zupełnie umknął fakt, że Williams był szorstki w stosunku do prawie wszystkich.

– Powiedzmy, że ci wierzę – westchnęła Penny. – Ale na litość boską, Rog, następnym razem, kiedy przyjdiesz się przywitać, spróbuj najpierw zapukać. I niech to będzie po ósmej trzydzieści.

– Już nie bądź taka. Wiesz, że nie mogę bez ciebie żyć.

– Wystarczy tej namiętności, Rog. Czego chcesz? Czegoś musisz chcieć, prawda? Nawet jeśli nie mojego ciała.

Uciekł wzrokiem, jakby odkryła jego grzeszną tajemnicę.

– Właściwie to rzeczywiście przyszedłem cię o coś prosić. To trochę delikatna sprawa... – Przywołał cały swój urok sprzedawcy i zaczął historyjkę, którą Urquhart wbił mu do głowy poprzedniego wieczoru. – Pen, pamiętasz Patricka Wooltona, ministra spraw zagranicznych. Przepisałaś mu na maszynie kilka przemówień podczas wyborów i on ciebie oczywiście dobrze zapamiętał. No i, eee, tego, pytał o ciebie, kiedy go wczoraj spotkałem. Chyba zrobiłaś na nim duże wrażenie.

W każdym razie był ciekaw, czy byłabyś zainteresowana kolacją z nim, ale nie chciał cię zdenerwować ani obrazić, pytając wprost, więc ja zaproponowałem, no wiesz, że zamienię z tobą słówko tak po cichu, bo łatwiej będzie ci odmówić mnie niż jemu osobiście. Rozumiesz, prawda, Pen?

– Och, Rog – powiedziała zdławionym głosem, bliska łez.

– O co chodzi, Pen?

– Robisz za stręczyciela. – Brzmiała w tym gorycz, oskarżenie.

– Nie, no skądże, Pen, to tylko kolacja.

– To nigdy nie jest tylko kolacja. Odkąd skończyłam czternaście lat, nigdy nie chodzi tylko o kolację. – Należała do drugiego pokolenia imigrantów, wychowała się w przepelnionej kamienicy czynszowej przy Landbroke Grove i miała świadomość wszystkich kompromisów, na które musi pójść czarnoskóra dziewczyna w świecie białych mężczyzn. Zbyt jej to nie martwiło, bo dawało jej szansę. Nie chciała jednak dać się odrzeć z godności, nie w ten sposób.

– To szef dyplomacji, Pen – zaprotestował O’Neill.

– A reputacja ciągnie się za nim jak tunel pod kanałem La Manche.

– Ale co masz do stracenia?

– Poczucie własnej wartości.

– Daj spokój, Pen. To ważne. Wiesz, że inaczej bym cię nie prosił.

– Za kogo ty mnie uważasz, do diabła?

– Za piękną kobietę, mówię szczerą prawdę. Widuję cię codziennie i jesteś jedyną osobą, która wnosi uśmiech w moje życie. Ale jestem zdesperowany. Proszę, Pen, o nic nie pytaj, ale... musisz mi z tym pomóc. Tylko kolacja, przysięgam.

Oboje mieli łzy w oczach, oboje byli w sobie zakochani. Wiedziała, że on prosi ją o to z bólem serca, że z jakiegoś powodu nie ma wyboru.

A ponieważ go kochała, nie chciała tego powodu znać.

– Dobra. Tylko kolacja – szepnęła, oszukując samą siebie.

A on rzucił się jej na szyję, ucałował z radością, po czym wypadł z pokoju z równie szaleńczym pośpiechem, z jakim do niego wparował.

Pięć minut później był już z powrotem u siebie i dzwonił do Urquharta.

– Przesyłka dostarczona i kolacja załatwiona, Francis.

– Znakomicie, Roger. Bardzo mi pomogłeś. Mam nadzieję, że minister też będzie wdzięczny.

– Ale nadal nie rozumiem, jak zamierzasz go skłonić, żeby zaprosił Penny na kolację. O co w tym wszystkim chodzi?

– O to, drogi Rogerze, że w ogóle nie będzie musiał jej zapraszać. Minister przychodzi dziś wieczorem na moje przyjęcie. Ty przyprowadzisz Penny, ja ich sobie przedstawię przy jednym czy dwóch kieliszkach szampana i zobaczymy, jak rzecz się rozwinie. O ile znam Patricka Wooltona – a jako rzecznik dyscypliny trochę go znam – nie minie więcej niż dwadzieścia minut, a już jej zaproponuje pomoc w szlifowaniu francuskiej etykiety.

– Ale ja nadal nie rozumiem, dokąd ma to nas zaprowadzić.

– Cokolwiek się zdarzy, Roger – a to już musimy zostawić w rękach dwojga dorosłych ludzi, działających za obopólną zgodą – ty i ja będziemy o tym wiedzieć.

– Ciągle nie rozumiem, jaki z tego pożytek – zaprotestował O'Neill, nadal mając nadzieję, że Urquhart zmieni zdanie.

– Zaufaj mi, Roger. Musisz mi zaufać.

– Ufam. Muszę. Nie mam wielkiego wyboru, prawda?

– W rzeczy samej, Roger. Wreszcie zaczynasz rozumieć. Wiedza to potęga.

Urquhart się rozłączył. O'Neill pomyślał, że chyba pojął, ale nadal nie był absolutnie pewien. Nadal usiłował się zorientować, czy jest partnerem Urquharta, czy jego więźniem. Nie będąc w stanie tego rozstrzygnąć, pogrzebał w nocnej szafce i wyjął niewielki karton. Połknął dwie tabletki nasenne i padł w ubraniu na łóżko.

Rozdział 17

Stanowisko polityczne jest jak życie. To, jaki masz do niego stosunek, zależy zwykle od tego, czy dopiero zaczynasz, czy już odchodzisz.

– Patrick. Dzięki, że znalazłeś chwilę – przywitał Urquhart ministra spraw zagranicznych, kiedy ten otworzył drzwi.

– Przez telefon zabrzmiało to jak coś poważnego. Kiedy rzecznik dyscypliny mówi, że chce z tobą pilnie zamienić kilka słów na osobności, to zwykle oznacza, że ma zdjęcia pod kluczem, ale niestety „News of the World” ma negatywy.

Urquhart uśmiechnął się i wślizgnął przez otwarte drzwi do apartamentu Wooltona. Było późne popołudnie, wichura ustała, ale stojący w kałuży wody parasol w przedpokoju ministra świadczył o paskudnym dniu. Urquhart nie miał daleko, przeszedł tylko kilka metrów z własnego apartamentu w jednym z luksusowych bungalowów stojących na terenie hotelu. Zarezerwowano je dla członków gabinetu, z których każdy miał dwudziestoczerogodzinną ochronę policyjną, generującą ogromne koszty. Miejscowa policja ochrzciła tę część hotelowego kompleksu „aleją Nadgodzin”.

– Drinka? – zaproponował gościnnie minister.

– Dzięki, Patrick. Szkocką.

Patrick Woolton, Right Honourable, sekretarz rządu Jej Królewskiej Mości do spraw zagranicznych i Wspólnoty Narodów, reprezentujący Lancashire jeden z wielu emigrantów z Merseyside, zakrzętnął się przy małym barku, który zresztą nosił ślady niedawnego użytkowania. Urquhart tymczasem postawił swoją ministerialną

czerwoną teczkę obok czterech podobnych, należących do jego przepracowanego gospodarza, na skraju kałuży wody ściekającej z parasola. Te jaskrawe skórzane teczki były znakiem rozpoznawczym każdego ministra, ich niemal nieodłącznymi towarzyszami strzegącymi urzędowych dokumentów, przemówień i innych poufnych rzeczy. Minister spraw zagranicznych potrzebuje kilku takich teczek. Rzecznik dyscypliny, który nie wygłaszał przemówienia na kongresie i nie musiał się zajmować żadnymi kryzysami dyplomatycznymi, przywiózł do Bournemouth w swojej teczce trzy butelki dwunastoletniej whisky. Ceny alkoholu w hotelach są zawsze astronomiczne, jak wyjaśnił żonie, nawet jeśli uda ci się znaleźć żadaną markę.

Usiadł naprzeciwko Wooltona przy zawalonym papierami niskim stoliku i postanowił darować sobie wstępy.

– Patrick, muszę poznać twoje zdanie. W ścisłej tajemnicy. Jeśli o mnie chodzi, tego spotkania nigdy nie było.

– Rany boskie, jednak masz jakieś cholerne zdjęcia! – wykrzyknął Woolton, teraz już tylko półzartem. Jego słabość do atrakcyjnych młodych kobiet zwiodła go już parę razy na manowce. Dziesięć lat temu, kiedy dopiero zaczynał ministerialną karierę, policja stanowa w Luizjanie dręczyła go przez kilka godzin pytaniami o weekend, który spędził w pewnym motelu w Nowym Orleanie z młodą Amerykanką, która wyglądała na dwadzieścia lat, zachowywała się, jakby miała trzydzieści, a, jak się okazało, zaledwie kilka dni wcześniej skończyła szesnaście. Incydent zatuszowano, ale Woolton nigdy nie zapomniał cienkiej granicy między świetlaną polityczną przyszłością a oskarżeniem o uwiedzenie nieletniej.

- Coś znacznie poważniejszego, być może – mruknął Urquhart. – Od kilku tygodni odbieram niezdrowe wibracje dotyczące Henry’ego. Wyczułeś irytację, jaką budzi w gabinecie, a media najwyraźniej przestają go kochać i tracą dla niego entuzjazm.

- No cóż, pewnie nie było powodów oczekiwać przedłużonego miesiąca miodowego po wyborach, ale burzowe chmury zebrały się zadziwiająco szybko.

- Patrick, mówię ci to w zaufaniu. Zwróciło się do mnie dwóch najbardziej wpływowych lokalnych działaczy partii. Mówią, że na ich szczepku atmosfera robi się bardzo zła. W zeszłym tygodniu znów dwa razy przegraliśmy wybory uzupełniające do lokalnych samorządów w okręgach, które powinny gwarantować bezpieczny mandat, i jeszcze parę przegramy w nadchodzących tygodniach.

- Jutro te pieprzone uzupełniające w East Dorset. W tych też dostaniemy kopa w krocze, zobaczysz. W tej chwili mielibyśmy problemy z wygraniem wyborów na lokalnego hycla.

- Istnieje taki pogląd, Patrick – ciągnął Urquhart wyraźnie zakłopotanym tonem – że niepopularność samego Henry’ego ciągnie całą partię w dół.

- To pogląd, który, szczerze mówiąc, podzielam – stwierdził Woolton, sącząc whisky.

- Pytanie brzmi, ile ma czasu, żeby to naprawić?

- Przy przewadze zaledwie dwudziestu czterech mandatów nie za wiele. – Woolton otoczył dłońmi szklanekę, jakby chcąc dodać sobie otuchy. – Kilka przegranych wyborów uzupełniających i będą nam grozić przedterminowe wybory. – Popatrzył w płyn o torfowym aromacie. – To jakie jest twoje zdanie, Francis?

- Jako rzecznik dyscypliny nie mam zdania.

– Zawsze byłeś cwany skubańcem, Francis.

– Ale jako rzecznik dyscypliny zostałem poproszony przez jednego czy dwóch naszych rządowych kolegów o delikatne wybadanie, jak głęboko sięga ten problem. Krótko mówiąc, Patrick, a musisz wiedzieć, że nie jest to łatwe...

– W ogóle nie pijesz cholernego drinka.

– Daj mi jeszcze chwilę. Poproszono mnie, żebym się dowiedział, w jak poważnych, zdaniem reszty kolegów, jesteśmy kłopotach. Karty na stół. Czy Henry jest jeszcze dla nas właściwym liderem? – Podniósł szklankę, popatrzył uważnie na Wooltona, po czym pociągnął duży haust whisky i odchylił się na krześle.

Cisza wokół ministra gęstniała, jakby wpychając go na ostrze pytania, które zawisło w powietrzu.

– Ja pierniczę, to już do tego doszło, co? – Wyjął z kieszeni fajkę, a potem kapciuch z tytoniem i pudełko zapalek Swan Vesta. Odprawił cały skomplikowany ceremoniał: napełnianie główki fajki, ubijanie świeżego tytoniu kciukiem, wyjmowanie zapalniczki. Trzask pocierania jej o draskę wydał się bardzo głośny w panującej ciszy. Wokół Wooltona zaczęły unosić się kłęby dymu, kiedy zaciągał się przez cybuch, aż słodko pachnący tytoń dobrze się rozpałił, a jego twarz niemal przesłoniła wisząca w powietrzu błękitna mgła. Pomachał dłonią, żeby ją rozwiać, i wyłonił się z ukrycia. – Musisz mi wybaczyć, Francis. Cztery lata w MSZ nie przygotowały mnie najlepiej na radzenie sobie z takimi bezpośrednimi pytaniami. Może nie jestem już przyzwyczajony do tego, żeby ludzie przechodzili od razu do rzeczy. Wybiłeś mnie z rytmu.

Oczywiście był to nonsens. Woolton był znany ze swojego bezpośredniego, często konfrontacyjnego stylu politycznego, który

z trudnością przyjmował się w ministerstwie spraw zagranicznych. Po prostu grał teraz na czas, zbierając myśli.

– Spróbujemy odłożyć na bok subiektywne opinie... – Wydmuchał kolejną olbrzymią chmurę dymu, żeby ukryć oczywistą nieszczerość tej uwagi. – I przeanalizujemy problem, tak jak to robimy w służbie cywilnej ze stanowiskiem negocjacyjnym.

Urquhart skinął głową i uśmiechnął się w duchu. Znał osobiste poglądy Wooltona. Już wiedział, do jakich wniosków dojdzie ich hipotetyczny urzędnik służby cywilnej.

– Po pierwsze, czy mamy problem? Owszem, i to poważny. Moje chłopaki w Lancashire są wściekłe jak diabli. Moim zdaniem słusznie, że sondujesz co i jak. Po drugie, czy istnieje bezbolesne rozwiązanie problemu? Nie zapominajmy, że jednak wygraliśmy cholerne wybory. Ale nie tak, jak powinniśmy. A to wina Henry’ego. Ale... – Zamachał cybuchem fajki dla podkreślenia swoich słów. – Gdyby doszło do jakichś ruchów, żeby go odwołać, co zasadniczo właśnie teraz omawiamy – Urquhartowi udało się zrobić zboląłą minę w reakcji na otwartość Wooltona. – W szeregach partii rozpętałoby się piekło, a te sukinsyny z opozycji miałyby używanie. Mógłby się zrobić duży dym, Francis. Nie ma gwarancji, że Henry odejdzie po cichu. No i wyglądałoby to jak akt desperacji. Posklejanie pęknięć zajęłoby nowemu liderowi co najmniej rok. Nie powinniśmy więc się oszukiwać, że pozbycie się Henry’ego to łatwe wyjście. Bynajmniej. Ale, po trzecie, w ostatecznym rozrachunku, czy Henry sam może znaleźć rozwiązanie problemu? No cóż, znasz moje zdanie w tej kwestii. Byłem przeciwko wyborowi go na lidera po odejściu Margaret i nie zmieniłem zdania: nadal uważam, że był to błąd.

Urquhart z kamienną twarzą spuścił głowę, jakby dziękując rozmówcy za szczerość, ale w istocie był to gest triumfu. Dobrze go przejrzał.

Woolton dolewał im whisky, kontynuując analizę.

– Margaret udawało się zachować niezwykłą równowagę między byciem twardą a poczuciem kierunku, celu. Była bezwzględna, kiedy musiała, a często także, kiedy nie musiała. Zawsze tak cholernie się spieszyła, żeby dotrzeć do celu, że nie miała czasu iść na żadne ustępstwa i nie przeszkadzało jej, jeśli zdeptała przy tym paru przyjaciół. Nie miało to takiego znaczenia, bo była prawdziwym liderem, takim, który prowadzi, stoi na czele. To trzeba dziewczynie przyznać. Ale Henry nie ma poczucia celu, on tylko kocha władzę. A bez tego kompasu jesteśmy zgubieni. Próbuje naśladować Margaret, ale nie ma jaj. – Z hukiem postawił przed Urquhartem dużą szklankę whisky. – No i tak to wygląda. Jeśli spróbujemy się go pozbyć, mamy kłopoty. Ale jeśli zostawimy go na stanowisku, mamy przesrane. – Podniósł szklankę. – Na pohybel wrogom, Francis. – I wypił.

Urquhart nie odzywał się od prawie dziesięciu minut. Koniuszkiem środkowego palca wodził powoli po brzegu szklanki, wydobywając z niej nieprzyjemny jękliwy dźwięk. Podniósł wzrok i przeszył rozmówcę niebieskimi, świdrującymi oczami.

– Ale kto jest wrogiem, Patrick?

Woolton odwzajemnił spojrzenie.

– Ten, kto najpewniej zgotuje nam klęskę w następnych wyborach. Lider pieprzonej opozycji? Czy Henry?

– A twoim zdaniem? Co konkretnie chcesz powiedzieć, Patrick?

Woolton zaniósł się śmiechem.

- Przepraszam, Francis. Za dużo dyplomatycznego bełkotu. Wiesz, nawet jak pocałuję żonę na dzień dobry, to się zastanawia, jakie mam zamiary. Chcesz odpowiedzi wprost? Dobra. Mamy za małą większość. W takim tempie następnym razem zetrą nas w proch. Nie możemy tego tak dalej ciągnąć.

- No to jakie jest rozwiązanie? Musimy coś wymyślić.

- Powinniśmy poczekać na właściwy moment. Kilka miesięcy. Przygotować opinię publiczną, naciskać na Henry'ego, żeby ustąpił ze stanowiska. A wtedy, kiedy już to się stanie, wyjdzie na to, że stosujemy się do życzeń społeczeństwa, a nie oddajemy się prywatnym przepychankom. To, jak jesteśmy postrzegani, ma kluczowe znaczenie, Francis, no i potrzebujemy czasu, żeby wszystko sobie poukładać.

„A ty potrzebujesz trochę czasu, żeby przygotować własną strategię – pomyślał Urquhart. – Ty stary oszuście. Aż przebierasz nogami, żeby zostać premierem, zresztą jak zawsze”.

Znał Wooltona. Facet nie był głupi, miał swój rozum. Pewnie już planował, że będzie spędzać jak najwięcej wieczorów w kuluarach i barach Izby Gmin, wzmacniając istniejące relacje i nawiązując nowe przyjaźnie, jeść gumowatego kurczaka podczas objazdów po swoim okręgu, rozmawiać z redaktorami i dziennikarzami, budować swoją pozycję. Zrobi miejsce w swoim kalendarzu spotkań, będzie mniej podróżował za granicę, za to znacznie więcej po Wielkiej Brytanii, wygłaszając przemówienia o wyzwaniach czekających kraj w następnej dekadzie.

- A to już twoje zadanie, Francis, i to cholernie trudne zadanie: pomóc nam zdecydować, kiedy ten właściwy moment nadejdzie. Za wcześnie i wyjdziemy na zamachowców. Za późno i partia będzie

w rozsypce. Będziesz musiał cholernie się starać wyczuć, co w trawie piszczy. Zakładam, że sondujesz też innych?

Urquhart ostrożnie skinął głową na znak milczącej zgody. „Nominował mnie na Kasjusza – pomyślał – włożył mi sztylet do ręki”. Urquhart z ekscytacją odkrył, że to uczucie najzupełniej mu nie przeszkadza.

– Patrick, czuję się zaszczycony, że byłeś ze mną taki szczery. Jestem głęboko wdzięczny za okazane zaufanie. Następne kilka miesięcy będzie dla nas wszystkich trudne i będę stale potrzebował twoich rad. Zawsze będziesz we mnie miał wiernego przyjaciela.

– Wiem, Francis.

Urquhart wstał.

– I oczywiście ani słowo z tego, o czym była tu mowa, nie wyjdzie poza ten pokój.

– Moja ekipa z wydziału specjalnego cały czas mi powtarza, że ściany mają uszy. Cieszę się, że to ty jesteś tu moim sąsiadem! – zawołał Woolton, poklepując Urquharta żartobliwie i trochę protekcjonalnie między łopatkami, kiedy gość skierował się po swoją czerwoną teczkę.

– Urządzam dziś wieczorem kongresowe przyjęcie, Patrick. Wszyscy tam będą, bardzo pożyteczne spotkanie. Mam nadzieję, że wpadniesz.

– Jasne. Zawsze świetnie się u ciebie bawię. Nie mogę ci odmówić wypicia twojego szampana!

– W takim razie do zobaczenia za kilka godzin – odparł Urquhart, podnosząc czerwoną teczkę.

Kiedy Woolton zamknął drzwi za swoim gościem, nalał sobie jeszcze jednego drinka. Daruje sobie popołudniowe debaty w sali

kongresowej. Zamiast tego weźmie kąpiel i prześpi się przez chwilę, żeby przygotować się na napięty grafik wieczoru. Wracając myślami do właśnie odbytej rozmowy, zaczął się zastanawiać, czy whisky nie uśpiła jego czujności. Usiłował sobie przypomnieć, w jaki sposób Urquhart wyraził własny sprzeciw wobec Collingridge'a, ale nie mógł. „Cwana bestia. Dał mi się wygadać”. No, ale w końcu tego właśnie oczekuje się od rzecznika dyscypliny, a poza tym Francisowi Urquhartowi mógł zaufać, prawda? Kiedy tak zastanawiał się, czy nie był jednak odrobinę zbyt szczery, nie zauważył, że Urquhart wyszedł z niewłaściwą czerwoną teczką.

Mattie była w świetnym nastroju, odkąd niedługo po lunchu wysłała tekst do redakcji. Sondażowy szok. Materiał na wyłączność na pierwszej stronie i to w momencie, kiedy była otoczona wszystkimi swoimi rywalami. Na tym kongresie zakasowała wszystkich, bez dwóch zdań. Przez większość popołudnia myślała tęsknie o nowych drzwiach, które się powoli zaczynają przed nią otwierać. Dopiero co świętowała pierwszą rocznicę pracy w „Chronicle”, a jej zdolności zdobywały uznanie. Jeszcze jeden taki rok i może będzie gotowa na zrobienie następnego kroku, może zostanie redaktorką albo nawet felietonistką ze swoją rubryką, gdzie mogłaby pisać poważne analizy polityczne, a nie tylko codzienne chałtury. A z takimi przyjaciółmi jak Francis Urquhart nigdy jej nie zabraknie zakulisowych informacji z pierwszej ręki.

Oczywiście miało to swoją cenę. Jej matce nadal się wydawało, że Mattie znalazła sobie kogoś w Londynie, partnera, z którym będzie dzielić życie, ale w istocie było to życie ciężkie i często samotne, kiedy późnym wieczorem wracała do pustego mieszkania, a rano znów

grzebała w koszu z brudną bielizną. Miała potrzeby, nie tylko zawodową próżność, i coraz trudniej było je ignorować.

Nie mogła też zignorować pilnej wiadomości, którą dostała tuż przed piątą, z poleceniem, że ma zadzwonić do redakcji. Właśnie skończyła na tarasie pogawędkę przy herbacie z ministrem spraw wewnętrznych – bardzo chciał, żeby „Chronicle” następnego dnia pochwaliło jego przemówienie, a poza tym zdecydowanie wolał przez godzinę pogadać z młodą blondynką, niż spędzić kolejne niekończące się popołudnie na słuchaniu wystąpień kolegów – kiedy recepcjonistka wcisnęła jej do ręki kartkę z wiadomością. W hotelowym holu panował tłok, ale jeden z automatów telefonicznych był wolny, więc postanowiła nie zwracać uwagi na hałas. Kiedy się dodzwoniła, sekretarka Prestona oznajmiła, że szef jest zajęty inną rozmową przez telefon i połączyła ją z zastępcą naczelnego, Johnem Krajewskim, łagodnym olbrzymem, z którym zaczęła spędzać trochę czasu podczas długich letnich miesięcy, zachęcona wspólnym zamiłowaniem do dobrego wina oraz faktem, że jego ojciec, tak jak jej dziadek, był wojennym uchodźcą z Europy. Nic erotycznego, na razie, chociaż on dał wyraźnie do zrozumienia, że chciałby powymieniać z nią coś więcej niż biurowe plotki. Ale teraz mówił zakłopotanym tonem.

– Cześć, Mattie. Słuchaj, yyy... A, pierdolę, nie będę ci wstawiał trzech metrów kitu. Nie puszcza, to znaczy stary nie puszcza, twojego tekstu. Strasznie mi przykro.

Milczała ogłuszona ze słuchawką przy uchu, powtarzając w myśli usłyszane słowa, żeby się upewnić, czy dobrze je zrozumiała. Jednak z którejkolwiek strony by na nie spojrzała, nadal brzmiały tak samo.

– Jak to nie puszcza, do cholery?!

– Tak jak mówię, Mattie. Tekst nie pójdzie. – Krajewskiemu ta rozmowa sprawiała wyraźne trudności. – Słuchaj, przepraszam, że nie mogę ci podać wszystkich szczegółów, bo Grev zajmuje się tym osobiście, ja sam tego nie dotknąłem, uwierz mi, ale najwyraźniej jest to taka bomba, że nasz szanowny naczelny czuje, że nie może tego puścić, nie mając absolutnej pewności, na czym stoimy. Mówi, że zawsze popieraliśmy ten rząd i że nie ma zamiaru wyrzucić polityki redakcyjnej przez okno na podstawie anonimowego kawałka papieru. Musimy mieć absolutną pewność, zanim wykonamy jakiś ruch, a nie mamy jej, jeśli nie wiemy, skąd się wzięła ta informacja.

– Na litość boską, nieważne, skąd się wziął ten pieprzony papier. Przecież by mi go nie przysłał, ktokolwiek to był, gdyby myślał, że jego nazwisko rozejdzie się po całej redakcji. Liczy się tylko to, że to autentyczny dokument, a ja to potwierdziłam.

Krajewski westchnął.

– Wierz mi, wiem, jak się musisz czuć, Mattie. Chciałbym być milion mil stąd, żeby nie mieć z tym nic wspólnego. Mogę ci tylko powiedzieć, że Grev jest niewzruszony. Tekst nie pójdzie.

Mattie chciało się krzyczeć. Długo, głośno i ordynarnie. Nagle pożałowała, że dzwoni z zatłoczonego holu.

– Daj mi Greva.

– Przykro mi. Chyba jest zajęty innym telefonem.

– Poczekam!

– Właściwie – powiedział zastępca naczelnego pełnym zakłopotania głosem – wiem, że będzie zajęty na dłużej i nalegał, żebym to ja ci wszystko wyjaśnił. Wiem, że chce z tobą porozmawiać, Mattie, ale jutro. Nie ma sensu go dzisiaj molestować.

– Jutro to możemy się zesrać! Od kiedy ryzykujemy, że stracimy taką bombę na wyłączność, bo Grev siedzi ze słuchawką w dupie?! – wyrzuciła z siebie Mattie z pogardą. – Jaką my gazetę robimy, Johnnie?

Słyszała, jak zastępca naczelnego odchrząkuje, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

– Przykro mi, Mattie. – Tylko na tyle było go stać.

– Pieprz się, Johnnie! – Tylko tyle zdołała wysyczeć do słuchawki, zanim rzuciła ją z trzaskiem na widełki. Nie zasłużył sobie na to, ale ona też nie. Podniosła z powrotem słuchawkę, żeby sprawdzić, czy John nie został na linii i zaraz jej nie powie, że to był głupi kawał, ale usłyszała tylko obojętny ciągły sygnał.

– Kurwa! – warknęła, ponownie rzucając słuchawkę. Jeden z porządkowych, stojący przy sąsiednim aparacie, posłał jej ostre spojrzenie. Łypnęła na niego gniewnie.

– Kurwa! – powtórzyła specjalnie, żeby usłyszał, po czym ruszyła przez hol w stronę baru.

Barman właśnie podnosił kratę nad kontuarem, kiedy podeszła i rzuciła na bar swoją torbę oraz pięcioletni banknot.

– Potrzebuję się napić! – oznajmiła, nadal w tak ślepej furii, że potrafiła innego klienta, który czekał już przy lakierowanym kontuarze i był wyraźnie zdeterminowany, żeby dostać pierwszego drinka wieczoru.

– Przepraszam – mruknęła nadęta, co bynajmniej nie zabrzmiało jak przeprosiny.

Ów drugi gość odwrócił się twarzą do niej.

– Młoda damo, mówi pani, że potrzebuje się napić. Wygląda pani, jakby pani potrzebowała. Mój lekarz twierdzi co prawda, że nie ma czegoś takiego jak potrzeba napicia się, ale co on tam wie? Pozwoli

pani, żeby przyłączył się do pani facet dość stary, żeby być pani ojcem? Przy okazji, nazywam się Collingridge, pan Charles Collingridge. Ale proszę mówić mi Charlie. Wszyscy mówią mi Charlie.

- No dobra, Charlie, o ile tylko nie będziemy rozmawiać o polityce, z przyjemnością. Pozwól, że mój naczelny po raz pierwszy dziś zachowa się przyzwoicie i postawi ci porządną kolejkę!

Rozdział 18

Świat Westminsteru napędza ambicja, wyczerpanie i alkohol. I żądza. Z właszą żądzą.

Pokój miał niski sufit i był pełen ludzi. Nawet po otwarciu okien na oścież „aleja Nadgodzin” zaczęła przypominać terminal lotniska w trzecim świecie. W rezultacie coraz bardziej rósł popyt na schłodzonego szampana, wydawanego przez sekretarza okręgowego Urquharta. Gorąco i alkohol przebiły się przez oficjalny charakter imprezy i wszystko wskazywało na to, że wieczór stanie się jednym ze swobodniejszych przyjęć rzecznika dyscypliny.

Urquhart nie mógł jednak krążyć wśród gości i przyjmować ich podziękowań. Został właściwie unieruchomiony, przyparty do rogu przez zwaliste cielsko Benjamin Landlessa. Magnat prasowy z East Endu pocił się obficie, zdjął marynarkę i rozpiął kołnierzyk, odsłaniając szerokie zielone szelki, przypominające uprząż spadochroniarza i podtrzymujące powłóczyście spodnie w imponującym rozmiarze. Nie zwracał najmniejszej uwagi na skrzepowanie gospodarza. Koncentrował się całkowicie na swojej złapanej w pułapkę ofierze.

- Ale to jest burdel na kółkach, Frankie, i dobrze o tym wiesz. Wszystkie moje gazety stały za wami murem w ostatnich wyborach. Przeniosłem całą moją światową centralę do Londynu. Zainwestowałem w ten kraj miliony. Moim zdaniem coś mi wisicie. Ale jeśli Henry nie ruszy dupska, w następnych wyborach cały cholerny cyrk się zawali. A ponieważ byłem dla was taki dobry, te gnoje

z opozycji mnie ukrzyżują, jeśli dorwą się do władzy. Więc, na litość boską, przestańcie się opierdalać!

Urwał, żeby wyjąć z fałdów spodni wielką jedwabną chustkę i otrzeć sobie nią czoło, a tymczasem Urquhart dalej go podpuszczał:

– Nie jest chyba aż tak źle, Ben. Wszystkie rządy przechodzą przez trudny okres. Już to kiedyś przerabialiśmy. Wygrzebiemy się z tego.

– Nie pierdol! To bezkrytyczne bzdety i sam o tym wiesz, Frankie. Nie widziałeś waszego ostatniego sondażu? Zadzwonili z tym do mnie dzisiaj po południu. Kata-kurwa-strofa! Gdyby wybory były dzisiaj, dostalibyście łomot. Pieprzony Armagedon!

Urquhart poczuł przyływ zadowolenia, kiedy wyobraził sobie tytuł na pierwszej stronie porannej „Chronicle”, ale nie mógł tego dać po sobie poznać.

– Cholera. Skąd to wytrzasnęliście? To nam naprawdę zaszkodzi w jutrzejszych wyborach uzupełniających.

– Nie popuść w spodnie, Frankie. Kazałem Prestonowi się wstrzymać. W końcu to oczywiście wycieknie, ale już po uzupełniających. – Puknął się grubym paluchem w pierś. – Uratowałem wam kongres, inaczej rzucilibyście się sobie do gardeł. – Westchnął głęboko. – Nie zasługujecie na taką łaskę, łajzy.

– Wiem, że Henry będzie wdzięczny, Ben – odparł Urquhart, przełykając poczucie zawodu.

– No jasne, że będzie – mruknął Landless, dla odmiany dźgając teraz paluchem pierś Urquharta – ale wdzięczność najbardziej niepopularnego premiera od czasu ukrzyżowania Chrystusa to nie jest coś, co można wpłacić do banku.

– Co masz na myśli?

- Ocknij się, Frankie. Popularność polityczna to jest kasa. Kiedy wy, chłopaki, rządzicie, ja powinienem zajmować się swoim biznesem i robić to, co robię najlepiej – zarabiać pieniądze. Dlatego was popieram. Ale kiedy tylko wasz okręt zaczyna nabierać wody, wszyscy panikują. Giełda siada. Ludzie nie chcą inwestować. Związki się szarogęszą. Nie mogę trafnie przewidywać. I właśnie to się dzieje od czerwca. Premier nie mógłby teraz zorganizować nawet konkursu pierdzenia. Gdyby ucałował dziecko, poszedłby siedzieć za napaść. Ciągnie całą partię w dół, a razem z nią mój biznes. Jeśli czegoś z tym nie zrobicie, wszyscy znikniemy w wielkiej czarnej dziurze.

- Naprawdę tak to czujesz?

Landless umilkł na chwilę, żeby pokazać Urquhartowi, że nie przemawia przez niego szampan.

- Całym sercem – odparł.

- W takim razie wygląda na to, że mamy problem.

- Jak cholera.

- Co powinniśmy twoim zdaniem zrobić, Ben?

- Frankie, gdybym ja się tak opierdalał i moi akcjonariusze to widzieli, nie przetrwałbym nawet do lunchu. Już by mnie nie było.

- Czyli...?

- Jasne. Pozbyć się go. Pa, pa!

Urquhart uniósł brwi, ale Landless należał do ludzi, którzy kiedy już dosiądą konia i zaczną galopować, mają trudności z jego zawróceniem.

- Życie jest za krótkie, żeby je spędzić na wspieraniu nieudaczników, Frankie. Nie po to przez ostatnie dwadzieścia lat wypruwałem sobie żyły, żeby teraz patrzeć, jak twój szef to wszystko marnuje.

Urquhart poczuł, że ogromne paluchy gościa chwytają go boleśnie za ramię. Za okazałą tuszą przemysłowca kryła się realna siła i Urquhart zaczął rozumieć, jak to się dzieje, że Landless zawsze dostaje to, czego chce. Tych, których nie mógł zdominować swoim bogactwem ani pozycją biznesową, łapał w pułapkę dzięki swojej sile fizycznej i smagał ostrym językiem. Urquhart nigdy nie znosił zdrobnienia „Frankie”, a to był jedyny człowiek na świecie, który upierał się, żeby tak się do niego zwracać. Jednak dziś rzecznik dyscypliny nie będzie się temu sprzeciwiał. Ten akurat spór z radością przegra.

Landless przysunął się bliżej, konspiracyjnym ruchem, przypierając Urquharta jeszcze mocniej do rogu.

– Dam ci przykład, w zaufaniu. Okej, Frankie? – Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje. – Powiedział mi mały ptaszek, że lada chwila koncern United Newspapers zostanie wystawiony na sprzedaż. Jeśli tak, to ja chcę go kupić. Właściwie już odbyłem z nimi całkiem poważne rozmowy. Ale te cioty prawnicy mówią mi, że już mam jedną grupę prasową i że rząd nie pozwoli mi kupić drugiej. To ja na to: chcecie mi powiedzieć, że nie mogę zostać największym wydawcą gazet w kraju, nawet jeśli wszystkie moje tytuły będą popierać rząd?! – Pot ściekał mu z twarzy, ale nie zwracał na to uwagi. – Wiesz, co mi powiedzieli, Frankie? Wiesz, co ci kretyni mi powiedzieli? Że właśnie dlatego, że popieram rząd, mam przesrane. Wystarczy, że mrugnę w kierunku United Newspapers, a opozycja dostanie piany. Zrobi z tego potężną aferę. I nikt nie będzie miał jaj, żeby mnie bronić, tak stwierdzili. Sprawa przejęcia koncernu trafi do Komisji Antymonopolowej, ugrzęźnie tam na całe miesiące z tabunem drogich prawników, a ja będę musiał wysłuchiwać bandy ciot

pouczających mnie, jak prowadzić interes. A wiesz, co mnie naprawdę niepomernie wkurwia, Frankie?

Urquhart zamrugnął. Z bliska ten człowiek był dość przerażający.

– Nie mam pojęcia, Ben. Powiedz mi.

– Naprawdę niepomernie wkurwia mnie to – znów dźganie paluchem – że jakichkolwiek użyję argumentów, cokolwiek powiem, koniec końców rząd i tak nie puści tej transakcji. Dlaczego? Bo nie mają jaj, żeby walczyć. – Dmuchnął Urquhartowi dymem z cygara w twarz. – A ponieważ wasz rząd nie ma jaj, mnie wciągnie fiuta w wyzymaczkę. Nie wystarczy, że rozpieprzacie własny interes, to jeszcze teraz rozpieprzycie mój!

Dopiero wtedy Landless zabrał palec z piersi rozmówcy. Urquhart był pewny, że rano będzie miał siniaka w miejscu, gdzie boleśnie wbijał się paluch biznesmena. Powiedział powoli:

– Ben, jesteś wielkim przyjacielem partii. Ja w każdym razie bardzo doceniam to, co dla nas zrobiłeś. To byłoby niewybaczalne, gdybyśmy nie mogli odwdzińczyć ci się za tę przyjaźń. Nie mogę tutaj mówić za premiera... Właściwie ostatnio coraz trudniej jest mi mówić za niego w jakiegokolwiek kwestii... Ale ja zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby cię poprzeć, gdybyś tego potrzebował.

Landless kiwał głową.

– Dobrze wiedzieć, Frankie. Podoba mi się to, co mówisz, bardzo mi się podoba. Gdyby tylko Henry potrafił być taki zdecydowany.

– Obawiam się, że to nie leży w jego naturze. Ale wiem, że będzie niezmiernie wdzięczny.

– Za co?

– Za zablokowanie tego sondażu. Nawet sobie nie wyobrażam, jak by mu to zaszkodziło, gdybyście to opublikowali. Cały kongres

zmieniłyby się w krwawą jatkę.

– No więc właśnie.

– Ale niektórzy uważają, że nie ma postępu bez odrobiny niedogodności.

Zmarszczone w wyrazie frustracji czoło Landlessa wygładziło się, a twarz rozjaśnił uśmiech. Miał niezwykle miękką, różową skórę, a uśmiech szeroki.

– Chyba wiem, o co ci chodzi, Frankie.

– O cóż mogłoby mi chodzić, Ben?

– Ha! Chyba się rozumiemy, ty i ja.

– Tak, Ben, myślę, że tak.

Landless jeszcze raz ścisnął rzecznika dyscypliny za ramię, ale tym razem delikatnie, z wdzięcznością. Po czym spojrział na zegarek.

– Zaraza, już tak późno? Mam coś do zrobienia, Frankie. Za niecałe pół godziny zamykamy poranne wydanie. Muszę zadzwonić. – Wziął swoją marynarkę i przerzucił ją przez ramię. – Dzięki za imprezę. Było miło. Nie zapomnę tego wieczoru, Frankie.

Urquhart patrzył, jak przemysłowiec w wilgotnej od potu koszuli przyklepionej do szerokich pleców przeciska się przez zatłoczoną salę i znika za drzwiami.

W drugim końcu tego samego zatłoczonego pomieszczenia, ukryty za murem ściśniętych ciał, na niewielkiej sofie przysiadł Roger O'Neill z pewną młodą i atrakcyjną uczestniczką kongresu. Był w stanie znacznego pobudzenia. Jego palce poruszały się bezustannie, oczy tańczyły w dzikich płasach, wyrzucał z siebie słowa z alarmującą szybkością. Zdążył już zasypać dziewczynę z Rotherhamu lawiną nazwisk i tajemnic. Jej przypadła rola niewinnego, biernego świadka tej jednostronnej konwersacji.

- Premier jest oczywiście pod stałą obserwacją naszej ochrony. Zawsze jest jakieś zagrożenie. Irlandczycy. Arabowie. Czarni bojownicy. Mnie też chcą dopaść. Próbują od miesięcy. Chłopaki z wydziału specjalnego koniecznie chciały dać mi ochronę podczas wyborów. Znaleźli nazwiska nas obu, Henry'ego i mnie, na liście do rozwałki. No i dostałem całodobową ochronę. Nie podano tego oczywiście do publicznej wiadomości, ale wszystkie pismaki wiedzą. - Zaciągnął się łapczywie papierosem i zaczął kaszleć. Wyjął brudną chusteczkę i głośno wydmuchał nos, po czym wnikliwie przyjrzał się rezultatowi, zanim włożył ją z powrotem do kieszeni.

- Ale dlaczego ty, Roger? - odważyła się wtrącić jego młoda towarzyszka.

- Miękki cel. Łatwy dostęp. Duży rozgłos - trajkotał. - Jak nie mogą dopaść premiera, wezmą się za kogoś takiego jak ja. - Rozejrzał się nerwowo rozbieganym wzrokiem. - Potrafisz dochować sekretu? Prawdziwej tajemnicy? - Znow zaciągnął się głęboko. - Dziś rano zorientowałem się, że ktoś majstrował przy moim samochodzie. Chłopacy z brygady antyterrorystycznej przeczesali go z zegarmistrzowską precyzją. Okazało się, że nakrętki przy jednym przednim kole były poluzowane. Jedziesz do domu autostradą, koło odpada przy osiemdziesięciu milach na godzinę i - zamiatarki mają robotę! Ich zdaniem ktoś to zrobił celowo. Chłopaki z wydziału zabójstw już tu jadą, żeby ze mną pogadać.

- Roger, to okropne - wykrztusiła.

- Nikomu ani słowa. Wydział specjalny nie chce, żeby coś ich spłoszyło, jeśli jest szansa, żeby ich złapać z zaskoczenia.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś tak blisko z premierem - powiedziała z rosnącym podziwem. - Co za potworny moment na... -

Nagle wydała zduszony okrzyk. – Dobrze się czujesz, Roger? Wyglądasz na bardzo zdenerwowanego. Twoje, twoje oczy... – zająknęła się.

Oczy O’Neilla obracały się dziko, karmiąc jego mózg kolejnymi chorymi halucynacjami. Jego myśli najwyraźniej powędrowały gdzieś indziej, jakby nie siedział już z młodą kobietą na kanapie, ale był w jakimś innym świecie, pogrążony w jakiejś innej rozmowie. Wrócił spojrzeniem do swojej towarzyszki, ale już po chwili jego oczy znów gdzieś odbiegły. Były przekrwione, zażawione, wzrok miał nieostry, z nosa ciekło mu jak starcowi w zimie – otarł go sobie pobieżnie i niedokładnie grzbietem dłoni. Dziewczyna patrzyła, jak twarz jej rozmówcy robi się popielatoszara, a przez jego ciało przebiega skurcz. O’Neill gwałtownie wstał. Sprawiał wrażenie przerażonego, jakby waliły się na niego ściany.

Patrzyła na niego bezradnie, niepewna, jak mu pomóc, zbyt skrępowana, żeby urządzić publicznie scenę. Przysunęła się, żeby wziąć go pod ramię i podtrzymać, ale wtedy on się odwrócił i stracił równowagę. Chwycił ją, żeby się nie przewrócić, wczepił się w jej bluzkę i urwał dwa guziki.

– Z drogi, zejdź mi z drogi – warknął.

Odepchnął ją gwałtownie, tak że wpadła na wypełniony szklankami stół, z którego stoczyła się z powrotem na sofę. Na brzęk tłukącego się o podłogę szkła umilkły wszystkie rozmowy, a zebrani zaczęli się odwracać, żeby zobaczyć, co się dzieje. W bluzce poszły kolejne guziki i lewa pierś dziewczyny sterczała obnażona.

W absolutnej ciszy O’Neill ruszył chwiejnym krokiem do drzwi, odpychając kolejne osoby, zostawiając za sobą pokój pełen zaszokowanych twarzy oraz dziewczynę trzymającą kurczowo

porwaną garderobę i usiłującą powstrzymać łzy upokorzenia. Jakaś starsza kobieta pospieszyła jej z pomocą i poprowadziła w kierunku łazienki. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, pokój natychmiast zalała fala spekulacji, a te szybko zmieniły się w morze plotek, które miały zapewnić gościom rozrywkę do końca wieczoru.

Penny Guy się do plotek nie przyłączyła. Chwilę wcześniej śmiała się wesoło, zabawiana ujmującym dowcipem i północnym wdziękiem Patricka Wooltona. Urquhart przedstawił ich sobie ponad godzinę temu i dopilnował, by szampan płynął równie swobodnie jak ich rozmowa. Jednak ten czarowny moment prysnął teraz w ogólnym rwetesie, a promienny uśmiech Penny zmienił się w wyraz absolutnej udręki. Stoczyła z góry skazaną na porażkę walkę z łzami, które popłynęły jej po policzkach i wydawały się niemożliwe do powstrzymania mimo słów pocieszenia i dużej białej chustki oferowanych przez Wooltona. Jej ból był zbyt prawdziwy.

– To naprawdę dobry człowiek, genialny w tym, co robi – mówiła. – Ale czasem to wszystko jakby go przerasta i trochę mu odbija. To w ogóle do niego nie pasuje. – Kiedy go tłumaczyła, łzy płynęły jeszcze szybciej.

– Penny. Tak mi przykro, słonko. Słuchaj, musisz stąd wyjść. Mój bungalow jest tuż obok. Co powiesz na to, żebyśmy tam poszli i otarli ci łzy, dobrze?

Wiedziała, co się stanie. Ale nie miało to już większego znaczenia. Kiwnęła z wdzięcznością głową i oboje przepchnęli się przez tłum. Nikt ich nie zauważył, kiedy wymykali się z pokoju, nikt oprócz Urquharta. Odprowadził ich wzrokiem do drzwi, w których wcześniej zniknęli Landless i O'Neill. Poczutł głębokie zadowolenie. Wyglądało na to, że będzie to pamiętne przyjęcie.

Rozdział 19

Większość kandydatów w wyborach uzupełniających to niewiele więcej niż wymagana prawem konieczność. Są niebędni, by zwycięzca czuł, że zrobił coś wartego zachodu. Co rzadko faktycznie robi.

Czwartek, 14 października

– Jasna cholera, to wyciąganie mnie codziennie rano z łóżka nie wejdzie ci chyba w nałóg, co? – Nawet przez telefon było wyraźnie słyszeć, że Preston uważa to nie tyle za pytanie, co za polecenie służbowe.

Po kilku godzinach alkoholowego samobiczowania z Charlesem Collingridge'em Mattie czuła się jeszcze gorzej niż poprzedniego ranka. Miała wyraźne trudności z ogarnięciem subtelniejszych aspektów sytuacji.

– Do diabła, Grev. Kładę się spać, myśląc, że chcę cię zabić, bo nie chcesz mi puścić tekstu o sondażu. A potem budzę się rano, a tu na pierwszej stronie jego wypaczona wersja, podpisana przez kogoś nazwiskiem „Nasz Zespół Polityczny”. Już nie myślę, że chcę cię zabić: wiem, że chcę. Ale najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego odwalasz takie szopki z moim artykułem. Dlaczego zmieniłeś zdanie? Kto przepisał mój tekst? I kim do cholery jest „Nasz Zespół Polityczny”, skoro to nie ja?

– Spokojnie, Mattie. Pooddychaj, bo ci gorset pęknie.

– Gorsety to nie moja bajka, Grev!

– A wczoraj wieczorem stwierdziłaś, że robota to nie twoja bajka, co? Co porabiałaś, strzelałaś oczami do jakiegoś kawalera do wzięcia

czy paliłaś swój stanik na feministycznym sabacie? Ale nada. Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Nikt nie odbierał. Gdybyś siedziała na tyłku, tobyś o wszystkim wiedziała.

Mattie zaczęła przypominać sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Z niemałym trudem, jak przez mgłę. Dało to Prestonowi czas na kontynuowanie wątku.

– Jak ci powiedział Krajewski, wczoraj część zespołu redakcyjnego uważała, że twój tekst nie jest wystarczająco poparty dowodami, żeby go dzisiaj puścić.

Usłyszał, jak Mattie prychnęła z oburzeniem.

– Mnie, szczerze mówiąc, ten tekst się podobał, od samego początku – dodał, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze. – Chciałem go wydrukować, ale potrzebowaliśmy czegoś więcej na potwierdzenie, zanim zmieszamy z błotem premiera tego kraju w dniu ważnych wyborów uzupełniających. Jeden anonimowy papierek nie wystarczał.

„To nie ja zmieszałam premiera z błotem, to ty” – chciała wtrącić Mattie, ale Preston już przeszedł dalej.

– Dlatego uruchomiłem moje kontakty na wyższych szczeblach partii i wczoraj późnym wieczorem dostaliśmy potrzebne potwierdzenie. Tuż przed zamknięciem numeru.

– Ale mój tekst...

– Tekst trzeba było pozmieniać, temat się rozwijał. Próbowałem cię znaleźć, ale skoro nie mogłem, przerobiłem go sam. Nie chciałem, żeby ktoś inny się go dotykał, to za dobry temat. Więc „Nasz Zespół Polityczny” to w tym przypadku ja.

– Napisałam tekst o sondażu. Ty go przerobiłeś na ukrzyżowanie Collingridge’a. Te cytaty od „czołowych źródeł partyjnych”, te słowa

krytyki i potępienia. Kogo jeszcze masz w Bournemouth oprócz mnie?

– Moje źródła to moja sprawa, Mattie, powinnaś o tym wiedzieć.

– Bez jaj, Grev. To ja mam być twoją korespondentką polityczną na tym cholernym kongresie. Nie możesz mnie tak trzymać w nieświadomości. Gazeta zrobiła totalną woltę, jeśli chodzi o mój tekst, i jeszcze jedną w kwestii Collingridge'a. Kilka tygodni temu przedstawialiśmy go tak, jakby miał aureolę wokół dupy, a teraz jest, jak to szło? „Katastrofą, mogącą w każdej chwili pochłonąć cały rząd”. Będą mnie tu dzisiaj kochać jak zadżumioną. Musisz mi powiedzieć, co jest grane!

Preston przecież próbował. Przedstawił wyjaśnienie. Nie było prawdziwe, ale co z tego? Uznał, że pora pokazać, kto tu rządzi.

– Powiem ci, co jest grane. Mamy zajebisty materiał i tylko my go mamy, to jest grane. I może uszło to twojej uwadze, Mattie, ale jestem naczelnym tej gazety, a to znaczy, że nie muszę się tłumaczyć każdej nieopierzonej reporterce tkwiącej gdzieś na prowincji. Ty robisz, co ci każą, ja robię, co mi każą, i oboje robimy swoje. Jasne?

– To kto do diabła ci każe, Grev? – chciała wiedzieć Mattie. Ale odpowiedział jej tylko ciągły sygnał. Preston odłożył słuchawkę. Z frustracją walnęła pięścią w poręcz krzesła. Nie mogła – nie chciała – dłużej tego znosić. Myślała, że otwierają się przed nią nowe drzwi, a tymczasem naczelny ciągle jej nimi przytrzaskiwał palce. Cała sprawa nie miała dla niej sensu.

Nadal nie widziała w niej sensu trzydzieści minut później, na śniadaniu w jadalni, kiedy usiłowała odzyskać przytomność umysłu za pomocą kolejnej filiżanki kawy. Z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie widać Kevina Spence'a. Na podłodze koło niej leżała sterta porannych gazet i Mattie musiała przyznać, że Preston miał rację: to był

znakomity materiał, najlepsza pierwsza strona ze wszystkich. Świetne dane, świetne cytaty. Za dobre, żeby Greville Preston mógł je zdobyć przez telefon z Londynu. Kiedy łamała sobie głowę nad tą zagadką, poczuła, że przez salę przesuwa się jakiś cień. Podniosła głowę i zobaczyła zwalistą sylwetkę Benjamina Landlessa, który człapał ciężko do stolika pod oknem, aby porozmawiać z lordem Petersonem, skarbnikiem partii. Właściciel „Chronicle” wpassował swoje kilogramy w zupełnie nieprzystające do jego tuszy krzesło i pochylił się nad blatem na tyle, na ile pozwalał mu brzuch. Uśmiechnął się do Petersona, uścisnął mu rękę, Mattie kompletnie zignorował. Nagle pomyślała, że sprawa zaczyna jednak nabierać trochę sensu.

Sekretarz polityczny premiera skrzywił się z niesmakiem. Po raz trzeci sekretarz prasowy podetknął mu pod nos poranną gazetę, a on po raz trzeci próbował ją odepchnąć. Już wiedział, jak musiał się czuć święty Piotr.

– Na litość boską, Grahame – warknął sekretarz prasowy, podnosząc głos. – Nie możemy schować każdego egzemplarza „Chronicle” w Bournemouth, do cholery. On musi wiedzieć i ty musisz mu to pokazać. I to już!

– Dlaczego musiało to wyskoczyć akurat dzisiaj? – jęknął sekretarz polityczny. – Lada moment wybory uzupełniające, a my przez całą noc kończyliśmy jego przemówienie na jutro. Teraz będzie chciał przerobić całe to cholerstwo, a skąd wziąć na to czas? Żyłka mu pęknie. – Zatrzasnął teczkę z nietypową dla siebie frustracją. – Całe to ciśnienie ostatnich paru tygodni, a teraz jeszcze to. Ani chwili spokoju, co?

Jego towarzysz postanowił nie odpowiadać. Wolał kontemplować widok z hotelowego okna na zatokę. Znowu padało.

Sekretarz polityczny wziął gazetę do ręki, zwinął ciasno i rzucił w drugi koniec pokoju. Wylądowała z łoskotem w koszu na śmieci, przewracając go, tak że zawartość rozsypała się po dywanie. Wyrzucone strony brudnopisu przemówienia zmieszały się z popiołem z papierosów oraz kilkoma pustymi puszkami po piwie i soku pomidorowym.

– Niech zje w spokoju pieprzone śniadanie, na miłość boską. Potem mu powiem – stwierdził.

Jak się miało okazać, nie była to najlepsza decyzja.

Henry Collingridge skończył pisać przemówienie nad ranem i zostawił je swoim współpracownikom, żeby wygładzili tekst i przepisali go na maszynie, po czym położył się do łóżka. Spał mocno, ale krótko, chyba pierwszy raz od wielu tygodni.

Przemówienie na zakończenie kongresu zawsze wisiało mu nad głową jak ciemna deszczowa chmura. Nie lubił kongresów i tych towarzyskich pogaduszek o niczym, tego tygodnia spędzonego poza domem, tego obżarstwa i opilstwa przy kolacjach – no i przemówienia na koniec. Szczególnie przemówienia. Wielogodzinne nerwowe dyskusje w zadymionym hotelowym pokoju, które trzeba przerwać, żeby pójść na jakieś upiorne przyjęcie, akurat kiedy zaczynało być widać postępy; powrót po dłuższym czasie, próby podjęcia wątku tam, gdzie skończyli, tyle że z większym zmęczeniem i mniejszą inspiracją. Jeśli przemówienie poszło dobrze, to po prostu spełniało oczekiwania i wymagania. Jeśli wypadło kiepsko, wszyscy i tak klaskali, ale wychodzili, mamrocząc, że zaczyna być widać stres związany ze sprawowaniem władzy. Prawo Murphy'ego.

No, ale już prawie po wszystkim, jeszcze tylko trzeba je wygłosić. Premier czuł się na tyle rozluźniony, że zaproponował żonie spacer po

promenadzie przed śniadaniem, dla odświeżenia umysłu, i do diabła z tym, że pada deszcz. Detektywi z wydziału specjalnego szli kilka kroków za nimi. Podczas przechadzki Collingridge omawiał zalety zimowych wakacji na Antigui albo Sri Lance.

– Myślę, że w tym roku Sri Lanka – powiedział. – Jak chcesz, możesz zostać na plaży, Sarah, ale ja bym wolał zrobić kilka wycieczek w góry. Mają tam stare buddyjskie klasztory, a rezerwaty przyrody są podobno spektakularne. Prezydent Sri Lanki opowiadał mi o nich w zeszłym roku, brzmiało to naprawdę... Kochanie, nie słuchasz!

– Przepraszam, Henry. Właśnie... patrzyłam na gazetę tamtego dżentelmena. – Ruchem głowy wskazała mężczyznę, także uczestnika kongresu, który z trudem przytrzymał płachtę gazety w podmuchach morskiej bryzy.

– A co, ciekawsza ode mnie?

Jednak jego beztroska rozwiła się na wietrze i zaczął się czuć nieswojo, bo przypomniał sobie, że nikt mu jeszcze dziś nie dał wycinków prasowych. Ktoś by mu na pewno powiedział, gdyby było w nich coś aż tak ważnego, ale... Popęłił kiedyś błąd, kilka miesięcy wcześniej, kiedy dał się przekonać pracownikom kancelarii, że nie musi poświęcać czasu na czytanie codziennych gazet, że zredagowane przez nich streszczenie będzie bardziej efektywne. Ale urzędnicy mieli własne, ograniczone poglądy na to, co jest istotne dla premiera w danym dniu, a on coraz częściej odkrywał w ich streszczeniach luki, zwłaszcza w kwestiach politycznych, a już szczególnie, kiedy pojawiały się złe wiadomości. Starali się go chronić, oczywiście, ale on zawsze się bał, że kokon, którym go owijają, w końcu go udusi.

Pamiętał, jak po raz pierwszy wszedł do budynku przy Downing Street 10 jako premier, po przyjeździe z pałacu. Tłumy i ekipy

telewizyjne zostawił za sobą na zewnątrz, a kiedy zamknęły się za nim wielkie czarne drzwi, jego oczom ukazał się niezwykle widok. Po jednej stronie przestronnego holu zebrało się około dwustu urzędników służby cywilnej, którzy gromko go oklaskiwali – tak jak wcześniej Thatcher, Callaghana, Wilsona i Heatha, i tak jak będą oklaskiwać jego następcę. Po drugiej stronie holu, naprzeciwko armii urzędników, stał jego sztab polityczny, ekipa lojalnych współpracowników, których pospiesznie zgromadził wokół siebie, kiedy zaczął prowadzić kampanię o objęcie stanowiska po Margaret Thatcher i których zaprosił na Downing Street, by świętować tę historyczną chwilę. Było ich tylko siedmioro, w nowym otoczeniu wydawali się maleńcy. Niesamowicie nierówna walka. Przez następne pół roku prawie nie widywał swoich partyjnych doradców, zostali de facto wygryzieni przez urzędniczą maszynę, a teraz nie został mu już nikt z tej pierwszej ekipy. Nie, to nie był dobry pomysł, żeby tak całkowicie polegać na urzędnikach, stwierdził. Postanowił też pożegnać się ze streszczeniami prasowymi i wrócić do czytania prawdziwych wiadomości, ale jeszcze się do tego nie zabrał. W przyszłym tygodniu, na pewno.

Spojrzał znów na gazetę, którą jej posiadacz strzepnął, usiłując rozprostować. Stał w odległości kilku metrów i z takiego dystansu premier z dużym trudem rozróżniał litery. Starał się nie gapić zbyt nachalnie. Powoli słowa się wyostrzyły.

„SONDAŻ UDERZA W RZĄD” – krzyczał nagłówek.

Collingridge podszedł te pięć kroków i wyrwał gazetę z rąk zaskoczonego mężczyzny.

„PRZYSZŁOŚĆ PREMIERA POD DUŻYM ZNAKIEM ZAPYTANIA, SPADEK JEGO POPULARNOŚCI MOCNO UDERZA W PARTIĘ” –

przeczytał. – „RODZĄ SIĘ OBAWY O KLĘSKĘ W WYBORACH UZUPEŁNIAJĄCYCH”.

– Henry! – krzyknęła z niepokojem jego żona.

– Co jest, kur... – wybełkotał facet z gazetą, zanim słowa zamarły mu na ustach, kiedy rozpoznał napastnika.

– Wszystko w porządku, panie premierze? – zapytał jeden z detektywów, stając między nimi i osłaniając go własnym ciałem.

Collingridge spuścił głowę.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem... Bardzo mi przykro – wymamrotał przepraszająco.

– Nie, panie premierze, to mnie jest przykro – odparł mężczyzna, odzyskując rezon. – Nie zasłużył pan sobie na to.

– Prawda? – mruknął Collingridge, po czym odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do hotelu.

Nastroju nie poprawiło premierowi to, że egzemplarz „Chronicle”, uwalany popiołem z papierosów, musiał wyciągnąć ze śmietnika.

– Od zupełnie obcego człowieka, cholera, Grahame. Czy chociaż czasami mógłbym nie być ostatnią osobą, która się o czymś takim dowiadyuje?

– Przepraszam, panie premierze. Mieliśmy to panu pokazać, jak tylko skończy pan śniadanie – padła potulna odpowiedź.

– Myślisz, że po tym mam jeszcze apetyt? Spójrz na te brednie! Tak nie może być, po prostu nie może, niech to...

Urwał. Dotarł w artykule „Chronicle” do miejsca, w którym twarde fakty ustępowały miejsca spekulacjom i podkręcaniu sprawy:

Ostatni spadek poparcia odnotowany w partyjnych sondażach z pewnością postawi premiera pod ogromną presją. Jutro wygłosi on w Bournemouth przemówienie na zakończenie kongresu, które w tej sytuacji będzie miało tym większe, być może nawet decydujące znaczenie.

Głosy niezadowolenia ze stylu i skuteczności przywództwa Collingridge'a podnoszą się coraz wyraźniej od czasu wyborów, których wyniki rozczarowały wielu jego partyjnych kolegów. Te wątpliwości z pewnością podsyca najnowszy sondaż, w którym premier uzyskał najniższe poparcie, jakie kiedykolwiek było udziałem urzędującego szefa rządu od początków badań opinii publicznej czterdzieści lat temu.

– O w dupę – zaklął pod nosem Collingridge i czytał dalej:

Jak skomentował wczoraj wieczorem jeden z ministrów: „W gabinecie i Izbie Gmin czuć brak kontroli. W partii narasta zniecierpliwienie. Niepopularność premiera osłabia naszą zasadniczo znakomitą pozycję”. W niektórych kręgach rządowych słyhać ostrzejsze opinie. Nasze źródła na wyższych szczeblach partyjnych spekulują, że partia już wkrótce znajdzie się na rozdrożu. „Musimy się zdecydować, czy zaczynać od nowa, czy chylić się powoli ku upadkowi i klęsce – stwierdził jeden z tych polityków. – Od wyborów zaliczyliśmy zbyt wiele niepotrzebnych wpadek. Nie możemy sobie pozwolić na więcej”. Inni są mniej optymistyczni, twierdząc, że Collingridge jest „jak katastrofa, mogąca w każdej chwili pochłonąć cały rząd”.

– Jasna dupa! – krzyknął Collingridge, nie zwracając już sobie głowy szeptaniem.

„Dzisiejsze wybory uzupełniające do parlamentu w Dorset East, okręgu mającym zapewnić rządowi pewne zwycięstwo, będą miały teraz kluczowe znaczenie dla przyszłości premiera” – podsumował artykuł.

Człowiek może spędzić pół życia na szczycie politycznej drabiny, ucząc się, jak sobie radzić z lękiem wysokości, ale czasem zakręci mu się w głowie i poczuje, że to dla niego za dużo.

– Znajdź te szumowiny, tych obszcymurów, którzy za tym stoją, Grahame! – ryknął Collingridge, zgniatając obiema rękami gazetę, jakby dusił świętecznego kurczaka. – Chcę wiedzieć, kto to napisał.

Kto z nimi rozmawiał. Kto ujawnił sondaż. A jutro na śniadanie chcę mieć ich jaja na toście!

– Mam zadzwonić do lorda Williamsa? – zaproponował sekretarz polityczny.

– Williamsa!? – wybuchnął Collingridge. – To jego pierdolony sondaż wyciekł! Nie chcę przeprosin: chcę odpowiedzi. Dawaj mi tu rzecznika dyscypliny. Znajdź go, i cokolwiek robi, dawaj go tu. W tej chwili.

Sekretarz zebrał się na odwagę przed pokonaniem kolejnej przeszkody.

– Zanim przyjdzie rzecznik, panie premierze, czy mógłbym zasugerować, żebyśmy jeszcze raz przyjrzeni się pana przemówieniu? Może chce pan różne rzeczy zmienić po porannej prasówce, a nie mamy zbyt wiele czasu...

– Przemówienie zostaje tak, jak jest. Co do słowa. Nie rozpieprzę bardzo dobrego przemówienia tylko dlatego, że te półgłówki z prasy zaczęły miotać gównem. Znajdź Urquharta. I to już!

Kiedy u Urquharta, który siedział w swoim bungalowie, zadzwonił telefon, w słuchawce odezwał się nie premier, ale minister spraw zagranicznych. Rzecznik z ulgą usłyszał, że Woolton się śmieje.

– Francis, ty cholerny głupku!

– Mój drogi Patricku, nie wiem...

– Następnym razem będę ci musiał dolewać więcej wody do whisky. Wyszedłeś wczoraj ode mnie z jedną z moich teczek, a swoją zostawiłeś. Ja mam twoje kanapki, a ty najnowsze tajne plany inwazji na Papuę Nową Gwineę czy tam inne cholerne bzdury, w które usiłują mnie wpakować w tym tygodniu. Lepiej się zamieńmy, zanim mnie

aresztują za zgubienie poufnej własności rządowej. Wpadnę za dwadzieścia sekund.

Po chwili Urquhart uśmiechał się przepaszająco do swojego kolegi ministra, ale Woolton machnął ręką.

– Nic się nie stało, Francis. Prawdę mówiąc, i tak bym się nie zabrał do czytania tego cholerstwa, na pewno nie wczoraj. Właściwie muszę ci podziękować. Bardzo stymulujący wieczór, jak się okazało.

– Tak się cieszę, Patrick. Na tych kongresach można się świetnie zabawić.

Jednak kiedy tylko Woolton wyszedł, nadal się zaśmiewając, nastrój Urquharta uległ zmianie. Rzecznik spoważniał, zmarszczył brwi i przekręcił klucz w drzwiach, naciskając klamkę, żeby mieć absolutną pewność, że są zamknięte. Szybko zaciągnął żaluzje w oknach i dopiero kiedy był pewny, że nikt go nie obserwuje, ostrożnie postawił czerwoną teczkę na biurku. Przyjrzał jej się uważnie, szukając śladów, które wskazywałyby, że ktoś przy niej majstrował, po czym wyjął z kieszeni duży pęk kluczy, wybrał jeden i wsunął go do zamka. Kiedy wieko odskoczyło, okazało się, że w środku nie ma ani papierów, ani kanapek, tylko duży kawałek styropianu, który szczelnie wypełniał teczkę. Urquhart wyjął styropian i odłożył na bok, a potem postawił walizeczkę na sztorc. Delikatnie podważył róg czerwonej skóry i odkleił wąski pasek, pod którym ukazał się niewielki otwór, przebity przez ściankę teczki. Wgłębienie miało nie więcej niż dwa cale kwadratowe, a w środku akurat zmieścił się nadajnik radiowy, razem z miniaturowym zasilaczem, dodanym gratis przez japońskiego producenta.

Kierownik sklepu ze sprzętem do monitoringu przy Tottenham Court Road, który Urquhart odwiedził przed dwoma tygodniami,

przywdział maskę całkowitej obojętności, kiedy rzecznik tłumaczył, że musi sprawdzić nieuczciwego pracownika.

- Zdarza się - powiedział tylko. Ze znacznie większym entuzjazmem opisał za to pełne możliwości sprzętu, który mógł zaoferować. - To jeden z najprostszych, ale najbardziej czułych nadajników na rynku - wyjaśnił - który wychwyci właściwie każdy dźwięk w promieniu pięćdziesięciu metrów i przekaże go do specjalnego odbiornika oraz uruchamianego głosem magnetofonu.

- Niech pan tylko ustawi mikrofon generalnie w stronę źródła dźwięku, a gwarantuję panu, że nagranie będzie brzmiało jak symfonia Mahlera.

Urquhart podszedł do szafy i wyciągnął jeszcze jedną czerwoną ministerialną teczkę. W środku w ochronną warstwę styropianu wetknięty był przerobiony przenośny radioodbiornik FM z wbudowanym magnetofonem, ustawiony na częstotliwość nadajnika. Urquhart zauważył z satysfakcją, że nagrała się prawie cała długa kasetka, którą włożył. Nie brakowało więc hałasów, które uruchomiły magnetofon.

- Mam nadzieję, że to nie po prostu dlatego, że chrapiesz, Patrick - zażartował głośno. Nagrywanie ponownie się włączyło, sprzęt chodził przez dziesięć sekund, po czym się wyłączył.

Urquhart wcisnął przycisk przewijania do tyłu i patrzył na obracające się szpule, kiedy znów zadzwonił telefon. Wzywano go do premiera. Pilnie.

- Nic nie szkodzi - powiedział, przesuwając palcami po obu czerwonych, skórzanych teczkach - poczekacie.

Śmiał się, kiedy wychodził z pokoju.

Rozdział 20

Niektórzy politycy myślą o wysokim stanowisku tak, jak marynarz o morzu: że to wielka przygoda, nieprzewidywalna i ekscytująca. Widzą w nim drogę do swojego przeznaczenia. Ja widzę w nim coś, w czym prawdopodobnie utoną.

Sobota, 16 października

Następnego dnia po przemówieniu premiera nie tylko „Chronicle” obwieściła, że było to kompletne fiasko. Zawtórowały jej prawie wszystkie inne gazety, a także kilku posłów partii rządzącej oraz lider opozycji.

Przegrana w wyborach uzupełniających w Dorset East, o której wieść huknęła na kongresie w piątek wczesnym rankiem, początkowo sparaliżowała wiernych zwolenników partii, ale już przy śniadaniu to uczucie minęło. Nad muesli czy jajkami na bekonie, kiełbaskami i fasolką uczestnicy kongresu zaczęli dawać upust swojej frustracji, która mogła się skupić tylko na jednej osobie: Henrym Collingridge’u.

Zanim nadeszła pora lunchu, korespondenci w Bournemouth zostali zasypani wypowiedziami bezimiennych partyjnych oficjeli, z których każdy twierdził, że ostrzegał premiera, by nie organizować wyborów uzupełniających w trakcie trwania kongresu i którzy teraz rozgrzeszali się z odpowiedzialności za porażkę. W desperacji kancelaria premiera wzięła odwet – nieoficjalnie, oczywiście. Zrzuciła winę na centralę partii, za którą rzecz jasna odpowiadał lord Williams. To wyjaśnienie trafiło jednak zasadniczo w próżnię. Instynkt stadny wziął górę.

Jak to ujęła jedna z tradycyjnie prorządowych gazet:

Premier poniósł wczoraj kolejną porażkę. Powinien był wykorzystać wystąpienie na kongresie do rozwiania wątpliwości w kwestii swojego przywództwa, jednak zdaniem jednego z członków gabinetu przemówienie było „nieporadne i nie na miejscu”. Po katastrofalnym sondażu i upokarzającej przegranej w wyborach uzupełniających w jednym z okręgów będących tradycyjnym bastionem partii jej członkowie czekali na realistyczną analizę i słowa otuchy. Zamiast tego, jak stwierdził jeden z uczestników, „dostaliśmy odgrzewane kotlety – przeróbkę starego przemówienia wyborczego”.

Collingridge zaczyna być otwarcie krytykowany. Peter Bearstead, poseł z Leicester North, stwierdził wczoraj: „Elektorat dał nam w wyborach uzupełniających ostrzegawczo po łapach. Wyborców nie usatysfakcjonują banały i spoczywanie na laurach. Być może pora, żeby premier pomyślał o przekazaniu władzy”.

W biurówcu na południowym brzegu Tamizy redaktor naczelny „Weekend Watch”, popularnego telewizyjnego programu publicystycznego, przestudiował gazety i pospiesznie zwołał zebranie zespołu. Dwadzieścia minut później zaplanowany na następny dzień materiał o przekrętach w sektorze mieszkań na wynajem odłożono na półkę i zmieniono cały sześćdziesięciminutowy odcinek. Do udziału zaproszono Bearsteada, a także kilku specjalistów od badania opinii publicznej i innych ekspertów. Nowy program nosił tytuł: Czas odejść?.

Ze swojego domu na zielonych przedmieściach koło Epsom dyrektor banku inwestycyjnego Barclays de Zoete Wedd zadzwonił do dwóch współpracowników. Zgodzili się przyjść do biura w poniedziałek o wyjątkowo wczesnej porze. „Te wszystkie polityczne pierdoły zachwieją rynkami. Pora upłynnić trochę akcji, zanim reszta skurczybyków zacznie sprzedawać”.

Z pokonanym w wyborach w East Dorset kandydatem skontaktował się tabloid „Mail on Sunday”. Gazeta celowo spotkała się z nim dopiero po lunchu, który spędził na topieniu swoich smutków. Kandydat darzył szefa partii żywą niechęcią. „Przez niego straciłem mandat. Czy może być pewien swojego?”. Świetny nagłówek.

We wspaniałej palladiańskiej rezydencji w New Forest w Hampshire Urquhart odebrał telefony od kilku kolegów z gabinetu oraz ważniejszych posłów, wyrażających swoje zaniepokojenie. Zadzwoił też przewodniczący komitetu wykonawczego organizacji partyjnej w Yorkshire, by podzielić się podobnymi obawami. „Wiesz, Francis, normalnie zwróciłbym się z tym do przewodniczącego partii – wyjaśnił z właściwą sobie bezpośredniością – ale wygląda mi to na otwartą wojnę między centralą a Downing Street. Nie ma mowy, żebym dał się w to wmanewrować”.

Tymczasem w Chequers, oficjalnej wiejskiej rezydencji premiera w Buckinghamshire, położonej wśród łagodnie pofałdowanych trawników i otoczonej ścisłą ochroną, Collingridge po prostu siedział, ignorując urzędowe papiery, pozbawiony natchnienia. Czuł się, jakby patrzył na kamień, który zaczął się staczać po równi pochyłej, i nie miał pojęcia, jak go zatrzymać.

Następny cios, zadany tego dnia późnym popołudniem, zaskoczył prawie wszystkich. Nawet Urquharta. Spodziewał się, że „Observer” jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie będzie sprawdzać pakiet papierów i fotokopii, które przesłał do redakcji całkowicie anonimowo. Myślał, że przynajmniej dadzą na to rzucić okiem prawnikom, ale najwyraźniej „Observer” bał się, że konkurencja też mogła wpaść na ten trop. „Opublikujemy – źle, nie opublikujemy – niedobrze. No to dajemy!” – krzyknął naczelny do newsroomu.

Kiedy zadzwonił telefon, Urquhart był w garażu, gdzie trzymał swojego rovera speed pilota, rocznik 1933. Używał tego auta do beztroskich przejazdów pełnym gazem po wąskich drogach New Forest – „jak ludzka wersja Pana Ropucha” – mawiała jego żona – wiedząc, że żaden policjant nie będzie na tyle małostkowy, żeby spisać taki piękny klasyczny brytyjski wóz, a poza tym grał z miejscowym szefem policji w golfa. Urquhart regulował właśnie potrójny karburator, kiedy Mortima zawołała z wnętrza domu:

– Francis! Telefon z Chequers!

Podniósł słuchawkę aparatu wiszącego na ścianie garażu, wycierając starannie ręce w szmatę.

– Tu Francis Urquhart.

– Panie rzeczniku, proszę poczekać. Dam panu premiera – poleciła asystentka.

Głos, który rozległ się po chwili w słuchawce, był prawie nie do poznania. Zgaszony, niepewny, wyczerpany.

– Francis, obawiam się, że mam złe wieści. Skontaktowałem się ze mną „Observer”. Bydlaki. Mówią, że jutro zamieszczą pewien tekst. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale oni twierdzą, że mój brat Charles kupował akcje z wykorzystaniem poufnych informacji – rządowych. Zarobił na tym kupę forsy. Mówią, że mają dowody: wyciągi z konta, kwity od maklerów, wszystko. Podobno kupił akcje Renoksu za prawie pięćdziesiąt tysięcy kilka dni przed zatwierdzeniem przez nas jakiegoś ich nowego leku. Dzień później sprzedał je ze sporym zyskiem. Podał fałszywy adres w Paddington. To ma być temat numeru. – Urwał, jakby nie miał siły mówić dalej. – Francis, wszyscy założą, że dostał te informacje ode mnie. Co na litość mam robić?

Zanim Urquhart odpowiedział, usiadł wygodnie w starym skórzanym fotelu w samochodzie. Był to fotel, w którym często podejmował ryzyko.

– Powiedziałeś coś „Observerowi”, Henry?

– Nie. Chyba nie oczekiwali ode mnie komentarza. Tak naprawdę szukali Charliego.

– Gdzie on jest?

– Zapadł się pod ziemię, mam nadzieję. Udało mi się do niego dodzwonić. Był... pijany. Kazałem mu zostawić odłożoną słuchawkę i nikomu nie otwierać.

Urquhart chwycił kierownicę i popatrzył przed siebie. Czuł się dziwnie oderwany od całej sytuacji. Uruchomił maszynę tak potężną, że wymknęła mu się spod kontroli. Nie mógł już być pewny, co się kryje za następnym zakrętem. Wiedział tylko, że pędzi z zawrotną prędkością, przekroczywszy wszelkie granice bezpieczeństwa. Nie mógł się zatrzymać, nie chciał. Było już za późno na wątpliwości.

– Gdzie jest Charlie?

– W domu w Londynie.

– Musisz tam kogoś wysłać, żeby się nim zajął. Nie można mu na tyle ufać, żeby zostawić go samego, Henry. Posłuchaj, wiem, że to musi być dla ciebie bolesne, ale jest taka klinika odwykowa pod Dover, z której nasze biuro już korzystało, wysyłając tam paru posłów. Pełna poufność, życzliwa atmosfera. Doktor Christian, szef kliniki, jest świetny. Zadzwońię do niego i poproszę, żeby przyjechał do Charliego. Obawiam się, że będziesz musiał załatwić jeszcze kogoś z rodziny, żeby też tam przyjechał, na wypadek, gdyby Charlie się stawiał. Kto by to mógł być? Może twoja żona? Musimy działać szybko, Henry, bo za kilka godzin „Observer” trafi do kiosków i dom twojego brata zostanie

obleżony. Musimy wyprzedzić tych drani. Nie wiadomo, co Charlie może zrobić albo powiedzieć w swoim obecnym stanie.

– Ale co potem? Nie mogę wiecznie ukrywać Charliego. Prędej czy później będzie musiał się z tym zmierzyć, prawda?

– Wybacz pytanie, Henry, ale czy on to zrobił? Ten przekręt z akcjami?

W słuchawce rozległo się westchnienie ciężkie jak powietrze ulatujące z dawno pogrzebanej trumny.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Ale... – Wahanie śmierdziało zwątpieniem i klęską. – Rzeczywiście dopuściliśmy do obrotu nowy lek Renoksu. Każdy, kto miał ich akcje, zarobiłby niezłą sumkę. Ale Charlie nie ma pieniędzy, żeby zapłacić rachunki, a co dopiero żeby się szarpnąć na akcje. No i skąd miałby wiedzieć o Renoksie?

Urquhart odpowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– O to będziemy się martwić, jak już się nim zajmiemy. Charlie potrzebuje pomocy, czy jej chce, czy nie, a my musimy dać mu na to czas. Ty i ja, Henry, musimy się nim zaopiekować. A ty zwłaszcza będziesz musiał być bardzo ostrożny, Henry. – Krótka pauza, żeby słowa w pełni dotarły do rozmówcy. – Nie możesz sobie tutaj pozwolić na błąd.

Collingridge znużonym głosem wymamrotał coś na znak zgody. Nie miał ani siły, ani chęci się spierać i był wdzięczny rzecznikowi dyscypliny za tę apodyktyczność, nawet jeśli odzierała go zarówno z dumy rodzinnej, jak i z godności urzędu.

– Co jeszcze mam zrobić, Francis?

– Nic. Jak już zabierzemy stąd Charliego, to nic. Będziemy w pogotowiu. Zobaczymy, co dokładnie napisze „Observer”, a potem możemy wytoczyć działa. Póki co, milczymy.

- Dziękuję, Francis. Bardzo proszę, zadzwoń do tego twojego doktora Christiana, zapytaj, czy pomoże. Sarah będzie u mojego brata za niecałe dwie godziny, jeśli ruszy w tej chwili. Zajmie się nim. Och... cholera.

Urquhart słyszał, jak pod wpływem emocji premierowi załamuje się głos.

- Nie martw się, Henry. Wszystko się uda - powiedział tonem pełnym otuchy. - Zaufaj mi.

Charles Collingridge w pierwszej chwili nie protestował, kiedy jego szwagierka weszła do mieszkania, otwierając sobie drzwi zapasowym kluczem. Znalazła go chrapiącego w fotelu, otoczonego śmietnikiem pozostałym po popołudniowej libacji. Przez pięć frustrujących minut próbowała go obudzić, potrząsając za ramię, z nikłym skutkiem, więc w końcu użyła lodu owiniętego w kuchenną ścierkę. Wtedy zaczął protestować. Protesty przybrały na sile, kiedy zrozumiał, co właściwie Sarah mówi, że namawia go, aby „wyjechał na kilka dni”, ale rozmowa zamieniła się w zupełny bełkot, kiedy szwagierka zaczęła wypytywać go o akcje. Nie mogła wydobyć z niego nic sensownego ani przekonać go, żeby się ruszył.

Dopiero prawie godzinę później, po przyjeździe doktora Christiana oraz jednego z podwładnych Urquharta z biura dyscypliny, poczyniono pewne postępy. Spakowali niewielką torbę podróżną i we trójkę wpełchnęli nadal protestującego brata na tylne siedzenie samochodu doktora, zaparkowanego w ustronnym miejscu na tyłach budynku.

Na szczęście Charlie stracił koordynację ruchową, więc nie był w stanie zbyt długo się opierać. Niestety jednak cała operacja musiała potrwać - zbyt długo, jak się okazało, bo kiedy czarny ford granada doktora wyjechał zza budynku na główną ulicę, z Sarah i Charlesem

z tyłu, świadkiem całej sceny były ekipa telewizyjna ITN, która właśnie przyjechała na miejsce.

Nagranie uciekającego Charlesa, kulącego się na tylnym siedzeniu samochodu w towarzystwie zdenerwowanej żony premiera, było głównym punktem programu w wieczornych wiadomościach.

Rozdział 21

Lojalność może być dobrą wiadomością, ale rzadko jest dobrą radą.

Niedziela, 17 października

Sceny z uciekającym Charlesem Collingridge'em ciągle były najważniejszą wiadomością dnia, kiedy na antenę wszedł „Weekend Watch”. Program sklecono w obłąkańczym pośpiechu, więc zostało wiele niedopiętych szczegółów. W reżyserce śmierdziało potem i papierosami, nie było czasu na normalną próbę, a do telepromptera wpisywano jeszcze tekst do dalszej części, kiedy prezenter już witał widzów.

Do występu w programie nie udało się przekonać ani jednego ministra. Im bardziej dziennikarze naciskali, tym bardziej agresywnie im odmawiano. Jeden z zaproszonych ekspertów jeszcze nie dotarł do studia. Dźwiękowiec rozpaczliwie szukał świeżych baterii, mimo że kierownik planu już odliczał na palcach i rozpoczynała się transmisja na żywo. W Instytucie Gallupa zamówiono wczoraj nową sondaż, a teraz dyrektor generalny Gordon Heald osobiście prezentował wyniki. Przez cały poranek siedział przy komputerze i wydawał się lekko zarumieniony. Było to spowodowane nie tyle oświetleniem, co raczej ustaleniami jego ankieterów. Stwierdzono kolejny spadek popularności premiera. „Tak, spadek znaczący” – przyznał Heald. Nie, żaden z poprzednich szefów rządu nigdy nie wygrał wyborów po osiągnięciu tak niskiej popularności.

Dwóch analityków prasowych potwierdziło ponure prognozy, które zabrzmiały jeszcze bardziej kasandrycznie, kiedy zaproszony

ekonomista zaczął przewidywać na najbliższe dni niepokoje na rynkach finansowych. Prezenter przerwał mu w połowie przydługiego wywodu i przeniósł uwagę na Petera Bearsteada. Normalnie posła z regionu East Midlands nagrano by wcześniej na wideo, ale nie było na to czasu, więc wszedł na żywo. W rozpisce reżysera jego występ był zaplanowany na co najwyżej dwie minuty pięćdziesiąt sekund, ale plan ten nie uwzględniał faktu, że kiedy szanowny, gadatliwy i drobnutki poseł z okręgu Leicester North już raz zacznie, trudniej go okiełznać niż wściekłego borsuka.

– Panie Bearstead, w jak poważnych pana zdaniem kłopotach znalazła się pana partia?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak długo będziemy musieli się męczyć z obecnym premierem.

– A więc podtrzymuje pan swój komentarz sprzed kilku dni, że być może premier powinien rozważyć, czy pozostać na stanowisku?

– Nie, nie do końca. Mówię, że powinien ustąpić. Niszczy naszą partię, a teraz jeszcze zaplątał się w jakiś skandal rodzinny. Tak dalej być nie może. To nie do pomyślenia!

– Ale czy pana zdaniem to realne, żeby premier ustąpił ze stanowiska? W końcu dopiero co mieliśmy wybory. Do następnych jeszcze prawie pięć lat. To musi dawać ogromne pole do odrabiania strat.

– Z tym premierem nie przetrwamy kolejnych pięciu lat, nie ma mowy! – Poseł był wzburzony, pełen ognia, nie mógł usiedzieć spokojnie na krześle. – Czas na ludzi o trzeźwych umysłach, nie

małych duchem. Stanowczo twierdzą, że partia musi podjąć decyzję w tej kwestii. Jeśli premier sam nie ustąpi, to trzeba będzie go zmusić.

– Ale jak?

– Przeprowadzić wybory na lidera partii.

– Kto miałby w nich wystartować przeciwko premierowi?

– A chociażby ja, jeśli nikt inny nie chce.

– Zamierza pan stanąć do walki z Henrym Collingridge'em o przywództwo w partii? – wyjąkał zaskoczony prezydent. – Ale przecież pan nie wygra?

– Pewnie, że nie wygram – odparł Bearstead niemal z pogardą. – Ale to zwróci uwagę polityków wagi ciężkiej na naszym ringu. Wszyscy narzekają na premiera, ale nikt nie ma odwagi, żeby przejść do działania. Więc jak oni nie chcą, to ja coś zrobię. Grajmy w otwarte karty.

Dolna warga prezydenta drżała, kiedy usiłował wybrać właściwy moment, żeby się wtrącić.

– Nie chcę przerywać, ale muszę mieć tu pełną jasność, panie pośle. Twierdzi pan, że premier musi ustąpić ze stanowiska, bo inaczej stanie pan z nim do walki o przywództwo w partii?

– Wybory do władz partyjnych muszą się odbyć najpóźniej przed świętami: regulamin partii nakłada taki obowiązek po wyborach powszechnych. Wiem, że zazwyczaj to tylko formalność, ale tym razem to będzie prawdziwa walka. Moi koledzy będą musieli się zdecydować.

Twarz prezydenta jakby zastygła w grymasie bólu. Przytrzymał w uchu słuchawkę, w której trwała pyskówka: reżyser domagał się, żeby pełen dramatyzmu wywiad trwał dalej i do diabła z planem; redaktor wydania wrzeszczał, że powinni zakończyć, zanim ten

pieprzony idiota zmieni zdanie i zrujnuje sensacyjny materiał. Na podłogę spadła z hukiem popielniczka, ktoś ordynarnie zaklął.

- A teraz krótka przerwa na reklamę - oświadczył prezenter.

Rozdział 22

Polityka. Słowo pochodzi z greki, od politik. Poli znaczy „wiele”. A to nerwowy odruch, niezależny od naszej woli i uprzykrzający nam życie.

Poniedziałek, 18 października – piątek, 22 października

Funt szterling zaczął tracić na wartości zaraz po otwarciu tokijskiej giełdy. W Londynie dochodziła północ. O dziewiątej rano, kiedy wszyscy zdążyli już przeczytać poniedziałkowe gazety rozpisywane o rzuconym Collingridge'owi wyzwaniu, indeks FT All Share spadł o sześćdziesiąt trzy punkty. Do lunchu stracił kolejne czterdzieści cztery. Finansiści nie lubią niespodzianek.

Premier też nie był w najlepszej formie. Od sobotniego wieczoru nie spał i prawie się nie odzywał, pogrążony w głębokiej depresji. Zamiast pozwolić mu wrócić w poniedziałek rano na Downing Street, Sarah zatrzymała go w Chequers i wezwała lekarza. Doktor Wynne-Jones, lojalny i bardzo doświadczony lekarz Collingridge'a, przepisał mu środek uspokajający i zalecił odpoczynek. Lek przyniósł doraźną ulgę: po raz pierwszy od kongresu partii premier zasnął na dłużej. Jego żona nadal jednak dostrzegała pod jego zamkniętymi, drgającymi powiekami widoczne napięcie. Nawet gdy spał, mocno zaciskał palce na pościeli.

W poniedziałek późnym popołudniem, kiedy wynurzył się z narkotycznego snu, polecił obłąkanemu Biuru Prasowemu Rządu poinformować, że oczywiście stanie do wyborów o przywództwo w partii i jest pewny zwycięstwa; w tej chwili zbyt zajmują go sprawy rządowe, aby mógł udzielać wywiadów, ale jeszcze w tym tygodniu

wypowie się szerzej. Charlie też nie rozmawiał z prasą. Nadal nie wydusił z siebie nic sensownego w kwestii akcji, a oficjalne „bez komentarza” nie mogło wystarczyć, żeby uspokoić sytuację rodzinną premiera.

W centrali partii lord Williams pospiesznie zamówił kolejne sondaże. Chciał wiedzieć, co naprawdę myśli kraj. Reszta partyjnej maszyny nie działała tak szybko. Odkurzono przepisy dotyczące wyborów na lidera partii, które bynajmniej nie okazały się proste. Całą procedurę kontrolował przewodniczący klubu parlamentarnego sir Humphrey Newlands, natomiast wybór terminu pozostawał w rękach szefa partii. Zamęt tylko się pogłębił, kiedy wyszło na jaw, że sir Humphrey, wykazując się wyjątkowo kiepskim wyczuciem czasu, wyjechał w poprzedni weekend na urlop na prywatną wyspę w Indiach Zachodnich, co niezwykle utrudniało wszelkie kontakty. Wywołało to wśród pismaków gwałtowne spekulacje, że celowo się gdzieś zaszył, grając na czas, podczas gdy potężne wyższe sfery partyjne zmobilizowały się, by przekonać „lwa z Leicester”, jak zaczęto nazywać Bearsteada, żeby się wycofał. Jednak w środę „Sun” odkrył sir Humphreya na srebrzystej plaży gdzieś koło Saint Lucia, wraz z kilkorgiem przyjaciół, w tym co najmniej trzema skąpo odzianymi młodymi kobietami, ewidentnie o prawie ćwierć wieku młodszymi od niego. Ogłoszono, że przewodniczący klubu wróci do Londynu najbliższym możliwym lotem. Podobnie jak Charlie Collingridge, jego żona nie chciała niczego komentować.

Po takim wzburzonym morzu dryfował Henry Collingridge, odcięty od rad mądrego i przebiegłego przewodniczącego partii. Nie miał oczywiście konkretnego powodu, żeby nie ufać Williamsowi, ale bezustanna medialna paplanina o pogłębiającej się przepaści między

nimi zaczęła zmieniać nieodpowiedzialne plotki w rzeczywistość. Brak zaufania to kwestia percepcji, nie faktów. Dumny, starzejący się przewodniczący partii czuł, że nie może niczego radzić niepytany, podczas gdy Collingridge brał jego milczenie za dowód nielojalności.

Sarah pojechała odwiedzić Charliego i wróciła późno, bardzo przygnębiona.

– Wygląda okropnie, Henry. Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stanu się doprowadził. Tyle alkoholu. Lekarze mówią, że omal się nie zabił.

– Czuję się winny – mruknął Henry. – Mogłem go powstrzymać. Gdybym tylko nie był tak zaabsorbowany... Mówił coś o tych akcjach?

– Ledwo daje się go zrozumieć. Powtarzał tylko: „Pięćdziesiąt tysięcy funtów? Jakie pięćdziesiąt tysięcy funtów?”. Przysiągł, że nigdy nie był w żadnym tureckim banku.

– Cholera jasna!

– Kochanie... – Przygryzła wargę, jakby słowa sprawiały jej trudność. – Czy to możliwe...?

– Że jest winny? Po prostu nie wiem. Ale jaki mam wybór? Musi być niewinny, bo jeśli rzeczywiście kupił te akcje, to kto poza kompletnym idiotą uwierzy, że to nie ja mu kazałem? Jeśli Charlie jest winny, to ja też za to beknę.

Chwyciła go z przestraczem za ramię.

– A nie mógłbyś powiedzieć, że Charlie był chory, nie wiedział, co robi, że jakoś... znalazł te informacje bez twojej wiedzy...? – Jej głos powoli zamarł. Nawet ona w to nie wierzyła.

Wziął ją w ramiona, objął. Bliskość jego ciała dodała jej otuchy, której nie mogły dać jego słowa. Pocałował ją w czoło i poczuł ciepło

łez na swojej piersi. Wiedział, że sam też jest bliski płaczu i się tego nie wstydził.

– Sarah, nie mam zamiaru być tym, kto wykończy Charliego. Bóg mi świadkiem, że bardzo się starał wykończyć się sam, ale nadal jestem jego bratem. Zawsze będę. Albo to przetrwamy, albo pójdziemy na dno, jeśli musimy. Ale cokolwiek się stanie, zrobimy to jako rodzina. Razem.

Sezon kongresów partyjnych oznaczał sześć tygodni niedosypiania i harówki, więc Mattie chciała zrobić sobie wolne, żeby odzyskać siły. Długi weekend wystarczył. Nieważne, ile egzotycznego chilijskiego wina wypła i ile starych filmów obejrzała, myślami ciągle wracała do swojej pracy. I Collingridge'a. I Urquharta. I Prestona. Zwłaszcza Prestona. Kupiła kilka arkuszy papieru ściernego i zaczęła szlifować stolarkę w swoim wiktoriańskim mieszkaniu, ale to też nie pomogło, niezależnie od tego, z jakim wigorem atakowała starą farbę. Nadal była wściekła jak diabli na naczelnego.

Następnego dnia o dziewiętej trzydzieści rano siedziała w redakcji, przyrosnięta do skórzanego fotela naprzeciwko biurka Prestona, gotowa do obłączenia. Tym razem szef nie rzuci słuchawką. Ale nic z tego nie wyszło.

Czekała prawie godzinę, kiedy zza drzwi wyjrzała jego sekretarka, uśmiechając się przepaszająco:

– Przykro mi, Matts, szef właśnie zadzwonił, że ma spotkanie na mieście i przyjdzie dopiero po lunchu.

Świat sprzysiągł się przeciwko Mattie, właśnie upaprał jej koszulę sosem. Chciało jej się krzyżeć i ten wrzask w niej powoli dojrzewał. John Krajewski nie wybrał więc najodpowiedniejszej chwili, żeby zajrzeć do gabinetu naczelnego.

– Nie wiedziałem, że jesteś w redakcji, Mattie.

– Nie ma mnie. W każdym razie zaraz mnie nie będzie. – Podniosła się, żeby wyjść.

Krajewski stał speszony. Często tak się czuł w jej towarzystwie, podobała mu się odrobinę za bardzo.

– Słuchaj, Mattie, z dziesięć razy brałem słuchawkę do ręki, żeby do ciebie zadzwonić po tym, co było w zeszłym tygodniu, ale...

– Ale co? – warknęła.

– Chyba czułem, że urwiesz mi głowę i jakoś nie miałem na to ochoty.

– No to... – Zawahała się. Już miała odparować, że było to słuszne założenie, ale ugryzła się w język. To nie była jego wina. – Mądrze zrobiłeś – powiedziała łagodniejszym tonem.

Odkąd dwa lata temu jego żona zginęła w wypadku samochodowym, Krajewski stracił sporo pewności siebie, zarówno jeśli chodzi o kobiety, jak i o swoje umiejętności zawodowe. Był zdolny, przetrwał, ale ochronny pancerz, który wokół siebie zbudował, pękał bardzo powoli. Kilka kobiet, przyciągniętych jego lekko tyczkowatą sylwetką i smutnymi oczami, próbowało przebić się przez tę skorupę, ale on chciał czegoś więcej niż ich współczucia i dymania z litości. Chciał czegoś – kogoś – kto nim potrząśnie i przywróci go do życia. Chciał Mattie.

– Chcesz o tym pogadać, Mattie? Może przy kolacji? Z daleka od tego wszystkiego? – Wskazał poirytowanym gestem biurko szefa.

– Usiłujesz mnie przycisnąć? – W kącikach jej ust zaczął rysować się leciutki ślad uśmiechu.

– Może raczej polechtać.

Zgarnęła swoją torbę i zarzuciła ją na ramię.

- Dwudziesta. Ganges – poinstruowała, na próżno starając się wyglądać surowo, kiedy mijala go w drodze do wyjścia.

- Przyjdę – zawołał za nią. – Chyba jestem masochistą, ale przyjdę.

I przyszedł. Był nawet dziesięć minut przed czasem, żeby wlać w siebie piwo, zanim zjawiała się Mattie, spóźniona pięć minut. Wiedział, że będzie musiał sztucznie wzmocnić swoją odwagę. Ganges, dwa kroki od mieszkania Mattie w Notting Hill, był maleńką bangladeską knajpką z dużym glinianym piecem i właścicielem, który prowadził znakomitą kuchnię, jeśli akurat nie próbował obalić rządu w swoim ojczystym kraju. Kiedy przyszła Mattie, też zamówiła piwo i dotrzymywała Krajewskiemu kroku, aż ostatni kawałek tikka zniknął z jej talerza. Odsunęła pusty talerz, jakby oczyszczając teren.

- Chyba zrobiłam straszny błąd, Johnnie.

- Za dużo czosnku w chleбку naan?

- Chcę być dziennikarką. Dobrą dziennikarką. W głębi duszy czuję, że mam zadatki na świetną dziennikarkę. Ale nic z tego nie wyjdzie, jak ma się dupka za naczelnego, no nie?

- Osobowość Greva rzeczywiście ma swoją mniej atrakcyjną stronę.

- Dużo poświęciłam, żeby przyjechać do Londynu. Już postanowiłam. Podjęłam decyzję. Nie będę więcej znosić fochów Greville'a Prestona. Odchodzę.

Spojrzał jej głęboko w oczy, zobaczył kłębiące się w nich emocje. Wziął ją za rękę.

- Nie spiesz się z tym, Mattie. Polityczny świat właśnie się rozpada, potrzebujesz tej pracy, miejsca tuż przy ringu, żeby być częścią wydarzeń. Nie skacz, dopóki nie będziesz gotowa.

– Zadziwiasz mnie, Johnnie. To nie ten gorący apel, żebym została jako cenny członek zespołu, jakiego oczekiwałam od zastępcy naczelnego.

– Nie mówię tego jako zastępcę naczelnego, Mattie. – Ścisnął jej dłoń. – Poza tym masz rację. Grev to dupek. Jedyne, co go ratuje, to że jest w tym byciu dupkiem zupełnie nieskomplikowany. Nigdy cię pod tym względem nie zawiedzie. Wiesz, wtedy podczas kongresu...

– No, gadaj, zanim urwę ci jaja.

Kelner przyniósł jeszcze jedną kolejkę piwa. Krajewski spił pianę ze swojego kufła i zaczął opowiadać.

– Dobra, newsroom tuż przed oddaniem porannego wydania do druku. Spokojny wieczór, nie ma zbyt wielu wiadomości z ostatniej chwili. Grev peroruje o tym, jak pił z Denisem Thatcherem tej nocy, kiedy doszło do zamachu bombowego w Brighton. Nikt mu nie wierzył: DT nie pokazałby się z Grevem Prestonem na własnym pogrzebie, a co dopiero w knajpie, a Lorraine z działu reportażu przysięga, że się z nim wtedy bzykała w Hove. W każdym razie Grev jest w połowie swojej bajeczki, kiedy jego sekretarka krzyczy: „Telefon!”. No to znika w swoim gabinecie, żeby odebrać. Dziesięć minut później wraca do newsroomu wytrącony z równowagi. Ktoś go nieźle pogonił. „Wszystko wstrzymać – krzyczy. – Zmieniamy pierwszą stronę”. Myślimy sobie: Jezu, musieli zastrzelić prezydenta, bo Grev jest totalnie roztrzęsiony, zdenerwowany jak cholera. A potem każe dać twój tekst na jeden z ekranów i oznajmia, że to będzie nasz główny materiał. Ale będziemy musieli go podkręcić.

– Bez sensu. Przecież zjął mi tekst właśnie dlatego, że był jego zdaniem za mocny! – zaprotestowała.

– Cicho, słuchaj. Dalej jest jeszcze lepiej. No to Grev stoi, patrzy przez ramię jednemu z naszych reporterów siedzącemu przy ekranie i dyktuje mu bezpośrednio zmiany. Przekręca tekst, przejawskrawia, zmienia wszystko w personalny atak na Collingridge’a. „Niech się sukinkot spali ze wstydu” – mówi. A pamiętasz te cytaty ze źródeł na wyższych szczeblach rządowych, na których opierała się cała przeróbka? Wydaje mi się, że je wymyślił, tam na miejscu. Wszystkie co do jednego. Nie miał notatek, po prostu dyktował je prosto na ekran. Fikcja od początku do końca. Mattie, uwierz mi, powinnaś cieszyć się jak cholera, że nie znalazło się pod tym twoje nazwisko.

– Ale po co? Po co na litość boską wymyślać taki tekst? Dlaczego tak nagle zmienił zdanie? Kto go do tego przekonał? Z kim rozmawiał przez telefon? Kto był tym tak zwanym źródłem w Bournemouth?

– Nie wiem.

– A ja chyba wiem – szepnęła. – To musiał być on. Nikt inny. Benjamin Pieprzony Landless.

– Nie pracujemy już w gazecie: to jakaś zgraja dokonująca linczu ku rozrywce naszego właściciela.

Oboje zajęli się przez chwilę swoim piwem, próbując utopić w nim niewesołe myśli.

– Zaraz, zaraz, ale to nie tylko Landless, prawda? – odezwała się Mattie, jakby piwo rozjaśniło jej w głowie.

– Nie? – Krajewski wykorzystał chwilę popijania w milczeniu, żeby jeszcze raz zawiesić na niej oko. Słuchał z rosnącym roztargnieniem, podczas gdy ona była coraz bardziej zaabsorbowana tematem.

– Pomyśl, Grev nie mógłby wysmażyć tego artykułu bez mojego tekstu, a ja bym go nie napisała bez tego sondażu, który wyciekł. Możesz sobie wierzyć w zbieg okoliczności, ale moim zdaniem musi

być ktoś jeszcze, ktoś w partii, kto ujawnia sondaże i pociąga za sznurki.

– I co, stoi też za tymi wszystkimi innymi przeciekami od czasu wyborów?

– No jasne! – Triumfalnie dokończyła piwo. Poczowała przyływ adrenaliny. To będzie najlepszy temat wszech czasów. Właśnie po coś takiego przyjechała na południe.

– Johnnie, masz rację!

– Mam? – zdziwił się. Zapomniał o tym wątku już ze dwa piwa temu.

– To zdecydowanie nie jest dobry moment, żeby się poddać i złożyć wymówienie. Dowiem się, o co w tym chodzi, nawet jeśli będę musiała kogoś zabić. Pomożesz mi?

– Jeśli tego właśnie chcesz, oczywiście.

– Trochę więcej entuzjazmu, do cholery.

– Chodzi o to, że... – A, do diabła z wahaniem. – Pamiętasz, mówiłaś, że urwiesz mi jaja, jeśli ci wszystkiego nie powiem.

– No, ale powiedziałeś.

– A nie mogłabyś i tak...?

– Masz na myśli... – Tak, miał, widziała to w jego oczach. – Johnnie, biurowe romanse to nie moja bajka.

– Romans? Kto mówi o romansie? Nie po takiej ilości piwa. Mnie póki co wystarczy zwykły, pocziwy seks.

Roześmiała się.

– Myślę, że obojgu nam się należy – nalegał.

Śmiała się jeszcze, kiedy wychodzili z restauracji, trzymając się za ręce.

Oświadczenie Downing Street – a właściwie briefing bo zostało wydane nie w formie pisemnego komunikatu, ale ustami sekretarza prasowego Freddiego Redferna – było proste:

– Premier nigdy nie udzielił swojemu bratu żadnych poufnych informacji rządowych, mogących mieć znaczenie komercyjne. Nigdy nie omawiał z nim żadnych tematów związanych z Renox Chemicals. Brat premiera jest ciężko chory i obecnie znajduje się pod opieką medyczną. Lekarze orzekli, że jego stan wyklucza udzielanie wywiadów i odpowiedzi na pytania. Mogę jednak państwa zapewnić, że kategorycznie zaprzecza, jakoby kupował akcje Renoksu, miał fałszywy adres w Paddington i jakikolwiek związek z tą sprawą. To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć. I to już cały oficjalny komentarz w tej kwestii.

– Daj spokój, Freddie – jęknął jeden z zebranych dziennikarzy. – Tak łatwo się nie wywiniesz. Jak w takim razie wyjaśnisz artykuł „Observera”, jeśli Collingridge’owie są niewinni?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Może ktoś się podszył pod Charlesa Collingridge’a albo istnieje ktoś inny o tym samym nazwisku, skąd mam wiedzieć? Ale znam Henry’ego Collingridge’a od lat, tak jak wy znacie mnie, i wiem, że nie jest zdolny zniżyć się do tak odrażającego poziomu. Mój człowiek jest niewinny. Macie na to moje słowo!

Mówił ze stanowczością i żarem zawodowca, który ryzykuje własną reputację, stając w obronie szefa, a szacunek sprawozdawców politycznych dla jednego z byłych kolegów po fachu przeważał szalę na korzyść Collingridge’a – ledwo, ledwo.

„Jesteśmy niewinni!” – krzyczał nagłówek na pierwszej stronie „Daily Mail” następnego dnia. Ponieważ nikomu nie udało się

wygrzebać żadnych świeżych obciążających dowodów, większość pozostałych gazet pisała o sprawie w podobnym tonie. Na razie.

– Francis, jesteś jedyną przyjazną twarzą, jaką teraz widuję.

– Henry, będzie lepiej. Obiecuję. To stado psów się rozbiegnie, kiedy tylko stracą trop.

Siedzieli razem w sali posiedzeń rządu, przy stole, na którym leżały porozrzucane gazety.

– Dziękuję ci za lojalność, Francis. To teraz wiele dla mnie znaczy.

– Te ciemne chmury już się rozwiewają.

Jednak premier kręcił głową.

– Chciałbym, żeby tak było, ale obaj wiemy, że to tylko chwilowe przejaśnienie – westchnął. – Nie wiem, na jak zdecydowane poparcie mogę liczyć wśród kolegów.

Urquhart się nie spierał.

– Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby uciekać. Muszę dać im jakiś punkt zaczepienia, pokazać, że nie mam nic do ukrycia. Pora przejąć inicjatywę.

– Co zamierzasz zrobić?

Premier siedział w milczeniu na swoim miejscu, gryząc obsadkę wiecznego pióra. Spojrzał na strzelisty obraz olejny przedstawiający Roberta Walpole'a, swojego najdłużej sprawującego urząd poprzednika, wiszący nad marmurowym kominkiem.

– Ile on przetrwał skandali i kryzysów, Francis?

– Więcej, niż ty będziesz musiał.

– Albo potrafił – szepnął Collingridge, szukając inspiracji w ciemnych, inteligentnych oczach na portrecie. Nagle odwrócił wzrok, bo przez szare jesienne niebo przebiło się słońce, zalewając

pokój światłem. Wyglądał, jakby wstąpiła w niego nadzieja. Życie będzie toczyć się dalej.

– Dostałem zaproszenie od tych bydlaków z „Weekend Watch”. Chcą, żebym wystąpił u nich w niedzielę i przedstawił swoje stanowisko w ramach przywracania równowagi.

– Ufam im jak gniazdu żmij.

– Mimo wszystko uważam, że muszę to zrobić – i cholernie dobrze wypaść! Obiecali poświęcić na te bzdury z „Observera” nie więcej niż dziesięć minut, reszta ma dotyczyć polityki rządu i naszych ambicji na czwartą kadencję. Podniesienie poprzeczki, wyjście ponad poziom rynsztoka. Co o tym myślisz?

– Ja i myślenie, panie premierze? Ależ ja jestem rzecznikiem dyscypliny, to nie za myślenie mi pan płaci.

– Wiem, że cię zawiodłem, Francis, ale w tej chwili nie mógłbym prosić o lepszego od ciebie sprzymierzeńca. Kiedy już będzie po wszystkim, obiecuję – dostaniesz to, czego chcesz.

Urquhart skinął powoli głową w wyrazie wdzięczności.

– Wystąpiłbyś u nich? Gdybyś był na moim miejscu? – naciskał premier. – Freddie Redfern mówi, że to zbyt niebezpieczne.

– Brak działania też wiąże się z niebezpieczeństwem.

– Więc?

– Uważam, że w takim momencie, kiedy jest tyle do stracenia, człowiek musi iść za głosem serca.

– Znakomicie! – wykrzyknął Collingridge i klasnął w dłonie. – Cieszę się, że tak myślisz. Bo już przyjąłem zaproszenie.

Urquhart kiwnął głową z aprobatą, ale premier nagle zaklął. Patrzył na swoje ręce. Pióro było nieszczelne. Miał dłonie uwalane atramentem.

Penny Guy spodziewała się telefonu od Patricka Wooltona. Zdobył skądś jej bezpośredni numer i dzwonił, usiłując znów się z nią umówić. Wytrwale drążył sprawę, ale ona była niewzruszona. Połączyła ich kongresowo-imprezowa przygoda, nic więcej, chociaż musiała przyznać, że był fajny i niezwykle wysportowany jak na swój wiek. Błąd, ale to niewinne wspomnienie nikomu nie szkodziło. Kiedy jednak telefon zadzwonił, w słuchawce odezwał się Urquhart, który chciał mówić z jej szefem. Przełączyła rozmowę, a kilka sekund później O'Neill starannie zamknął drzwi do swojego gabinetu.

Po paru minutach Penny usłyszała jego podniesiony głos, chociaż nie mogła rozróżnić słów i nie rozumiała, o czym krzyczał. A kiedy zgasła lampka na telefonie, co oznaczało zakończenie rozmowy, w gabinecie O'Neilla zapadła martwa cisza. Wahala się jeszcze przez kilka minut, ale ponaglana mieszanką ciekawości i zaniepokojenia zapukała delikatnie do drzwi szefa i ostrożnie je otworzyła.

O'Neill siedział na podłodze w kącie pokoju, oparty o dwie tworzące róg ściany. Ukrył twarz w dłoniach.

– Rog...?

Podniósł wzrok, zaskoczony. W oczach miał chaos i ból. Zaczął mówić ochryplym, bełkotliwym głosem:

– On... mi groził, Pen. Kurwa... groził mi. Powiedział, że jak nie, to on... Muszę zmienić plik...

Uklękła przy nim. Położył jej głowę na piersi. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Jaki plik, Rog? Co musisz zrobić?

Usiłował pokręcić głową, nie odpowiadał.

– Pozwól mi pomóc, Rog. Proszę.

Poderwał gwałtownie głowę, spojrzał na nią dziko.

– Nikt nie może mi pomóc!

– Chodź, odwiozę cię do domu – powiedziała, próbując go podnieść.

Odepchnął ją.

– Zostaw mnie! – warknął. – Nie dotykaj mnie!

Wtedy zobaczył ból w jej oczach i to trochę go ostudziło. Osunął się na podłogę jak mały chłopiec, chowając ze wstydem głowę.

– Widzisz, mam przejebane. Totalnie przejebane. Nic nie możesz zrobić. Nikt nic nie może. Idź sobie.

– Nie, Rog...

Ale on znów ją odepchnął, tak gwałtownie, że przewróciła się na plecy.

– Odpierdol się, zdziro! Po prostu... wyjdź.

Podniosła się ze łzami w oczach, nic nie rozumiejąc. Znowu odwracał od niej głowę, nie chciał mówić. Wyszła. Usłyszała, jak trzasnął za nią drzwiami i zamknął się od środka na klucz.

Rozdział 23

Kurz unoszący się nad zgliszczami ambicji pięknie barwi zachód słońca. A ja uwielbiam wieczorne spacerowanie.

Niedziela, 24 października

„Weekend Watch”. Cały kraj przed telewizorami. Chrześcijanie i lwy – a przynajmniej jeden chrześcijanin. W miarę trwania programu Collingridge zaczynał się rozluźniać. Pilnie się przygotowywał przez poprzednie dwa dni, a pytania były w dużej mierze takie, jakich się spodziewał, co dawało mu okazję do mówienia o następnych kilku latach z autentycznym zapałem. Nalegał, żeby kwestię Charliego i zarzutów „Observera” zostawić na koniec – nie chciał, żeby te kurwy w reżyserce wystawiły go do wiatru i nie dotrzymały obietnicy, by poświęcić na sprawę najwyżej dziesięć minut. Poza tym zależało mu, żeby zdążyć się już dobrze rozkręcić. Po czterdziestu pięciu minutach omawiania interesu narodowego i świetlanej przyszłości kraju z pewnością każda bezstronna osoba uzna pytania o Charliego za złośliwe i nieistotne.

Sarah uśmiechała się krzepiąco z fotela na skraju planu zdjęciowego, kiedy zaczęła się ostatnia przerwa na reklamę. Posłał jej całusa, a chwilę potem kierownik planu zamachał rękami, aby dać im znać, że zaraz wracają na antenę.

– Panie premierze, przez ostatnie kilka minut naszego programu chciałbym porozmawiać o opublikowanych w zeszłym tygodniu w „Observerze” zarzutach dotyczących pańskiego brata Charlesa i ewentualnych manipulacji giełdowych.

Collingridge skinął głową z poważnym wyrazem twarzy, nieporuszony.

– Jak rozumiem, kilka dni temu Downing Street wydało oświadczenie dementujące jakikolwiek związek pańskiej rodziny z tą sprawą i sugerujące, że może wzięto kogoś innego za pana brata. Czy tak?

– Nie mamy żadnego związku z tą sprawą. Absolutnie żadnego. Z tego, co wiem, może chodzić o innego Charlesa Collingridge’a, ale naprawdę nie jestem w stanie wyjaśnić tego niesłychanego tekstu „Observera”. Mogę tylko pana zapewnić, że nikt z mojej rodziny nie miał zupełnie nic wspólnego z akcjami Renoksu. Ma pan na to moje słowo honoru. – Wymówił te słowa powoli, pochylając się do przodu, patrząc wprost na prezentera.

– Jak rozumiem, pana brat zaprzecza, że miał adres do korespondencji w kiosku w Paddington.

– Zdecydowanie – potwierdził Collingridge. – Wiadomo, że nie jest teraz w najlepszej formie, ale...

– Proszę wybaczyć, że panu przerwę, panie premierze, mamy bardzo mało czasu. Kilka dni temu jeden z naszych reporterów wysłał do siebie kopertę na adres grzecznościowy Charlesa Collingridge’a w Paddington, ten sam, którego użyto, aby otworzyć konto w banku. Koperta była jaskrawoczerwona, żeby na pewno rzucała się w oczy. Wczoraj poszedł ją odebrać. Sfilmowaliśmy go. Chciałbym, żeby popatrzył pan na monitor. Przepraszam za kiepską jakość, ale niestety musieliśmy użyć ukrytej kamery, bo właściciel kiosku był bardzo nieskory do współpracy.

Prezenter obrócił się razem z fotelem, tak żeby wraz z publicznością widzieć ziarniste, ale czytelne nagranie wideo,

wyświetlane na dużym ekranie za jego plecami. Collingridge rzucił Sarah zaniepokojone spojrzenie, zanim ostrożnie odwrócił swój fotel. Patrzył, jak reporter podchodzi do lady, wyciąga z portfela różne kawałki papieru i plastiku, żeby potwierdzić swoją tożsamość, i tłumaczy sprzedawcy, że czeka na niego list, wysłany na adres grzecznościowy Charlesa Collingridge'a, który odbiera tu własną pocztę. Kioskarz, ten sam tęgi i tak samo chamski osobnik, który obsługiwał Penny kilka miesięcy wcześniej, wyjaśnił, że przesyłki wyda tylko komuś, kto może pokazać odpowiednie pokwitowanie.

– Tu przychodzi masa ważnych listów. – Pociągnął nosem. – Nie mogę ich oddawać byle komu.

– Ale przecież ten mój tam leży. To ta czerwona koperta. Widzę ją stąd.

Drapiąc się po brzuchu i marszcząc brwi w wyrazie niepewności, kioskarz odwrócił się i wyjął trzy koperty z jednej z ponumerowanych przegródek. Czerwoną położył na ladzie przed reporterem, a dwie pozostałe z boku. Sprawdzał, czy nazwisko na kopercie z dopiskiem „z listami Charlesa Collingridge'a” odpowiada temu na dokumentach reportera, kiedy kamera zrobiła najazd na dwa odłożone listy. Wyostrzenie obrazu trwało kilka sekund, zanim napisy na kopertach stały się wyraźnie widoczne. Obie były zaadresowane do Charlesa Collingridge'a. Na jednej znajdowało się logo Union Bank of Turkey. Druga została wysłana z Biura Sprzedaży i Promocji partii przy Smith Square.

Prezenter odwrócił się do swojego adwersarza. Chrześcijanin został otoczony.

– Pierwsza koperta, z Union Bank of Turkey, najwyraźniej potwierdza, że tego adresu użyto do kupienia i sprzedania akcji Renox

Chemical Company. Ale zastanowił nas list z centrali pana własnej partii. Zadzwoniliśmy więc do Biura Sprzedaży i Promocji, udając, że jesteśmy dostawcą z zamówieniem dla Charlesa Collingridge'a, ale nie możemy odcyfrować jego adresu.

Collingridge wiedział, co musi zrobić. Musi powstrzymać ten gwałt na reputacji swojego brata oraz potępić niemoralne i kręte metody stosowane przez program, ale w ustach miał sucho jak na pustyni, a w czasie, kiedy usiłował znaleźć właściwe słowa, studio wypełniło się dźwiękami nagranej rozmowy telefonicznej.

- ...więc może mógłby pan potwierdzić, jaki powinniśmy mieć adres pana Collingridge'a, to wtedy będziemy mogli od razu dostarczyć mu przesyłkę.

- Sekundkę - powiedział gorliwy młody głos. - Sprawdzę w komputerze.

Rozległ się dźwięk pisania na klawiaturze.

- O, jest. Charles Collingridge. Praed Street 216, Paddington, Londyn W2.

- Dziękuję panu serdecznie. Bardzo mi pan pomógł.

Prezenter ponownie odwrócił się do Collingridge'a.

- Chciałby to pan skomentować, panie premierze?

Premier patrzył na niego w milczeniu, zastanawiając się, czy to właśnie ten moment, kiedy powinien wyjść ze studia.

- Oczywiście bardzo poważnie potraktowaliśmy pana wyjaśnienie, że być może pomyłono pana brata z jakimś innym Charlesem Collingridgem.

Premier chciał krzyknąć, że to nie było jego wyjaśnienie, tylko taka sobie uwaga, rzucona w dobrej wierze przez jego sekretarza prasowego, ale prezenter już parł dalej, odcinając mu drogę ucieczki.

- Czy wie pan, panie premierze, ilu innych Charlesów Collingridge'ów można znaleźć w londyńskiej książce telefonicznej?

Collingridge nie odpowiedział, siedział tylko ponury i poblady.

- Może zainteresuje pana informacja, że w książce telefonicznej Londynu nie ma żadnych innych Charlesów Collingridge'ów. Co więcej, nasze źródła w British Telecom twierdzą, że w całej Wielkiej Brytanii jest zarejestrowany jeden Charles Collingridge. I jest to pański brat, panie premierze.

Kolejna pauza, zapraszająca do udzielenia odpowiedzi, która jednak nie padła.

- Ponieważ sprawa wygląda na wykorzystanie poufnych wewnętrznych informacji do transakcji giełdowych, zapytaliśmy zarówno Renox Chemical Company, jak i Ministerstwo Zdrowia, czy pracuje dla nich niejaki Charles Collingridge. Renox twierdzi, że ani oni, ani żadna z ich filii nie mają ani jednego Collingridge'a wśród zatrudnionych. Odpowiedź Biura Prasowego Ministerstwa Zdrowia była bardziej wymijająca, obiecywali, że do nas oddzwonią, ale już się nie odezwali. Za to biuro związkowe okazało się znacznie bardziej skłonne do współpracy. Potwierdzili, że żaden Collingridge nie jest zarejestrowany jako pracownik żadnego z pięciuset ośmiu regionalnych biur ministerstwa w całym kraju. - Prezenter przerzucił swoje notatki. - Najwyraźniej pracowała u nich niejaka Minnie Collingridge, która jeszcze dwa lata temu była zatrudniona w ich biurze w Coventry, ale wróciła na Jamajkę. - Lew uśmiechnął się, kłapnąwszy szczękami.

Z boku sceny Collingridge mógł dostrzec Sarah. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Panie premierze, to już prawie koniec naszego programu. Czy chciałby pan coś powiedzieć?

Collingridge siedział wpatrzony w Sarah, chciał do niej podbiec, objąć ją i skłamać, że nie ma co płakać, że wszystko będzie dobrze. Nadal siedział bez ruchu w fotelu, kiedy upiorną ciszę, która zaległa w studiu, przerwał muzyczny sygnał programu.

Koniec.

Po powrocie na Downing Street Collingridge skierował się prosto do sali posiedzeń rządu. Wkroczył sztywno do środka i potoczył powoli wyczerpanym wzrokiem po pomieszczeniu. Obszedł wolno długi stół o jakże wymownym kształcie trumny, przeciągając palcami po brązowym suknie, i zatrzymał się przy jego końcu, najdalej od wejścia, gdzie siedział kiedyś po raz pierwszy jako najmłodszy członek gabinetu. To było dziesięć lat temu, a wydawało się, że znacznie dawniej, prawie w innym życiu.

Kiedy dotarł do swojego krzesła na środku, pod spojrzeniem tego wielkiego twardego Walpole'a sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego przy jego miejscu. Centrala telefoniczna Downing Street była legendarną instytucją, z telefonistkami najwyraźniej obdarzonymi czarodziejską mocą pozwalającą im dodzwonić się do każdego o dowolnej porze.

– Dajcie mi kanclerza skarbu, proszę.

Centrala połączyła go z kanclerzem po niecałej minucie.

– Colin, oglądałeś? Jak bardzo to zaszkodzi rynkom?

Kanclerz wyraził swoją opinię z zażenowaniem, lecz szczerze.

– Niech to cholera, co? No dobra, zobaczymy. Będę w kontakcie.

Następną rozmowę Collingridge odbył z ministrem spraw zagranicznych.

– Jakie szkody, Patrick?

– A jest coś, w czym nam to nie zaszkodziło, Henry? Od lat usiłujemy urobić naszych braci w Brukseli. Teraz się z nas śmieją.

– Da się to jakoś naprawić?

W odpowiedzi premier usłyszał przedłużającą się ciszę.

– Aż tak źle, co?

– Przykro mi, Henry.

A Collingridge pomyślał, choć tylko przez moment, że tamten mówi szczerze.

Następnie przysła kolej na przewodniczącego partii. Williams był sędziwy, doświadczony, przeżywał już ciężkie chwile. Wiedział, że przy takich okazjach lepiej uderzyć w oficjalny niż w przyjacielski ton.

– Panie premierze – zaczął, jakby zwracał się do samego stanowiska, a nie do człowieka – w ciągu ostatniej godziny zadzwoniło do mnie siedmiu z jedenastu naszych regionalnych przewodniczących. Wszyscy bez wyjątku, przykro mi to mówić, uważają, że sytuacja jest dla partii katastrofalna. Czują, że przekroczyliśmy punkt, z którego nie ma już powrotu.

– Nie, Teddy – zaprzeczył ze znużeniem Collingridge. – Czują, że to ja przekroczyłem ten punkt. A to różnica.

Został mu jeszcze jeden telefon. Zadzwonił do swojego prywatnego sekretarza i poprosił, żeby postarał się umówić go na spotkanie w pałacu w porze lunchu następnego dnia. Sekretarz oddzwonił cztery minuty później z wiadomością, że Jej Królewska Mość będzie mogła się z nim spotkać o pierwszej.

I to zakończyło sprawę.

Powinien czuć ulgę, przecież spadł mu z barków wielki ciężar. Jednak bolał go każdy miesiąc, jakby przez kilka godzin kopali go

kibole. Spojrzał na srogie rysy Walpole'a.

– O tak, ty byś walczył z tymi bydlakami do samego końca. Pewnie byś wygrał. Ale to stanowisko już zrujnowało życie mojemu bratu, a teraz rujnuje mnie. Nie pozwolę, żeby zrujnowało też szczęście Sarah – wyszeptał. – Lepiej dam jej znać.

Chwilę później, kiedy już wytarł oczy, wyszedł z sali, żeby poszukać żony.

Część III

Rozdanie

Rozdział 24

Czas na zmianę przychodzi wtedy, kiedy nie można już jej się oprzeć. Innymi słowy, kiedy trzymasz faceta za jaja i mocno ciągniesz, za wszelką cenę za tobą pójdzie.

Poniedziałek, 25 października

Następnego dnia po fatalnym występie premiera w „Weekend Watch”, krótko przed dziesiątą rano, członkowie gabinetu zebrali się wokół przykrytego sukniem stołu. Zostali wezwani na Downing Street pojedynczo, a nie jak na oficjalne posiedzenie rządu, które zazwyczaj odbywało się w czwartki, więc większość z nich była zaskoczona, widząc tu także pozostałych. Panowała napięta atmosfera. Przynieśli ze sobą treść gazet i ich zajadłych wstępniaków, a rozmowy toczone wokół stołu w oczekiwaniu na premiera były stłumione jak nigdy.

Kiedy do sali dobiegł dźwięk wybijającego godzinę Big Bena, otworzyły się drzwi i do środka wszedł Collingridge.

– Dzień dobry państwu. – Jego głos był wyjątkowo cichy. – Dziękuję, że wszyscy przyszli. Nie będę państwa długo zatrzymywał.

Usiadł na swoim miejscu, na jedynym krześle w sali, które miało poręczę, i wyjął pojedynczy arkusz papieru z oprawionej w skórę teczki na dokumenty. Położył go starannie na stole przed sobą, a potem rozejrzał się powoli po twarzach kolegów. Oczy miał przekrwione, widać było, że nie spał. W sali panowała idealna cisza.

– Przepraszam, że nie mogłem państwa poinformować, że dzisiejsze spotkanie będzie posiedzeniem w pełnym składzie. Chciałem mieć pewność, że zbiorą się wszyscy, bez wywoływania niepotrzebnego szumu i spekulacji. – Potoczył wzrokiem wokół stołu,

sprawdzając, czy może coś wyczytać w ich twarzach, szukając Barabasa. – Przeczytam państwu krótkie oświadczenie, które jeszcze dziś wydam. O pierwszej pojadę do pałacu, żeby oficjalnie przedstawić jego treść Jej Królewskiej Mości. Muszę wszystkich państwa prosić, powołując się na przysięgę, którą składaliście przy obejmowaniu urzędu, o nieujawnianie tej treści nikomu przed oficjalnym wydaniem komunikatu. Muszę dopilnować, by Jej Królewska Mość usłyszała go ode mnie, a nie dowiedziała się z prasy. To kwestia uprzejmości wobec królowej. Chciałbym także prosić o to każdego z państwa w ramach osobistej przysługi.

Podniósł kartkę i zaczął czytać powoli, rzeczowym głosem:

– Ostatnio w mediach pojawiła się seria oskarżeń dotycząca spraw finansowych moich i mojej rodziny. Te oskarżenia nie cichną. Cały czas twierdziłem i powtarzam to dzisiaj, że nie zrobiłem nic, czego powinienem się wstydzić. Ścisłe przestrzegałem zasad i norm obowiązujących premiera.

Przesunął językiem po suchych wargach. Kartka, którą trzymał, zadrżała.

– Wysuwany wobec mnie zarzut to jeden z najpoważniejszych, z jakim może się spotkać osoba sprawująca publiczny urząd: oskarża się mnie, że wykorzystałem stanowisko, aby wzbogacić swoją rodzinę. Nie potrafię wyjaśnić przedstawianych w mediach zdumiewających okoliczności, z których wynikły te oskarżenia, poprosiłem więc sekretarza gabinetu o podjęcie niezależnego dochodzenia w tej sprawie. Jestem przekonany, że w jego wyniku uda się ustalić wszystkie fakty, co pozwoli całkowicie oczyścić mnie z zarzutów. Zamrugnął, potarł zmęczone oczy.

- Takie dochodzenie musi potrwać. Tymczasem wątpliwości i insynuacje poważnie szkodzą normalnemu funkcjonowaniu rządu, a także mojej partii oraz moim bliskim. Rząd powinien poświęcać czas i uwagę realizacji programu, dzięki któremu zostaliśmy niedawno ponownie wybrani, ale to okazuje się niemożliwe. Prawość urzędu premiera została zakwestionowana, a moim obowiązkiem w pierwszej kolejności jest chronić ten urząd.

Odchrząknął, co zabrzmiało jak stłumiony grzmot.

- Zatem, aby przywrócić i zachować tę niekwestionowaną prawość, proszę dziś Jej Królewską Mość, aby pozwoliła mi zrzec się stanowiska premiera, kiedy tylko będzie można wyłonić następcę.

Zapadła przenikliwa cisza. Serca przestały na chwilę bić.

- Poświęciłem całe swoje dorosłe życie realizacji moich politycznych ideałów – ciągnął Collingridge – i odejście w ten sposób ze stanowiska budzi we mnie organiczny sprzeciw. Nie uciekam przed tymi oskarżeniami, lecz raczej chcę umożliwić ich jak najszybsze i jak najsprawniejsze wyjaśnienie. A także przywrócić nieco spokoju mojej rodzinie. Wierzę, że historia pokaże, iż dokonałem właściwego wyboru.

Collingridge włożył kartkę z powrotem do teczki.

- Dziękuję państwu – rzekł lakonicznie i zanim ktokolwiek zdążył westchnąć, a co dopiero odpowiedzieć, zniknął w drzwiach.

Rozdział 25

Wszyscy członkowie gabinetu są nazywani Right Honourable Gentlemen – Wielce Szanowni Panowie, a dosłownie: dobrzy, honorowi dżentelmeni. W tym tytule tkwią więc tylko trzy błędy...

Urquhart siedział przy rządowym stole jak skamieniały. Kiedy wokół podniósł się szum i stłumione okrzyki zdumienia, nie chciał, nie mógł się do nich przyłączyć. Patrzył długo na puste krzesło premiera.

Dokonał tego. Sam. Zniszczył najpotężniejszego człowieka w kraju. Kiedy wśród pozostałych zgromadzonych przy stole wybuchł zamęt i gwar, on wrócił myślami do wspomnienia sprzed czterdziestu lat, gdy jako nieopierzony rekrut przygotowywał się do swojego pierwszego skoku ze spadochronem z wysokości dwóch i pół tysiąca stóp nad polami Lincolnshire. Siedział w otwartym włązie dwusilnikowego islandera, z nogami dyndającymi na zewnątrz, w strumieniu zaśmigłowym, spoglądając na majaczący w dole krajobraz odległy o milion mil. Skok był aktem wiary, zaufania do swojego przeznaczenia, okazaniem pogardy czemuś, co innych przerażało. Ale widok z góry był wart każdego niebezpieczeństwa. Kiedy skoczył razem z innymi, wiatr przybrał na sile i rzucił ich w bok. Jeden ze skoczków złamał nogę, inny bark, ale Francis Urquhart chciał natychmiast wracać do samolotu i zrobić to wszystko jeszcze raz.

Teraz, patrząc na puste krzesło, czuł się zupełnie tak samo. W głębi duszy krzyknął z radości, a jednocześnie udało mu się wyglądać na tak szokowanego jak wszyscy wokół.

Podczas gdy inni zwlekali z wyjściem i kłębili się bezładnie, zdezorientowani, Urquhart wrócił do oddalonego o kilka kroków biura rzecznika dyscypliny przy Downing Street 12. Zamknął się na klucz w swoim prywatnym gabinecie i jeszcze przed 10:20 zdążył zadzwonić do dwóch osób.

Dziesięć minut później Roger O'Neill zwołał zebranie całego biura prasowego w centrali partii.

– Będziecie musieli odwołać wszystkie swoje dzisiejsze plany na lunch. Dowiedziałem się, że kilka minut po pierwszej dziś po południu możemy się spodziewać bardzo ważnego oświadczenia z Downing Street. To absolutnie poufne, nie mogę wam powiedzieć, o co chodzi, ale musimy być gotowi, żeby się tym zająć. Odłóżcie wszystko inne na bok.

W ciągu godziny skontaktowano się z pięcioma korespondentami politycznymi z prośbą o odwołanie planów obiadowych. Dwóch z nich zobowiązano do zachowania tajemnicy i oznajmiono im, że „na Downing Street kroi się coś dużego”. Nie trzeba było być zwycięzcą „Brain of Britain”, radiowego quizu dla mózgowców, żeby się domyślić, że najprawdopodobniej ma to coś wspólnego z „afery Collingridge’a”.

Jednym z dziennikarzy, którzy stanęli przed perspektywą obejścia się bez lunchu, był Manny Goodchild z Press Association. Zamiast siedzieć z założonymi rękami, wykorzystał rozległą, budowaną przez lata sieć kontaktów i przysług, aby ustalić, że wszyscy członkowie gabinetu co do jednego odwołali rano swoje spotkania, żeby zjawić się na Downing Street, chociaż Biuro Prasowe Rządu nie chciało tego potwierdzić. Manny był mądrym, doświadczonym reporterem, a teraz zwietrzył krew, więc kierowany przeczuciem zadzwonił do biura prasowego pałacu Buckingham. Ci także, podobnie jak Downing

Street, nie mieli nic do powiedzenia – przynajmniej oficjalnie. Ale zastępca sekretarza prasowego pracował z Goodchildem przed laty w „Manchester Evening News” i potwierdził, całkowicie nieoficjalnie i zupełnie anonimowo, że Collingridge poprosił o audiencję o pierwszej po południu.

O 11:25 Press Association już podawała informację o tajnym posiedzeniu rządu oraz o nieplanowanej audiencji, która ma się odbyć w pałacu. Doniesienie zawierało same fakty. Do południa agencja Independent Radio News zdążyła zrobić z nich sensacyjny materiał, który przekazywała lokalnym radiostacjom: „Premier już wkrótce uda się na potajemne spotkanie z Jej Królewską Mością. W ciągu ostatniej godziny w Westminsterze wybuchły spekulacje, że albo ma zamiar wyrzucić kilku najważniejszych ministrów i poinformować królową o poważnym przetasowaniu w rządzie, albo przyznać się do stawianych mu ostatnio zarzutów wykorzystania poufnych informacji w transakcjach giełdowych razem ze swoim bratem. Krążą nawet plotki, że królowej radzono, aby skorzystała ze swojego konstytucyjnego prawa i zdymisjonowała premiera”.

Na Downing Street ściągnęły tłumy dziennikarzy. Przepychali się łokciami, żądni sensacji. Naprzeciwko słynnych czarnych drzwi, po drugiej stronie ulicy, wyrósł las kamer i zainstalowanych naprędce telewizyjnych reflektorów.

O 12:45 Collingridge wyszedł na próg domu pod numerem dziesiątym. Wiedział, co oznacza obecność tego tłumu: ktoś go zdradził. Znowu. Poczł się, jakby wbijano mu gwoździe w stopy. Zignorował krzyki dziennikarzy, nie podniósł wzroku, nie chciał dać im tej satysfakcji. Odjechał, skręcając w Whitehall, ścigany przez samochody ekip telewizyjnych. Słyszał warkot krążącego nad nim

helikoptera. Kolejna horda fotografów czekała przed bramą Pałacu Buckingham. Próba odejścia z godnością zmieniła się w publiczne ukrzyżowanie.

Premier prosił, żeby mu nie przeszkadzać, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Po powrocie z pałacu zaszył się w prywatnym apartamencie na piętrze Downing Street, chcąc spędzić kilka godzin sam na sam z żoną, lecz raz jeszcze okazało się, że jego życzenia się nie liczą.

– Najmocniej przepraszam, panie premierze – powiedział jego prywatny sekretarz – ale dzwoni doktor Christian. Mówi, że to ważne.

Telefon zabrzączał łagodnie, kiedy przełączono rozmowę.

– Doktorze, w czym mogę pomóc? I jak się czuje Charlie?

– Obawiam się, że mamy problem – zaczął doktor przepraszającym tonem. – Jak pan wie, staramy się go odizolować od gazet, żeby go nie niepokoić tymi wszystkimi oskarżeniami, które rzucają dziennikarze. Normalnie wyłączamy mu telewizor i znajdujemy jakieś zajęcie w czasie programów informacyjnych, ale... Nie spodziewaliśmy się tych nieplanowanych doniesień o pańskiej rezygnacji. Ogromnie mi przykro, że musiał pan podać się do dymisji, panie premierze, ale priorytetem jest dla mnie Charles. Muszę stawiać jego interes na pierwszym miejscu, rozumie pan.

– Rozumiem, doktorze, i ma pan całkowitą słuszość.

– Dziś rano dowiedział się o wszystkim. O tych zarzutach dotyczących akcji. I o pańskiej rezygnacji. Jest bardzo zdenerwowany, to był dla niego ogromny szok. Uważa, że ponosi winę za wszystko, co się stało, i niestety mówi o zrobieniu sobie krzywdy. Miałem nadzieję, że lada chwila czekają go prawdziwe postępy, ale teraz obawiam się, że

stoimy na skraju poważnego kryzysu. Nie chcę pana niepotrzebnie niepokoić, ale Charles potrzebuje pańskiej pomocy. Bardzo.

Sarah dostrzegła udrękę na twarzy swojego męża. Usiadła przy nim i wzięła go za rękę, która drżała.

– Doktorze, jak mogę pomóc? Zrobię wszystko, co tylko pan zechce.

– Musimy go jakoś uspokoić, dodać mu otuchy. Jest rozpaczliwie zdezorientowany.

– Mogę z nim porozmawiać, doktorze? Teraz? Zanim sprawy zajdą dalej?

Czekał kilka minut, żeby przyprowadzono jego brata do telefonu. Słyszał po drugiej stronie protesty i odgłosy zamieszania.

– Charlie, jak się masz, stary? – odezwał się cicho Henry.

– Hal, co ja najlepszego zrobiłem?

– Nic, Charlie, zupełnie nic.

– Zrujnowałem cię, wszystko zniszczyłem! – Głos wydawał się dziwnie stary, zachrypnięty i spanikowany.

– Charlie, to nie ty mi zaszkodziłeś.

– Ale przecież widziałem w telewizji, jak idziesz do królowej podać się do dymisji. Mówili, że to przeze mnie i przez jakieś akcje. Nic nie rozumiem, Hal, wszystko spieprzyłem. Nie zasługuję na to, żeby być twoim bratem. Nic nie ma już sensu. – W słuchawce rozległ się potężny, stłumiony szloch.

– Charlie, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Słuchasz?

Kolejny szloch, mokry, pełen rozpacz.

– Nie musisz mnie przeproszać. To ja powinienem paść na kolana i błagać o wybaczenie ciębie, Charlie.

– Nie bądź głupi...

- Nie, Charlie, posłuchaj! Zawsze udawało nam się przebrnąć przez problemy, bo byliśmy razem jako rodzina. Pamiętasz, jak prowadziłem firmę i omal nie zbankrutowaliśmy? Szliśmy na dno, Charlie, i to przeze mnie. Za bardzo byłem zajęty polityką. I kto znalazł wtedy tego nowego klienta, zdobył to zamówienie, które nas ocaliło? Wiem, że nie było to nasze największe zamówienie, ale przyszło w samą porę. Uratowałeś firmę, Charlie, i uratowałeś mnie. Tak jak wtedy, w święta, kiedy jak ostatni idiota dałem się złapać na prowadzeniu po pijaku.

- Właściwie nic nie zrobiłem...

- Miejscowy sierżant, ten, z którym grałeś w golfa... Jakoś go przekonałeś, żeby sfingował wyniki badania alkometrem na komisariacie. Gdybym stracił wtedy prawo jazdy, nigdy by mnie nie wybrano do parlamentu. Nigdy bym nie trafił na Downing Street. Nie widzisz, głupi gnojku, że wcale nie zrujnowałeś mi kariery, tylko przeciwnie, to ty mi ją umożliwiłeś. Ty i ja zawsze mierzyliśmy się z problemami razem. I tak już zostanie.

- Nie zasługuję...

- Nie, nie zasługujesz, Charlie, na takiego brata jak ja. Zawsze mogłem na ciebie liczyć, kiedy potrzebowałem pomocy, ale co zrobiłem w zamian? Przestałem mieć dla ciebie czas. Kiedy Mary od ciebie odeszła, wiedziałem, jak bardzo cierpisz. Powinienem być cię wspierać, oczywiście, że powinienem. Potrzebowałeś mnie, ale zawsze było coś innego do zrobienia. Zawsze sobie mówiłem, że przyjdę do ciebie jutro. Zawsze jutro, Charlie, zawsze jutro. - Głos Collingridge'a łamał się pod wpływem emocji. - Miałem swoją chwilę chwały, osiągnąłem to, czego chciałem. A jednocześnie patrzyłem, jak wpadasz w alkoholizm i praktycznie zapijasz się na śmierć.

Po raz pierwszy któryś z nich powiedział głośno tę prawdę. Charles zawsze nie najlepiej się czuł albo był przemęczony, albo miał zszargane nerwy – nigdy nie był po prostu pijanym w trupa alkoholikiem. Teraz nie mieli już tajemnic, nie mogli cofnąć czasu.

– Wiesz co, Charlie? Wyjdę z Downing Street z uśmiechem na ustach i będę mógł powiedzieć: pieprzyć ich wszystkich, jeśli tylko będę wiedział, że nadal mam brata. Przeraza mnie tylko myśl, że już za późno, że za bardzo cię zaniedbałem, żeby móc prosić o wybaczenie, że byłeś sam tak długo, że nie widzisz już sensu leczenia.

Płakali obaj w niekłamanym cierpieniu. Sarah mocno obejmowała męża, jakby się bała, że sztorm zaraz zmiecie go za burtę.

– Charlie, jeśli nie możesz mi wybaczyć, po cholere to wszystko? Po nic, zupełnie na darmo.

Po drugiej stronie panowało milczenie.

– Powiedz coś, Charlie! – powiedział Henry z rozpaczą.

– Cholerny z ciebie idiota – wyrzucił z siebie Charlie. – Jesteś najlepszym brachem, jakiego można mieć.

– Przyjadę jutro do ciebie, obiecuję. Obaj będziemy mieć teraz dla siebie znacznie więcej czasu, co?

– Przepraszam za to całe zamieszanie.

– Prawdę mówiąc, od lat się tak dobrze nie czułem.

Rozdział 26

Cień niewierności powinien zawsze czaić się w drzwiach, inacz ej ogień w małż eństwie przy gasa.

– Mattie, a to niespodzianka – powiedział Urquhart, kiedy otworzył frontowe drzwi i zobaczył ją stojącą pod lampą. – Unikałaś mnie.

– Sam pan wie, że to nieprawda, panie Urquhart. To pan unikał mnie. Właściwie uciekał pan za każdym razem, kiedy usiłowałam do pana podejść na kongresie.

– No cóż, przez tych parę dni w Bournemouth miałem urwanie głowy. A ty jesteś z „Chronicle”. Muszę przyznać, że to nie byłoby... – szukał przez chwilę słowa – stosowne, gdyby widziano, jak rozmawiam z którymś z ich dziennikarzy czy, co gorsza, dziennikarek, zwłaszcza tak, jakby to ująć? Jasnowłosych jak ty.

W jego oczach tańczyły wesołe ogniki, a jednak znów się zawahała, jak już zdarzyło jej się tyle razy, kiedy podnosiła słuchawkę, żeby do niego zadzwonić, i rezygnowała. Nie była pewna dlaczego. Ten człowiek był niebezpieczny, wiedziała o tym, sprawiał, że czuła rzeczy, których czuć nie powinna, ale kiedy z nim była, drżała z podniecenia aż po czubki palców.

– Ludzie mogliby odnieść mylne wrażenie, widząc ciebie i mnie w jakimś ciemnym kącie, Mattie – ciągnął poważniejszym tonem. – A ten wasz materiał na pierwszej stronie śmiertelnie zaszkodził mojemu premierowi.

– Zaszkodził mu ten, kto ujawnił sondaż, a nie ja.

– Cóż, liczy się wyczucie czasu. A teraz znów się zjawiasz, żeby zadawać mi pytania.

– Tym się zajmuję, panie Urquhart.

– Chyba jest wyjątkowo chłodno jak na tę porę roku. – Rozejrzył się po ulicy, jakby sprawdzał pogodę i czy ktoś ich nie obserwuje. – Może wejdiesz?

Wziął jej płaszcz, posadził ją w dużym skórzanym fotelu w swoim gabinecie i nalał im obojgu whisky.

– Mam nadzieję, że to nie jest niestosowne.

– W przeciwieństwie do Bournemouth, tu nie ma wścibskich oczu.

– Pani Urquhart...

– Poszła do opery ze znajomym. Wróci później. Albo wcale.

Wystarczyło kilka jego słów, żeby atmosfera spisku otuliła ich jak peleryna, która opadła miękko na ramiona Mattie.

– Co za dzień – powiedziała, pociągając łyk.

– Nie co dzień na niebie pojawia się kometa i tak spektakularnie płonie.

– Czy mogę rozmawiać z panem szczerze, panie Urquhart, nawet nie tyle nieoficjalnie, co szczerze?

– W takim razie mów mi Francis.

– Spróbuję... Francis. Tylko że... Mój ojciec miał silną osobowość. Jasnoniebieskie oczy, jasny umysł. Przypominasz mi go pod pewnymi względami.

– Przypominam ci ojca? – zapytał trochę zaskoczony.

– Potrzebuję rady. Żeby to wszystko zrozumieć.

– Ojcowskiej?

– Nie. Nawet nie rady rzecznika dyscypliny. Tylko... przyjaciela? – Słyszając to, Urquhart się uśmiechnął. – Czy to wszystko zbieg okoliczności?

– Co takiego?

- Te przecieki. Ten sondaż. Wiesz, ktoś mi go podrzucił pod drzwi.
- Niebawale.
- A potem te akcje Renoksu. Cały czas czuję, że ktoś za tym wszystkim stoi.
- Spisek, żeby pozbyć się Henry'ego Collingridge'a? Ależ Mattie, jak to możliwe?
- Może to brzmi głupio, ale...
- Przecieki to część tej roboty, Mattie. Niektórzy politycy nie potrafią przejść obok redakcji „Guardiana”, żeby nie wejść do środka i nie zacząć kłapać dziobem.
- Nie niszczy się premiera przez przypadek.
- Mattie, Henry'ego Collingridge'a zniszczyli nie jego przeciwnicy, tylko machlojki jego brata z akcjami Renoksu. Kompromitacja, nie spisek.
- Ale, Francis, ja poznałam Charliego Collingridge'a. Spędziłam z nim kilka godzin na kongresie partii. Zrobił na mnie wrażenie miłego, bezpośredniego pijaka, który wyglądał, jakby nie był w stanie uskładać dwustu funtów, a co dopiero zebrać kilkadziesiąt tysięcy na spekulację akcjami.
- Jest alkoholikiem.
- Czy naraziłby na szwank karierę brata dla kilku tysięcy zysku na giełdzie?
- Alkoholicy rzadko bywają odpowiedzialni.
- Ale Henry Collingridge nie jest alkoholikiem. Naprawdę myślisz, że zniżyłby się do zdradzania bratu poufnych informacji o akcjach, żeby sfinansować jego chłanie?
- Słuszna uwaga. Ale czy bardziej wiarygodne jest założenie, że istnieje jakiś spisek na wyższym szczeblu, w który uwikłana jest

partyjna góra, mający na celu wywołanie kompletnego chaosu?

Zagryzła wargi i zmarszczyła czoło.

– Nie wiem – przyznała. – Ale to możliwe – dodała z uporem.

– Może masz rację. Wezmę to pod uwagę. – Dopił whisky. Uznał rozmowę za zakończoną. Znalazł jej płaszcz i odprowadził ją do drzwi. Położył rękę na zamku, ale go nie otwierał. Stali blisko siebie.

– Posłuchaj, Mattie, możliwe, że twoje obawy są słuszne.

– Ja się tego nie obawiam, Francis – poprawiła go.

– Tak czy inaczej, czeka nas kilka burzliwych tygodni. Możemy to powtórzyć? Porozmawiać o tych kwestiach, o wszystkich zawilościach, które odkryjemy, w cztery oczy? Całkowicie prywatnie?

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, właśnie miałam ci zaproponować mniej więcej to samo.

– Pani Urquhart nie siedzi przez cały tydzień w Londynie. Często wyjeżdża albo zajmuje się różnymi sprawami. We wtorki i środy wieczorem zazwyczaj jestem tu sam. Możesz śmiało wpadać.

Jego spojrzenie było nieruchome, przenikliwe, burzyło jej spokój i napawało poczuciem zagrożenia.

– Dziękuję – odparła cicho. – Wpadnę.

Otworzył drzwi. Zeszła już ze schodka, kiedy się odwróciła.

– Będziesz kandydować, Francis?

– Ja? Ależ ja jestem rzecznikiem dyscypliny, nawet nie pełnoprawnym członkiem gabinetu.

– Jesteś silny, rozumiesz władzę. I jesteś odrobinę niebezpieczny.

– Dziękuję za komplement... chyba. Ale nie, nie będę kandydował.

– Uważam, że powinienes.

Zrobiła następny krok, ale on jeszcze ją zawołał.

– Byłaś w dobrych stosunkach z ojcem, Mattie?

– Kochałam go – odparła, zanim w końcu zniknęła w ciemnościach.

Usiadł z powrotem w fotelu ze świeżą whisky w dłoni, myśląc z ożywieniem o wydarzeniach dnia, a także ostatniej godziny. Mattie Storin była wyjątkowo bystra oraz piękna. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest także chętna. Ale do czego dokładnie? Możliwości wydawały się równie nieograniczone, co atrakcyjne. Rozmyślał z zadowoleniem nad tą kwestią, kiedy zadzwonił telefon.

– Frankie?

– Ben, świetnie, że dzwonisz, nawet o tak późnej porze.

Landless zignorował sarkazm.

– Żyjemy w ciekawych czasach, Frankie, w ciekawych czasach. Czy nie tak mówią w Chinach?

– U nich to chyba przekleństwo.

– Czuję, że stary Harry Collingridge by się z tym zgodził!

– Siedziałem tu i myślałem mniej więcej to samo.

– Frankie, nie masz czasu siedzieć na tyłku. Piłka w grze.

Wchodzisz w to?

– W co, Ben?

– Nie zgrywaj takiego... Jak to się mówi?

– Tępaka?

– Właśnie, kij ci w oko. Musisz grać ze mną w otwarte karty, Frankie.

– W jakiej kwestii?

– Chcesz kandydować? – przycisnął niecierpliwie Landless.

– Na lidera? Jestem tylko rzecznikiem dyscypliny. Nie wychodzę na scenę, siedzę za kulisami i podpowiadam aktorom.

– Jasne, jasne, ale chcesz być premierem? Bo jeśli tak, stary skurczybyku, mogę ci się bardzo przydać.

– Ja? Premierem?

– Frankie, gramy teraz w nową grę, piłka jest większa i trzeba mieć większe jaja. A ty masz prawie tak duże jak ja. Podoba mi się to, co robisz i jak to robisz. Rozumiesz, jak wykorzystywać władzę. To co, chcesz grać?

Urquhart nie odpowiedział od razu. Podniósł wzrok na obraz olejny, który wisiał na ścianie gabinetu w ozdobnej złotonej ramie i przedstawiał jelenia osaczonego przez sforę psów. Czy był na to dość twardy? Wymówił powoli słowa, które jego samego zaskoczyły:

– Bardzo, bardzo chciałbym grać.

Pierwszy raz przyznał się do swojej ambicji komuś innemu niż samemu sobie, ale przy takim człowieku jak Landless, który bez przerwy odślaniał swoje nagie żądze, nie czuł skrępowania.

– To dobrze, Frankie. Świetnie! No to zaczynajmy. Powiem ci, co jutro damy w „Chronicle”. Analityczny tekst naszej korespondentki politycznej, Mattie Storin. Takiej ładnej blondynki z długimi nogami i świetnymi cyckami – kojarzysz?

– Tak sądzę.

– Napisze, że wyścig do fotela premiera będzie otwarty, każdy może zanurzyć dłoń we krwi Collingridge’a, czeka nas jeszcze większy chaos.

– Moim zdaniem ma rację.

– Chaos. Lubię chaos. Nakręca sprzedaż gazet. To na kogo stawiasz?

– Pomyślmy... Normalnie taki kocioł trwa tylko jakieś dwa tygodnie. Dlatego najlepsi na starcie będą wygadani spryciarze, bajeranci, którzy lubią się popisywać w telewizji. Jeśli taki popłynie na wezbranej fali, to prąd go poniesie i będzie w domu.

– A który konkretnie wygadany spryciarz?

– Na przykład Michael Samuel.

– Hm, młody, zdolny, z zasadami, wydaje się inteligentny – zupełnie mi się nie podoba. Chce się cały czas wtrącać, naprawiać świat. Za dużo sumienia, za mało doświadczenia.

– Co więc sugerujesz, Ben?

– Frankie, fala może się odwrócić. Płyniesz sobie do brzegu, a chwilę potem znajdujesz się przy wylocie rury ściekowej, zaraz po tym, jak spuściłem wodę w klopie.

Urquhart słyszał, jak jego rozmówca kręci drinkiem w kieliszku i pociąga solidny łyk, a potem ciągnie:

– Frankie, coś ci powiem. Dziś po południu poleciałem małemu i bardzo tajemnemu zespołowi w „Chronicle” zacząć kontaktować się z każdym posłem twojej partii, którego mogą złapać, i pytać, na kogo będzie głosować. W środę opublikujemy sondaż, który, jak z ufnością przewiduję, pokaże, że młody Mickey Samuel ma niewielką, ale wyraźną przewagę nad resztą peletonu.

– Co? Skąd wiesz? Przecież sondaż nie jest jeszcze skończony. – Westchnienie zrozumienia. – Ach, Ben, naiwny jestem, co?

– Bingo, Frankie. Kumasz cza-czę. I dlatego cię lubię. Wiem, co wyjdzie w pierdolonym sondażu, bo jestem pierdolonym wydawcą.

– Czyli ustawiłeś wyniki. Ale dlaczego lansujesz Samuela?

– Pierwszy dopłynię do rury ściekowej. Ty też gdzieś tam będziesz, Frankie, z tyłu stawki, ale wypadniesz całkiem nieźle, jak na rzecznika dyscypliny. Ale to młody Mickey będzie pomykał na czele, więc cała reszta ma cel: gościa, którego najbardziej chce pobić. Myślę, że za dwa tygodnie będzie zdumiony, ilu ma nielojalnych przyjaciół.

– A jak ja się wpasowuję w ten wielki plan?

– Wchodzisz od tyłu, jak powiedziała aktorka do arcybiskupa. Kandydat kompromisu. Kiedy reszta drani topi się nawzajem, ty się po cichu prześlizgujesz, jako człowiek, którego najmniej nienawidzą.

– Kiedy wszystkie drzewa powalił wiatr, nawet krzak może nosić koronę wysoko.

– Że co?

– Nic. Mogę ci ufać?

– Ufać? Mnie? – W głosie Landlessa zabrzmiała zgroza. – Francis, ja jestem z prasy.

Urquhart zaśmiał się ponuro. Po raz pierwszy magnat prasowy zwrócił się do niego właściwym imieniem. Landless mówił poważnie.

– Nie zapytasz mnie, co chcę z tego wszystkiego mieć? – podjął właściciel „Chronicle”.

– Chyba już wiem, Ben.

– No więc co?

– Przyjaciela. Przyjaciela na Downing Street. Bardzo dobrego przyjaciela. Właśnie takiego jak ja.

Rozdział 27

Polityk nie powinien za dużo myśleć. Odwraca to uwagę od pilnowania, czy ktoś mu nie wbija noża w plecy.

Wtorek, 26 października

Prywatny gabinet premiera, jego sanktuarium. Urquhart zastał go przy biurku, podpisującego stertę listów. Collingridge miał na nosie okulary do czytania, co rzadko mu się zdarzało w obecności innych. Co jeszcze bardziej niezwykle, nigdzie nie było widać ani jednej gazety.

– Henry, od wczoraj nie miałem okazji z tobą porozmawiać. Nawet nie wiesz, jak bardzo byłem zaszokowany i zdruzgotany.

– Nie ma co współczuć, Francis, ani się kajać i posypywać głowy popiołem. Czuję się dziwnie zadowolony z tej sytuacji. Kamień z serca i tak dalej.

– Kiedy cię słuchałem, czułem się, jakbym... spadał z nieba na ziemię, zupełnie dosłownie.

– Miękkiego lądowania. – Premier odłożył okulary, wstał zza biurka i podszedł z Urquhartem do dwóch wygodnych foteli stojących przy oknie z widokiem na park. – Tak czy inaczej, nie mam czasu na użalanie się nad sobą. Humphrey Newlands już tu jedzie, żebyśmy mogli zabrać się do przygotowania wyborów na szefa partii. A potem znikam, żeby resztę dnia spędzić z Charliem. Cudownie jest mieć czas na takie rzeczy.

Urquhart ze zdumieniem stwierdził, że premier mówi zupełnie szczerze.

– Chciałeś porozmawiać prywatnie, Francis?

- Tak, Henry. Posłuchaj, wiem, że nie poprzysz żadnego konkretnego kandydata w wyborach, przynajmniej nie publicznie...

- Byłoby to wyjątkowo niestosowne.

- Tak, ale to ci nie przeszkadza żywo się interesować tematem w czysto akademickim sensie. Obaj wiemy, że niedawno niektórzy z kolegów bardzo cię zawiedli.

- Określenie „niewdzięczne bydlaki” rzeczywiście jakoś ciśnie się na usta.

- Masz prawo – a śmiem twierdzić, że wręcz obowiązek – upewnić się, że zostawiasz partię w dobrych rękach. Jako rzecznik dyscypliny sam nie mam oczywiście zamiaru kandydować. Zachowuję całkowitą neutralność. Ale to mi nie przeszkodzi informować cię na bieżąco, co się dzieje.

Obaj wiedzieli, że premier w ostatnich dniach urzędowania nadal ma pewne wpływy – politycznych zwolenników i osobistych przyjaciół, a także niebagatelną kwestię nominacji do listy honorowych tytułów, takich jak parostwa i szlachectwa, którą mógł przedstawić każdy odchodzący szef rządu. Dla wielu starszych członków partii będzie to ostatnia szansa wzbicia się ponad motłoch i osiągnięcia społecznego statusu, do którego od tak dawna aspirowały ich żony.

Collingridge podrapał się po brodzie.

- Masz rację, Francis. Nie po to pracowałem przez tyle lat, żeby teraz patrzeć, jak ktoś wyrzuca to wszystko w błoto. No to powiedz mi, jak sprawy stoją?

- Pierwsze dni, trudno orzec. Myślę, że większość dziennikarzy ma rację, twierdząc, że to otwarty wyścig. Ale spodziewam się, że jak już się zacznie, wszystko potoczy się szybko.

- Nie ma żadnych faworytów?

- No cóż... - Urquhart pokiwał głową na boki, jak kiedyś Jhabwala.

- No, mów, Francis. Twoje przeczucia mi wystarczą.

- Na mój nos Michael Samuel ma pewną przewagę na starcie.

- Michael? Dlaczego?

- W krótkiej, zaciętej walce nie ma czasu na rozwijanie solidnych argumentów. Chodzi wyłącznie o image. Michael dobrze wypada w telewizji.

- Medialny facet.

- Można się też spodziewać, że będzie miał subtelne wsparcie Teddy'ego i centrali partii.

Collingridge spochmurniał.

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi. - Zabębnił głośno palcami o poręcz fotela, starannie ważył słowa. - Francis, nie chcę ingerować, ale nie mogę też udawać niewiniątka. Jeśli partia ma przeprowadzić wolne i uczciwe wybory, centrala nie może się wtrącać i mącić. Nie po swoich ostatnich numerach: skopanych wyborach parlamentarnych, tych wszystkich przeciekach, nie mówiąc już o tym cholernym sondażu. - Ostatnie słowa wyrzucił z siebie ze złością. Wbrew wszystkim jego zapewnieniom o zadowoleniu z obrotu sprawy nadal szalała w nim burza. - A już szczególnie jednej rzeczy nie wybaczę. Wiesz, że ktoś wczoraj dał mediom cynk o mojej wizycie w pałacu. Podobno przeciek poszedł ze Smith Square. Jak oni śmia? Przez nich zostałem klaunem w medialnym cyrku! - Walnął pięścią w poręcz fotela.

- Byli ci winni odrobinę godności, Henry.

- Nie chodzi tylko o mnie, ale też o Sarah. Nie zasłużyła sobie na to. - Oddychał teraz ciężko, z gniewem. - Nie, nie będę się na to godził. Nie pozwolę, żeby wesoła kompania Teddy'ego wtrącała się w te

pieprzone wybory! – Pochylił się w stronę Urquharta. – Ty pewnie nie darzysz Teddy’ego szczególną miłością po tym, jak tak schlastał twoje propozycje przetarasowań. Na pewno się wtedy domyśliłeś, że to on.

Urquhart kiwnął głową, zadowolony, że jego podejrzenia się potwierdzają.

– Co mogę zrobić, Francis? Jak zapewnić, żeby te wybory przebiegły prawidłowo?

– Mamy zbieżne interesy: ja po prostu chcę zapewnić przestrzeganie reguł gry. Ludziom trzeba dać czas do namysłu, żeby nie dali się porwać owczemu pędowi i nie podjęli pochopnej decyzji.

– Więc?

– Więc daj im trochę więcej czasu na dokonanie wyboru. Spowolnij tempo. Korzystaj ze swoich ostatnich tygodni na stanowisku. Nie mam nic przeciwko Michaelowi, ale powinieneś mieć pewność, że przekazujesz władzę następcy wybranemu przez partię, a nie media.

– A już na pewno nie przez tego starego kozła, Teddy’ego.

– Może pan tak mówić, panie premierze, ale jako rzecznik dyscypliny nie mogę tego w żaden sposób skomentować.

Collingridge się zaśmiał.

– Nie chcę przedłużać okresu niepewności bardziej niż to konieczne, ale myślę, że dodatkowy tydzień, czy coś koło tego, nie zaszkodzi.

– Według regulaminu ustalenie terminu zależy wyłącznie od ciebie, Henry.

Collingridge zerknął na zegarek.

– Słuchaj, Humphrey już pewnie przyjechał. Lepiej nie każmy mu dłużej czekać. Przedstawi mi swoje rady, a ja ich wysłucham z najwyższą uwagą, chociaż podejrzewam, że jest raczej ekspertem od

plażowych kurortów niż od wyborów szefa partii. Prześpię się z tym i dam ci znać rano, co postanowiłem. Dowiesz się pierwszy, Francis. – Odprowadził rzecznika dyscypliny do drzwi. – Jestem ci niezmiernie wdzięczny. Nie wiesz nawet, jak to podnosi na duchu, że mam koło siebie kogoś takiego jak ty, kto nie kieruje się osobistymi pobudkami.

Wrócili do jej mieszkania, kopniakiem zamknęli drzwi, śmiali się, zrywając z siebie ubrania, zrobili razem kilka chwiejnych kroków, nie dotarli nawet do sypialni. Teraz Mattie i Krajewski leżeli w plątaniu rąk i nóg przypominającej kocią kołyskę. On pomyślał, że jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz, spleciony z nią na kanapie. Ona była już myślami gdzie indziej.

– Collingridge? – mruknął, zdejmując dłoń z jej nieskazitelnej piersi.

Najwyraźniej nie zauważyła tonu rozczarowania w jego głosie.

– Tak sobie myślałam, Johnnie, o Charliem Collingridge'u.

– Leżę spocony między twoimi udami, a ty myślisz o innym mężczyźnie – zaprotestował półżartem.

– Wiem, że to alkoholik i w ogóle – ciągnęła, jakby go nie słyszała – i że tacy często nie odpowiadają za to, co robią.

– Nie wiem, czy ja odpowiadam, kiedy jestem z tobą.

– Ale to wszystko jest za proste.

– Czy życie musi być skomplikowane? – Jęknął błagalnie, przytulając się do jej pleców.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że Charlie Collingridge byłby do tego zdolny, nie mówiąc już o tym, że nie miał na to środków.

– Tylko jeden człowiek wie, jak to było – mruknął Krajewski. – Siedzi zamknięty w jakiejś klinice odwykowej.

Odwróciła się twarzą do niego.

– Gdzie?

Westchnął, czując, że jego namiętność słabnie.

– To chyba ma być pilnie strzeżona tajemnica rodzinna.

– Chcę go znaleźć.

– A jak nasza „Reporterka Roku” proponuje to zrobić?

Uwolniła się z jego objęć, owinęła kocem i znikła w kuchni. On poszedł poszukać swoich bokserek, znalazł je za telewizorem i niechętnie założył, ona tymczasem wróciła z dwoma kieliszkami wina. Usiedli na dywanie przed pustym kominkiem.

– Kiedy po raz ostatni widziano Charlesa Collingridge’a? – zapytała.

– No jak to... Kiedy samochód zabrał go z domu ponad tydzień temu.

– Kto z nim był?

– Sarah Collingridge.

– I...?

– Kierowca.

– No właśnie. To kto był tym kierowcą, Johnnie?

– Cholera wie.

– Ale to jakiś punkt zaczepienia. – Znów oderwała się od niego i podeszła na czworaka do telewizora, wokół którego porozrzucone były kasety wideo.

– Gdzieś tu jest – powiedziała, grzebiąc w kasetach i zwiększając bałagan.

Znalazła taśmę, o którą jej chodziło, i chwilę później ekran telewizora wypełnił się chaotycznie migającymi obrazkami, kiedy Mattie przewijała na podglądzie kompilację programów informacyjnych. Była tym tak pochłonięta, że nie zauważyła, jak koc

zsunął jej się z ramion. Krajewski siedział w niemym zachwycie nad jej sutkami, czując rosnące podniecenie. Rozważał wyrzucenie telewizora przez okno, kiedy z chaosu wyłonił się Charles Collingridge, skulony na tylnym siedzeniu uciekającego samochodu, a Mattie podciągnęła z powrotem koc.

– Johnnie, popatrz!

Jęknął, a ona wcisnęła kolejny guzik, żeby cofnąć program do początku. A tam, przez niecałą sekundę, kiedy samochód wyjeżdżał na główną drogę, przez przednią szybę było widać twarz kierowcy. Mattie wcisnęła pauzę i patrzyli oboje na jakiegoś łysiejącego mężczyznę w okularach.

– No i co to za jeden? – mruknął Krajewski.

– Zastanówmy się, kim nie jest – powiedziała Mattie. – Nie jest szoferem rządowym, bo to nie jest rządowe auto, a szoferzy to straszni plotkarze, więc coś byśmy słyszeli. Nie jest ważnym politykiem, bo byśmy go rozpoznali... – Oderwała wzrok od ekranu i odwróciła się do niego, nie dostrzegając grymasu na jego twarzy. – Johnnie, dokąd oni jechali?

Poczuł się rozdarty między własną dziennikarską ciekawością a pragnieniem rzucenia się na nią. Cholera, doróżnij, Krajewski – zbeształ się.

– Dobra, nie na Downing Street. Ani nie do żadnego hotelu, w ogóle nie do żadnego miejsca publicznego. – Rozważał przez chwilę możliwości. – Pewnie do kliniki.

– Właśnie! Ten facet jest z kliniki. Jeśli uda nam się ustalić, kto to taki, dowiemy się, dokąd zabrali Charliego!

– Chyba mógłbym zrobić wydruk tej twarzy z taśmy i pokazać paru osobom. Na przykład Freddiemu, naszemu staremu redakcyjnemu

fotografowi. Ma doskonałą pamięć do twarzy, a poza tym jest alkohikiem, który przeszedł odwyk kilka lat temu. Ciągłe chodzi co tydzień na spotkania AA. Może będzie mógł nas skierować na właściwy trop. W końcu nie ma aż tylu ośrodków odwykowych. Powinniśmy posunąć się trochę do przodu.

– Jesteś cudowny, Johnnie.

I po raz pierwszy tego wieczoru poczuł, że mówiła szczerze.

– Jestem wyrachowanym sukinsynem. Żądam zapłaty. – Zebrał się na odwagę. – Mattie, mogę zostać na noc?

W jej oczach dostrzegł żal. Pokręciła głową.

– Johnnie, pamiętaj o naszych zasadach.

– Żadnych romansów. Jasne. No dobra, skoro dostałaś ode mnie to, czego chciałaś, chyba już lepiej pójdę – burknął, zżerany pożądaniem na wspomnienie jej sutków. Zerwał się z podłogi i ubrał pośpiesznie, ale w połowie drogi do wyjścia ramiona opadły mu bezradnie. – Przepraszam, Mattie – powiedział. – Po prostu... jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Cały czas żyję nadzieją. – Staął przy drzwiach. Odwrócił się.

– Jest ktoś inny, Mattie?

– Nie, Johnnie, oczywiście, że nie ma – odparła. – To nie o to chodzi.

Ale kiedy zamykała za nim drzwi, zastanawiała się, czy jest z nim szczerą. Czy mogła być? Nie była pewna, czy jest szczerą z samą sobą. Grzeczne dziewczynki nie odbywały takich rozmów.

Rozdział 28

Niektóre kampanie polityczne od początku dają kopa.
Inne zbijają kopniaki.

Środa, 27 października

„Daily Chronicle”, strona 1:

NIESPODZIEWANE PROWADZENIE SAMUELA

Michael Samuel, młody minister środowiska, okazał się wczoraj wieczorem faworytem w wyścigu na stanowisko premiera.

W sondażu przeprowadzonym specjalnie dla „Chronicle” w ciągu ostatnich dwóch dni wśród prawie dwóch trzecich posłów partii rządzącej 24 procent wskazało w pierwszej kolejności Samuela, co daje mu znaczącą przewagę nad innymi potencjalnymi kandydatami.

Samuel ma ogłosić swoją kandydaturę w najbliższych dniach. Wszystko wskazuje na to, że może liczyć na poparcie tak wpływowych polityków jak lord Williams, przewodniczący partii. To bolesny cios dla rywali Samuela. Jak przewidują nasze źródła, takie poparcie może mieć kluczowe znaczenie.

Żadne inne nazwisko nie zgromadziło więcej niż 16 procent głosów. Pięciu potencjalnych kandydatów uzyskało wynik między 10 a 16 procentami. Byli to Patrick Woolton (minister spraw zagranicznych), Arnold Dollis (minister spraw wewnętrznych), Harold Earle (minister edukacji), Paul McKenzie (minister zdrowia) oraz Francis Urquhart (rzecznik dyscypliny partyjnej).

Pojawienie się na tej liście Urquharta z wynikiem 12 procent wywołało zaskoczenie w Westminsterze. Nie jest nawet pełnoprawnym członkiem gabinetu, ale jako rzecznik dyscypliny ma silną bazę w klubie parlamentarnym partii. Zdaniem obserwatorów może się okazać mocnym kandydatem z zewnątrz. Jednak źródła bliskie Urquhartowi podkreślały

wczoraj, że nie podjął on jeszcze decyzji o starcie w wyborach i dopiero dziś ma sprecyzować swoje stanowisko.

Premier zmienił zdanie. Przeczytał rano wszystkie gazety. Komentatorzy, którzy tydzień wcześniej rozszarpywali go na strzępy, teraz, z właściwą sobie kapryśną zmiennością, chwalili jego samopoświęcenie umożliwiające rządowi świeży start, „choć opinia publiczna nie będzie usatysfakcjonowana, dopóki Collingridge nie rozstrzygnie wielu niejasnych kwestii osobistych i rodzinnych” – grzmiał „The Times”. Jak zwykle prasa nie miała wstydu i sypiała po obu stronach łóżka, jak zwykła dziwka.

Szczególnie uważnie przeczytał „Chronicle”, najwyraźniej podobnie jak inni. Wyłaniał się pewien konsensus: wyścig pozostawał otwarty, ale Samuel był faworytem. Collingridge rzucił gazetę w kąt, gdzie zatrzepotała jak umierający łabędź, i wezwał swojego sekretarza politycznego.

– Grahame. Polecenie dla lorda Williamsa, do wiadomości Humphreya Newlandsa. Ma wydać komunikat prasowy dziś o dwunastej trzydzieści do pierwszych popołudniowych serwisów informacyjnych. Nominacje do wyborów na szefa partii można zgłaszać przez następne trzy tygodnie, do czwartku 18 listopada. Pierwsza tura głosowania odbędzie się w następny wtorek, 23 listopada. Jeśli konieczna będzie druga tura, odbędzie się zgodnie z regulaminem partii tydzień później, 30 listopada, a ewentualne głosowanie rozstrzygające dwa dni później. Zapisaleś?

– Tak, panie premierze. – Sekretarz skinął głową, ale uciekł wzrokiem. Po raz pierwszy od złożenia dymisji byli sami i mogli porozmawiać.

– Wiesz, co to oznacza, Grahame? Za dokładnie sześć tygodni i jeden dzień ty i ja będziemy bez pracy. Nie zawsze znajdowałem czas,

żeby ci odpowiednio podziękować za te wszystkie lata, ale chcę, żebyś wiedział, że jestem ci cholernie wdzięczny.

Sekretarz przestąpił z zakłopotaniem z nogi na nogę.

– Musisz zacząć myśleć o swojej przyszłości. Przygotuję listę wyróżnionych honorowymi tytułami. Będziesz na niej. Podobnie jak kilku dżentelmenów z City ze świeżo nadanymi tytułami szlacheckimi, którzy z chęcią złożą ci korzystną propozycję. Dopilnuję tego. Zastanów się, czego chcesz, i daj mi znać. Parę osób wciąż jest mi winnych przysługę.

Sekretarz podniósł na niego oczy przepełnione smutkiem i wdzięcznością.

– Przy okazji, Grahame, możliwe, że Teddy Williams będzie chciał się ze mną skontaktować i przekonać mnie do skrócenia procesu wyborów. Nie będę miał dla niego czasu. Masz mu wyraźnie dać do zrozumienia, że to instrukcje, a nie warunki do negocjacji, i mają zostać ogłoszone dziś do dwunastej trzydzieści. – Umilkł na chwilę. – Powiedz mu, że w przeciwnym razie będę zmuszony sam je ujawnić.

Fala odpływu nie czeka na nikogo i już wzbierała, by porwać ze sobą Michaela Samuela. Kiedy tylko Collingridge ogłosił swoją rezygnację, Samuel skonsultował się ze swoim mentorem, Teddym Williamsem.

– Cierpliwości, Michaelu – poradził starszy polityk. – Najprawdopodobniej będziesz najmłodszym kandydatem. Będą przekonywali, że jesteś zbyt niedojrzały, zbyt niedoświadczony i zbyt ambitny. Staraj się więc nie wyglądać tak, jakby ci zależało na tym stanowisku. Okaż trochę powściągliwości. Niech to oni przyjdą do ciebie.

Była to znakomita rada, która jednak miała nie znaleźć zastosowania w rzeczywistości. Ledwie w kioskach ukazał się numer „Chronicle” lansujący nazwisko Samuela, a już Urquhart wystąpił przed telewizyjnymi kamerami, żeby potwierdzić, że nie ma zamiaru kandydować.

– Oczywiście jestem mile połączony, że moje nazwisko w ogóle padło, ale czuję, że w najlepszym interesie partii będzie, jeżeli jako rzecznik dyscypliny pozostanę w tych wyborach całkowicie bezstronny – oświadczył, dodając jeszcze skromne skinienie głowy, po czym zniknął, ścigany wykrzykiwanymi, ale pozostawionymi bez odpowiedzi pytaniami tłumu.

Trwały poszukiwania Samuela, a ogłoszenie przed południem szczegółowego harmonogramu wyborów dołało oliwy do ognia. Kiedy zziębnięci i po inkwizytorsku dociekliwi dziennikarze wytropili go w hotelu Intercontinental koło Hyde Parku, gdzie był umówiony na lunch, nie byli w nastroju, żeby zaakceptować niejednoznaczne odpowiedzi. Samuel nie mógł powiedzieć „nie”, a oni nie chcieli przyjąć „być może”, zwłaszcza kiedy odkryli, że zaczął już kompletować sztab wyborczy. Dlatego po dłuższym nagabywaniu był zmuszony ogłosić na schodach hotelu, w otoczeniu chaosu bagaży i uniesionych parasoli, że istotnie zamierza kandydować.

W wiadomościach o trzynastej było widać wyraźny kontrast między Urquhartem, pełnym godności starszym mężem stanu, który odmawia kandydowania, a najwidoczniej palącym się do władzy Samuelem, który organizuje zaimprovizowaną konferencję prasową na ulicy i wyrywa się przed orkiestrę jako oficjalny kandydat prawie miesiąc przed pierwszą turą głosowania.

Urquhart oglądał to wszystko ze znaczną satysfakcją, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce dźwięk spuszczonej wody, który przeszedł w charakterystyczny, niedający się z niczym pomylić śmiech Bena Landlessa, po czym połączenie zostało przerwane.

Rozdział 29

Niektóre kariery polityczne są jak błędnie skatalogowana książka w Bibliotece Brytyjskiej. Właściwie to niewielki błąd, ale w efekcie skazuje na wieczne zapomnienie.

Piątek, 29 października – sobota, 30 października

– O to ci chodziło?

W tonie Krajewskiego nadal pobrzmiwało poczucie krzywdy wyniesione z ich ostatniego spotkania. Od tamtej pory unikał Mattie w newsroomie, ale teraz pochylał się nad nią z dużą, szarą kopertą w dłoni, uważając, żeby nie przysunąć się za blisko. Upuścił ją na jej biurko, a Mattie wyjęła ze środka kolorową fotografię w formacie dziesięć na dwanaście cali. Patrzyła na nią twarz upragnionego kierowcy, ziarnista i zniekształcona, ale dość wyraźna.

– Freddie spisał się na medal – ciągnął Krajewski. – Wziął to zdjęcie na swój wczorajszy miting AA i lider grupy rozpoznał faceta od razu. To doktor Robert Christian, znany autorytet w zakresie leczenia uzależnień od alkoholu i narkotyków. Prowadzi ośrodek odwykowy w dużym, prywatnym domu w Kencie, blisko południowego wybrzeża. Znajdź doktora Christiana, a założę się, że twój Charlie też się znajdzie.

– Johnnie, nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała z podnieceniem.

Ale on już sobie poszedł.

Następnego dnia, w sobotę, Mattie nie pracowała. Zaraz po wczesnym lunchu wsiadła do swojego starego bmw, zatankowała

i ruszyła w kierunku Dover. W Greenwich panował duży ruch, musiała przebijać się przez tłumy, które wybrały się na zakupy, zanim wyjechała na A2, starą rzymską drogę prowadzącą z Londynu do serca Kentu. Przejechała przez miasto katedralne Canterbury i kilka mil dalej, w malowniczej wiosce Barham, skręciła z głównej drogi. Jej mapa nie okazała się szczególnie przydatna w poszukiwaniach jeszcze mniejszej wioski Norbington, która leżała w pobliżu, ale dzięki pomocy kilku miejscowych jakiś czas później Mattie znalazła się przed dużym wiktoriańskim domem. Na wpół ukryty w krzewach dyskretny szyld obwieszczał, że to ośrodek leczniczy Fellowship Treatment Centre.

Na obsadzonym drzewami podejździe stało kilka samochodów, a frontowe drzwi były otwarte. Zdziwiła się, widząc ludzi przechadzających się z ewidentną swobodą, nigdzie za to nie było śladu groźnych pielęgniarek w białych fartuchach, które, jak się spodziewała, miały patrolować teren i wyłapywać potencjalnych uciekinierów. Zaparkowała przy drodze, i ssąc miętówkę dla kurażu, ostrożnie podeszła podjazdem do budynku.

Zbliżył się do niej zażywny dżentelmen z białym wojskowym wąsem, ubrany w tweedowy garnitur. Serce jej zamarło. To z pewnością patrol ściągający intruzów.

– Przepraszam, moja droga – odezwał się z akcentem z wyższych sfer, zatrzymując ją przy drzwiach frontowych. – Widziałaś może kogoś z personelu? W dniach odwiedzin starają się nie przeszkadzać, ale człowiek powinien móc kogoś znaleźć, kiedy akurat zajdzie taka potrzeba.

Mattie przeprosiła i uśmiechnęła się z ulgą. Szczęście jej sprzyjało – trafiła na najlepszy możliwy dzień, żeby uniknąć niewygodnych pytań.

W ośrodku panowała atmosfera przypominająca raczej modne wiejskie ustronie niż zakład opieki: żadnych kaftanów bezpieczeństwa czy przywiązywania do łóżek, żadnych zamków w drzwiach i szpitalnych zapachów. Zobaczyła wiszącą na ścianie w korytarzu mapkę dróg ewakuacyjnych zaznaczonych na szczegółowym planie domu, według którego zorientowała się w terenie, i ruszyła na poszukiwanie swojej zdobyczy. Znalazła ją siedzącą na ogrodowej ławce, zapatrzoną w dolinę w ostatnich promieniach październikowego słońca. Nie sprawiło to Mattie radości. Przybyła tu z nieczystymi zamiarami.

– O rany, Charlie! – wykrzyknęła, siadając obok niego. – Co za niespodzianka.

Spojrzał na nią z zupełnym brakiem zrozumienia. Wydawał się wycieńczony, miał spowolnione reakcje, jakby jego umysł błędził gdzieś daleko.

– Ja... przepraszam – wymamrotał. – Nie poznaję...

– Mattie Storin. Pamiętasz, na pewno. Spędziliśmy razem przeuroczy wieczór w Bournemouth jakieś dwa tygodnie temu.

– Przykro mi, panno Storin. Nie pamiętam. Widzi pani, jestem alkoholikiem, dlatego tu się znalazłem, i obawiam się, że kilka tygodni temu nie byłem w stanie zbyt wiele zapamiętać.

Zaskoczyła ją jego szczerść, on tymczasem uśmiechał się pogodnie.

– Nie czuj się zakłopotana, moja droga – powiedział, poklepując ją po dłoni niczym dobry wujek. – Jestem uzależniony. Próbuję się wyleczyć. Ukrywałem to przed wszystkimi na milion sposobów, ale tylko siebie zdołałem oszukać. Chcę z tego wyjść. O to właśnie chodzi w tym ośrodku.

Mattie mocno się zaczerwieniła. Wtargnęła do prywatnego świata chorego człowieka i czuła wstyd.

– Charlie, skoro mnie nie pamiętasz, to nie będziesz też pamiętał, że jestem dziennikarką.

Dłoń się cofnęła, uśmiech znikł, a zamiast niego pojawił się wyraz rezygnacji.

– Dupa blada. A wyglądasz na taką miłą dziewczynę. Pewnie musiało w końcu do tego dojść, chociaż Henry miał nadzieję, że dadzą mi tu spokój...

– Charlie, uwierz mi, nie przyjechałam, żeby ci utrudniać życie. Chcę pomóc.

– Wszyscy tak gadają, nie?

– Na razie nic nie mów, daj mi coś powiedzieć.

– A, dobrze. I tak nigdzie się nie wybieram.

– Twój brat, premier, został zmuszony do dymisji z powodu oskarżeń, że pomógł ci kupić i sprzedać akcje, co dało ci szybki zysk.

Zaczął machać ręką, żeby jej przerwać, ale ona zignorowała jego protesty.

– Charlie, moim zdaniem to w ogóle nie ma sensu. Po prostu nie trzyma się kupy. Myślę, że ktoś celowo próbował podkopać pozycję twojego brata, oskarżając ciebie.

– Naprawdę? – W starych, bladoszarych oczach błysnęło zainteresowanie. – Kto mógłby coś takiego zrobić?

– Nie wiem. Mam tylko podejrzenia. Przyjechałam, żeby zobaczyć, czy mógłbyś mnie naprowadzić na coś bardziej konkretnego.

– Panno Storin... Mattie, mogę tak cię nazywać? Powiedziałaś, że jesteśmy starymi znajomymi... Jestem pijakiem. Nie pamiętam nawet,

że się poznaliśmy. Więc jak mogę pomóc? Moje słowo zupełnie nic nie znaczy.

– Nie jestem ani sędzią, ani prokuratorem, Charlie. Próbuję tylko poskładać obrazek z tysiąca rozsypanych kawałków.

Jego zmęczone oczy patrzyły ponad wzgórzami w kierunku Dover i kanału La Manche, jakby leżał tam jakiś inny świat.

– Mattie, próbowałem sobie przypomnieć z całych sił, możesz mi wierzyć. Nie mogę znieść myśli, że przyniosłem Henry’emu wstyd i zmusiłem go do dymisji. Ale nie wiem, jaka jest prawda. Nie potrafię ci pomóc. Nie potrafię pomóc nawet sobie.

– Nie zapamiętałbyś czegoś związanego z kupowaniem tyłu akcji?

– Byłem bardzo chory. I bardzo pijany. Jest mnóstwo rzeczy, których sobie absolutnie nie przypominam.

– Nie pamiętałbyś, skąd miałeś pieniądze albo co zrobiłeś z zyskami?

– Rzeczywiście wydaje się mało prawdopodobne, żeby taka fortuna walała mi się po domu, a ja bym o niej nie pamiętał ani, w dodatku, nie wydał jej na alkohol. I nie mam pojęcia, co mogło się stać z tymi pieniędzmi. Nawet ja nie potrafię przepić pięćdziesięciu tysięcy funtów w kilka tygodni.

– A co z tym fałszywym adresem w Paddington?

– Tak, coś mi o tym wspominali. Zupełna zagadka. Nie wiem, gdzie jest Praed Street w Paddington, nawet jak jestem trzeźwy, więc to jakiś absurd zakładać, że mógłbym tam trafić po pijanemu. Mieszkam na drugim końcu Londynu.

– Ale użyłeś tego adresu, podobno, żeby założyć konto w banku i zaprenumerować materiały informacyjne partii.

Charles Collingridge ryknął nagle śmiechem, tak gwałtownie, że w kącikach oczu zaczęły mu się zbierać łzy.

– Mattie, moja droga, zaczynasz mi przywracać wiarę w siebie. Nawet nie wiem jak pijany, nigdy nie mógłbym okazać choć cienia zainteresowania polityczną propagandą. Protestuję, kiedy wpychają mi te śmieci do skrzynki podczas kampanii wyborczej. Płacić za nie co miesiąc to byłaby zniewaga!

– Nie zamawiałeś partyjnych materiałów?

– Nigdy!

Jesienne liście przefrunęły po trawniku. Zachodziło słońce i niebo zalał ciepły, czerwony blask, rozświetlający Charliemu twarz. Wyglądał teraz, jakby wyraźnie wracał do zdrowia i promieniał zadowoleniem.

– Nie mogę niczego udowodnić, ale, słowo honoru dżentelmena, wierzę, że nie jestem winny tego, co mi zarzucają. – Znów ujął jej dłoń i ścisnął. – Mattie, bardzo by mi zależało, żebyś też w to wierzyła.

– Wierzę, Charlie, z całym przekonaniem. I postaram się to udowodnić. – Wstała, zbierając się do wyjścia.

– Było mi miło, że mnie odwiedziłaś, Mattie. A skoro już jesteśmy takimi dobrymi znajomymi, przyjeźdź jeszcze kiedyś.

– Przyjadę. Ale na razie muszę trochę pokopać.

Kiedy wróciła do Londynu, był późny wieczór. Poranne wydania niedzielnych gazet już się ukazały. Kupiła ich całe naręczce, i przytrzymując wyslizgujące się wkładki i czasopisma, wrzuciła wszystko na tylne siedzenie samochodu. Wtedy zauważyła nagłówek w „Sunday Times”.

Minister edukacji, Harold Earle, nienależący bynajmniej do znanych miłośników Greenpeace’u, właśnie ogłosił zamiar startowania

w wyborach na szefa partii i rozpoczął kampanię przemówieniem zatytułowanym: „Posprzątajmy nasz kraj”.

„Mówiliśmy bez końca o problemach podupadających śródmieści, jednak one nadal popadają w ruinę, a zubożałemu stanowi centrów naszych miast dorównuje degeneracja terenów wiejskich – cytował ministra „Sunday Times”. – Zbyt długo zaniedbywaliśmy te kwestie. Powtarzane w kółko wyrazy zaniepokojenia nie zastąpią konkretnych działań. Pora poprzeć piękne słowa pięknymi czynami. Z badań opinii publicznej wynika, że zdaniem wyborców w sprawie ochrony środowiska zawiedliśmy. Mają rację, mówiąc, że to niedopuszczalne po ponad dwunastu latach urzędowania, a my musimy uświadomić sobie, jak istotne są to obawy”.

– Zaraz, dlaczego minister edukacji tak się przejmuje ochroną środowiska? – zapytała samą siebie, kiedy doszła do końca jego płomiennej przemowy. – Idiotka. Tępieję na starość. Nie potrafię czytać między wierszami. Który minister jest odpowiedzialny za środowisko, a więc za ten fatalny stan rzeczy?

Publiczna walka o wyeliminowanie Michaela Samuela już się rozpoczęła.

Rozdział 30

Nie ma niegodziwości, której polityk nie mógłby popełnić, a dziennikarz nie rozdmuchał. Historyczna przesada to charakterystyczna cecha i jednych, i drugich.

Środa, 3 listopada

W następnym tygodniu Mattie wielokrotnie próbowała złapać Kevina Spence'a. Mimo zapewnień jego uprzedzająco grzecznej sekretarki Spence nigdy nie oddzwonił, więc z kolejnym telefonem czekała do godziny, o której wszystkie sekretarki już dawno powinny wyjść do domu. Nocny portier od razu ją połączył.

– Panno Storin, nie, oczywiście, że pani nie unikam – skłamał Spence. – Jestem bardzo zajęty. Dużo się dzieje.

– Kevin, znów potrzebuję twojej pomocy.

Przez chwilę milczał. Był odważniejszy i bardziej skoncentrowany, kiedy nie patrzył jej w oczy.

– Pamiętam, jak pani pomogłem ostatnim razem. Powiedziała pani, że zamierza napisać artykuł o sondażach. A napisała pani tekst szkalujący premiera, który teraz ustąpił. – Mówił cicho, ze smutkiem.

– Zawsze bardzo przyzwoicie mnie traktował, był bardzo życzliwy. Uważam, że pani i reszta prasy byliście dla niego niezwykle okrutni.

– Kevin, to nie był mój artykuł, daję słowo. Przerobili mój tekst, nie był podpisany moim nazwiskiem. Wściekłam się pewnie bardziej od ciebie.

– Chyba byłem bardzo naiwny. Proszę już więcej nie dzwonić. Dobranoc, panno Storin.

Już miał odłożyć słuchawkę.

– Kevin, daj mi dosłownie chwilę. Proszę! W dymisji pana Collingridge’a jest coś dziwnego.

I Spence został na linii.

– Osobiście nie wierzę w to, co się mówi o nim i jego bracie. Chciałabym go oczyścić z zarzutów.

– Nie wiem, jak mógłbym pomóc – powiedział nieufnie Spence. – Poza tym nikomu oprócz biura prasowego nie wolno kontaktować się z mediami podczas tej kampanii. Kategorieczny zakaz przewodniczącego.

– Kevin, gra idzie o nie byle co. Nie tylko o władzę w partii i wygraną w następnych wyborach. Chodzi też o coś bardziej osobistego, o to, czy Henry Collingridge przejdzie do historii jako aferzysta, czy dostanie szansę na wyjaśnienie sprawy. Czy nie jesteśmy mu tego winni?

Spence milczał przez chwilę, zachowując ostrożność, aż w końcu zapytał:

– Gdybym mógł pomóc, czego by pani chciała?

– To bardzo prosta rzecz. Znasz się na systemie komputerowym w centrali partii?

– Tak, oczywiście. Ciągle z niego korzystam.

– Wydaje mi się, że ktoś przy nim majstrował.

– Majstrował? To niemożliwe. Mamy najlepsze zabezpieczenia. Nikt z zewnątrz nie ma dostępu.

– Nie z zewnątrz, Kevin. Z wewnątrz.

Tym razem po drugiej stronie zaległa dłuższa cisza.

– Pomyśl, Kevin. Twój sondaż ujawnił ktoś od was. To jedyne wyjaśnienie. Ktoś cię nieźle wrobił.

Usłyszała, jak Spence zaklął szeptem, walcząc z wątpliwościami.

- Posłuchaj, pracuję w tej chwili w Izbie Gmin. Mogę być u ciebie w ciągu dziesięciu minut. Pewnie o tej porze w budynku jest bardzo cicho i spokojnie. Nikt nic nie zauważy, Kevin. Lecę.

- Wejdz przez parking - mruknął. - Tylko nie przez główną recepcję, na litość boską.

Zjawiła się po niecałych siedmiu minutach.

Usiedli w jego małym gabinecie na poddaszu, otoczeni górami akt, które zajmowały każdą płaską powierzchnię i spadały na podłogę. Na biurku dominował jarzący się zielony monitor, a oni siedzieli przed nim blisko siebie. Mattie odpięła jeden guzik swojej bluzki, a on to zauważył. Postanowiła, że skarci się za to później.

- Kevin, Charles Collingridge zamówił materiały z partyjnego biura sprzedaży i promocji i poprosił, żeby je przesyłać na adres w Paddington. Zgadza się?

- Tak jest. Sprawdziłem, kiedy tylko się o tym dowiedziałem, ale faktycznie mamy to w systemie. Spójrz.

Puknął w kilka przycisków na klawiaturze i na ekranie pojawiły się obciążające dowody.

- „Sz. P. Charles Collingridge, Pread St 216, Paddington, Londyn W2 - 001A/ 01.0091”.

- A co znaczą te inne hieroglify?

- Ten pierwszy ciąg - po prostu, że prenumeruje wszystkie nasze materiały. Drugi pokazuje, kiedy jego prenumerata wygasa. Dzięki temu wiemy, czego chce: czy interesuje go wszystko, czy tylko najważniejsze publikacje, czy był członkiem naszego specjalistycznego klubu książki i tak dalej. Każdy z naszych programów marketingowych ma inny numer referencyjny. Pokazuje to także sposób płatności, i czy abonent z nimi nie zalega.

– A Charles?

– Miał wszystko opłacone od początku roku.

– Mimo że jest alkoholikiem bez forsy, który nawet nie może się zorientować, o której zamykają knajpę.

Spence poruszył się nerwowo na krześle.

– Czy te informacje można wyświetlić na wszystkich monitorach w budynku?

– Tak. Nie uważamy tych danych za szczególnie poufne.

– W takim razie powiedz mi, Kevin. – Pochyliła się trochę do przodu, oddychała głęboko. Faceci są żałośni, działało za każdym razem. – Gdybyś chciał nagiąć trochę zasady, wpisać mnie do systemu jako prenumeratorkę waszych materiałów informacyjnych, mógłbyś to zrobić? Wprowadzić moje dane z tego terminala?

– No... tak. – Spence zaczynał chwytać, o co jej chodzi. – Myślisz, że dane Charlesa Collingridge'a zostały zmienione albo wymyślone. To się da zrobić. Popatrz. – Z gracją pianisty przebiegł palcami po klawiaturze i w ciągu kilku sekund na monitorze wyświetliła się pełna prenumerata na nazwisko „Sz. P. Myszka Miki, Disneyland 99, Miami”. – Ale to nie wystarczy, Mattie. Nie dałoby się tego antydatować do początku roku, tak żeby nikt się nie zorientował, bo... Ale ze mnie głupek! Oczywiście! – wykrzyknął i znów zaczął energicznie stukać w klawiaturę. – Jeśli naprawdę się na tym znasz, co można powiedzieć o niewielu osobach w tym budynku, możesz wejść do podkatalogu mainframe'u...

Jego słowa niemal utonęły w klekocie klawiszy.

– Widzisz, to nam daje dostęp do danych finansowych. W ten sposób mogę sprawdzić dokładną datę opłacenia prenumeraty, czy

zapłacono czekiem, czy kartą kredytową, kiedy prenumerata się zaczęła...

Monitor się zaświecił.

– Da się to zrobić tylko jeśli ma się właściwe hasło i... O rany Julek!

– Odsunął się od ekranu, jakby ten go obraził. Po chwili powiedział:

– Mattie, nie uwierzysz...

– Coś czuję, że może mi się uda.

– Według danych księgowości Charles Collingridge nigdy nie zapłacił za prenumeratę, ani w tym miesiącu, ani w żadnym innym. Jego dane są tylko w pliku dystrybucji, nie w pliku z płatnościami.

– Kevin, możesz mi powiedzieć, kiedy jego nazwisko pojawiło się w pliku dystrybucji? – zapytała bardzo łagodnie.

Jeszcze kilka uderzeń w klawisze, tym razem ostrożnych, miarowych.

– Jezu. Dokładnie dwa tygodnie temu.

– Tylko się upewnij, czy rozumiem, Kevin. Chcę mieć jasność. Ktoś w tym budynku, nie pracownik księgowości ani nikt, kto znał się dobrze na komputerach, zmienił plik, dopisując nazwisko Charlesa Collingridge'a dwa tygodnie temu.

Spence kiwnął głową. Twarz mu pobleadła.

– Możesz mi powiedzieć, kto zmienił ten plik albo z którego terminalu?

– Nie. Można to było zrobić z każdego terminalu w tym budynku. Program komputerowy nam ufa... – Pokręcił głową, jakby oblał najważniejszy egzamin w życiu.

– Nie martw się, Kevin, byłeś genialny. – Odwróciła się od monitora i pochyliła w jego stronę. – Jesteśmy na tropie. Ale nikomu nie możesz o tym pisać ani słowa. To bardzo ważne. Chcę złapać drania, który to

zrobił, a jeśli dowie się, że go szukamy, zatrze ślady. Pomożesz mi i będziesz trzymał to w tajemnicy, dopóki nie zdobędziemy czegoś więcej?

Ich oczy się spotkały.

- A kto by mi w ogóle uwierzył? - szepnął.

Rozdział 31

Piękno powstaje w oku obserwatora. Prawda leży w rękach redaktora naczelnego.

Poniedziałek, 8 listopada – piątek, 12 listopada

Weekendowe gazety nawet nie próbowały ukryć irytacji. Samuel i Earle oraz inni ministrowie, którzy mieli kandydować na szefa partii, byli grzeczni, nie przypuścili żadnych bezpośrednich ataków na swoich rywali, więc prasa ich wyręczyła.

„Observer” oznajmił, że: „jak dotąd ta bezbarwna kampania rozczarowuje, nadal czekamy, aż któryś z kandydatów z powrotem tchnie nieco życia w partię”. „Sunday Mirror” skrytykował kampanię jako „nieistotną i irytującą”, natomiast „News of the World”, żeby nie pozostawać w tyle, w charakterystycznym dla siebie stylu nazwały ją „dętą i pustą jak wydmuszka”. „Samuel i Earle? – napisał magazyn „People”. – Jeśli taka ma być odpowiedź, to było to cholernie głupie pytanie”.

Po tej krytyce w poniedziałek wczesnym rankiem kampania ożyła. Zachęteni przedstawionym w mediach poglądem, że właściwy kandydat jeszcze się nie pojawił, dwaj kolejni członkowie gabinetu podjęli rękawicę – Patrick Woolton oraz Paul McKenzie, minister zdrowia. Obaj, jak uważano, mieli spore szanse na sukces. McKenzie zdobył rozgłos dzięki popularnemu programowi rozwoju szpitali, a winę za jego opóźnienie udało mu się zrzucić na ministerstwo finansów i Downing Street. „Startuję!” – ogłosił.

Od czasu rozmowy z Urquhartem na kongresie partii Woolton ostro pracował za kulisami. Zjadł lunch z prawie każdym naczelnym

na Fleet Street, pił z najważniejszymi postaciami i sypiał wyłącznie ze swoją żoną. Uważał także, że jego północne korzenie dają mu pewną przewagę, a przynajmniej zapewniają wyjątkowość, i miał nadzieję, że dzięki nim zostanie kandydatem „jedności narodowej” w odróżnieniu od większości jego bardziej kosmopolitycznych głównych rywali, wychowanych na awokado i oliwie z oliwek. Nie żeby miało to zrobić wrażenie na Szkotach, rzecz jasna, którzy całą sprawę traktowali zazwyczaj jako dziejącą się gdzieś za granicą. Woolton miał nadzieję opóźnić swój oficjalny start w wyborach, chcąc zobaczyć, jak rozwiną się kampanie jego rywali, ale weekendowa prasa była jak wezwanie do broni, więc uznał, że nie powinien dłużej zwlekać. Zwołał konferencję prasową na lotnisku w Manchesterze, żeby ogłosić swoją kandydaturę na „własnym boisku”, jak to ujął, wierząc, że nikt nie zauważy, iż sam przyleciał tam z Londynu.

Prasowa krytyka podburzyła wszystkich do zaostrzenia kursu. Earle powtórzył swoje zarzuty wobec polityki ochrony środowiska, ale tym razem postanowił zaatakować dorobek Michaela Samuela otwartym tekstem – koniec z zaszyfrowanym przekazem. Samuel zripostował, że zachowanie Earle’a wobec rządowego kolegi jest naganne, a także stanowi fatalny przykład dla młodzieży, zwłaszcza że płynie od samego ministra edukacji. Tymczasem wygłoszone przez Wooltona w Manchesterze nieprzemyślane słowa o potrzebie „przywrócenia angielskich wartości dzięki angielskiemu kandydatowi” zostały ostro zaatakowane przez McKenzię, który rozpaczliwie starał się odkryć na nowo swoje gaelickie korzenie i twierdził, że to obraza dla pięciu milionów Szkotów.

„Sun” poszedł dalej, interpretując słowa Wooltona jako brutalny antysemicki atak na Samuela. Żydowscy aktywiści zasypali anteny

radiowe i działy listów do redakcji lawiną skarg, zaś pewien rabin z rodzinnego miasta Samuela wezwał Radę do spraw Stosunków Rasowych do zbadania tej „najohydniejszej wypowiedzi, jaka padła z ust wpływowego polityka od czasów Mosleya”. Wooltona ta przesadna reakcja bynajmniej nie zmartwiła. Twierdził, ale tylko w prywatnych rozmowach, że „przez następne dwa tygodnie wszyscy będą patrzeć na kształt uszu Samuela, zamiast słuchać tego, co ma do powiedzenia”.

W środę wieczorem Urquhart uznał, że sytuacja rozwinęła się na tyle po jego myśli, że może wydać publiczny apel o „powrót do dobrych manier i standardów zachowania, z których znana jest ta partia”. Odbił się on szerokim echem w rubrykach komentatorów, mimo że pierwsze strony tych samych gazet epatowały najnowszymi przykładami wybryków kandydatów.

Kiedy więc w piątek po południu Mattie weszła do gabinetu Prestona, oznajmiając, że ma coś więcej, znużony naczelny pokręcił głową.

– Lepiej, żeby było to coś innego – powiedział, rzucając w kąt najnowszy komunikat prasowy Earle’a.

– To jest coś innego – ostrzegła.

Preston jakby lekko się ożywił.

– Materiał na pierwszą stronę – dodała.

– No to dawaj, niech zadrzą mi kolana.

Zamknęła za sobą drzwi, żeby nikt ich nie podsłuchał.

– Collingridge podał się do dymisji z powodu oskarżeń, że on lub jego brat robili przekręty na giełdzie za pośrednictwem kiosku w Paddington i podrzędnego tureckiego banku. Myślę, że możemy udowodnić, że prawie na sto procent został w to wrobiony.

- O czym ty mówisz?
- Ktoś go zrobił.
- Możesz to udowodnić?
- Chyba tak.

Sekretarka Prestona zajrzała do gabinetu, ale została obcesowo odprawiona machnięciem ręki.

- Powiem ci, co mamy, Grev.

Cierpliwie wytłumaczyła, że sprawdziła pliki komputerowe w centrali partii i okazało się, że przy jednym z nich, dotyczącym dystrybucji, ktoś majstrował.

- Po co ktoś miałby coś takiego robić?

- Żeby fałszywy adres w Paddington można było powiązać bezpośrednio z Charlesem Collingridge'em.

- Dlaczego uważasz, że był fałszywy?

- Taki adres korespondencyjny mógł założyć każdy. Nie wierzę, że Charles Collingridge w ogóle zbliżył się do Paddington. Zrobił to w jego imieniu ktoś inny.

Drzwi otworzyły się ponownie, znów ktoś chciał im przeszkodzić.

- Spierdalaj! - warknął Preston i intruza wymiotło.

- Po co ktoś miałby zakładać fałszywy adres na nazwisko Charlesa Collingridge'a?

- Bo chcieli go zrobić. I jego brata też.

- Za skomplikowane - zauważył Preston, ale słuchał dalej.

- Sama pojechałam dziś rano do Paddington. Założyłam sobie adres korespondencyjny pod fikcyjnym nazwiskiem w tym samym kiosku. Wsiadłam potem w taksówkę i pojechałam na Seven Sisters Road do Union Bank of Turkey, gdzie otworzyłam konto na to samo

nazwisko. Nie wpłaciłam pięćdziesięciu tysięcy funtów, tylko sto. Wszystko razem zajęło mi niecałe trzy godziny.

– Jezu...

– Mogę teraz zacząć zamawiać pisma pornograficzne opłacane z tego nowego konta na adres w Paddington, co cholernie zaszkodzi reputacji pewnego zupełnie niewinnego polityka.

– Którego?

W odpowiedzi położyła na biurku naczelnego księżeczkę bankową i kwit z kiosku. Spojrzał z niecierpliwością na tę ekspozycję, po czym wybuchnął.

– Lider opozycji! – wrzasnął przerażony. – Co ty żeś, kurwa, zrobiła?!

– Nic – odparła ze zwycięskim uśmiechem. – Tylko pokazałam, że Charles Collingridge został najprawdopodobniej wrobiony i że zapewne nigdy nie był ani w tym kiosku, ani w Union Bank of Turkey, więc nie mógł kupić tych akcji.

Preston trzymał przyniesione przez nią dokumenty w wyciągniętej ręce, jakby się bał, że się zapalą.

– A to znaczy, że Henry Collingridge nie powiedział swojemu bratu o Renox Chemicals... – Zawiesiła znacząco głos.

– No i? No i? – dopytał Preston.

– Jest niewinny. Nie musiał podawać się do dymisji.

Preston opadł na oparcie krzesła. Na czole zaczęły mu się zbierać krople potu. Czuł się, jakby ktoś rozdzierał go na pół. Z jednej strony widział materiał na znakomity artykuł, jednak na tym właśnie polegał problem, bo z drugiej strony wyraźnie dostrzegał siłę rażenia, jaką taki artykuł miałby w świecie Westminsteru. Przewróciłby wszystko do góry nogami, może nawet ocalił Collingridge'a. Czy tego właśnie

chcieli? Landless dopiero co go poinstruował, że ma jakieś nowe sprawy na widoku i wszystkie duże teksty mogące wpłynąć na partyjne wybory mają być z nim konsultowane przed publikacją. Fakty były dla Landlessa właściwie tylko towarem. Pragnął wpływów, władzy. Preston nie wiedział, jak zareaguje szef, musiał więc grać na czas.

– Nie próżnowałaś, młoda damo.

– To jest niesamowity materiał, Grev.

– Nie przypominam sobie, żebyś to ze mną uzgadniała ani pytała o pozwolenie na wydawanie moich pieniędzy na zakładanie adresów korespondencyjnych.

Jego brak entuzjazmu ją zaskoczył.

– To się nazywa inicjatywa, Grev.

– Nie przeczę, że dobrze się spisałaś... – Gorączkowo przeglądał w myślach swój słownik ściemy i bajeru, próbując uniknąć jednoznacznej odpowiedzi. Był to mocno wysłużony tom. Po chwili wiedział już, co musi zrobić, i słownik zamknął się z trzaskiem. – Ale co my tu mamy, Mattie? Pokazałaś, że można latać po Londynie i otwierać konta na nazwisko Collingridge’a, ale to nie wystarczy. Nie udowodniłaś, że to nie był Charlie Collingridge we własnej osobie. To nadal najprostsze wytłumaczenie.

– Ale ten plik w komputerze, Grev. Ktoś w nim grzebał.

– A nie przyszło ci do głowy, że plik został zmieniony nie po to, żeby obciążyć Collingridge’a, ale przez niego samego albo przez jednego z jego przyjaciół, żeby dać mu alibi? Haczyk, na który miała się złapać taka płotka jak ty.

– Żartujesz...

– Równie dobrze zmieniony mógł być nie plik dystrybucji, tylko księgowości. Ktoś mógł to zrobić dosłownie kilka minut przed tym, jak

to widziałaś.

– Ale tylko garstka ludzi ma dostęp do plików księgowych – zaprotestowała Mattie. – I jak niby Charlie Collingridge mógłby to zrobić, skoro jest w klinice na odwyku?

– Jego brat.

Mattie popatrzyła z niedowierzaniem.

– Chyba nie myślisz na serio, że premier poszedł na tak ogromne ryzyko i kazał zmienić plik w komputerze centrali partii, żeby sfałszować dowody już po ogłoszeniu swojej dymisji.

– Mattie, przypomnij sobie, jak było. A może jesteś za smarkata, żeby pamiętać? Watergate. Spalone akta i skasowane nagrania – przez prezydenta. Podczas afery Iran-Contras sekretarka wyniosła obciążające materiały z Białego Domu w majtkach.

– To nie Dziki Zachód...

– Dobra, a Jeremy Thorpe? Lider Partii Liberalnej. Postawiony przed sądem w Londynie za usiłowanie morderstwa. John Stonehouse poszedł do więzienia po sfingowaniu swojego samobójstwa. Lloyd George sprzedawał pod stołem tytuły para, a na stole w sali posiedzeń rządu posuwał swoją sekretarkę. Takie rzeczy dzieją się w polityce przez cały czas, Mattie. – Preston zapalał się do tematu. – Władza to narkotyk, działa na nich jak świeca na ćmę. Lecą do niej, nie zważając na niebezpieczeństwo. Mogą zaryzykować wszystko: małżeństwo, karierę, reputację, nawet życie. Dlatego nadal łatwiej uwierzyć, że Collingridge'owie zrobili przekręt i usiłowali go zatuszować.

– Nie mów mi, że tego nie puścisz! – rzuciła ostro.

– Uspokój się, na litość boską. Mówię tylko, że masz za mało, żeby to wszystko się trzymało kupy. Jest tu mnóstwo gówna i potrzebujesz

znacznie większej łopaty, żeby je przerzucić. Musisz jeszcze nad tym popracować.

Jeśli liczył, że w ten sposób ją spławi i wróci do spokojnego życia, czekało go rozczarowanie. Walnęła obiema rękami w jego biurko i przechyliła się przez blat, żeby spojrzeć mu w te jego rozbiegane oczka.

– Grev, wiem, że jestem głupią babą, więc wytłumacz mi tak, żebym zrozumiała. Albo ktoś wrobił Collingridge'ów, albo premier jest winny, bo fałszował dowody. Tak czy inaczej, to bomba, a my mamy materiał, który może nie schodzić z pierwszej strony przez tydzień.

– Ale jest winny czy wrobiony? Musimy mieć pewność. Zwłaszcza w środku wyborów na szefa partii.

– Właśnie dlatego, że odbywają się wybory, musimy to wydrukować! Po cholere czekać, aż będzie po ptakach i nie będzie się dało tego odkręcić?

Preston wił się jak piskorz, ale skończyły mu się logiczne argumenty. Źle znosił pouczanie przez jednego z najmłodszych członków redakcji, w dodatku kobietę. Miał dość.

– Słuchaj, zabieraj swoje cycki z mojego biurka i swoje czołgi z mojego trawnika. Wpadasz do mojego gabinetu z fantastyczną historią, ale bez cienia konkretnych dowodów. Nie napisałaś ani linijki tekstu. Skąd do diabła mam wiedzieć, czy masz świetny materiał, czy po prostu miałaś fajny lunch?

Ku swojemu własnemu zdziwieniu nie nawrzeszczała na niego tylko zniżyła głos, jakby mu groziła.

– Dobra, Grev. Jeśli tego chcesz, będziesz miał swój tekst w ciągu trzydziestu minut. – Odwróciła się i wyszła, z trudem opierając się pokusie trzaśnięcia drzwiami tak, żeby wyleciały z zawiasów.

Minęło raczej czterdzieści minut, zanim zjawiała się z powrotem, wchodząc bez pukania i ściskając w ręku sześć stron maszynopisu z podwójnym odstępem. Bez słowa rzuciła je na biurko, stając na wprost Prestona, aby dać mu wyraźnie do zrozumienia, że się stąd nie ruszy, dopóki nie dostanie odpowiedzi.

Pozwolił jej zostać, kiedy powoli czytał przyniesiony tekst. Usiłował przy tym wyglądać tak, jakby zmagął się z trudną decyzją. Ale to była lipa. Decyzja już została podjęta w rozmowie telefonicznej, którą odbył tuż po wyjściu Mattie z jego gabinetu.

– Jest zdeterminowana, Ben. Wie, że ma materiał na świetny artykuł i nie rozumie słowa „nie”.

– I co z tego? Nie puszczaamy – skwitował Landless. – Nie mieści się to w tej chwili w moich planach.

– Co niby mam zrobić, do cholery?

– Zachowaj się jak naczelny, Grev. Przekonaj ją, że się myli. Przesuń ją do działu kulinarnego. Wyślij na urlop. Daj jej awans. Ale ją ucisz!

– To nie takie proste. Jest nie tylko uparta jak diabli, ale to także jeden z naszych najlepszych politycznych mózgów.

– Naprawdę się dziwię, że muszę ci o tym przypominać, ale już masz najlepszy polityczny umysł w branży. Mój!

– Nie o to mi...

– Posłuchaj, mamy tylko jakieś dwa tygodnie do końca tych cholernych wyborów na szefa partii. Gra toczy się o wysoką stawkę, nie tylko o przyszłość kraju, ale także o mój biznes – i twoją pracę. Rozumiesz, co mówię?

Preston miał odpowiedzieć, że oczywiście, rozumie, ale Landless już rzucił słuchawką. A teraz ta zaraza, przyczyna wszystkich jego zmartwień, znów stała w jego gabinecie. Przerzucał strony jej tekstu,

już ich nie czytając, tylko koncentrując się na tym, co za chwilę powie. Nie był pewien, jak to powinien rozegrać. Wreszcie odłożył artykuł Mattie i wyprostował się w fotelu.

– Nie możemy tego wydrukować. Za duże ryzyko. Nie chcę rozwalać wyborów na szefa partii na podstawie spekulacji.

Tego się spodziewała. Odparła szeptem, który uderzył Prestona jak bokserka rękawica:

– Nie przyjmuję odmowy do wiadomości.

Cholera. Dlaczego po prostu się z tym nie pogodzi, nie wzruszy ramionami, nie złoży na karb doświadczenia albo po prostu się nie popłacze jak inne? Cicha bezczelność kryjąca się w jej słowach tylko wzmogła jego determinację.

– Nie wydrukuję twojego tekstu. Jestem naczelnym, to moja decyzja. Albo ją zaakceptujesz, albo...

– Albo co, Grev?

– Albo uświadomisz sobie, że nie masz przyszłości w naszym dziale politycznym.

– Zwalniasz mnie? – To ją jednak zaskoczyło. Jak mógł sobie pozwolić na to, żeby ją wyrzucić, zwłaszcza teraz, w środku wyborów partyjnych?

– Nie, przenoszę cię od tej chwili do działu kobiecego. Szczerze mówiąc, chyba jeszcze nie wyrobiłaś sobie rozeznania, jakie jest potrzebne w naszym dziale politycznym. Może za parę...

Rzuciła się na niego z pazurami.

– Kto cię przekabacił, Grev?

– O co ci do diabła chodzi?

– Normalnie masz problem ze zdecydowaniem, czy założyć slipy, czy bokserki. Zwolnienie mnie za ten tekst to nie była twoja decyzja,

tylko kogoś innego, prawda?

– Nie zwalniam cię! Zostajesz przeniesiona...

Zaczynał powoli tracić z trudem zachowywane panowanie nad sobą. Poczerwieniał, jakby wstrzymywał oddech.

– Nie zwalniasz mnie?

– Nie!

– No to ja odchodzę.

Spąsowiał. Musiał ją zatrzymać w „Chronicle”, przynajmniej na jakiś czas. Tylko tak można było ją kontrolować. Ale co ma teraz zrobić, do cholery? Zmusił się do uśmiechu i rozłożył szeroko ręce w udawanym geście wspaniałomyślności.

– Posłuchaj, Mattie, nie działajmy pochopnie. Jesteś tu wśród przyjaciół.

Nozdrza rozszerzyły się jej z pogardą.

– Chcę, żebyś zdobyła szersze doświadczenie w gazecie. Masz talent, nie przeczę, nawet jeśli uważam, że niezbyt pasowałaś do działu politycznego. Chcemy, żebyś dalej dla nas pracowała, więc zastanów się przez weekend, w jakiej innej części gazety byś się widziała.

Zobaczył w jej oczach, że to nie działa.

– Ale jeśli naprawdę czujesz, że musisz odejść, nie spiesz się z decyzją. Zastanów się, co chcesz robić, daj mi znać, postaramy się pomóc i wypłacimy ci twoją półroczną pensję w ramach odprawy. Chciałbym, żebyśmy rozstali się w zgodzie. Przemyśl to.

– Już przemyślałam. I jeśli nie wydrukujesz mojego artykułu, składam wypowiedzenie. Tu i teraz.

Jego łagodny ton zmienił się w stal.

– W takim razie przypominam ci, że podpisałaś kontrakt, który przewiduje, że wypowiedzenie musisz złożyć z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Do tego czasu zachowujemy wyłączne prawa do całej twojej dziennikarskiej twórczości. Jeśli będziesz nalegać, będziemy ten zapis rygorystycznie egzekwować i dochodzić swoich praw w sądzie, gdyby okazało się to konieczne, co raz na zawsze zrujnuje ci karierę. Spójrz prawdzie w oczy, Mattie, nie wydrukujesz swojego tekstu ani tutaj, ani nigdzie indziej. Zmądrzej, przyjmij moją propozycję. Lepszej nie dostaniesz.

Nagle zobaczyła twarz swojego dziadka, który uśmiechał się do niej zwiniętej w kłębek u jego stóp zimą przed kominkiem.

– Jesteś prawdziwym utrapieniem, moja mała Mattie, ciągle pytasz i pytasz, i pytasz.

– Ale ja chcę wiedzieć, farfar.

I dziadek opowiedział jej, jak wyruszył ze swojej rybackiej wioski na norweskim fiordzie ku wolności, zostawiając wszystko za sobą i wiedząc, że kiedy już się zdecyduje, nigdy nie będzie mógł zawrócić.

– Wiedziałem, co tam na mnie czeka – wspominał. – Straszne rzeczy. Niemieckie łodzie patrolowe, pola minowe i prawie tysiąc mil wzburzonego morza.

– To dlaczego to zrobiłeś?

– Bo czekała na mnie też najbardziej przerażająca i najwspanialsza rzecz na świecie. Przyszłość. – Roześmiał się i ucałował jej loki.

Zebrała teraz papiery z biurka Prestona, złożyła je w równą kupkę i przedarła powoli na pół. Wypuściła strzępy z rąk, patrząc, jak sfruwają mu na kolana.

– Możesz sobie zatrzymać słowa, Grev. Ale nie masz na własność prawdy. Nie jestem pewna, czy w ogóle byś ją rozpoznał.

Tym razem trzasnęła drzwiami.

Rozdział 3 2

Politycy bardzo przypominają starzejących się autorów i starsze kobiety. Niebezpieczna faza ich życia przychodzi wtedy, gdy nie wystarcza im już szacunek przyjaciół, ale zaczynają domagać się uwielbienia publiczności.

Niedziela, 14 listopada – poniedziałek, 15 listopada

Zaraz po druzgocącym sondażu „Chronicle” i rezygnacji Collingridge’a Urquhart napisał do wszystkich swoich kolegów posłów jako rzecznik dyscypliny klubowej:

Podczas wyborów na stanowisko lidera partii z pewnością będą się do państwa zwracać dziennikarze i ankieterzy, chcąc się dowiedzieć, którego z kandydatów zamierzają państwo poprzeć. Zachęcałbym, aby nie odpowiadać. W najlepszym wypadku takie sondaże mogą tylko służyć do zakłócenia prawidłowego przebiegu głosowania, które powinno być tajne. W najgorszym – zostaną wykorzystane do zaszkodzenia kandydatom. Możemy się obyć bez krzykliwych nagłówek i dziwacznych komentarzy. W najlepszym interesie partii będzie odmawianie współpracy przy takich działaniach.

Większość chętnie posłuchała tej rady, ale powszechnie wiadomo, że co najmniej jedna trzecia posłów jest organicznie niezdolna do zachowania czegokolwiek dla siebie, nawet tajemnic państwowych. W rezultacie niecałe czterdzieści procent spośród trzystu trzydziestu siedmiu posłów partii rządzącej biorących udział w głosowaniu odpowiedziało na natrętne telefony ankieterów przeprowadzających sondaże dla dwóch niedzielnych gazet. Pozostawiło to wrażenie, że klub parlamentarny partii nadal nie potrafi się zdecydować. Co gorsza,

opinie tych, którzy udzielili odpowiedzi, też wiele nie pomogły. Prowadził Samuel, ale ledwo, z przewagą tak niewielką, że podkreślano, iż jest ona „statystycznie nieistotna”. Woolton, McKenzie i Earle deptali mu po piętach, a czterech innych kandydatów pozostawało znacznie w tyle.

Z takich przesłanek zaledwie cztery dni przed zakończeniem nominacji trudno było wyciągnąć rzetelne wnioski, ale autorom prasowych nagłówków wyraźnie to nie przeszkadzało.

„Samuel słabnie – stracił przewagę” – krzyczał „Mail on Sunday”, natomiast „Observer” był niemal równie powściągliwy, obwieszczając: „W partii panika, wynik wyborów niepewny”.

W konsekwencji nastąpił nieuchronny wysyp artykułów krytykujących jakość zarówno kandydatów, jak i ich kampanii. „Ten kraj ma prawo oczekiwać od partii rządzącej czegoś więcej niż zwyczajowego wzajemnego opluwania się – zaintonował „Sunday Express”. – Być może widzimy partię, której wreszcie kończą się pomysły na przywództwo po zbyt długim pozostawaniu u władzy”.

Wszystko to miało rozstrzygnąć poniedziałkowe poranne wydanie „Chronicle” zaledwie trzy dni przed zamknięciem listy nominacji. Gazeta złamała konwencję i po raz pierwszy w swojej historii zamieściła wstępniak na pierwszej stronie. Zwiększono nakład i dostarczono po jednym egzemplarzu na londyński adres każdego z posłów partii rządzącej. „Chronicle” nie kryła swojej determinacji, by jej opinia odbiła się szerokim echem po korytarzach Westminsteru.

Nasza gazeta konsekwentnie popierała ten rząd, nie z powodu ślepej wiary, ale dlatego, że czuliśmy, iż służy on interesom kraju lepiej niż ewentualna alternatywa. Postępy dokonywane przez cały okres thatcherowski utwierdzały nas w tym przekonaniu, ale w ostatnich miesiącach zaczęliśmy obawiać się, że Henry Collingridge nie jest

najlepszym przywódcą, który mógłby pisać następny rozdział. Dlatego poparliśmy jego decyzję o złożeniu dymisji.

Jednak brak rozsądku prezentowany przez aktualnych kandydatów na to stanowisko grozi powrotem dawnej słabości i niezdecydowania, z jakimi mieliśmy nadzieję pożegnać się na dobre.

Zamiast pewnej ręki, której potrzebujemy, aby utrwalić społeczno-ekonomiczne postępy ostatnich lat, dostajemy wybór pomiędzy młodzieńczym brakiem doświadczenia, ekologicznym oszołomstwem i bezrozumnymi wybuchami graniczącymi z nietolerancją rasową. Taki wybór nam nie wystarcza. Potrzebujemy lidera, który łączy dojrzałość ze zdolnością do podejmowania odpowiedzialnych decyzji oraz dowiedzioną umiejętnością współpracy ze wszystkimi partyjnymi kolegami.

Jest w partii rządzącej przynajmniej jeden wpływowy polityk, który ma wszystkie te cechy i który w ostatnich tygodniach właściwie jako jedyny stał na straży godności rządu, dowodząc, że potrafi odłożyć na bok własną ambicję na rzecz szerszych interesów partii.

Ogłosił, że nie ma zamiaru ubiegać się o wybór na szefa partii, ale wciąż ma czas, żeby zmienić zdanie – aż do zamknięcia listy nominacji w czwartek. Uważamy, że kandydatura rzecznika dyscypliny klubowej Francisa Urquharta leży w interesie partii. Jesteśmy przekonani, że w szerszym interesie całego kraju leży jego wygrana.

Takie poparcie było jak łódź ratunkowa rzucona na wzburzone morze. Kiedy w poniedziałek rano dziesięć po ósmej Urquhart wyszedł z domu przy Cambridge Street, falujący tłum dziennikarzy już czekał, żeby go powitać. Urquhart zwlekał z wyjściem, chcąc mieć pewność, że ukaże się w drzwiach w chwili, kiedy radiowy program BBC „Today” oraz wszystkie telewizje śniadaniowe będą mogły nadać to na żywo. Widok przepychających się reporterów przyciągnął rzesze przechodniów i pasażerów z pobliskiej Victoria Station ciekawych przyczyny całego zamieszania, więc telewizyjne migawki mogły

zaprezentować tłum zwykłych śmiertelników – „prawdziwych ludzi”, jak to ujął jeden z komentatorów – okazujących żywe zainteresowanie człowiekiem, który właśnie pojawił się na progu.

Rozległy się okrzyki dziennikarzy. Urquhart uciszył ich gestem dłoni. Dłoni, w której trzymał egzemplarz porannej „Chronicle”. Uśmiechnął się, jednocześnie konspiracyjnie i z pewnością siebie.

– Dzień dobry państwu. Jako rzecznik dyscypliny partyjnej chciałbym myśleć, że zebrali się tu państwo ze względu na zainteresowanie rządowym programem ustawodawczym. Ale podejrzewam, że chodzi państwu o coś innego.

Mały żarcik, pełen aprobaty śmiech dziennikarzy. Urquhart w pełni panował teraz nad sytuacją.

– Z dużym zdziwieniem i oczywistym zainteresowaniem przeczytałem dzisiejszy numer „Chronicle”. – Ponownie uniósł gazetę, żeby kamery mogły ją uchwycić. – Jestem zaszczycony, że tak wysoko oceniają moje możliwości, znacznie wyżej niż ja sam, mogę państwa zapewnić. Jak państwo wiedzą, powiedziałem wyraźnie, że nie mam zamiaru kandydować i że moim zdaniem interes partii wymaga, aby rzecznik dyscypliny stanął ponad tymi konkretnymi wyborami.

Odchrząknął. Czekali w milczeniu, w napięciu, z ołówkami w dłoniach, jeszcze dalej wyciągając mikrofony.

– Ogólnie rzecz ujmując, nadal tak uważam. Jednak „Chronicle” podnosi pewne istotne kwestie, nad którymi należy się poważnie zastanowić. Wiem, że mi państwo wybaczą, jeśli nie podejmę natychmiastowej, pospiesznej decyzji tutaj, na chodniku, nawet dla was, panie i panowie. Chcę się skonsultować z kilkoma osobami, rozważyć ich opinie. A także odbyć długą, poważną rozmowę z moją żoną, której zdanie będzie najważniejsze. Następnie chciałbym się

z tym wszystkim przespać i dać państwu znać jutro, jaką decyzję podjąłem. Nic więcej wcześniej nie powiem, niestety. Jutro!

Machając po raz ostatni dłonią, w której nadal ścisnął gazetę i którą przytrzymał przez dłuższą chwilę w górze, aby zaspokoić wrzeszczących fotografów, Urquhart wycofał się z powrotem do domu i starannie zamknął za sobą drzwi.

Mattie zaczynała się zastanawiać, czy nie postąpiła zbyt pochopnie, wypadając jak burza z gabinetu Prestona. Spędziła samotny weekend, próbując wytypować gazetę, dla której chciałaby pracować, ale szybko zdała sobie sprawę, że żadna z nich nie ma ewidentnych braków w swoich działach politycznych. Obdzwoiła różne redakcje, ale umówionych spotkań wyszło z tego jak na lekarstwo. Zdążyła się też zorientować, że krąży plotka, jakoby wyleciała z gabinetu naczelnego z płaczem, bo Preston zakwestionował jej opinię, a wybuchy kobiecej wrażliwości zazwyczaj nie zyskują uznania samców alfa w prasowej branży. Na domiar złego Bank Anglii podniósł stopy procentowe, aby chronić funta szterlinga przed spekulacjami w tym niepewnym politycznie okresie. W ciągu kilku godzin wzrosło też oprocentowanie kredytów hipotecznych. Mattie miała kredyt i to potężny. Spłacała go z trudem, nawet kiedy miała pensję. Bez niej pod jej drzwiami szybko zjawią się hieny.

W poniedziałek po południu poszła do Izby Gmin poszukać Urquharta. Mówiono o nim wszędzie, był główną atrakcją dnia, ale okazał się nieuchwytny i nie odpowiadał na jej telefony. Wpadła na niego przypadkiem, schodząc po pięknie rzeźbionych kręconych schodach niedaleko Central Lobby. Urquhart piął się w górę po marmurowych stopniach z odejmującym mu lat wigorem, a jego widok

tak ją zaskoczył, że omal się nie poślizgnęła. Chwycił ją za ramię, przytrzymał, odciągnął na bok.

– Mattie, co za radość.

– Próbowałam się z tobą skontaktować.

– Wiem. Unikałem cię. – Zaśmiał się z własnej oburzającej szczerości. – Nie obrażaj się, ukrywam się przed wszystkimi. Siedzę cicho. Na razie.

– Ale będziesz kandydować? Uważam, że powinieneś.

– Naprawdę nie mogę tego w żaden sposób skomentować, Mattie, wiesz o tym, nawet dla ciebie.

– Dziś wieczorem? Mogę wpaść?

Ich oczy się spotkały. Oboje wiedzieli, że nie była to czysto zawodowa prośba. Dopiero w tym momencie puścił jej ramię.

– Pani Urquhart będzie w domu. Będę musiał dłużej z nią porozmawiać.

– No tak, oczywiście.

– Podejrzewam też, że będą tam tłumy fotografów, czekających, żeby uwiecznić każdy mój najdrobniejszy ruch.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

– Lepiej już pójdę, Mattie.

– Mam nadzieję... – Ugryzła się w język.

– Tak, na co masz nadzieję, Mattie?

– Mam nadzieję, że wygrasz.

– Przecież jeszcze nawet nie jestem kandydatem.

– Ale będziesz, Francis.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Powiedzmy, że to kobieca intuicja.

Znów rzucił jej to długie, przenikliwe spojrzenie, które też nie było czysto zawodowe.

– Jestem wielkim wielbicielem takich zdolności, Mattie.

Podtrzymała jego spojrzenie.

– Ale muszę lecieć. Nie mogę się doczekać naszego następnego spotkania.

I już go nie było.

Przyływ szybko narastał i drewniany pomost stanowiący część pirsu przy Charing Cross chybotął się, kołysany prądem. Był wczesny wieczór, ale zapadł już gęsty mrok, a od wody ciągnął chłodny wiatr, który zaczął swoją podróż gdzieś na Morzu Północnym, daleko za ujściem rzeki, a teraz owijał się wokół jej kostek. Mattie szczerzej zapięła płaszcz i wbiła ręce w kieszenie. Z ulgą powitała wyłaniającą się z mroku wodną taksówkę „Chronicle”, która wozila pracowników między siedzibą gazety w Docklands w dole rzeki a centralną częścią stolicy. To właśnie tą taksówką Mattie kursowała między redakcją a Westminsterem. Teraz czekała na pomoście, bo Krajewski chciał się z nią spotkać. Miał dla niej wiadomość.

– Grev mówi, że musisz wrócić – oznajmił, schodząc krótkim trapem z łodzi.

– Odeszłam.

– Zdaje sobie z tego sprawę. Cały cholerny newsroom was słyszał. Nie wiedziałem, że można tak mocno rąbnąć drzwiami i nie rozwalić całej ściany. – Mówił lekkim tonem, próbując ją udobruchać. – W każdym razie stary chce, żebyś wróciła, chociaż na te trzy miesiące okresu wypowiedzenia.

– Wolę tu uświerknąć – odparła, odwracając się na pięcie.

– Uświerkniesz, jak nie będziesz pracować, Mattie. – Złapał ją za rękaw, żeby zwolniła. – Przepracuj okres wypowiedzenia.

– W babskim dziale! – prychnęła z pogardą.

– Potraktuj to jako bazę do szukania czegoś nowego. Grev mówi, że nie ma z tym problemu.

– Chce mnie kontrolować.

– Chcę się z tobą spotykać.

Jego słowa zawisły między nimi jak żywe, jakby przyglądały im się wyczekująco.

– Na twoich zasadach, Mattie. Nie musimy się spieszyć, zobaczymy, jak to się rozwinie. Chyba że nie możesz mnie znieść.

– Nie, Johnnie, to nie o to chodzi.

– W takim razie o co?

Znów ruszyła, ale już nie tak szybko. Szli bulwarem biegnącym wzdłuż skomplikowanych meandrów rzeki z widokiem na podświetlony Festival Hall i Parlament Brytyjski w oddali.

– Co myślisz o tej całej historii z Urquhartem? – zapytał w końcu, usiłując znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia.

– Niesamowita sprawa. I ekscytująca.

– Jak mesjasz na białym rumaku, galopujący na ratunek.

– Mesjasze nie jeżdżą na rumakach, głupku, tylko na osiołkach.

Oboje się roześmiali i poczuli swobodniej. Zrównał się z nią, ona wsunęła mu rękę pod ramię i szli, torując sobie drogę przez sterty opadłych liści platanów.

– Dlaczego gazeta go poparła? – zapytała.

– Nie wiem. Grev przyszedł wczoraj późno, nie odezwał się do nikogo słowem, przewrócił cały numer do góry nogami, a swój wstępniak na pierwszą stronę wyciągnął z kieszeni. Bez ostrzeżenia,

bez wyjaśnienia. No, ale wywołał spore poruszenie. Może mimo wszystko trafił w sedno.

Mattie pokręciła głową.

– Nie sędzę, żeby to wyszło od Greva. Do czegoś takiego trzeba jaj, a z niego jest miękka faja. Nie, tekst mógł przyjść tylko z jednego miejsca: z biurka naszego – waszego! – ukochanego wydawcy. Ostatnim razem, kiedy się wtrącił, detronizował Collingridge’a. Teraz próbuje przekazać koronę komuś innemu.

– Ale po co? Dlaczego akurat Urquhartowi? Facet robi wrażenie samotnika w arystokratyczno-patrycjuszowskim starym stylu, nie uważasz?

– Typ silnego, milczącego mężczyzny.

– Nie jest równiachą, nie ma wielu fanów.

– Ale może właśnie o to chodzi, Johnnie. Człowiek cienia. Nie jest przez nikogo na tyle znienawidzony, żeby stać się obiektem takich ataków jak Samuel. – Odwróciła się w jego stronę, a jej oddech tworzył kłęby mgły w wieczornym powietrzu. – Wiesz, może właśnie się prześlizgnie, kiedy pozostali rzucą się sobie do gardeł. Landless mógł postawić na zwycięzcę.

– Czyli myślisz, że będzie kandydował?

– Jestem tego pewna.

– A skąd ta pewność?

– Jestem korespondentką polityczną. Najlepszą. Ale...

– Wyrzucili cię poza nawias, co?

– Straciłam pracę, Johnnie, ale nie ciekawość. Myślę, że chodzi o większą rzecz, niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić. Większą niż Landless, znacznie większą niż pan Miękka Faja. I za dużą nawet dla „Chronicle”.

- Co masz na myśli?
- Woodward i Bernstein?
- Mieli gazetę, która drukowała ich teksty, Mattie.
- Napisali też książkę.
- To właśnie zamierzasz zrobić? Napisać książkę?
- Może.
- Mam to powiedzieć Grevowi?
- Tylko jeśli go to naprawdę wkurzy.

Rozdział 33

Im wyżej kot wdrapie się na drzewo, z tym większej wysokości spadnie. To samo dotyczy polityków, z tą różnicą, że nie spadają na cztery łapy.

Wtorek, 16 listopada

Wystartuje? Nie wystartuje? Wtorkowe wiadomości zdominowały spekulacje wokół kandydowania Urquharta w wyborach. Media rozemocjonowały się do tego stopnia, że czułyby się srodze zawiedzione, gdyby się nie zdecydował. Było już jednak dobrze po południu, a Urquhart nadal zachowywał swoje plany dla siebie.

Podobnie jak Roger O'Neill. Poprzedniego dnia Mattie zadzwoniła do centrali partii, chcąc poznać oficjalną opinię w sprawie komputerów, prenumeraty materiałów informacyjnych i procedur księgowych. Przekonała się, że Spence miał całkowitą słuszność co do zakazu kontaktu pracowników z mediami podczas trwania kampanii. Mogła rozmawiać tylko z biurem prasowym, ale najwyraźniej nie było w nim nikogo, kto byłby zdolny lub skłonny poświęcić jej czas.

– Wygląda na to, że badasz nasze wydatki – wysunął przypuszczenie głos w słuchawce. – Prenumerata materiałów? W tej chwili jesteśmy trochę zajęci, Mattie, bo właśnie toniemy. Zadzwoń za dwa tygodnie.

Zapytała więc o biuro O'Neilla i przełączono ją do Penny Guy.

– Cześć, mówi Mattie Storin z „Chronicle” – powiedziała, czując tylko lekkie wyrzuty sumienia. – Rozmawialiśmy kilka razy na kongresie, pamiętasz?

– Tak, Mattie. Jak mogę ci pomóc?

– Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili i w ogóle, ale może mogłabym wpaść jutro rano i zamienić dwa słowa z Rogerem?

– Przykro mi, Mattie, ale Roger rezerwuje sobie rano czas na papierkową robotę i zebrania. – To było kłamstwo, do którego coraz częściej musiała się uciekać, bo jeśli chodzi o punktualność, O'Neill ostatnio spektakularnie nawalał. Rzadko zjawiał się w biurze przed trzynastą.

– Cholera, naprawdę miałam nadzieję...

– A o co chodzi?

– Chciałam go podpytać o parę rzeczy. Nagłe zamiłowanie Charlesa Collingridge'a do biuletynów politycznych. I ten adres na Praed Street.

Po drugiej stronie zapanowało krótkie milczenie, dało się słyszeć jakieś zakłócenia, jakby Penny upuściła słuchawkę.

– Oddzwonię do ciebie – powiedziała i się rozłączyła.

Penny spodziewała się, że jej zaniepokojenie telefonem Mattie przeistoczy się w wulkan paniki, kiedy zadzwoniła do O'Neilla, ale on wydawał się zadziwiająco pewny siebie.

– Ona nic na nas nie ma, Pen – przekonywał. – Podobno i tak podpadła w swojej gazecie. To nie jest dla nas problem.

– Ale co ona wie, Rog?

– A co ja, kurwa, jestem, Duch Święty? Pogadam z nią i się dowiem.

– Rog?

– Myślisz, że nie umiem już zrobić mojego słynnego zwodu ciałem, Pen? To tylko cholerna dziewczyna!

Usiłowała go przekonać, że to niemądre, że powinien być ostrożny, ale ostrożność nie była w jego stylu. Poranki w pracy już też nie, więc Mattie została zaproszona na spotkanie z nim następnego dnia po południu.

Penny kochała O'Neilla, ale to uczucie ją zaślepiło. Myślała, że jest zestresowany, przepracowany, sfrustrowany. Nie rozumiała pustoszących mózgu skutków zażywania kokainy. O'Neill był nakręcony aż do późnej nocy, zasypiał dopiero nad ranem, kiedy lawina środków uspokajających stopniowo zagłuszała kokainę i wpędzała go w stan bliski utraty przytomności, z którego rzadko wydobywał się przed południem. Penny była więc coraz bardziej zdezorientowana i zakłopotana, patrząc na czekającą na O'Neilla Mattie. Obiecał, że zjawi się na czas, ale ścienny zegar tykał bezlitośnie, a jego wciąż nie było. Penny zaczynała tracić zdolność do wymyślania nowych wymówek. Była za to coraz bardziej skonsternowana i zdumiona publiczną brawurą szefa i prywatnie okazywaną skruchą, niewytłumaczalnym zachowaniem i irracjonalnymi wybuchami. Przyniosła Mattie jeszcze jedną kawę.

– Zadzwońię do niego do domu – zaproponowała. – Może musiał tam wrócić. Czegoś zapomniał albo źle się poczuł...

Weszła do jego gabinetu, żeby zatelefonować stamtąd, z dala od Mattie. Przysiadła na rogu jego biurka, podniosła słuchawkę i wybrała numer. Z pewnym zakłopotaniem przywitała się z Rogerem i zaczęła wyjaśniać ściszym głosem, że Mattie czeka już od ponad pół godziny i... Kiedy słuchała jego odpowiedzi, na jej twarzy, niewidocznej dla Mattie, malował się wyraz coraz głębszego zaniepokojenia. Usiłowała przerwać Rogerowi, ale nic to nie dało. Wargi zaczęły jej drżeć. Zagryzła je mocno, aż wreszcie nie mogła już wytrzymać. Wypuściła słuchawkę z ręki i wybiegła z gabinetu z płaczem, mijając Mattie.

Mattie w pierwszym, instynktownym odruchu chciała biec za zrozpaczoną Penny. Jednak drugi, silniejszy instynkt kazał jej

sprawdzić, co ją tak zdenerwowało. Słuchawka nadal dyndała na kablu zwisającym z biurka, tak jak Penny ją porzuciła. Mattie przyłożyła ją sobie do ucha.

Głos, który wciąż wydobywał się z telefonu, zupełnie nie przypominał głosu Rogera O’Neilla. Nieskładne, niezrozumiałe słowa były tak niewyraźne i spowolnione, że brzmiały, jakby wypowiadała je lalka z prawie wyczerpanymi bateriami. Słyszała gwałtowne wdechy, jęki, długie pauzy, szlochy, całą tę szaloną muzykę człowieka w emocjonalnej agonii, rozpadającego się na kawałki. Odłożyła delikatnie słuchawkę na widełki.

Mattie znalazła Penny w łazience, szlochającą w papierowy ręcznik. Dotknęła jej ramienia, chcąc ją pocieszyć. Penny odwróciła się przestraszona, jakby ktoś ją spoliczkował. Miała czerwone, zapuchnięte oczy.

– Od jak dawna jest w takim stanie, Penny?

– Nie mogę nic powiedzieć! – wydusiła z konsternacją pomieszaną z rozpaczliwym bólem.

– Posłuchaj, Penny, ewidentnie jest z nim bardzo źle. Nic na ten temat nie wydrukuję, na litość boską. Myślę, że on potrzebuje pomocy. A ciebie może przydałoby się przytulić.

Mattie rozłożyła ramiona, a Penny wpadła w nie, jakby była najbardziej samotną kobietą na ziemi. Trwała w tym uścisku, aż wyplakała się do końca. Kiedy już nieco doszła do siebie, wymknęły się z Mattie na spacer do pobliskiego parku Victoria Tower Gardens, gdzie owiane rześkim powietrzem ciągnącym od Tamizy mogły spokojnie porozmawiać. Penny straciła wolę walki. Kazała Mattie zapewnić, że nic z tego, co powie, nie trafi do druku, a kiedy dziennikarka się zgodziła, tamy puścili. Penny opowiedziała jej, że

złożenie przez premiera dymisji wstrząsnęło O’Neillem, który zawsze był nieco „ekstrawagancki emocjonalnie”, ale teraz wyraźnie mu się pogorszyło.

– Wydaje mi się, że ta dymisja naprawdę doprowadziła go na skraj załamania.

– Ale dlaczego, Penny? Przecież chyba nie byli w aż tak bliskich stosunkach?

– Uważał się za zaprzyjaźnionego z całą rodziną Collingridge’ów. Zawsze kazał wysyłać pani Collingridge kwiaty i specjalnie fotografie, wyświadczał im drobne przysługi, kiedy tylko mógł. Uwielbiał to.

Mattie westchnęła. Wciągnęła w płuca zimne powietrze, ten sam wiatr, przy którym jej dziadek przepłynął morze. Co by pomyślał o jej poczynaniach? Poczowała się winna. Wiedziała, że nie pociesza Penny z czystej sympatii, ale czy dziadek nie zostawił wszystkich swoich przyjaciół, a nawet rodziny, żeby zrobić to, co uważał za słuszne? Mattie, tak jak on, nie mogła odpuścić.

– Roger ma kłopoty, prawda? Obie go przed chwilą słyszałyśmy, Penny. Coś go naprawdę gryzie, zżera od środka.

– Myślę... myślę, że strasznie się obwinia o te akcje.

– Akcje? Chodzi ci o akcje Renoksu? – naciskała Mattie, starając się ukryć przyływy niepokoju.

– Charlie Collingridge poprosił go, żeby założył mu adres korespondencyjny, na który mogłaby przychodzić jego prywatna poczta. Roger pojechał ze mną taksówką do Paddington i wysłał mnie do tego kiosku, żebym wypełniła kwity. Pamiętam, że był wtedy niespokojny. Wydaje mi się, że wyczuł, że coś jest nie tak. A kiedy zorientował się, do czego ten adres został wykorzystany i ile spowodował kłopotów, zupełnie się załamał.

– Dlaczego Charlie Collingridge poprosił Rogera, a nie zrobił tego sam?

– Nie mam pojęcia. To było tylko głupstwo, które Rog zgodził się za niego załatwić. Może Charlie czuł się winny, wiedząc, do czego zamierza użyć tego adresu. Do przekrętu z akcjami.

Opierały się o balustradę, patrząc w dal ponad szarą, ospale płynącą rzeką. Wylądowała koło nich mewa i gapiała się na nie groźnie żółtymi oczami w nadziei na jakieś żarcie. Mattie łypnęła na nią w odpowiedzi, na co ptaszysko załopotało skrzydłami i odleciało, wydając krzyk zawodu.

– Jestem pewna, że to było coś takiego – ciągnęła Penny – czego Charlie się wstydził. Wykorzystał nas. Roger wpadł któregoś dnia do biura, jakby nigdy nic, i oznajmił, że ma taką jedną rzecz do załatwienia, że to strasznie poufne i że mam nic nikomu nie mówić. Być cicho, jakbym obciągała biskupowi, jak to ujął. Znasz Rogera. Stara się być irlandzkim poetą. Myśli, że tak świetnie umie się wysłowić.

– Czyli ty nigdy nie widziałaś Charliego Collingridge'a?

– Nie. Nigdy go nie poznałam. Rog lubi zajmować się wszystkimi ważniakami sam.

– Ale jesteś pewna, że to był Charlie Collingridge?

– Oczywiście, Rog tak powiedział. Poza tym, któżby inny? – Podmuch listopadowego wiatru poderwał opadłe jesienne liście, które rozpierzchły się wokół ich stóp jak szczury. Penny zadygotała. – O Boże, wszystko się tak porąbało.

– Penny, spokojnie! Będzie dobrze. Wszystko się ułoży. – Mattie wsunęła jej rękę pod ramię i ruszyły dalej. – Może weźmiesz parę dni wolnego? Roger jakoś bez ciebie przeżyje.

– A to bym się zdziwiła.

– Niemożliwe, żeby był aż tak nieporadny. Umie chyba zaparzyć herbatę i obsługiwać biurowy komputer?

– Pije wyłącznie kawę i pisze na klawiaturze jednym palcem.

– Powoli, ale skutecznie.

– Nie, po prostu powoli.

To miało sens. Ten, kto majstrował przy wiadomym pliku komputerowym, bynajmniej nie był ekspertem. O'Neill też nie był. Co nie przesądzało sprawy, ale było logiczne. Tyle poszlak wskazywało na O'Neilla.

Dotarli z powrotem do Smith Square w cieniu kościoła.

– Wiesz, na tym placu ciągle jeszcze są latarnie gazowe – powiedziała Mattie, wskazując ozdobny klosz nad ich głowami.

– Naprawdę? – Penny spojrzała do góry i ze zdumieniem pokręciła głową. – Codziennie tędy przechodzę i nigdy nie zauważyłam. Bystra jesteś.

– Staram się.

Stały przed budynkiem centrali. Penny westchnęła ciężko, myśląc o powrocie do środka i wszystkiego, co tam na nią czekało. Ścisnęła Mattie za rękę.

– Kocham go, wiesz. W tym problem.

– Miłość nigdy nie powinna być problemem.

– A już myślałam, że jesteś taka mądra! – Penny się roześmiała, odzyskując rezon. – Dzięki, że słuchałaś. Dobrze było się wygadać.

– Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz chciała. I trzymaj się.

– Ty też.

Mattie przeszła powoli te kilkaset metrów, które dzieliły ją od Izby Gmin, nie czując chłodu, rozgrzewana myślami, od których aż paliło ją z niecierpliwości, a wśród nich jedna płonęła jaśniej niż pozostałe.

Dlaczego do diabła Roger O'Neill wrobił Charlesa i Henry'ego Collingridge'ów?

Rozdział 34

Każdy polityk ma swoje zasady. Po prostu niektórzy mają tak niską częstotliwość występowania, że potrzebny byłby teleskop w Jodrell Bank, żeby je namierzyć.

Wtorek, 16 listopada – środa, 17 listopada

Urquhart ogłosił swój zamiar kandydowania w wewnętrznych wyborach na konferencji prasowej, która odbyła się w Izbie Gmin o takiej porze, żeby zdążyć pojawić się w wieczornych wiadomościach i następnego dnia w porannych gazetach. Nie była to żadna przepychanka na chodniku, tylko oświadczenie, któremu powagi dodawał historyczny klimat pałacu westminsterskiego z jego wspaniałymi kamiennymi kominkami, ciemną dębową boazerią i ponadczasową atmosferą majestatu władzy. Oświadczenie pełne godności, powściągliwe, niemal skromne. Samuelowi, Wooltonowi i innym nie udało się czegoś takiego osiągnąć. Urquhart wystąpił z Mortimą u boku i podkreślał, że to ich wspólna decyzja. Sprawiał wrażenie człowieka na siłę ciągniętego do władzy, stawiającego swój obowiązek wobec partii i kraju ponad osobistym interesem. Był to oczywiście polityczny teatr, odgrywany według starannie przygotowanego scenariusza, ale Urquhart świetnie wypadł w tej roli.

Następnego dnia, w środę rano, Landless także zorganizował konferencję prasową, kolejny spektakl, odbywający się jednak w zupełnie innej atmosferze. Magnat prasowy zasiadł w jednej z wystawnych sal recepcyjnych w hotelu Ritz przy długim stole zastawionym mikrofonami, przed obiektywami prasy finansowej, gotowy na pytania dziennikarzy. Obok niego siedział Marcus

Frobisher, prezes United Newspapers Group, który przy potężnej tuszy Landlessa wydawał się niemal karłem. Chociaż sam był magnatem przemysłowym, wyraźnie został tu obsadzony w roli drugoplanowej. Na ustawionym z boku dużym ekranie telewizyjnym wyświetlano co lepsze reklamy „Chronicle” przeplatane migawkami Landlessa pozdrawianego przez pracowników, ciągnącego dźwignie uruchamiające prasy drukarskie i generalnie kierującego swoim imperium w ciepły, ludzki sposób. A oto i on we własnej osobie, uśmiechający się do obiektywów.

– Dzień dobry państwu. – Landless przywołał tłum do porządku głosem mającym znacznie mniej z pospolitego cockneya niż akcent, który stosował przy prywatnych okazjach. – Dziękujemy za tak liczne przybycie, mimo że zwołaliśmy tę konferencję w ostatniej chwili. Zaprosiliśmy tu państwa, żeby opowiedzieć o jednym z najbardziej rewolucyjnych kroków w brytyjskiej branży medialnej od ponad stu lat, czyli od czasu założenia przez Juliusa Reutera telegraficznej agencji informacyjnej w Londynie.

Przysunął jeden z mikrofonów trochę bliżej, dając zebrany czas, by poczuli dreszcz ekscytacji.

– Chcemy dziś wydać historyczne oświadczenie. Postanowiliśmy stworzyć największą grupę prasową w Wielkiej Brytanii, dzięki której nasz kraj znów stanie się światowym liderem w usługach informacyjnych.

Uśmiechnął się do zebranych, a potem do Frobishera.

– Chronicle Newspapers zaoferowało wykupienie całego wyemitowanego kapitału akcyjnego United Newspapers Group za 1,4 miliarda funtów. To o ponad czterdzieści procent więcej, niż wynosi

aktualny kurs rynkowy. Z przyjemnością mogę państwu powiedzieć, że zarząd United Newspapers Group jednogłośnie przyjął tę ofertę.

Kolejne uśmiechy. Frobisher też się uśmiechał, ale Landless miał w sobie magnetyzm, który w połączeniu ze słuszną posturą ściągał na niego całą uwagę, spychając innych w cień.

– Uzgodniliśmy też warunki przyszłego zarządzania połączoną grupą wydawniczą. Ja zostanę przewodniczącym zarządu i dyrektorem generalnym nowej firmy, a mój przyjaciel i były konkurent, a dziś współpracownik – wyciągnął olbrzymią łapę i chwycił Frobishera za ramię, a właściwie nieomal za szyję – będzie naszym prezesem.

Co mądrzejsi spośród zgromadzonych pokiwali ze zrozumieniem głowami. Znali Landlessa i nie mieli wątpliwości, że nowym przedsięwzięciem będzie kierował sam. Frobisher dostał kopa w górę: awansował tak wysoko, że co najwyżej będzie można dostrzec z dołu jego tyłek, a nie faktyczne wpływy. Nowy prezes siedział tymczasem za stołem, za wszelką cenę usiłując robić dobrą minę do złej gry.

– To ogromny krok dla brytyjskiej branży prasowej, a także dla całego kraju. Nasza połączona grupa będzie kontrolować więcej ogólnokrajowych i ważniejszych regionalnych tytułów niż wszystkie inne koncerny prasowe. Po fuzji naszych międzynarodowych filii staniemy się trzecią największą grupą prasową na świecie. Będzie to odskocznia dla naszej ambicji, którą jest po prostu zostanie największym koncernem prasowym na ziemi. Z główną siedzibą tutaj, w Wielkiej Brytanii. – Rozpromienił się, jego wielką twarz przeciął szeroki, drapieżny uśmiech. – Ale emocje! – obwieścił, wracając do wschodniolondyńskiego akcentu, i jakby na zawołanie rozbłysły flesze. Dał fotoreporterom chwilę popstrykać, po czym znów chwycił ster.

- Na pewno wszyscy państwo mają mnóstwo pytań, więc zaczynamy!

Po sali przeszedł szmer podniecenia i las rąk wystrzelił w górę.

- Pewnie żeby być fair, powinienem w pierwszej kolejności odpowiedzieć na pytanie kogoś, kto nie będzie pracował dla naszego koncernu - zażartował Landless. - Znajdziemy jakiegoś pechowca, który odpowiada temu opisowi? - Z teatralną przesadą osłonił dłonią oczy i szukał wśród zebranych odpowiedniej ofiary, a wszyscy śmiali się z jego tupetu.

- Panie Landless - zawołał redaktor działu biznesowego „Sunday Timesa”. - Rząd bardzo wyraźnie mówił w ostatnich latach, że jego zdaniem brytyjskie gazety już są skupione w rękach zbyt wąskiej grupy właścicieli. Ministrowie dawali jasno do zrozumienia, że będą chcieli skorzystać z przepisów antymonopolowych, żeby zapobiec dalszej konsolidacji. Jakim cudem zamierza pan zdobyć konieczną akceptację rządu?

Wielu dziennikarzy na sali pokiwało głowami. Dobre pytanie. Landless wyraźnie też się z tym zgadzał.

- Słuszna uwaga - powiedział, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał to pytanie przycisnąć do piersi i powoli zadusić na śmierć. - Ma pan rację, oczywiście, rząd będzie musiał się zdecydować. Gazety są częścią światowego przemysłu informacyjnego, który się rozwija i zmienia z dnia na dzień. Wszyscy o tym wiecie. Pięć lat temu pracowaliście na Fleet Street na starych maszynach do pisania i prasach drukarskich, które powinny były pójść na złom po pierwszej wojnie światowej, zaraz jak kajzer się poddał. Dzisiaj ta branża jest zmodernizowana, zdecentralizowana i skomputeryzowana.

- Szkoda! - krzyknął jakiś głos i cała sala wybuchnęła śmiechem zabarwionym nostalgią za czasami długich zakrapianych lunchów w winiarni El Vino i ciągnących się strajków drukarzy, dzięki którym mieli całe tygodnie, a czasem miesiące wolnego i mogli pisać książki albo budować łódki i marzyć, jednocześnie otrzymując pełną pensję.

- Wiecie, że to musiało się zmienić. I musimy dalej się zmieniać, nie możemy stać bez ruchu. Musimy zmierzyć się z konkurencją nie tylko innych gazet, ale także telewizji satelitarnej, lokalnego radia, telewizji śniadaniowej i całej reszty. Coraz więcej ludzi będzie się domagać informacji dwadzieścia cztery godziny na dobę ze wszystkich zakątków świata. Nie będą kupować gazety, która ukazuje się wiele godzin po tym, jak informacja jest już znana, a do tego brudzi ich farbą drukarską. Jeśli mamy przetrwać, musimy przejść od bycia zaściankowymi gazetami do bycia dostawcami informacji na skalę globalną. A do tego potrzebujemy siły.

Wzruszył potężnymi ramionami, które opadły ze zwinnością lawiny.

- Dlatego rząd musi się zdecydować. Czy schowa głowę w piasek, podczas gdy brytyjska branża prasowa splajtuje, tak jak brytyjski przemysł samochodowy, umrze w ciągu dziesięciu lat, a pałeczkę przejmą Amerykanie, Japończycy czy nawet Australijczycy? Czy wykaże się wizjonerstwem i poprze brytyjskie gazety? Prosty wybór. Tchórzymy i zwijamy manatki? Czy stajemy do walki, żeby zmierzyć się z resztą świata i ją pokonać?

Kanonada fleszy rozświetliła salę, kiedy Landless rozparł się wygodnie na krześle, a dziennikarze, którzy nadal stenografowali, notowali jeszcze jak szaleni, żeby za nim nadążyć. Redaktor, który zadał pytanie, odwrócił się do swojego sąsiada.

– Jak myślisz? Ujdzie to temu staremu draniowi na sucho?

– Argument o zmianach w branży jest przekonujący, to na pewno, no i chłopak z klasy robotniczej, który się dorobił, ma w sobie coś uroczonego, nie uważasz? Ale, o ile znam naszego Bena, nie będzie polegał tylko na przekonujących argumentach i pasji. To taki facet, który już przygotował grunt, i to co do cała, łącznie z rysami i pęknięciami. Pewnie niedługo zobaczymy, ilu polityków jest mu winnych przysługę.

Wszystko wskazywało na to, że polityków mających wobec Landlessa dług wdzięczności są całe zastępy. Dzień przed zamknięciem listy nominacji i zaledwie tydzień przed pierwszą turą głosowania nikt najwyraźniej nie palił się do tego, żeby z nim polemizować i narazić się połączonej potędze koncernów Chronicle i United Newspapers. Jego pomysł poparto z pośpiechem, który w ciągu kilku godzin przerodził się w masowy pęd – żaden z kandydatów nie chciał zostać w tyle. Przecież Landless to najwyraźniej nie tylko człowiek oświecony, ale także wielki patriota. Raz jeszcze wydawało się, że magnat prasowy potrafi odpowiednio polechtać polityków. W porze podwieczorku mógł usiąść sobie wygodnie z kubkiem bovrilu – wołowego rosółu z pasty bulionowej, który miał w zwyczaju o tej porze pijać – i strzelać w zachwycie swoimi czerwonymi szelkami.

Nie wszyscy oczywiście dali się zwieść. „Independent” nie mógł się oprzeć pokusie zrobienia przytyku gorliwym kandydatom:

Oświadczenie Landlessa wybuchło jak granat w środku wyborów na szefa partii – o co zapewne mu chodziło. Od afery Profumo nie zdarzyło się, żeby tyłu polityków tak chętnie ściągało spodnie. A przyłapanie polityka w takim stanie nie tylko odziera go z godności, ale także jest niebezpieczne.

Nie wszyscy pretendenci ulegli owczemu pędowi. Samuel zachował ostrożność, nie powiedział nic wiążącego – miał za dużo ran kłutych po wbitych w plecy nożach, żeby znów się wychylać. Oznajmił, że przed podjęciem decyzji chce się skonsultować z pracownikami obu koncernów, a zanim bovril Landlessa zdążył wystygnać, związkowcy już potępilli plan fuzji. Zauważyli, że nie ma mowy o gwarancjach zatrudnienia, a poza tym nie zapomnieli, czy też nie wybaczyli Landlessowi nietaktownego żartu o tym, jak to na każdy zarobiony przez siebie milion musiał zwolnić dziesięć tysięcy ludzi. Samuel zdawał sobie sprawę, że w obliczu sprzeciwu związków poparcie przez niego fuzji byłoby absurdalne, więc wołał zachować milczenie.

Urquhart także wyróżniał się na tle tłumu. Godzinę po oświadczeniu Landlessa stał przed kamerami, przedstawiając bezbłędną analizę globalnego rynku informacyjnego i jego prawdopodobnych trendów. Swoją fachową wiedzą przyćmił rywali, był jednak ostrożny.

– Chociaż darzę Benjamina Landlessa najwyższym szacunkiem, sędzę, że nie powinienem wyciągać pochopnych wniosków, zanim będę miał okazję rozważyć wszystkie szczegóły. Uważam, że politycy powinni być ostrożni. Jeśli wszyscy wyglądamy, jakbyśmy rzucali się, żeby kupić sobie poparcie opiniotwórczych redakcji, polityka na tym traci. Dlatego, żeby uniknąć ewentualnych błędnych interpretacji, nie będę przedstawiał swoich poglądów w tej sprawie aż do końca wyborów. Oczywiście do tego czasu – dodał skromnie – i tak mogą już one nikogo nie interesować.

„Gdyby tylko inni kandydaci potrafili przyjąć tak pełną godności i pryncypialną postawę jak rzecznik dyscypliny – skomentował „Independent”, nie szczędząc pochwał. – Urquhart nadaje swojej

kampanii ton godny męża stanu, co wyróżnia go spośród reszty peletonu. Na pewno mu to nie zaszkodzi”.

Inne gazety zajęły podobne stanowisko, zwłaszcza „Chronicle”:

Zachęcaliśmy Francisa Urquharta do startu w wyborach ze względu na nasz szacunek dla jego intelektualnej niezależności i prawości. Podjęcie przez niego tego wyzwania przyjęliśmy z radością i nadal jesteśmy przekonani, że nasza rekomendacja była słuszna. To, że rzecznik dyscypliny nie chce pochopnie wyrokować w sprawie fuzji Chronicle i United Newspapers, tylko potwierdza nasze oczekiwania.

Mamy nadzieję, że po należytym zastanowieniu gorąco poprze plany fuzji, ale nasza opinia o Urquharcie opiera się na znacznie istotniejszych przesłankach niż komercyjny interes. Jako jedyny na razie kandydat pokazał, że ma tę decydującą cechę, której tak wielu brakuje – jakość przywództwa.

Po korytarzach Westminsteru niósł się huk – to ambitni politycy trzaskali z frustracją drzwiami, uświadomiwszy sobie, że raz jeszcze Urquhart ich ubiegł. Luksusowy apartament na ostatnim piętrze z widokiem na Hyde Park dawał jednak inną perspektywę. Landless patrzył na wierzchołki drzew i świat, który wkrótce będzie należał do niego.

– Twoje zdrowie, Frankie – mruknął, wznosząc kieliszek. – Nasze.

Rozdział 35

To, co dla jednych jest kresem wytrzymałości, dla innych – dopier o początkiem.

Czwartek, 18 listopada

Kiedy w czwartek w południe zamknięto listę nominacji, jedyną niespodzianką było wycofanie się w ostatniej chwili Petera Bearsteada. Jako pierwszy ogłosił zamiar kandydowania, ale uznał, że już dobiegł do mety.

– Udało mi się to, co sobie zamierzyłem, czyli doprowadzenie do porządných wyborów – oznajmił buńczucznie. – Wiem, że nie mam szans na wygraną, więc niech dalej pociągną to inni. Ja będę pomagał wynosić trupy z areny.

Chciał powiedzieć, że będzie pomagał opatrywać rannych, ale nie po raz pierwszy zamiłowanie do ciętej frazy wzięło górę nad wyczuciem sytuacji. „Daily Express” od razu go zaangażował do opracowania subiektywnych, niedyskretnych sylwetek kandydatów.

Zostało ich więc dziewięciu, bezprecedensowo duża stawka, dominowała jednak opinia, że tylko pięciu z nich ma konkretne szanse – Samuel, Woolton, Earle, McKenzie i Urquhart. Mając kompletną listę pretendenców, ankieterzy podwoili wysiłki, by skontaktować się z posłami partii rządzącej i wywęszyć, kogo poniesie fala przyływu.

Paul McKenzie był zdeterminowany, by pokazać się z jak najlepszej strony. Minister zdrowia był człowiekiem sfrustrowanym. Odpowiadał za służbę zdrowia od ponad pięciu lat i po tegorocznych wyborach miał równie wielką jak Urquhart nadzieję na nowe wyzwanie w rządowym przetasowaniu. Wieloletnie kierowanie oporną

biurokracją dało mu poczucie przegranej. Kilka lat wcześniej uważano go za wschodzącą gwiazdę partii, osobę, która potrafi połączyć przenikliwy intelekt z głęboką troską o człowieka. Wielu przewidywało, że zajdzie na sam szczyt. Służba zdrowia okazała się jednak biurokratyczną bestią, której nie potrafił okiełznać, a co dopiero wytresować, a jego wizerunek bardzo ucierpiał podczas spotkań z protestującymi pielęgniarzkami i kierowcami karetek. Zawieszenie programu rozwoju szpitali było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Stracił ducha, rozmawiał z żoną o rzuceniu polityki przy następnych wyborach, więc upadek Collingridge'a powitał tak, jak tonący widok suchego lądu.

Pięć dni przed pierwszą turą głosowania rozpierał go entuzjazm i energia, pragnął natychmiast się czymś odznaczyć, wybić się ponad tłum. Poprosił swój sztab o zaaranżowanie odpowiedniej okazji do zdjęcia, jakiegoś pretekstu do ocieplenia swojego zszarganego wizerunku. „Tylko żadnych cholernych szpitali” – poinstruował. Zbyt wiele razy się sparzył. Przez pierwsze trzy lata w ministerstwie sumiennie odwiedzał szpitale i usiłował dowiedzieć się czegoś o opiece nad pacjentami, co w kiepskie dni skutkowało zderzeniem z kordonem pikietujących pielęgniarek, narzekających na „niewolnicze pensje”, a w jeszcze gorsze dni – konfrontacją z gwałtownymi demonstracjami personelu pomocniczego, protestującego przeciwko „brutalnym cięciom”. Przewano go „Doktorem Cięcie”, chociaż związkowcy często przerabiali to na transparentach na „Prącie”. Nawet związki lekarzy najwyraźniej były zdania, że budżety w służbie zdrowia należy uzależniać od tego, kto najgłośniej krzyczy, a nie kto ma największe potrzeby. Czasem, ale tylko na osobności, doprowadzało to McKenziego do płaczu z frustracji.

Prawie nigdy nie udawało mu się zobaczyć pacjentów. Nawet kiedy próbował wkraść się do szpitala tylnym wejściem, demonstranci zawsze jakby z góry wiedzieli, gdzie dokładnie będzie, gotowi obrzucić go stekiem wyzwisk, akurat kiedy nadjeżdżały ekipy telewizyjne. Manto spuszczone publicznie przez anioła miłosierdzia nigdy nie wpływało korzystnie ani na jego wizerunek, ani samoocenę. Dlatego McKenzie po prostu przestał odwiedzać szpitale. Zamiast wystawiać się na ciągłe ataki, wycofał się i trzymał bezpieczniejszych miejsc. Zadziałał instynkt samozachowawczy.

Jego plan był więc równie prosty, co bezpieczny. Zamiast wizyty w szpitalu – ponieważ „wykorzystywanie cierpiących pacjentów do własnych celów politycznych byłoby nieetyczne” – jego biuro załatwiło mu wizytę w siedzibie Humanifit Laboratories tuż przy zjeździe z autostrady M4. Firma Humanifit produkowała szeroki asortyment sprzętu dla niepełnosprawnych i właśnie opracowała rewolucyjny wózek inwalidzki sterowany głosem. Mogli z niego korzystać nawet niezdolni do poruszania kończynami paraplegicy. Połączenie nowoczesnej brytyjskiej technologii i troski o niepełnosprawnych było właśnie tym, czego McKenzie szukał, więc ledwie dwie godziny po zamknięciu nominacji samochód ministra już mknął autostradą ku swojemu zbawieniu.

McKenzie był ostrożny. Nie zakładał z góry, że jego wizyta okaże się sukcesem. Fabryki może i były ciekawe, ale pełna werwy demonstracja była dla kamer tysiąc razy bardziej atrakcyjna. Zbyt wiele razy wpadł w zasadzkę, więc dopilnował, żeby jego biuro poinformowało media dopiero trzy godziny przed planowanym przyjazdem, co dawało im dość czasu na zebranie ekip telewizyjnych, ale za mało, żeby ściągnąć zadymiarzy. Zbliżając się do siedziby

Humanifit, umościł się wygodniej na skórzanym siedzeniu, przećwiczył uśmiech i pogratulował sobie przezorności. Wszystko bardzo dobrze wypadnie.

Niestety dla McKenziego, jego pracownicy wykazali się nadmierną kompetencją. Rząd zawsze musi wiedzieć, gdzie są jego ministrowie. Tak jak w przypadku wszystkich pozostałych parlamentarzystów musi być z nimi możliwość kontaktu w razie nagłej potrzeby, choćby niespodziewanego głosowania w Izbie Gmin. Dlatego w poprzedni piątek, przestrzegając co do joty swoich stałych instrukcji, sekretarka McKenziego przesłała pełną listę jego zaplanowanych spotkań do biura rządowego koordynatora – czyli rzecznika dyscypliny partyjnej.

Przejeżdżając ostatnie kilkaset metrów wiejską drogą prowadzącą na niezagospodarowany teren fabryki, McKenzie przygotowywał się i przeczesywał włosy. Samochód ministerstwa przejechał wzdłuż otaczającego teren muru z czerwonej cegły, i kiedy minister na tylnym siedzeniu sprawdzał, czy ma prosto krawat, skręcił w otwartą bramę.

Ledwie zdążył przez nią przejechać, kierowca stanął na hamulcu, przez co McKenzie poleciał na oparcie przedniego siedzenia, jego papiery rozsypały się po podłodze, a staranne przygotowania diabli wzięli. Zanim miał okazję skłąć szofera i zażądać wyjaśnienia, przyczyna problemu stanęła mu przed oczami. Widok przewyższał jego najgorsze koszmary.

Małeńki parking przed recepcją fabryki blokował kłębiący się tabun protestujących w pielęgniarskich mundurkach, miotający wyzwiskami, a każde wściekłe słowo i gest nagrywały trzy kamery telewizyjne, posłusznie umówione przez rzecznika prasowego McKenziego i ustawione w idealnym punkcie na dachu budynku administracji. Kiedy tylko rządowy samochód wjechał przez bramę,

tłum rzucił się na niego, kopiąc karoserię i waląc transparentami w dach. W ciągu kilku sekund manifestanci oderwali antenę i odłamali wycieraczki. Szofer przytomnie wcisnął guzik alarmowy, zamontowany we wszystkich ministerialnych wozach, który automatycznie zamknął okna i zablokował drzwi, ale wcześniej komuś udało się splunąć McKenziemu prosto w twarz. Tłum przyciskał do szyb pięści i wykrzywione gęby grożące mu przemocą. Auto zakołysało się pod napierającą ciżbą, która je oblepiła, tak że minister zaczął się dusić, aż nie widział już nieba, drzew, możliwości ratunku, niczego oprócz nienawiści z bardzo bliskiej odległości.

– Wyjeżdżaj! Wyjeżdżaj! – wrzasnął, ale kierowca podniósł bezradnie ręce. Tłum otoczył samochód, odcinając drogę ucieczki.

– Wyjeżdżaj! – krzyczał dalej McKenzie w ataku klaustrofobii, ale na próżno.

Wiedziony nie rozumem, ale raczej zawodnym instynktem, w rozpacz i desperacji pochylił się do przodu i chwycił dźwignię automatycznej skrzyni biegów, by wrzucić wsteczny. Samochód szarpnął i przesunął się do tyłu zaledwie o stopę, zanim szofer wcisnął pedał hamulca – ale było już za późno. Auto zdążyło wjechać w tłum. Przewrócił się jakiś wózek inwalidzki, uderzona została kobieta w mundurku pielęgniarki. Wyglądała, jakby bardzo cierpiała.

Tłum się rozstąpił, więc kierowca, korzystając z okazji, cofnął wóz przez bramę na drogę i wykonał spektakularny manewr zawracania na ręcznym, umożliwiającą błyskawiczną ucieczkę. Odjechał z piskiem opon, zostawiając na nawierzchni czarne ślady palonej gumy.

Kariera polityczna McKenziego została na tej drodze obok brzydkich blizn po spalonych oponach. Nie miało znaczenia, że przewrócony wózek był pusty, a kobieta nie doznała poważnych

obrażeń, ani że nie była wcale pielęgniarzką, tylko pełnoetatową działaczką związkową i starą wygą, doskonale wiedzącą, jak zmienić pikietę w kryzys warty pierwszych stron gazet. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zbadać sprawę, bo i po co? Już mieli co pokazać i o czym napisać. Fala zwróciła się przeciwko tonącemu i zmiotła biednego McKenziego z powrotem na pełne morze.

Rozdział 36

Ktoś kiedyś powiedział, że wszystkie kariery polityczne kończą się niepowodzeniem. Dlatego politycy mają część przednią i zadnią. Łatwiej ich dzięki temu dowolnie ustawić.

Piątek, 19 listopada

Dla Mattie był to ciężki tydzień. Tempo wyścigu na szefa partii gwałtownie wzrosło, ale ona sama dreptała w miejscu, czując, że została w tyle za wydarzeniami. Jej nieliczne rozmowy w sprawie pracy nic nie dały. Zrozumiała, że wszystkie gazety w powiększającym się imperium Landlessa ją bojkotują, a żaden z jego konkurentów nie pali się, żeby mu podskoczyć. Rozeszła się wieść, że Mattie jest „trudna”. A w piątek rano wzrosło oprocentowanie kredytu hipotecznego.

Najgorsza była jednak frustracja, jaką odczuwała wobec samej siebie. Chociaż pozbierała więcej kawałków układanki, nadal nie mogła rozpoznać wzoru, który miałyby tworzyć. Nic nie pasowało. Przyprawiało ją to o tępy, pulsujący ból w skroniach, który nie przechodził już od wielu dni, więc wyciągnęła z szafy swój sprzęt do biegania i zaczęła przemierzać zasypane liśćmi ścieżki Holland Park, mając nadzieję, że tak jej potrzebny wysiłek fizyczny oczyści zarówno ciało, jak i umysł. Okazało się jednak, że tylko zwiększa jej cierpienia, bo do bolącej głowy dołączyły nogi i płuca. Zaczynało jej brakować pomysłów, siły i czasu. Pierwsza tura wyborów miała się odbyć już za cztery dni, a ona tylko straszyla wiewiórki.

W słabnym wieczornym świetle biegła szeroką aleją kasztanowców, które górowały nad nią, bezlistne i wspaniałe. Dalej

promenadą Lipową, gdzie w dziennym świetle spotykało się wróble oswojone jak domowe zwierzątka. Obok ceglanych ruin starego Holland House, który doszczętnie spłonął pół wieku temu, a teraz spowijały go tylko melancholijne wspomnienia minionej chwały. W dawnych czasach, zanim Londyn rozrósł się w aglomerację pożerającą łąpczywie kolejne tereny, Holland House był wiejską rezydencją Charlesa Jamesa Foxa, legendarnego osiemnastowiecznego radykała, który przez całe życie szykował rewolucję i knuł plany obalenia premiera. Zawsze na próżno. Komu jednak udało się to, co jemu się nie powiodło?

Jeszcze raz wróciła myślami do pola bitwy, na którym poległ Collingridge, do kampanii wyborczej, przecieków, skandali i osób, które zostały wessane w to bagno – nie tylko Collingridge’a i jego brata Charliego, ale także Williamsa, O’Neilla, Bearsteada, McKenziego, sir Jaspera Graingera i oczywiście Landlessa. To wszystko. Nic więcej nie miała. I co teraz? Biegając pod górę w stronę najwyższej części lesistego parku, zapadając się w miękką ziemię, przymierzała różne możliwości, żeby sprawdzić, czy któraś będzie pasować.

„Collingridge nie udziela wywiadów. Williams rozmawia tylko przez swoje biuro prasowe. O’Neill nie wygląda, jakby był zdolny odpowiadać na pytania, a Landless nie zatrzymałby swojego samochodu, widząc mnie na przejściu dla pieszych. W takim razie zostaje mi... – Zatrzymała się nagle, rozkopując zwiędłe liście. – Pan, panie Kendrick”.

Znów zerwała się do biegu, lżejszym krokiem, bo dotarła na szczyt wzgórza, i zaczęła przyspieszać z górki na długim zboczu prowadzącym do jej domu. Czowała się lepiej. Złapała drugi oddech.

Sobota, 20 listopada

Kiedy Harold Earle wygramolił się po cichu z łóżka, żeby nie przeszkadzać żonie, i udał się pod prysznic, czuł się zadowolony z wykonanej w tym tygodniu roboty. Został nominowany jako jeden z pięciu „najbardziej prawdopodobnych” kandydatów, a potem patrzył, jak kampania Samuela nie może nabrać rozpędu, a McKenziemu się wykoleja. Rzecznik dyscypliny dał przyzwoity występ, oczywiście, ale Earle nie wierzył, żeby Urquhartowi mogło się udać: nie miał doświadczenia w kierowaniu żadnym dużym ministerstwem, a koniec końców właśnie doświadczenie będzie się liczyć. Szczególnie takie jak Earle’a.

Zaczął piąć się po politycznej drabinie wiele lat wcześniej jako osobisty sekretarz parlamentarny Maggie Thatcher, który formalnie nie miał żadnej władzy, ale jego pozycja przy boku wiecznego płomienia budziła u innych respekt. Szybko awansował w szeregi członków gabinetu i zdążył objąć kilka ważnych tek, a przez ostatnie dwa lata w rządzie Collingridge’a jako minister edukacji odpowiadał za szeroko zakrojone reformy szkolnictwa. W przeciwieństwie do niektórych swoich poprzedników znalazł wspólny język z nauczycielami, chociaż byli tacy, którzy oskarżali go o niezdolność do podejmowania trudnych decyzji i o ugodowość.

Czy jednak partia przy obecnie panującej atmosferze nie potrzebowała odrobiny ugodowości? Wewnętrzny konflikt wokół Collingridge’a zostawił po sobie blizny, a zaostrzający się ton kampanii mającej wyłonić jego następcę tylko dolewał oliwy do ognia. Szczególnie Woolton był irytujący z tymi próbami ożywienia wspomnień po swoim wczesnym bezpardonowym politycznym stylu z północy. Walenie prawdy między oczy wzbudzało tylko wrogość

bardziej tradycyjnie myślących członków partii. Był to właściwy moment dla Earle'a, wręcz idealny.

Dziś, w sobotę, będzie wielki dzień, wiec wśród wiernych wyborców partii w jego okręgu. Będzie mógł składać patriotyczne deklaracje w wesoło udekorowanym ratuszu pełnym zwolenników, których będzie mógł pozdrawiać, zwracając się do nich po imieniu – przed kamerami, rzecz jasna. Do tego ogłosi dużą inicjatywę polityczną. Pracował nad nią ze swoimi urzędnikami już od jakiegoś czasu i wystarczy, że trochę dodadzą gazu, a będzie gotowa. Rząd już oferował bezrobotnym absolwentom gwarantowane miejsce na kursie szkoleniowym, ale teraz będą mieli możliwość ukończenia takiego szkolenia w innym kraju EWG, dzięki czemu nie tylko zdobędą praktyczne umiejętności, ale także poduczą się języka obcego.

Earle był pewny, że inicjatywa spotka się z dobrym przyjęciem. Przemówienie okraszone odniesieniami do nowych horyzontów, możliwości dla młodych, świetlanej przyszłości i wszystkimi innymi komunałami, które uda mu się tam wcisnąć.

No i coup de grâce. Tak to powie, po francusku, jak najbardziej stosownie. Przekonał biurokratów w Brukseli, żeby za to wszystko zapłacili. Już słyszał tę burzę oklasków, która go porwie i poniesie aż do Downing Street.

Tłum wiwatujących zwolenników czekał na niego przed ratuszem w małej miejscowości w Essex. Powiewali małymi flagami brytyjskimi i starymi plakatami wyborczymi, które wyciągnięto, żeby nadać wiecowi atmosferę prawdziwej kampanii, takiej jak ta do parlamentu. Była nawet orkiestra dęta, która zaczęła grać w momencie, kiedy wszedł do ratusza, rozdając na prawo i lewo uściski dłoni. Burmistrz poprowadził go na niską drewnianą scenę, podczas gdy kamerzyści

i oświetleniowcy manewrowali sprzętem, szukając najlepszego ustawienia. Wszedł po schodkach, ucałował żonę, spojrzął na tłum, osłonił oczy od światła, pomachał zebranym, którzy klaskali, nawet kiedy burmistrz usiłował zaanonsować go jako „człowieka, którego państwu przedstawiać nie trzeba, a niebawem nie trzeba go będzie przedstawiać nikomu w tym kraju!”. W tym momencie Harold Earle czuł się tak, jakby znalazł się na progu największego osobistego triumfu w swoim życiu.

I właśnie wtedy go zobaczył. Stał w pierwszym rzędzie, wciśnięty między innych wiwatujących wyborców, machając i klaszcząc razem z nimi. Simon. Jedyne człowiek na świecie, którego Earle miał nadzieję już nigdy więcej nie spotkać.

Poznali się w pociągu pewnego późnego wieczoru, kiedy Earle wracał z wiecu na północnym zachodzie. Byli sami w przedziale, Earle był pijany, a Simon bardzo, bardzo przyjacielski. I przystojny. Poruszył w Earle’u strunę, o której istnieniu od czasów studenckich starał się zapomnieć. Kiedy pociąg pędził z hukiem przez noc, on i Simon zagłębili się w świat odcięty od jasnych światła i obowiązków, które zostawili za sobą. Zanim Earle zdążył się obejrzeć, popełnił czyny, które jeszcze kilkanaście lat wcześniej naraziłyby go na karę więzienia i które nadal były legalne tylko między świadomymi swych działań dorosłymi osobami, niedopuszczającymi się ich w miejscu publicznym, a z pewnością nie w wagonie British Rail dwadzieścia minut za Birmingham.

Earle wysiadł z pociągu chwiejnym krokiem na stacji Euston, wcisnął Simonowi w rękę dwie dwudziestki i został na noc w swoim klubie. Bał się wracać do domu.

Nie widział Simona przez następne pół roku, aż ten ni stąd, ni zowąd pojawił się w Central Lobby parlamentu, pytając strażników, czy mógłby się z nim zobaczyć. Kiedy zjawił się spanikowany minister, młodzieniec nie zrobił publicznej sceny, wyjaśnił, że rozpoznał Earle'a w telewizji w jakimś programie politycznym i bardzo delikatnie poprosił o pieniądze. Earle zapłacił mu co nieco w ramach „zwrotu kosztów podróży” do Londynu i życzył powodzenia.

Simon pojawił się znów kilka tygodni później i Earle uświadomił sobie, że nie zazna wytchnienia. Kazał Simonowi poczekać. Następnie schronił się w kącie sali obrad, przez dziesięć minut przyglądał się miejscu, które pokochał, wiedząc, że młodzieniec za drzwiami zagraża wszystkiemu, co cenił w swoim życiu. Nie znajdując samemu odpowiedzi, powlókł się do biura rzecznika dyscypliny i wszystko wyśpiewał. W Central Lobby czeka chłopak, który go szantażuje przelotną, głupią przygodą sprzed wielu miesięcy. On, Earle, jest skończony.

– Dobrał ci się do tyłka – zauważył Urquhart i natychmiast przeprosił za niestosowną metaforę. – Ale nie martw się, Haroldzie, gorsze rzeczy się działy podczas odwrotu z Dunkierki, nie mówiąc już o sali posiedzeń komisji poselskich na piętrze. Pokaż mi tylko tego gnojka.

Urquhart dotrzymał słowa i załatwił sprawę wręcz genialnie. Przedstawił się chłopakowi i zapewnił go, że jeśli nie zabierze się stąd w ciągu pięciu minut, Urquhart wezwie policję, a on zostanie aresztowany za szantaż.

– Nie myśl, że jesteś pierwszy – powiedział rzecznik dyscypliny. – Zadziwiająco często mamy z czymś takim do czynienia. Po prostu w takich ohydnych sprawach aresztowanie i późniejszy proces

odbywają się po cichu, przy rozpaczliwie małym rozgłosie. Nikt się nie dowie, kogo usiłowałaś szantażować, i mało kto będzie nawet wiedział, na jak długo pójdziesz siedzieć. Może tylko twoja biedna matka.

Bez dalszych zachęt młodzieniec doszedł do wniosku, że popełnił straszliwy błąd i powinien jak najszybciej zniknąć z budynku parlamentu oraz z życia Harolda Earle'a, ale Urquhart na wszelki wypadek spisał dane Simona z jego prawa jazdy, gdyby chłopak dalej chciał sprawiać kłopoty.

A teraz wrócił, wciśnięty w siedzenie w pierwszym rzędzie, gotowy stawiać nie wiadomo jakie żądania, którymi rozgorączkowana wyobraźnia Earle'a mogła się tylko zadrećzać. Ta udręka nie opuszczała go przez całe przemówienie, które znacząco rozczarowało jego zwolenników. Owszem, przedstawił treść wydrukowaną dużą czcionką na małych kartkach papieru z makulatury, ale zabrakło w tym ognia. Zacinając się, przebrnął przez pełną komunałów prozę swoich urzędników, czując, że pot kapie mu z nosa mimo listopadowego chłodu. Jeszcze w trakcie wygłaszania mowy myślami był jakby gdzie indziej. Wierni wyborcy mimo to entuzjastycznie bili brawo, kiedy skończył, ale nic to nie pomogło. Burmistrz musiał niemalże ciągnąć go siłą, żeby zszedł do zebranych, którzy domagali się jeszcze jednego, ostatniego uścisku dłoni i okazji do osobistego życzenia powodzenia ulubionemu synowi tej ziemi. Wśród ich wiewatów i poklepywania po plecach zbliżał się coraz bardziej do młodych, przenikliwych, patrzących znacząco oczu Simona. Czuł się tak, jakby wleczono go do bram samego piekła. Ale Simon nie zrobił sceny, uściśnął tylko lepką dłoń ministra i uśmiechnął się, jednocześnie bawiąc się nerwowo medalionem, który kołysał mu się

ostentacyjnie na szyi. A potem zniknął, stając się jeszcze jedną z wielu twarzy w tłumie.

Kiedy Earle przyjechał do domu, na ulicy w listopadowym chłódzie czekało na niego dwóch mężczyzn.

– Dobry wieczór, panie Earle, pani Earle. Simmonds i Peters z „Mirror”. Interesujący wiec. Mamy materiały prasowe, mamy słowa, ale potrzebujemy odrobiny kolorytu, żeby jakoś je ożywić dla naszych czytelników. Na przykład czegoś o reakcji publiczności. Ma pan coś do powiedzenia o swojej publiczności, panie Earle?

Bez słowa pospiesznie wszedł do środka, ciągnąc za sobą żonę i zamykając z trzaskiem drzwi. Obserwował przez okno zza zasłony, jak dziennikarze wzruszyli ramionami i wycofali się do swojego kombi zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Wyjęli książki i termos, po czym usiedli wygodnie, szykując się na długą noc.

Rozdział 37

Ambicja wymaga ofiar. Taka już jej natura.

Niedziela, 21 listopada

Kiedy Earle wyrzwał przez okno następnego dnia o świcie, wciąż tam siedzieli. Jeden spał z naciągniętym na oczy kapeluszem, a drugi przeglądał niedzielne gazety. Nie przypominały numerów z zeszłego tygodnia. Kampania, która do niedawna tkwiła w martwym punkcie, teraz, po wypowiedziach Urquharta i katastrofie McKenziego, ożyła.

W dodatku ankieterzy zaczęli przełamywać opór posłów. „Łeb w łeb!” – obwieścił „Observer”, informując, że głosy sześćdziesięciu procent parlamentarzystów partii rządzącej, których udało mu się skłonić do przedstawienia swojej opinii, podzieliły się równo między trzech prowadzących kandydatów – Samuela, Earle’a i Wooltona, a Urquhart deptał im po piętach. McKenzie zniknął bez śladu, podobnie jak niewielka przewaga, którą miał wcześniej Samuel.

Earle’a te wiadomości nie ucieszyły. Spędził bezsenłą noc, chodząc w tę i z powrotem i zbywając pytania coraz bardziej zaniepokojonej żony. Usiłował znaleźć jakieś pocieszenie, ale widział tylko twarz Simona. Obecność dwóch dziennikarzy nie dawała mu spokoju. Co dokładnie wiedzieli? Dlaczego koczowali na jego progu? Kiedy listopadowe niebo zaczęło szarzeć w pierwszych promieniach zimnego świtu, poczuł się wycieńczony. Nie mógł się dłużej opierać. Musiał wiedzieć.

Peters obudził szturchnięciem Simmondsa, kiedy w drzwiach frontowych pojawił się nieogolony Earle, owinięty ciasno jedwabnym szlafrokiem, zmierzający w ich stronę.

- Działa bez pudła za każdym razem – powiedział Peters. – Leci jak mysz do sera. Zobaczmy, co ma do powiedzenia, Alf. I włącz ten cholerny magnetofon.

- Dzień dobry, panie Earle – zawołał Peters do zbliżającego się Earle'a. – Niech pan tak nie stoi na tym zimnie, zapraszamy do środka. Może kawy?

- Czego chcecie? Dlaczego mnie szpiegujecie? – zapytał Earle, ignorując propozycję.

- Szpiegujemy, panie Earle? Ależ skąd, nam chodzi tylko o koloryt. Jest pan głównym kandydatem na stanowisko premiera. Widział pan już gazety? Wszędzie o panu piszą. Ludzie się panem bardziej zainteresują, będą chcieli wiedzieć, jakie ma pan hobby, co pan robi. Kim są pana znajomi.

- Nie mam nic do powiedzenia!

- Może moglibyśmy porozmawiać z pańską żoną? – zapytał Simmonds.

- Co pan sugeruje? – zapytał Earle zmienionym, piskliwym głosem.

- O mój Boże, zupełnie nic, sir. A tak przy okazji, widział pan zdjęcia ze swojego wczorajszego wiecu? Bardzo dobrze wyszły, są naprawdę wyraźne. Myślimy, czy jednego z nich nie dać jutro na pierwszą stronę. Niech pan spojrzy.

Dziennikarz wystawił za okno dużą, błyszczącą fotografię i pomachał nią Earle'owi przed nosem. Minister wziął ją do ręki i zamarł. Na zdjęciu ścisnął dłoń i patrzył prosto w oczy uśmiechniętemu kokieterjnie Simonowi. Szczegóły były przerażająco wyraźne. Wyglądało to niemal tak, jakby jakaś niewidzialna ręka podkreśliła duże oczy Simona eyelinerem, a jego mięsiste, jakby kapryśnie wydęte wargi wydawały się jeszcze ciemniejsze, jeszcze

bardziej wydatne. Palce bawiące się zawieszonym na szyi medalionem miały staranny manikiur.

– Zna pan tego dżentelmena, prawda? – zapytał Simmonds.

– To jeden z pana gorących zwolenników, czyż nie? A jak dokładnie okazuje panu poparcie, panie Earle? – zawtórował mu Peters.

Dłoń Earle'a drżała. Wrzucił zdjęcie z powrotem do środka przez okno samochodu.

– O co wam chodzi? Wszystkiemu zaprzeczam. Powiadomię o tym nękaniu waszego naczelnego!

– Naczelnego, sir? Ależ to właśnie on nas przysłał.

Rozdział 38

Świetnie jest podjąć się przywództwa armii, ale to właśnie w ten punkt wróg celuje w pierwszej kolejności. Lepiej być kilka kroków dalej, dać sobie czas na przedarcie się przez stosy trupów.

Poniedziałek, 22 listopada

W Members' Lobby, holu będącym głównym wejściem do sali obrad Izby Gmin, dominują brązowe posągi Churchilla, Clementa Richarda Attlee i Lloyda George'a. Czubki ich butów są jakby jaśniejsze, wygładzone dotykiem palców posłów mających nadzieję podzielić wielkość tych mężów stanu. W holu znajduje się dwoje drzwi z litego dębu, strzegących dostępu do sali obrad, w które stuka laską sekretarz Lorda Szambelana, aby wezwać posłów na uroczyste otwarcie nowej sesji parlamentu. Drzwi wprowadziły w poobijany kamienny łuk, który nosi ślady zniszczenia oryginalnej sali obrad, zbombardowanej w 1941 roku. Kiedy ją odbudowano, Churchill poprosił, aby ów obtłuczony i osmalony łuk zachować. „Żeby nam przypominał”.

W Members' Lobby posłowie odbierali też wiadomości.

– Dzień dobry, panie Kendrick.

Podniósł głowę znad różnych kartek, które studiował, i ujrzał stojącą tuż obok Mattie. Uśmiechnął się.

– Pani...

– Mattie Storin.

– No tak, oczywiście. – Zlustrował ją wzrokiem, zanim znów spojrzał jej w oczy. – Co też mogę dla ciebie zrobić, Mattie?

– Chciałabym zadać panu kilka pytań, jeśli to możliwe.

– Z przyjemnością odpowiem. Ale niestety nie teraz – odparł, zerkając na zegarek. – Może w porze podwieczorku? U mnie w biurze? Wpół do piątej? Będę miał wtedy dla ciebie dużo czasu.

Kendrick był szeregowym postem opozycji, a jego biuro składało się z pojedynczego pokoju w Norman Shaw North, budynku z czerwonej cegły, rozstawionym niezliczonymi czarno-białymi filmami jako New Scotland Yard, siedziba londyńskiej policji. Siły prawa i porządku już dawno przeniosły się do szarej betonowej fortecy przy Victoria Street, a parlamentarna administracja z zachwytem przejęła pusty, choć rozpadający się gmach naprzeciwko parlamentu, aby zaadaptować go na tak potrzebną dodatkową powierzchnię biurową. Na widok wchodzącej Mattie Kendrick wyskoczył zza biurka.

– Mattie, wejdź w progi mego domu i narusz moją prywatną przestrzeń. Ma tyle uroku, co cela mnicha, nie sądzisz?

– Nie mam pojęcia – odparła. – Mnisi to nie moja bajka.

Pomógł jej zdjąć płaszcz, patrząc raczej z wyrazem uznania niż drapieźnie na jej wełniany sweter, rozmyślnie obcisły, i spódnicę na tyle krótką, by odsłaniała kolana. Potrzebowała jego zainteresowania, a on go jej nie skąpił.

– Herbaty czy...? – zapytał, unosząc brew.

– Czy – odpowiedziała.

Wyciągnął butelkę chardonnay ze stojącej w rogu małej lodówki, a z półki na książki zdjął dwa kieliszki. Mattie usiadła na niewielkiej kanapie, kiedy on nalewał.

– No to za dom – powiedziała, wznosząc swój kieliszek.

– Domu to za cholerę nie przypomina i wcale nie chcę się tu zadomawiać – rzucił. – Jak niby mamy kierować podupadłym

imperium z tych schowków na miotły, Bóg raczy wiedzieć. Ale i tak z tobą za to wypiję.

– Niemożliwe, żeby aż tak się tutaj panu nie podobało. Całymi latami usiłował się pan tu dostać.

– Niewdzięczny ze mnie sukinsyn, prawda? – Błysnął zębami w ujmującym uśmiechu.

– I bardzo szybko udało się panu wyrobić sobie markę.

– Pochlebstwo, co? I te nogi. Musisz czegoś bardzo ode mnie chcieć. – Zmierzył ją spokojnym, rozumiejącym spojrzeniem. Teraz to ona się uśmiechnęła.

– Panie Kendrick...

– O, do jasnej cholery, etap pana Kendricka mamy już chyba za sobą, mam nadzieję.

– Stephen, przygotowuję tekst o tym, jak działa parlament, i o tym, że polityka może być pełna niespodzianek. A jeśli chodzi o niespodzianki, to ty sprawiłeś jedną z największych.

Kendrick się zaśmiał.

– Wciąż nie mogę się nadziwić, że zbudowałem swoją reputację na takim... jak by to nazwać? Łucie szczęścia? Przypadku? Spekulacji?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedziałeś, że program rozwoju szpitali został zawieszony, że zgadywałeś? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie wierzysz?

– Ujmę to tak. Jestem uśmiechniętą cyniczką.

– No, dopóki się uśmiechasz, Mattie... – Dolał jej wina. – To ja ujmę to tak. Nie byłem absolutnie pewny. Zaryzykowałem.

– To co właściwie wiedziałeś?

– Tak prywatnie?

– Najzupełniej prywatnie, jeśli sobie życzysz.

– Właściwie jeszcze nikomu nie opowiadałem całej tej historii... – Zerknął na Mattie, która masowała sobie kostki, jakby chciała złagodzić ból nóg. – Ale podoba mi się twoja technika przesłuchania. I chyba nic się nie stanie, jeśli cię trochę wprowadzę w temat. – Zastanawiał się przez sekundę, jak daleko powinien się posunąć w swojej szczerości. – Dowiedziałem się, że rząd, a raczej centrala partii rządzącej zaplanowała wielką kampanię informacyjną promującą nowy program rozwoju szpitali. Napracowali się nad nią, wydali kupę pieniędzy na przygotowania – kto by nie wydał, mając w zanadru taki program? Ale w ostatniej chwili wszystko to odwołali w cholerę. Po prostu uziemili całą kampanię. Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że jedyne wyjaśnienie, jakie ma sens, to że nie uwalają samej kampanii informacyjnej, ale cały program. No to postanowiłem podpuścić premiera, a on dał się złapać! Mnie samego to zdziwiło.

– Nie pamiętam, żeby coś się wtedy mówiło o kampanii promocyjnej.

– Chodziło im o element zaskoczenia. Chyba trzymali wszystkie przygotowania w ścisłej tajemnicy.

– Najwyraźniej masz poufne źródła informacji.

– I takie właśnie zostaną, nawet dla ciebie. Poufne! Nie ujawniłbym czegoś takiego nawet mojej byłej.

– Jesteś...?

– Rozwiedziony. Stanu bardzo wolnego.

Mattie podejrzewała, że Kendrick proponuje jej układ, ale mimo niewątpliwej atrakcyjności postawy opozycji nie była gotowa zapłacić takiej ceny. Jej życie było już dostatecznie skomplikowane.

- Wiem, jak cenni są tacy informatorzy - podjęła, kierując rozmowę z powrotem na właściwe tory - ale może uchylisz rąbka tajemnicy? Przeciek mógł pochodzić tylko z jednego z dwóch źródeł: z partii albo rządu, tak...?

- Bystra, a do tego te kostki.

- Od wyborów między centralą partii a Downing Street narasta wrogość. Powiedziałaś, że kampanię promocyjną przygotowywała partia, więc logicznie byłoby zakładać, że informacje wyszły z centrali.

- Jesteś bardzo dobra, Mattie. Ale nie dowiedziałaś się tego ode mnie, okej? I nie powiem już ani słowa o moim źródle. - W jego głosie przestała pobrzmiwać wesołość. Przybrał oficjalny, czujny ton.

- Nic się nie martw. Nie wygamam, że to Roger.

Kendrick był właśnie w połowie łyku wina. Pozwolił, żeby trunek spłynął z powrotem do kieliszka. Kiedy podniósł na nią wzrok, oczy miał twarde jak stal.

- Myślisz, że jestem tak płytki, żeby wsypać starego kumpla, tylko dlatego, że mi zamachasz cyckami przed nosem?

Starego kumpla? Kawałki tej części układanki zaczynały wskakiwać na swoje miejsce.

- Wiem, że to był Roger. Nie potrzebuję od ciebie potwierdzenia. I nie prowadzę żadnego śledztwa przeciwko niemu. Bez tego ma dość na głowie. Nic na ten temat nie ukaże się w prasie.

- To po co tu przyszłaś?

- Po informacje. I żeby zrozumieć.

- A zaczynałem cię lubić. Chyba powinnaś już iść, Mattie.

Faceci z „Mirror” nigdzie się nie ruszyli w porze lunchu, a wieczorem wciąż tkwili przed jego domem. Czytali, dłubali w zębach, obserwowali. Czekali na Earle’a w swoim obskurnym

samochodzie niemal bez przerwy od czterdziestu ośmiu godzin, rejestrując każde poruszenie zasłon, fotografując każdego, kto przychodził, łącznie z listonoszem i mleczarzem. I oczywiście żoną ministra. Znalazł tylko odrobinę pociechy w tym, że wyjechała wczesnym rankiem w odwiedziny do siostry. Jako prostolinijna i ślepa kobieta zakładała, że dziennikarze czatują przed jej drzwiami z powodu kampanii wyborczej męża – co w pewnym sensie było prawdą.

Earle nie miał się do kogo zwrócić, nie miał z kim podzielić się swoim nieszczęściem ani u kogo szukać mądrej rady. Był samotnikiem, szczerym, uczciwym człowiekiem, który popełnił jeden błąd i wiedział, że musi za niego zapłacić.

Dziennikarze zmęczeni się czekaniem. Zapukali do drzwi.

– Przepraszamy, że pana niepokoiimy, panie Earle. Jeszcze raz Simmonds i Peters. Tylko jedno szybkie pytanie, które kazał panu zadać nasz naczelny. Od jak dawna pan go zna?

Podetknęli mu pod nos jeszcze jedno zdjęcie Simona, tym razem zrobione nie na publicznym wiecu, ale w studiu fotograficznym. Chłopak był na nim ubrany od stóp do głów w poprzecinaną suwakami czarną skórę. Rozpięta do pasa kurtka eksponowała smukłe, gibkie ciało, zaś w prawej dłoni ścisnął długi pejcz.

– Idźcie stąd. Idźcie. Proszę, idźcie stąd! – krzyknął Earle tak głośno, że sąsiedzi podeszli do okien, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Jeśli jesteśmy nie w porę, przyjdziemy kiedy indziej, sir. – W milczeniu wrócili do samochodu i podjęli na nowo obserwację.

Rozdział 39

Ci, którzy chcą wchodzić na najwyższe drzewa, muszą pogodzić się z tego konsekwencją: że taka wspinaczka odsłoni ich naj bardziej wr azliw e miejsca.

Wtorek, 23 listopada

Następnego ranka wciąż na niego czekali. Earle był wyczerpany emocjonalnie. Siedział, płacząc cicho, w fotelu w swoim gabinecie, wbijając paznokcie, czy raczej to, co z nich zostało, głęboko w poręcz. Tak się starał, na tak wiele zasługiwał, a jednak proszę, do czego doszło.

Wiedział, że musi zakończyć sprawę. Nie było sensu tego ciągnąć. Nie wierzył już w siebie i był świadom, że stracił prawo do przekonywania do tego innych. Z zamglonym wzrokiem sięgnął do szuflady biurka, pogrzebał w niej i wyjął notes z telefonami. Dotykał numerów na tarczy aparatu, jakby zanurzał palce w żrącym kwasie. Przez całą krótką rozmowę usilnie walczył, żeby panować nad głosem. Potem odłożył słuchawkę i znów mógł płakać.

Wiść o wycofaniu się Earle'a z wyścigu zdumiała wszystkich, kiedy obiegła Westminster we wtorek rano. Jego rezygnacja była tak niespodziewana, że nie starczyło czasu na zmianę wydrukowanych kart do głosowania, poza żalonym wykreśleniem nazwiska Earle'a długopisem. Sir Humphrey nie był szczególnie zachwycony, że jego staranne przygotowania zostają w ostatniej chwili przewrócone do góry nogami, o czym informował w ostrych słowach każdego, kto chciał słuchać. Jednak z wybiciem dziesiątej otworzyły się drzwi sali posiedzeń numer 14, zarezerwowanej na wybory, i do środka zaczęli

wchodzić gęsiego pierwsi z trzystu trzydziestu pięciu posłów partii rządzącej, mających oddać głos. Wielkich nieobecnych miało być dwóch: premier, który zapowiedział, że nie będzie głosował, oraz Harold Earle.

Mattie zamierzała spędzić ten dzień w Izbie Gmin, rozmawiając z posłami i oceniając nastroje. Większość skłaniała się do opinii, że rezygnacja Earle'a pomoże Samuelowi: „Ugodowcy na ogół trzymają się z tymi, co lubią apelować do naszych sumień – wyjaśnił pewien stary ramol – więc zwolennicy Earle'a odpłyną do młodego Disraelego. Nie mają dość wyobraźni, żeby zrobić coś bardziej pozytywnego”. Disraeli. Żyd. Kampania przybierała coraz bardziej nieprzyjemny ton, zaostrzały się wycieczki osobiste.

Siedziała w bufecie na galerii dla prasy, pijąc kawę z innymi dziennikarzami, kiedy poproszono ją przez megafon do telefonu. Miała nadzieję, że może to propozycja pracy, że ktoś zmienił zdanie. Porzuciła swoją kawę i podeszła do najbliższego telefonu. Na dźwięk głosu w słuchawce doznała jeszcze większego szoku niż na wieść o wycofaniu się Earle'a z wyborów.

– Dzień dobry, Mattie. Podobno szukałaś mnie w zeszłym tygodniu. Przykro mi, że się rozminęliśmy, nie było mnie w biurze. Grypa żołądkowa. Ciągłe chcesz się spotkać?

Roger O'Neill był tak przyjacielski i pełen entuzjazmu, że trudno jej było powiązać go z charczącym głosem, który słyszała w telefonie kilka dni wcześniej. Brzmiał jak zupełnie inny człowiek.

– Jeśli jesteś jeszcze zainteresowana, może wpadniesz dzisiaj na Smith Square? – zaproponował.

Po tej rozmowie Mattie pokręciła głową nad chaotyczną cyrkową wołyżerką, jaką uprawia O'Neill. Jej zdziwienie było jednak niczym

w porównaniu z reakcją Urquharta. Zadzwoił, żeby polecić O'Neillowi załatwić uczestnictwo Simona w wiecu Earle'a, a także dopilnować, aby anonimowa informacja o powiązaniach między tymi dwoma dotarła do „Mirror”. Tymczasem odkrył, podobnie jak Mattie i Penny, że O'Neill odjeżdża miarowo w kokainowy niebyt i traci kontakt z wydarzeniami spoza swojego coraz bardziej zawężającego się, kalejdoskopowego świata. Doszło do konfrontacji. Urquhart nie mógł sobie pozwolić na utratę usług O'Neilla, ale nie było go też stać na niedopięcie szczegółów, grożące posypaniem się całej misternej konstrukcji.

– Jeden tydzień, Roger, jeszcze jeden tydzień i będziesz mógł zrobić sobie przerwę, na chwilę o tym wszystkim zapomnieć. Wrócić do sprawy tego tytułu szlacheckiego, o którym zawsze marzyłeś. To całkowicie zmieni postać rzeczy. Kiedy będą zwracać się do ciebie „sir”, już nikt nigdy nie spojrzy na ciebie z góry. A ja mogę ci to załatwić, przecież wiesz. Ale jeśli mnie teraz zawiedziesz, jeśli stracisz nad sobą kontrolę, Bóg mi świadkiem, dopilnuję, żebyś tego żałował do końca życia. Weź się w garść, do cholery. Nie masz się czego bać. Tylko wytrzymaj jeszcze parę dni!

O'Neill nie był do końca pewien, o co właściwie chodzi Urquhartowi. Wytrzymać? Oczywiście, że wytrzyma. Faktycznie był wcześniej trochę niedysponowany, ale jego zamroczony umysł całkowicie to wypierał, więc nie przyjmował do wiadomości, że istnieje jakiś poważny problem z jego zachowaniem. Da sobie radę. Ze wszystkim. W jego życiu nie było miejsca na wątpliwości, szczególnie dotyczące jego własnej osoby. Wszystko załatwi, zwłaszcza przy drobnej, drobniautkiej pomocy... Jeszcze tylko kilka dni, pociągnąć za parę sznurków, wykonać parę zwodów i zmaże im z gęb te

protekcjonalne uśmieшки. Powstań, sir Rogerze! Warto w to włożyć trochę więcej wysiłku.

– Oczywiście, Francis. Żaden problem. Obiecuję.

– Nie sknoć tego, Roger. Ani mi się waż.

I O'Neill się zaśmiał, chociaż oczy mu łzawiły, a z nosa ciekło jak starcowi w wietrzny dzień.

Kiedy w końcu doprowadził się do porządku na tyle, żeby móc wrócić do biura, Penny powiedziała mu o wizycie Mattie i o jej pytaniach o adres korespondencyjny w Paddington.

– Nic się nie martw, Pen. Ja to załatwię – wykrzyknął, tłumiąc ukłucie niepokoju i posiłkując się butną pewnością siebie, wypraktykowaną przez lata pracy w sprzedaży. Bo czyż nie mówili o nim, że potrafiłby sprzedać śnieg na Syberii, że starsze panie przechodziłyby przez ulicę, żeby je ucałował? Wystarczyło trochę pasji, trochę wiary w siebie. Mattie to tylko bezmyślna baba, żaden tam ciężki kaliber.

Kiedy więc po lunchu zjawiła się w jego gabinecie, był rozpromieniony i ożywiony. Te jego dziwne oczy nadal latały mu na wszystkie strony, ale sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał jej pomóc.

– Zwykły rozstrój żołądka – wyjaśnił. – Przepraszam, że cię wystawiłem, ale to świństwo, które przepisał mi lekarz, nieźle mnie sponiewierało. – Uśmiechnął się, pełen irlandzkiego uroku. – Już mi lepiej. Pen mówi, że pytałaś o adres korespondencyjny pana Collingridge'a.

– Zgadza się. To był adres Charlesa Collingridge'a?

– Jasne.

– Ale nie założył go sobie sam.

Oczy O'Neilla rozszalały się na nowo, jakby usiłowały się wyrwać spod działania grawitacji, ale pewny siebie uśmiech nie schodził mu z twarzy. Mattie chciała za wszelką cenę chronić swoje źródło, czyli Penny, więc konfabulowała na poczekaniu.

– Kioskarz nigdy nie widział Collingridge'a, nie rozpoznał go na zdjęciu, przysięga, że nikogo takiego nigdy tam nie było – ciągnęła.

– No to wyręczył go ktoś znajomy – odparł O'Neill, szukając papierosa.

– Kto?

– No, na pewno nie ja! – zarechotał O'Neill, wyłaniając się z oparów tytoniowego dymu. – Posłuchaj, Mattie, jeśli chodzi ci o oficjalny komentarz, wiesz, że będę musiał powiedzieć, że to prywatne sprawy pana Collingridge'a, i nie będzie sensu, żebyś tu zostawała nawet po to, żeby dopić herbatę. – Pochylił się w jej stronę nad blatem biurka. – Ale jeśli chcesz porozmawiać nieoficjalnie, nie do druku...

– Pyszna herbata – odparła.

Zaciągnął się głęboko papierosem, napełniając płuca dymem, jakby miał mu dodać pewności siebie.

– Okej. Nawet nieoficjalnie nie mogę powiedzieć wszystkiego, ale sama wiesz, jak kiepsko Charlie się ostatnio miewał. Nie był, jakby to ująć? „W pełni odpowiedzialny” za swoje czyny. – Zgiął palce, podkreślając cudzysłów. – Byłoby strasznie szkoda, gdybyś miała sobie zawracać głowę i w tym grzebać, żeby jeszcze bardziej go dobić. Jego życie legło w gruzach. Cokolwiek przeszkrobał, czy już wystarczająco dużo się nie nacierpiał? Na litość boską, Mattie, daj facetowi szansę na odbudowanie życia.

Mattie zmroziło to zrzucanie winy na niewinnego człowieka pod przykrywką bezinteresownego miłosierdzia, ale mimo to uśmiechnęła

się zachęcająco.

– No dobra, Roger, masz rację. Nie ma co dalej go zadreczczać. Przejdę w takim razie do innej kwestii.

Zobaczyła, że jego oczy na sekundę się uspokajają, uśmiech łagodnieje. Myślał, że wygrał. Pokonał tę prostą dziewczuchę w jej własnej grze. Kolejny zwód, jeszcze jeden gwałtowny skręt i był wolny. Boże, Roger, dobry jesteś!

– Porozmawiajmy o przeciekach – podjęła. – Tyle ich było w ostatnich miesiącach. Premier podobno w dużej mierze obwinia o swoje kłopoty Smith Square.

– To raczej nie fair, ale nie jest tajemnicą państwową, że stosunki między nim a przewodniczącym partii były ostatnio bardzo napięte.

– Na tyle napięte, żeby ktoś w centrali partii celowo ujawnił ten sondaż, który opublikowaliśmy podczas kongresu?

Oczy znów mu zapląsały.

– Ludzie zawsze chcą na kogoś zrzucić winę. Na kogoś innego. Chyba między innymi po to tu jesteśmy. – Zaśmiał się z autoironią. – Oprócz przewodniczącego partii jest tylko, no, może pięć osób w tym budynku, które dostają pełne sondaże tego typu. Jestem jedną z tych pięciu osób i mogę ci powiedzieć, że traktujemy ich poufność z cholerną powagą. – Zapalił kolejnego papierosa. Dało mu to czas, żeby pomyśleć. – Ale wysyłają je też do wszystkich członków gabinetu, wszystkich dwudziestu dwóch, czyli albo do Izby Gmin, gdzie mogą najpierw przejść przez ręce jakiejś sekretarki z długim językiem, albo do ministerstw, a to często gniazda żmij, pełno tam urzędników służby cywilnej, którzy wcale tego rządu nie kochają. Jeśli szukasz źródła przecieków, to właśnie te same się nasuwają.

– No tak, ale ten sondaż wyciekł w hotelu w Bournemouth. Sekretarki i wrogo nastawieni urzędnicy nie jeżdżą na partyjne kongresy ani nie włączają się po hotelu, w którym zakwaterowani są pracownicy partii.

– Kto to wie, Mattie? I tak bardziej prawdopodobne, że przeciek pochodził właśnie z takiego źródła. Na litość boską, wyobrażasz sobie lorda Williamsa na czworakach pod drzwiami jakiegoś pokoju hotelowego?

Roześmiał się głośno, żeby pokazać, jak absurdalna jest to myśl, a Mattie mu zawtórowała. Ale O'Neill właśnie przyznał się, że wie, w jaki sposób ujawniono sondaż. A mógł to wiedzieć tylko z jednego powodu. Nadmierna pewność siebie zaciskała się jak pętla wokół jego szyi.

– W takim razie przejdźmy do innego przecieku, tego dotyczącego programu rozwoju szpitali. Podobno planowaliście dużą kampanię promocyjną, którą trzeba było w ostatniej chwili odwołać ze względu na zmianę planu.

– Naprawdę? Kto ci coś takiego powiedział? – zapytał O'Neill, myśląc gorączkowo i przypominając sobie swojego starego kumpla, Kendricka. Głupi sukinsyn, zawsze miał słabość do ładnych kobiet. – Nieważne, nie będę cię naciskać, wiem, że nie ujawnisz swoich źródeł. Ale wydaje mi się, że to spora przesada. Nasz dział PR zawsze jest gotowy wspierać politykę rządu, tym się zajmujemy. Gdyby zaczęto realizować ten program, to oczywiście chcielibyśmy pomóc w jego promocji, na pewno, ale nie myśleliśmy o żadnej konkretnej kampanii.

– Powiedziano mi, że musieliście odwołać wielką kampanię promocyjną, która była starannie zaplanowana i już gotowa.

Popiół z papierosa przestał opierać się prawom grawitacji i spadł kaskadą na krawat O'Neilla, który to zignorował. Ściągnął brwi, usiłując się skoncentrować.

– Jeśli tak słyszałaś, Mattie, zostałam wprowadzona w błąd. Jak dla mnie ktoś musiał mieć w tym jakiś swój interes. Jesteś pewna, że facet zna wszystkie fakty? Może chciał ci coś wcisnąć, bo ma na oku jakąś własną korzyść?

Uśmiechając się szeroko, O'Neill starał się podważyć wiarygodność Kendricka. Uśmiech stęzał mu na ustach, kiedy zdał sobie sprawę, że mówiąc o informatorze, użył słowa „facet”, ale przecież niemożliwe, żeby ta dziewczuszka wyłapała takie drobne potknięcie. Zadawała jednak za dużo pytań. O'Neill zaczynał czuć się nieswojo. Rozpaczliwie potrzebował podeprzeć się czymś mocniejszym niż papieros, nieważne, co mówił Urquhart.

– Mattie, mam mnóstwo roboty, a jeszcze wieczorem będą wyniki głosowania i w ogóle. Moglibyśmy na tym skończyć?

– Dzięki za rozmowę, Roger. Niezmiernie mi pomogłeś.

– Nic ci nie powiedziałem.

– Ale jesteś taki przekonujący.

– Zawsze do usług – skwitował, odprowadzając ją do drzwi. Po drodze minęli terminal komputerowy ustawiony w rogu ciasnego biura. Schyliła się, żeby mu się przyjrzeć, a wtedy bluzka opadła jej o kilka cali, głębiej odsłaniając dekolt. O'Neill przysunął się bliżej, ucieszony pretekstem.

– Wasza partia jest znacznie bardziej zaawansowana od innych, jeśli chodzi o nowe technologie. Pewnie wszystkie terminale w tym budynku są ze sobą połączone przez centralny komputer?

Wyprostował się, bo gdzieś głęboko zadźwięczał dzwonek alarmowy, na tyle głośny, żeby oderwać go od kontemplowania zarysu jej piersi.

– Chyba tak – odparł. Dotknął jej pleców i popchnął delikatnie w stronę drzwi.

– Ja to jestem trochę tępą, jeśli chodzi o komputery. Może mógłbyś mi kiedyś dać kilka lekcji, Roger.

– Musiałabyś być zdesperowana, żeby zwracać się z tym do mnie – zażartował.

– Wyglądasz na faceta, który umie sobie poradzić ze wszystkim.

– Przechodzimy szkolenie, ale ja ledwo umiem włączyć to cholerstwo – powiedział. – Sam rzadko kiedy korzystam. Tylko do sprawdzania wewnętrznej poczty i tego typu rzeczy. – Mrugał gwałtownie oczami, nie panując już nad sobą. – Przepraszam, muszę lecieć – wymamrotał i uciekł z własnego biura.

O siedemnastej drzwi do sali posiedzeń numer 14 zostały uroczyście zamknięte, aby uniemożliwić dalsze próby wzięcia udziału w głosowaniu. Był to całkowicie pusty gest, gdyż ostatni z trzystu trzydziestu pięciu głosów oddano dziesięć minut wcześniej. Za zamkniętymi drzwiami, pod ogromnymi obrazami olejnymi, wśród wytłaczanych tapet w najgłębszych odcieniach zieleni, zebrała się komisja skrutacyjna wraz z sir Humphreym. Wszyscy byli zadowoleni, że głosowanie przebiegło sprawnie mimo potwornej plamy na początku, kiedy Earle popsuł im przygotowania. Butelka whisky przeszła z rąk do rąk, gdy członkowie komisji pokrzepiali się przed liczeniem głosów. W innych pomieszczeniach pałacu ośmiu kandydatów czekało w różnym stanie ekscytacji i trzeźwości na ogłoszenie wyników, które mogły zmienić ich życie.

Big Ben wybił kwadrans po szóstej, zanim obwieszczono zakończenie prac komisji. O wpół do siódmej otwarto drzwi do sali posiedzeń i chmara posłów wpadła do środka, aby stać się świadkami historycznej chwili. Było ich zbyt wielu, by mogli się pomieścić w długich, przypominających szkolne, ławach i w sali w ogóle, nawet na stojąco, więc drzwi zostawiono otwarte i tłum częściowo pozostawał na korytarzu. Zakładano się o okazałe sumy, próbując w ostatniej chwili przewidzieć najbardziej prawdopodobny wynik. W korytarzu, wśród kłębiących się posłów, dziennikarze łowili każdy szept.

Sir Humphrey rozkoszował się tą chwilą. Był już u schyłku kariery, najlepsze lata w parlamencie miał dawno za sobą, i nawet to małe nieporozumienie dotyczące jego wakacji w Indiach Zachodnich wzbudziło w Westminsterze większe zainteresowanie niż wszystkie jego działania w ostatnim czasie. „Zły to wiatr, co nie podwiewa żadnej spódniczki” – dowcipkował w palarni. Zasiadł teraz na podwyższeniu w sali posiedzeń w otoczeniu swoich adiutantów, przyglądał węż i poprosił o ciszę.

– Ponieważ liczba nazwisk na karcie do głosowania jest tak bezprecedensowo duża, proponuję odczytać wyniki w porządku alfabetycznym – zaczął.

Była to zła wiadomość dla Davida Adamsa, fircykowatego byłego lidera Izby Gmin, który został wygnany na tylne ławy w pierwszym przetasowaniu rządu Collingridge’a po tym, jak zbyt publicznie twierdził, że spędza z królową więcej czasu niż premier. Miał nadzieję na przyzwoity wynik, żeby zaskarbić sobie prawo powrotu do rządu. Jedwabna poszetka Adamsa wyglądała, jakby oklapła zawiedziona, kiedy Newlands ogłosił, że otrzymał tylko dwanaście głosów.

Obiecywano mu znacznie więcej, gdy wlewał całkiem niezłe bordo w gardła swoich kolegów. „Świnie!” – mruknął, co ten i ów usłyszał.

Sir Humphrey kontynuował wyczytywanie nazwisk. Żaden z następnych czterech kandydatów, z McKenziem włącznie, nie zebrał więcej niż dwadzieścia głosów. Paul Goddard, niezależny katolik, który skupiał się wyłącznie na walce o zakazanie wszystkich form legalnej aborcji, otrzymał tylko trzy. Pokręcił buńczucznie głową. Dostąpi lepszych nagród niż doczesne.

Sir Humphreyowi zostały już tylko trzy nazwiska – Samuela, Urquharta i Wooltona – oraz dwieście osiemdziesiąt jeden głosów, które miały się między nimi rozłożyć. Napięcie w zatłoczonej sali sięgnęło zenitu. Do wygranej w pierwszej turze potrzeba było minimum stu sześćdziesięciu dziewięciu głosów. Gdzieś w rogu dwóch posłów pospiesznie zawierało dodatkowe zakłady na pokaźne sumy, obstawiając, czy zwycięzca zostanie wyłoniony jednak w pierwszej rundzie.

– Michael Samuel – wyczytał przewodniczący, tocząc wzrokiem po sali niczym Hamlet nad grobem. – Dziewięćdziesiąt dziewięć głosów.

W pomieszczeniu zaległa martwa cisza, przzerwana dopiero klaksonem płynącego Tamizą holownika, który zatrąbił trzy razy. Napięcie ustąpiło fali rozbawienia, a Samuel mruknął, że to szkoda, iż kapitanowie holowników nie mają prawa głosu. Był wyraźnie rozczarowany, że tak dużo mu zabrakło do bezapelacyjnego zwycięstwa.

– Francis Urquhart: dziewięćdziesiąt jeden głosów.

Rzecznik dyscypliny siedział w jednej z długich ław w przednim rzędzie. Podziękował w milczeniu skinieniem głowy.

– Patrick Woolton: dziewięćdziesiąt jeden głosów.

I koniec. W sali się zakotłowało. Nikt nie zwracał już uwagi na Newlandsa, który usiłował przekrzyczeć zgiełk:

– Ponieważ nie wybrano żadnego kandydata, za tydzień odbędzie się druga tura głosowania. Chciałbym wszystkim przypomnieć, że osoby chcące stanąć do wyborów w drugiej turze muszą zgłosić swoje kandydatury do czwartku. Niniejszym zamykam to posiedzenie!

Jednak nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Rozdział 40

Polityczne przyjaźnie to tylko wrażenie, które łatwo zatrzeć.

Gabinet Urquharta pękał w szwach, pełen posłów i alkoholu. Feta trwała w najlepsze. Był to jeden z najlepszych gabinetów, jakie mogą się trafić parlamentarzysty: z eleganckim oknem, z którego roztaczał się piękny widok na drugi brzeg rzeki i gotycki pałac arcybiskupa Canterbury w Lambeth. „Dwie różne strony” – nachodziła go czasem refleksja. Stał teraz i nalewał drinki, a coraz to nowi goście ściskali mu dłoń i gratulowali. Niektóre z tych twarzy widział po raz pierwszy podczas tej kampanii, ale nie miało to znaczenia. Nowe twarze oznaczały nowe głosy.

– Doskonale, Francis. Absolutnie znakomity wynik. Myślisz, że możesz wygrać? – zapytał jeden z jego starszych kolegów posłów.

– Tak sądzę – odparł Urquhart z cichą pewnością siebie. – Mam równie duże szanse jak inni.

– Myślę, że masz rację – stwierdził kolega poseł z egzaltacją, gasząc jakiś wewnętrzny ogień wielkim haustem czegoś białego. – Młody Samuel może ma przewagę, ale jego kampania traci parę. Sprawa rozstrzygnie się między doświadczonymi wygami, tobą i Patrickiem. A ja zapewniam cię, Francis, że masz moje pełne poparcie.

„Oczywiście chciałbyś, żebym o tym pamiętał, kiedy jako premier będę miał prawo nominować kandydatów na najróżniejsze stanowiska” – pomyślał Urquhart, jednocześnie ze śmiechem wyrażając wdzięczność. Mortima, która mimo ścisku z anielską gracją krążyła po gabinecie, napęłniła pusty kieliszek gościa i uśmiechnęła się ujmująco.

Jeden z młodszych zwolenników Urquharta przygotował pudełko przypinek i przepychał się między zebranymi, wpinając im je w klapy marynarek. Znaczkę głośno po prostu: „FU”. Ów młody polityk o napoleońskiej posturze i zarumienionej twarzy znalazł się nagle przed Mortimą. Z podnieceniem wysunął rękę z przypinką w kierunku jej klatki piersiowej. Oczy miał ujmujące, ale w miarę, jak jego dłoń zbliżała się do jej biustu, coraz bardziej niepewne. A kiedy napotkały jej wzrok, zbladł, jakby go ktoś smagnął batem.

– O Boże. Przepraszam. To chyba powinno się znaleźć gdzie indziej – bąknął i zniknął w tłumie.

– Skąd ty bierzesz tych ludzi? – szepnęła mężowi do ucha z udawanym podziwem zmieszanym ze zgrozą.

– Kiedy dorośnie, może zostać wielkim człowiekiem.

– Jeśli dorośnie, przyślij go do mnie. Dam ci znać.

Do gabinetu wciąż ciągnęli nowi goście.

– Skąd oni wszyscy się wzięli? – spytała Mortima, zaniepokojona, że może zabraknąć napojów.

– O, niektórzy z nich byli bardzo zajęci – odparł. – Pojawili się już na krótko, ale dając się zapamiętać zarówno u Samuela, jak i u Wooltona, wychodząc z założenia, że nigdy nic nie wiadomo i zawsze lepiej się zabezpieczyć. I rzeczywiście, prawda, moja droga?

– Lubię wiedzieć, na czym stoję, jeśli chodzi o ludzi w moim otoczeniu, Francis.

– Oczywiście, kochanie. Dlatego wysłałem przyjaznego mi posła, odpowiedzialnego za dyscyplinę, i na przyjęcie Michaela, i Wooltona, żeby policzyli gości, zapamiętali twarze. Jako zabezpieczenie.

Popatrzyli sobie w oczy, zapominając na chwilę o panującym wokół nich ścisku.

– Rób to, co trzeba, Francis.

– Chciałabyś wiedzieć?

Pokręciła głową.

– Nie, tak jak ty nie chcesz wiedzieć, kochany. – Odwróciła się i podjęła obowiązki gospodyni.

W tle bezustannie dzwonił telefon z gratulacjami i pytaniami. Sekretarka Urquharta odbierała i przyjmowała wiadomości między otwieraniem butelek a prowadzeniem towarzyskich pogawędek, ale teraz podeszła do Urquharta ze zmarszczonymi brwiami.

– To do pana – powiedziała nagłym szeptem. – Roger O’Neill.

– Powiedz mu, że jestem zajęty i oddzwonię później – polecił.

– Ale on już dzwonił wcześniej. Strasznie zdenerwowany. Kazał przekazać, że to „cholernie gardłowa sprawa”, jak się wyraził.

Klnąc ze zniecierpliwieniem, Urquhart wycofał się do swojego biurka pod oknem, dającego mu pewne schronienie przed tłumem świętujących.

– Roger? – Mówił łagodnym tonem, pokazując zebranym gościom pogodną twarz, nie chcąc, żeby zobaczyli odczuwaną przez niego irytację. – Naprawdę musimy teraz rozmawiać? Jest u mnie pełno ludzi.

– Przejrzała nas, Francis. Ta cholerna suka... Wie, jestem pewien. Wie, że to ja i zaraz trafi do ciebie, małpa jedna. Nic jej nie powiedziałem, ale ona zwąchała sprawę, Bóg raczy wiedzieć jak, ale...

– Roger, posłuchaj mnie uważnie. Weź się w garść. – Urquhart nadal mówił opanowanym tonem, ale odwrócił się do okna, by uniknąć spojrzeń ciekawskich, którzy mogliby czytać z ruchu warg.

O’Neill zaczął bełkotać, rozmowa wymykała mu się spod kontroli jak pędzący bez maszynisty ekspres.

Urquhart mu przerwał.

– Roger, powiedz mi powoli i wyraźnie, o co chodzi.

Jednak w słuchawce znów rozległ się bełkot i Urquhart był zmuszony wylawiać sens z chaotycznej mieszanki słów, charkotu i kichnięć.

– Przyszła się ze mną spotkać, ta małpa z prasy. Nie wiem skąd, to nie ja i nic jej nie powiedziałem. Zbyłem ją, chyba to łyknęła, poszła zadowolona. Ale jakoś to zwąchała. Wszystko, Francis. Adres w Paddington, komputer. Nawet ten pieprzony sondaż. A ten bydlak Kendrick musiał trzaskać dziobem. Jezu, Francis. Znaczy, co, jak mi nie uwierzyła?

– Przymknij się na sekundę – syknął Urquhart, cały czas się uśmiechając. – Kto, Roger? O kim mówimy?

– Storin. Mattie Storin. I powiedziała...

– Miała jakieś mocne dowody? Czy tylko zgadywała?

O'Neill umilkł na króciutką chwilę.

– Konkretnego to nic, chyba. Same domysły. Tylko że...

– Tylko że co?

– Słyszała, że miałem coś wspólnego z założeniem tamtego adresu w Paddington.

– Skąd, na litość...

– Nie wiem, Francis, cholera, nie wiem. Ale nic nie szkodzi, nie ma się co martwić, myśli, że zrobiłem to dla Collingridge'a.

– Roger, mógłbym z chęcią...

– Posłuchaj, to ja odwalilem za ciebie tę całą brudną robotę, to ja ryzykowałem. Ty nie masz się czym przejmować, a ja siedzę po szyję w bagnie. Francis, ja potrzebuję pomocy, boję się! Zrobiłem dla ciebie za dużo rzeczy, których w ogóle nie powinienem się dotknąć, ale o nic

nie pytałem i po prostu robiłem to, co mówiłeś. Musisz mnie z tego wyciągnąć. Ja już nie dam rady, już nie mogę, nie chcę! Musisz mnie chronić, Francis. Słyszysz? O Boże, proszę, musisz mi pomóc!

– Roger, uspokój się – powiedział cicho do słuchawki, osłaniając ją obiema dłońmi. – Ona nie ma absolutnie żadnych dowodów, a ty nie masz się czego bać. Siedzimy w tym razem, rozumiesz? I przejdziemy przez to razem aż na Downing Street.

Z drugiej strony dobiegł tylko niepoohamowany szloch.

– Masz zrobić dwie rzeczy, Roger. Przede wszystkim pamiętaj o tym tytule szlacheckim. Dzieli cię od niego tylko kilka dni.

Urquhart z trudem rozróżnił bełkotliwe wyrazy wdzięczności.

– A tymczasem, Roger, trzymaj się jak najdalej od panny Storin. Rozumiesz?

– Ale...

– Jak najdalej!

– Jak chcesz, Francis.

– Ja się nią zajmę – szepnął Urquhart i przerwał połączenie.

Stał, czując napięcie w barkach, i wyglądał przez okno, czekając, aż opadną z niego emocje. Zza pleców dobiegał go gwar głosów wpływowych polityków, którzy wyniosą go do władzy, na Downing Street. Przed sobą miał odwieczny widok na rzekę, który inspirował tak wielu wielkich ludzi. I właśnie zakończył rozmowę z jedynym człowiekiem, który mógł mu to wszystko zepsuć.

Rozdział 41

Co mówi polityk świętemu Piotrowi, kiedy wreszcie się spotykają? Narzeka, że tyle było nieważnych głosów? Tłumaczy się, że gdyby tylko lokale wyborcze były otwarte trochę dłużej, wszystko wyglądałoby inaczej?

Ja mam własny plan. Zamierzam spojrzeć staremu draniowi prosto w oczy i powiedzieć mu, że już tu nie pracuje.

Zadzwonił do niej tego samego wieczoru.

– Mattie, może zechciałabyś wpaść?

– Francis, bardzo bym chciała, naprawdę, ale czy przed twoim domem nie będzie tabunów dziennikarzy?

– Przyjdź późno. Wszyscy zdążą się stąd zabrać.

– A... pani Urquhart? Nie chciałabym jej przeszkadzać.

– Już wróciła na kilka dni na wieś.

Dochodziła północ, kiedy Mattie wślizgnęła się cicho przez frontowe drzwi przy Cambridge Street, upewniając się, czy nikt jej nie obserwuje. Czuła się jak podstępna intrygantka, a jednocześnie była podekscytowana.

Zdjął jej płaszcz, bardzo powoli, uważnie się jej przyglądając. Poczuli się niezręcznie i nagle pocałowała go w policzek.

– Przepraszam – zaczerwieniła się. – Ja tylko... Gratuluję. Chyba wyszło trochę nieprofesjonalnie.

– Można tak powiedzieć, Mattie. Ale nie będę narzekać. – I zaczął się śmiać.

Po chwili siedzieli już w jego gabinecie, w niemal konspiracyjnej atmosferze, wśród mebli obciągniętych popękaną skórą, z whisky w dłoniach.

– Mattie, słyszałem, że nabroiłaś.

– Co dokładnie słyszałeś? – zapytała zaniepokojona.

– Między innymi, że bardzo zdenerwowałaś Greville'a Prestona.

– A, to. No niestety.

– Niestety?

– Grev nie chce drukować żadnych moich tekstów. Zostałam wygnana. Zawieszona w obowiązkach.

– To może być całkiem przyjemne.

– Nie, kiedy cały świat się zmienia, a ja nie mogę w tym uczestniczyć. Nie, kiedy... – zawahała się.

– Kiedy co, Mattie? Widzę, że coś cię gryzie.

– Kiedy dzieje się coś naprawdę złego.

– Taka już jest polityka.

– Nie, to nie zwykła polityka. To coś dużo gorszego.

– Powiedz mi wszystko, jeśli chcesz. Potraktuj mnie jak ojca spowiednika.

– Nie, to by mi się nigdy nie udało, Francis.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że przypominam ci twojego ojca.

– Tylko swoją siłą.

Policzki lekko jej się zaróżowiły, wyglądała na onieśmioną. Uśmiechnął się. I nagle pokój nabrał dla Mattie kolorów: krystaliczny błękit jego oczu, wirująca bursztynowa whisky, ciemny odcień starej skóry, fiolety perskiego dywanu. W ciszy, która spowijała ją jak kokon, słyszała bicie własnego serca. Wyciągnęła szklanę, żeby jej dołąć, wiedząc, że przychodząc tu zaczęła coś, co będzie musiała dokończyć.

- Myślę, że ktoś celowo pogrążył Collingridge'a.
 - Fascynujące.
 - Te przecieki, ujawniony sondaż i inne informacje. Uważam, że ten adres w Paddington to była podpucha, co oznacza...
 - Co takiego?
 - Że spekulacje akcjami też ktoś ukartował.
- Urquhart wyglądał, jakby go ktoś mocno uszczyptał w policzek.
- Ale po co?
 - Żeby się pozbyć premiera, oczywiście! – krzyknęła sfrustrowana, że on tak powoli przyswaja to, co jej wydawało się zupełnie jasne.
 - Ale... ale... Kto, Mattie, kto?
 - Roger O'Neill bierze w tym udział.
 - Roger O'Neill? – Urquhart wybuchnął szyderczym śmiechem. – Ale co na litość boską miałby tym osiągnąć?
 - Nie wiem! – Walnęła pięścią w skórzaną kanapę, wyładowując swoją frustrację.
- Urquhart wstał z fotela i usiadł koło niej. Wziął ją za rękę, powoli rozprostował wszystkie jej palce po kolei, pomasaował kciukiem wewnątrz jej dłoni.
- Jesteś zdenerwowana.
 - Oczywiście, że jestem zdenerwowana. Jestem dziennikarką, trzymam w garści cholerną bombę stulecia i nikt nie chce mi jej wydrukować.
 - A mnie się wydaje, że jesteś zbyt zdenerwowana, żeby logicznie myśleć.
 - Jak to? – spytała urażona.
 - Roger O'Neill – powtórzył tonem pełnym wzgardy. – Ten człowiek nie potrafi kontrolować własnych nałogów, a co dopiero

żonglować skomplikowaną intrygą.

– Zauważyłam.

– A więc...? – naciskał, dopingując ją do myślenia.

– Musi działać z kimś innym. Kimś ważniejszym, bardziej wpływowym. Kimś, kto by skorzystał na zmianie szefa rządu i partii.

Skinął głową.

– Gdzieś tu musi być ktoś jeszcze, kto steruje O’Neillem, pociąga za sznurki – zgodził się. Kierował ją na niebezpieczny szlak, ale wiedział, że w końcu i tak sama tam trafi. Lepiej trzymać ją za rękę.

– Czyli szukamy tajemniczego człowieka, mającego zarówno środki, jak i motyw. Mogącego kontrolować O’Neilla. Z dostępem do poufnych politycznych informacji.

Popatrzył na nią z rosnącym podziwem. Była nie tylko piękna, ale także, kiedy już weszła na wytyczoną ścieżkę, poruszała się nią z zadziwiającą wprawą. Zachłysnęła się, kiedy dotarła do końca szlaku i nagle ujrzała roztaczający się stamtąd widok.

– Kogoś, kto popadł w ostry konflikt z premierem.

– Takich nie brakuje.

– Nie! Nie! Nie rozumiesz? Jest tylko jeden człowiek, który pasuje do całej układanki. – Z trudem łapała oddech, rozemocjonowana odkryciem. – Tylko jeden. Teddy Williams.

Opadł na oparcie kanapy, otwierając usta ze zdumienia.

– Dobry Boże. To potworne.

Tym razem to ona wzięła go za rękę, ścisnęła ją.

– Teraz rozumiesz, dlaczego tak mnie to frustruje. Taki fantastyczny temat, a Grev nie chce go ruszyć.

– Dlaczego?

- Bo nie mogę niczego udowodnić. Niezbitych dowodów brak. No i jestem udupiona. Nie wiem, co robić, Francis.

- Między innymi dlatego poprosiłem, żebyś przyszła, Mattie. Przechodzisz trudny okres. Chyba mógłbym ci pomóc.

- Naprawdę?

- Musisz zaproponować Prestonowi coś innego, coś, czemu nie będzie mógł się oprzeć.

- I co to ma być?

- Kulisy kampanii Urquharta. Kto wie, może nawet wygram. A jeśli tak, to dziennikarze mający do mnie lepsze dojście zaczną mieć bardzo mocną pozycję na Fleet Street. A mogę cię zapewnić, że jeśli wygram, ty będziesz mieć szczególnie korzystne dojście.

- Mówisz serio, Francis? Zrobiłbyś to dla mnie?

- Ależ oczywiście.

- Ale dlaczego?

- Bo tak! - Oczy zaświeciły mu się z rozbawieniem, a po chwili spoważniały i przewierciły ją na wskroś. - Bo jesteś kapitalną dziennikarką, Mattie. Bo jesteś wyjątkowo piękna - czy wolno mi ośmielić się wyrazić tę opinię?

Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Jak najbardziej możesz tak twierdzić. Chociaż nie mogę tego w żaden sposób skomentować.

- I jeszcze dlatego, Mattie, że cię lubię. Bardzo.

- Dziękuję, Francis. - Pochyliła się do przodu i go pocałowała, tym razem nie w policzek, ale w usta. Odsunęła się. - Przepraszam, nie powinnam.

Nie poruszył się, opanowany, niezachwiany. Pocałowała go jeszcze raz.

Dużo później, dobrze po pierwszej w nocy, kiedy Mattie pojechała już do siebie, Urquhart wyszedł z domu i wrócił do swojego gabinetu w Izbie Gmin. Sekretarka zdążyła opróżnić popielniczki, umyć kieliszki, ułożyć poduszki na kanapie. Kiedy wychodził stąd wieczorem, wciąż było tu gwarно, ale teraz w gabinecie panowała grobowa cisza. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Podeszedł do szafki kartotekowej, składającej się z czterech szuflad i zaopatrzonej w solidną blokadę oraz zamek szyfrowy. Obrócił pokręteł cztery razy w jedną i drugą stronę, aż usłyszał ciche szczęknięcie i sztaba blokująca szafkę puściła. Zdjął ją i schylił się, żeby otworzyć dolną szufladę.

Szuflada zaskrzypiała. Była wypełniona po brzegi teczkami opatrzonymi nazwiskami poszczególnych posłów i zawierającymi kłopotliwe czy wręcz obciążające ich materiały, które wyciągnął z sejfu w biurze rzecznika dyscypliny. Zgromadzenie tych sekretów, tych aktów bezdennej głupoty, zajęło mu prawie trzy lata.

Uklęknął na podłodze, żeby przejrzeć te czki. Znalazł to, czego szukał: kopertę bąbelkową, już zaklejoną i zaadresowaną. Odłożył ją na bok, po czym zamknął szufladę i zabezpieczył szafkę, jak zawsze sprawdzając, czy zamek i sztaba są odpowiednio zablokowane.

Nie pojechał prosto do domu. Zahaczył o jedną z całodobowych motocyklowych firm kurierskich, które wyrastają jak grzyby po deszczu w szemranych piwnicach Soho. Zostawił tam kopertę i zapłacił gotówką za dostarczenie jej pod wskazany adres. Oczywiście łatwiej byłoby mu wysłać ją z Izby Gmin, gdzie mają jedną z najsprawniej działających poczt w kraju. Nie chciał jednak, żeby na tej kopercie przybito stempel z parlamentu.

Rozdział 42

Jakiekolwiek okrucieństwo jest niewybaczalne.
Dlatego nie ma sensu być okrutnym na pół gwizdka.

Środa, 24 listopada

Listy i gazety przysły niemal jednocześnie, lądując z głuchym odgłosem na wycieraczkę domu Wooltona w Chelsea. Słyszając te poranne hałasy, minister zszedł na dół w szlafroku i zebrał przesyłki z progu. Gazety rozłożył na kuchennym stole, natomiast pocztę zostawił na niewielkiej zabytkowej ławie w przedpokoju. Dostawał ponad trzysta listów tygodniowo od swoich wyborców i innych korespondentów, więc już dawno przestał próbować je wszystkie czytać. Zostawiał je żonie, która była także sekretarką jego okręgu wyborczego i której załatwił z tego tytułu hojne honorarium, uzupełniające jego ministerialną pensję.

W gazetach oczywiście dominował temat wyborów na szefa partii. Nagłówki wyglądały, jakby układali je dziennikarze ze „Sporting Life”, chałturzący chwilowo w innych redakcjach. Na pierwszych stronach roiło się od sformułowań typu: „łeb w łeb”, „trójka na finiszu” i „wyrównana walka”. W środku mniej gorączkowe komentarze wyjaśniały, że trudno przewidzieć, który z trzech prowadzących kandydatów znalazł się teraz na najlepszej pozycji. Pochylił się nad analizą w „Guardianie”, choć normalnie nie zaglądał do niego w pierwszej kolejności. Gazeta często podskakiwała beznadziejnie na lewej nodze, ale skoro w następnych wyborach nie będzie popierała żadnego z obecnych kandydatów, prezentowała zapewne bardziej wyważoną i obiektywną opinię o wyniku tego wyścigu.

„Partia ma teraz przed sobą jasny wybór” – zaczynał się artykuł.

Michael Samuel jest zdecydowanie najpopularniejszy i najbardziej wyrobiony z całej trójki, a także pokazał wyraźnie, że potrafi realizować karierę polityczną, nie rezygnując z wrażliwości społecznej. To, że niektórzy członkowie partii atakują go jako „nieco zbyt liberalnego”, to nie tyle łątka, co odznaka, którą powinien nosić z dumą.

Patrick Woolton to zupełnie inny polityk. Niezwykle dumny ze swoich północnych korzeni, pozuje na człowieka, który może zjednoczyć dwie połowy kraju przeoranego społeczno-ekonomicznym podziałem na północ i południe. Bardziej dyskusyjne jest to, czy mocny, dosadny polityczny styl Wooltona jest w stanie zjednoczyć dwie części jego własnej partii. Mimo sprawowania funkcji szefa MSZ twierdzi, że nie ma cierpliwości do dyplomatycznych zabiegów i polityczne rozgrywki prowadzi, jakby nadal zdobywał punkty dla swojej starej ligowej drużyny rugby. Lider opozycji powiedział o nim kiedyś, że jest jak facet, który włóczy się po ulicach Westminsteru, szukając okazji, żeby komuś przyłożyć, przy czym niespecjalnie go obchodzi komu.

Woolton wydał z siebie pomruk aprobaty, pożarł pół tostu i ponownie zaszeleścił gazetą.

Francisa Urquharta trudniej ocenić. To najmniej doświadczony i najmniej znany z trójki kandydatów, w pierwszej turze osiągnął jednak znakomity wynik. Jak się wydaje, na ten sukces składają się trzy powody. Po pierwsze, jako rzecznik dyscypliny partyjnej świetnie zna klub parlamentarny partii, a posłowie znają jego. Ponieważ to jego koledzy z klubu parlamentarnego, a nie cały elektorat, będą rozstrzygać w tych wyborach, fakt, że Urquhart jest nieznany szerszemu ogółowi, nie szkodzi mu być może tak bardzo, jak wcześniej zakładano.

Po drugie, Urquhart prowadzi swoją kampanię z godnością, co wyróżnia go na tle utarczek i wpadek pozostałych kandydatów. Z tego, co wiadomo o jego przekonaniach politycznych, mocno trzyma się tradycjonalistycznego kursu, być może nieco patrycjuszowskiego

i autorytarne, ale na tyle mgliście sformułowane, żeby nie zrażać żadnego skrzydła partii.

Po trzecie wreszcie, największym może atutem Urquharta jest to, że nie jest ani jednym, ani drugim z pozostałych pretendentów. Wielu posłów wolało poprzeć go w pierwszej rundzie, niż opowiedzieć się jednoznacznie za jednym z bardziej kontrowersyjnych kandydatów. Jest oczywistym wyborem dla tych, którzy chcą pozostać neutralni. Jednak właśnie to może ostatecznie doprowadzić do upadku jego kampanii. W miarę jak rośnie presja podjęcia jasnej decyzji, Urquhart jest kandydatem, który może najbardziej na tym ucierpieć.

Wybór rysuje się więc wyraźnie. Ci, którzy chcą dać wyraz swojej wrażliwości społecznej, poprą Samuela. Ci spragnieni awanturniczej polityki opowiedzą się za Wooltonem. Dla tych, którzy nie mogą się zdecydować, oczywistym wyborem jest Urquhart. Cokolwiek wybiorą, zasłużą sobie na to, co dostaną.

Woolton zaśmiał się, kończąc tosta, a do kuchni właśnie weszła jego żona z naręczem porannej poczty.

– Co piszą? – zapytała, ruchem głowy wskazując gazety.

– Że jestem drugą Maggie Thatcher, tyle że bez cyków – odparł. – Mam wygraną w kieszeni.

Dolała mu herbaty, po czym westchnęła, siadając nad stertą korespondencji i przystępując do jej sortowania. Zmieniła tę czynność w prawdziwą sztukę. W edytorze tekstów miała zaprogramowanych kilka standardowych odpowiedzi, które wystarczyło dopracować dosłownie jednym muśnięciem klawiatury, żeby nadać im osobisty charakter. Następnie były one podpisywane za pomocą autopenu, maszyny do autografów, którą przywiozła ze Stanów. Chociaż większość listów przychodziła od zwykłej zbieraniny niezadowolonych, lobbystów, zawodowych malkontentów i wariatów piszących zielonym atramentem, wszyscy dostawali odpowiedź. Nie

chciała ryzykować, że jej mąż straci choćby jeden głos, więc odpowiadała nawet najbardziej grubiańskim korespondentom.

Brązową kopertę bąbelkową zostawiła sobie na koniec. Została doręczona przez kuriera i była mocno spięta zszywkami. Musiała się namęczyć, żeby ją otworzyć, narażając na szwank swój manikiur. Kiedy wyciągnęła ostatnią zawziętą zszywkę, na kolana wypadła jej kasetka. W kopercie nie było nic innego, żadnego listu ani bileciku, a na kasecie – żadnego podpisu wskazującego, skąd przyszła i co zawierała.

– Idioci. Jak niby mamy odpowiedzieć na coś takiego?

– To pewnie nagranie przemówienia z zeszłego weekendu albo któregoś z ostatnich wywiadów – zasugerował z roztargnieniem Woolton, nie podnosząc nawet wzroku znad gazety. – Dolej nam jeszcze herbaty, mała, i spróbujmy to puścić. – Machnął ręką w kierunku zestawu stereo.

Żona ministra, sumienna jak zawsze, zrobiła, co kazał. Woolton siorbał herbatę, pochłonięty wstępniakiem w „Sun”, kiedy migotanie czerwonych światełek w magnetofonie zaczęło pokazywać, że odtwarzacz coś czyta z taśmy. Było słychać jakieś szумы i trzaski, wyraźnie nie było to profesjonalne nagranie.

– Pogłośnij to cholerstwo, kochanie – polecił. – Niech lis usłyszy kurczaka.

Pokój wypełnił się dziewczęcym śmiechem. Chwilę potem dziewczyna na taśmie wydała z siebie niski, przeciągły jęk. Dźwięk zahipnotyzował Wooltonów, znieruchomieli, jakby wrosli w ziemię. Herbata i gazeta odeszły na kilka minut w zapomnienie, a w tym czasie z głośników dobiegało wiele różnych odgłosów: zdyszane oddechy, ciche przekleństwa, jęczący materac, zadowolone stęknienie, rytmiczne uderzanie wezgiłowia łóżka o ścianę. Nagranie pozostawiało

niewielkie pole do popisu wyobraźni. Westchnienia kobiety były teraz krótsze i bardziej przenikliwe, urywały się tylko na krótką chwilę dla zaczerpnięcia tchu, po czym wspinały się na jeszcze wyższe tony.

Jeszcze wspólny okrzyk kulminacji i spełnienia, i koniec. Chichot kobiety mieszał się z głębokim, basowym dyszeniem jej towarzysza.

– O rany, było bosko jak cholera – wysapał mężczyzna.

– Nieźle jak na staruszka.

– To właśnie zyskuje się z wiekiem. Wytrzymałość!

– W takim razie możemy jeszcze raz?

– Nie, jeśli zamierzasz obudzić całe pieprzone Bournemouth – powiedział z charakterystycznym akcentem z Lancashire.

Ani Woolton, ani jego żona nie poruszyli się od początku nagrania, ale teraz ona przeszła powoli przez pokój i wyłączyła magnetofon. Po policzku spłynęła jej łza. Odwróciła się, żeby popatrzeć na męża. Nie odwzajemnił spojrzenia.

– Co mogę powiedzieć? Przepraszam, kochanie – szepnął. – Nie będę kłamał i wmawiał ci, że ktoś to spreparował. Ale jest mi naprawdę przykro. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

Nie odpowiedziała. Wyraz smutku na jej twarzy ranił go bardziej niż jakiegokolwiek rzucone ze złością słowo.

– Co mam zrobić? – zapytał delikatnie.

Odwróciła się do niego, twarz wykrzywiał jej ból. Musiała wbić sobie paznokcie głęboko we wnętrze dłoni, żeby nie stracić panowania nad sobą.

– Pat, przymykałam oczy na wiele różnych rzeczy w ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat i nie jestem aż tak głupia, żeby myśleć, że to jedyny raz. Mogłeś przynajmniej mieć na tyle

przyzwoitości, żeby trzymać mnie od tego z daleka i oszczędzić mi takiego cyrku. Byłeś mi to winien.

Spuścił głowę. Pozwoliła, żeby poczuł jej gniew, po czym podjęła:

– Ale jednego moja duma nie zniesie: żeby taka zdzira próbowała rozbić moje małżeństwo i zrobić ze mnie idiotkę. Nie pozwolę na to. Dowiedz się, czego chce ta dziwka szantażystka, zapłać jej albo jak trzeba, idź na policję. Ale pozbądź się jej. I tego też! – Rzuciła w niego kasetą, która odbiła mu się od piersi. – W moim domu nie ma na to miejsca. I na ciebie też nie będzie, jeśli będę musiała jeszcze raz wysłuchać tego świństwa!

Spojrzał na nią ze łzami w oczach.

– Załatwię to. Obiecuję. Nigdy więcej o tym nie usłyszysz.

Rozdział 43

Miłość dotyka serca człowieka. Natomiast strach przemawia do innych części jego ciała, bardziej podatnych na perswazje.

Czwartek, 25 listopada

Penny zmarszczyła z dezaprobatą brwi, spoglądając na stalowoszare niebo, i otulona w wełniany płaszcz, wyszła ostrożnie na chodnik z kamienicy w Earl's Court, gdzie mieszkała. Synoptycy od wielu dni zapowiadali możliwość nagłego ochłodzenia, które w końcu przyszło i nie traciło czasu. Lawirując między zamarzniętymi kałużami, pożałowała, że założyła obcasy zamiast kozaków. Posuwała się powoli skrajem chodnika, chuchając sobie w dłonie, kiedy drzwi jakiegoś samochodu otworzyły się z rozmachem, blokując jej drogę.

Schyliła się, chcąc powiedzieć kierowcy, żeby do cholery uważał, kiedy rozpoznała w nim Wooltona. Uśmiechnęła się rozpromieniona, ale on nie odwzajemnił tego ciepłego powitania. Patrzył przed siebie, nie na nią, kiedy wypełniła jego lakoniczne polecenie i wsunęła się na siedzenie obok kierowcy.

– Czego chcesz? – zapytał głosem zimnym jak poranne powietrze.

– A co oferujesz? – Uśmiechnęła się, ale w jej głos wkradł się ton niepewności, bo zobaczyła jego oczy. Były martwe, pozbawione wyrazu.

Zaciśnięte w wąską kreskę usta, odsłoniły zęby, kiedy się odezwał.

– Musiałaś wysłać tę kasetę do mnie do domu? To było okrutne jak diabli. Moja żona słyszała nagranie. Było to też potwornie głupie, bo teraz ona już wie, więc nie możesz mnie szantażować. Żadna

gazeta ani radio tego nie ruszy, potencjalne odszkodowanie za zniesławienie skutecznie ich odstraszy, więc nie za bardzo masz jak to spożytkować.

Nie była to prawda. Taśma mogła mu jeszcze poważnie zaszkodzić, gdyby trafiła w niewłaściwe ręce, ale miał nadzieję, że Penny będzie za głupia, żeby to dostrzec. Pomyślał, że jego blef skutkuje, widząc malujący się na jej twarzy niepokój.

– Pat, o czym ty mówisz?

– O pieprzonej kasecie, którą mi przysłałaś, ty głupia lafiryndo. Nie udawaj niewiniątka!

– Ja... nic ci nie wysyłałam. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Niespodziewany zamach na jej uczucia był dla niej sporym wstrząsem, więc zaczęła szlochać i z trudem łapać oddech. Chwyił ją brutalnie za ramię, a w jej oczach stanęły łzy, tym razem z bólu.

– O kasecie! Kasecie! Przysłałaś mi kasetę!

– Jaką kasetę, Pat? Dlaczego mnie szarpiesz, to boli...!

Łzy, które ledwie kapały, popłynęły teraz żywym strumieniem. Ulica na zewnątrz zaczęła znikać za zaparowanymi szybami, a Penny znalazła się w świecie szaleństwa.

– Popatrz na mnie i powiedz, że nie wysłałaś mi kasety z nagraniem nas w Bournemouth.

– Nie. Nie. Jakiej kasety? – Nagle wciągnęła powietrze i ze zgrozy przestała płakać. – Ktoś nas nagrał w Bournemouth? Pat, to potworne. Ale kto?

Puścił jej ramię i głowa opadła mu powoli na kierownicę.

– O rany boskie, jest gorzej, niż myślałem – wymamrotał.

– Pat, nic nie rozumiem.

Jego twarz była szara, jakby nagle się postarzał, skóra na policzkach wydawała się naciągnięta jak stary pergamin.

– Wczoraj przyszła do mnie do domu kaset magnetofonowa. Było na niej nagranie nas w łóżku na kongresie partii.

– I myślałeś, że to ja ją przysłałam? Ty żałosny gnojku!

– Miałem nadzieję, że to ty, Pen.

– Dlaczego? Dlaczego ja? – krzyknęła z odrazą.

Zacisnął dłonie na kierownicy, aż zbieleły mu kostki. Patrzył przed siebie, ale nie na drogę.

– Miałem nadzieję, że to ty, Pen, bo jeśli to nie ty, to nie mam bladego pojęcia kto. I to nie może być przypadek, że ta kaset przyszła akurat teraz, chociaż od nagrania minęło już tyle czasu. Im nie chodzi o pieniądze. Chcą mnie wykosić z wyborów. – Jego głos osłabł i zmienił się w szept. – Co do następnego wtorku, jestem ugotowany.

Woolton przez resztę przedpołudnia usiłował myśleć konstruktywnie. Nie miał ani cienia wątpliwości, że przyczyną nagłego pojawienia się kasety były wybory na szefa partii. Rozważył z dziesięć różnych teorii co do tego, kto za tym stoi, brał nawet pod uwagę Rosjan, ale nic nie pasowało. Nie miał innych możliwości ruchu. Zadzwoił do żony – przynajmniej tyle był jej winien – a potem zwołał konferencję prasową.

W obliczu takiego problemu niektórzy mogliby postanowić zejść po cichu ze sceny i modlić się, żeby nic nie zakłóciło ich spokojnej emerytury, ale Woolton do nich nie należał. Był typem, który woli walczyć do końca, próbując ocalić co tylko się da z ruiny swoich marzeń. Nie miał nic do stracenia.

Kiedy dziennikarze zebrali się krótko po lunchu, był zdeterminowany. Nie miał czasu na zorganizowanie czegoś bardziej

oficjalnego, więc zwołał konferencję na bulwarze Albert Embankment, na południowym brzegu rzeki, naprzeciwko parlamentu. Potrzebował tła pełnego dramatyzmu, a zdobny pałac z wieżą Big Bena mógł je zapewnić. Zaczął, kiedy tylko kamerzyści byli gotowi.

- Dzień dobry. Chcę wygłosić krótkie oświadczenie i przepraszam, że nie będę miał później czasu na państwa pytania. Ale sądzę, że nie będą państwo zawiedzeni.

Poczekał chwilę, aż jeszcze jedna ekipa telewizyjna, która właśnie przyjechała, ustawi sprzęt.

- Po wtorkowym głosowaniu wydaje się, że tylko trzech kandydatów ma realne szanse na sukces. Jak rozumiem, wszyscy pozostali już ogłosili, że nie wystartują w drugiej turze. A zatem, jak to państwo ujęli, mamy trójkę na finiszu.

Umilkł na chwilę. Niech to szlag, ale to było trudne. Miał nadzieję, że oni wszyscy też marzną na kość.

- Oczywiście cieszę się, że jestem jednym z tej trójki, poczytuję to za zaszczyt, ale trójka może być pechową liczbą. Tak naprawdę nie ma trzech opcji w tych wyborach, tylko dwie. Albo partia będzie się trzymać praktycznego podejścia do polityki, które dotąd okazywało się bardzo skuteczne i pozwoliło nam utrzymać się przy władzy przez ponad dekadę, albo może opracować nową politykę, nazywaną czasem polityką sumienia, która sprawi, że rząd znacznie dogłębniej zaangażuje się - niektórzy powiedzieliby: uwikła - w rozwiązywanie wszystkich problemów, jakie istnieją na świecie. To polityka Wielkiego Brata, i jak państwo wiedzą, nigdy nie byłem jej zwolennikiem.

Wśród reporterów zapanowało poruszenie. Wszyscy wiedzieli, że w partii istnieją podziały, ale rzadko roztrząsano je w ten sposób publicznie.

- Chociaż chęci mogą być dobre, nie uważam, aby nowy nacisk na politykę sumienia był rzeczą właściwą. Przeciwnie, myślę, że byłaby to katastrofa dla partii i dla całego kraju. Jak sądzę, takiego zdania jest także wyraźna większość w partii. Jednak możemy zboczyć właśnie w kierunku takiej katastrofy, jeśli głosy tej większości podzielą się między dwóch kandydatów. Ci dwaj kandydaci, którzy popierają pragmatyczną politykę, to Francis Urquhart i ja. Proszę państwa, jestem człowiekiem praktycznym. Nie chcę, żeby moje osobiste ambicje stanęły na przeszkodzie realizacji tej polityki, w którą zawsze wierzyłem. Ale tak właśnie może się stać.

Mimo zimna jego słowa miały w sobie ogień, rozbłyskiwały płomieniem.

- To miejsce - wskazał kciukiem budynek parlamentu za swoimi plecami - zbyt wiele dla mnie znaczy. Chcę mieć pewność, że będzie nim kierował właściwy człowiek, prowadzący właściwą politykę. Dlatego, proszę państwa - potoczył po raz ostatni wzrokiem po stłoczonej wokół niego masie obiektywów i dziennikarzy, drocząc się z nimi jeszcze przez sekundę - nie mam zamiaru ryzykować. Stawka jest zbyt wysoka. Więc wycofuję się z wyborów. Sam oddam głos na Francisa Urquharta, który, mam szczerą nadzieję, zostanie naszym następnym premierem. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Jego ostatnie słowa niemal zagłuszył trzask stu migawek aparatów. Nie czekał, zaczął od razu wchodzić szybkim krokiem po schodach przy nabrzeżu, kierując się do czekającego na niego samochodu. Kilku reporterów pobiegło za nim, ale zobaczyli tylko, jak odjeżdża mostem westminsterskim. Reszta stała w bezgranicznym zdumieniu. Nie zostawił im czasu na pytania, nie dał okazji do tworzenia teorii ani doszukiwania się ukrytych znaczeń. Mieli tylko to, co im dał, więc

będą musieli przekazać jego słowa wprost, tak, jak je usłyszeli – o co właśnie Wooltonowi chodziło.

Pojechał do domu, gdzie na progu czekała na niego żona, nie mniej zdezorientowana niż przedstawiciele prasy. Uśmiechał się melancholijnie, kiedy weszli do środka. Ona pozwoliła mu pocałować się w policzek, on zrobił herbatę.

– Postanowiłeś spędzać więcej czasu z rodziną, Pat? – zapytała sceptycznie, kiedy usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole.

– Nie zaszkodziłoby, prawda?

– Ale. Z tobą zawsze jest gdzieś jakieś „ale”. Rozumiem, dlaczego musiałeś się wycofać, i pewnie to będzie musiała być wystarczająca kara.

– Zostaniesz ze mną, kochanie? Nic nie jest tak ważne jak to, wiesz o tym.

Starannie dobierała słowa, nie chcąc, żeby tak łatwo się z tego wywinął.

– Będę cię dalej wspierać, jak zawsze. Ale...

– Znow to cholerne „ale”.

– Ale dlaczego na litość boską zdecydowałeś się poprzeć Francis Urquharta? Nie wiedziałam, że jesteście w takich bliskich stosunkach.

– Z tym wyniosłym sukinsynem? Nie jesteśmy. Nawet go nie lubię!

– No to dlaczego?

– Bo mam pięćdziesiąt pięć lat, a Michael Samuel czterdzieści osiem, co oznacza, że może siedzieć na Downing Street przez dwadzieścia lat, aż umrę i pójdę do piachu. Natomiast Francis Urquhart ma prawie sześćdziesiąt dwa. Raczej nie będzie premierem dłużej niż pięć lat. Czyli jeśli wygra Urquhart, istnieje szansa na kolejne wybory na szefa partii, zanim zjedzą mnie robaki. Jeśli przez

ten czas dowiem się, kto stoi za tą kasetą, albo jeśli dranie doznają jakiegoś bardzo brutalnego i potwornie bolesnego wypadku, na co mam szczerą nadzieję, to będę miał drugą szansę.

Wypuszczał z fajki kłęby gęstego, siniego dymu, które leciały pod sufit, podczas gdy on ciągnął swoje logiczne rozważania.

– Tak czy inaczej, neutralność nic mi nie da. Samuel nigdy by mnie nie zniósł w swoim rządzie. Dlatego dałem Urquhartowi te wybory na tacy, a on będzie musiał mi za to publicznie okazać wdzięczność.

Spojrzał na żonę i zdobył się na pierwszy, wymuszony uśmiech, odkąd przestuchali razem kasetę.

– Do diabła, mogło być gorzej. Co powiesz na następne parę lat w roli żony kanclerza skarbu?

Rozdział 44

Kłamanie w sprawie swojej siły jest znakiem przywództwa; kłamanie w sprawie swoich wad – znakiem polityki.

Piątek, 26 listopada

Następnego ranka mróz nadal trzymał, ale nad stolicą przeszedł front, który wczorajsze ołowiane chmury zastąpił krystalicznym błękitem. Z okna swojego gabinetu Urquhart widział przyszłość jasną jak to niebo. Tak wyglądał nowy początek. Odkąd Woolton udzielił mu poparcia, czuł się niezniszczalny. Był już prawie u celu.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem godnym eksplozji pocisku artyleryjskiego, a z gruzów wyłoniła się obszarpana postać Rogera O'Neilla. Zanim jeszcze Urquhart zdążył zapytać, co do diabła wyprawia, już zaczęła się bełkotliwa paplanina. O'Neill wyrzucał z siebie słowa jak serie z karabinu, celując w Urquharta, jakby chciał go nimi powalić.

– Wiedzą, Francis. Odkryli, że brakuje teczki. Zamki były odgięte i jedna z sekretarek zauważyła, i przewodniczący wszystkich wezwał. Na pewno mnie podejrzewa. Co my zrobimy? Co my zrobimy?

Urquhart potrząsnął nim, żeby zatrzymać niezrozumiałą bełkot.

– Roger, zamknij się, na litość boską!

Pchnął go na krzesło i spoliczkował. Dopiero wtedy O'Neill umilkł, żeby nabrać tchu.

– A teraz powoli, Roger. Powolutku. Co chcesz mi powiedzieć?

– Teczki, Francis. Poufne teczki partii dotyczące Samuela, które kazałeś mi wysłać do niedzielnych gazet. – Dyszał, wyczerpany

zarówno fizycznie, jak i nerwowo. Źrenice miał rozszerzone, białka przekrwione jak otwarte rany, twarz barwy popiołu. – Bo widzisz, użyłem swojego klucza uniwersalnego i dostałem się do piwnicy bez żadnych problemów. Tam są wszystkie magazyny, ale teczki trzyma się w szafkach zamkniętych na klucz. Musiałem sforsować zamek, Francis. Przepraszam, ale nie miałem wyboru. Nie jakoś bardzo, ale trochę się odgiął. Wszędzie mnóstwo kurzu i pajęczyn, jakby nikt tam nie zaglądał od czasu wojny burskiej, ale wczoraj jakaś suka sekretarka oczywiście musiała tam wejść i zauważyła ten odgięty zamek. Teraz wszystko przeszukali i odkryli, że nie ma teczki Samuela.

– Wysłałeś oryginalną teczkę? – zapytał Urquhart z przerażeniem.

– Nie skopiowałeś tylko co ciekawszych kawałków, tak jak ci kazałem?

– Francis, teczka była gruba jak moje ramię, kopiowałbym to godzinami. Nie wiedziałem, które kawałki najbardziej by ich interesowały, więc wysłałem wszystko. Mogło minąć parę lat, zanim ktoś by się zorientował, że tej teczki brakuje, a i tak pewnie by pomyśleli, że po prostu gdzieś się zapodziała.

– Ty cholerny idioto, ty...

– Francis, nie krzycz na mnie! – wrzasnął O'Neill. – To ja cały czas ryzykuję, nie ty. Przewodniczący osobiście przesłuchał wszystkich, którzy mają klucz uniwersalny, a jest nas tylko dziewięcioro. Chce się ze mną spotkać po południu. Na pewno coś podejrzewa. A ja nie mam zamiaru brać całej winy na siebie. Z jakiej okazji? Robiłem tylko to, co mi kazałeś... – Płakał. – Francis, nie mogę już dłużej kłamać. Po prostu nie mogę już tego znieść. Ja się załamie!

Urquhart zamarł, uświadamiając sobie, że w rozpaczliwych słowach O'Neilla kryje się prawda. Ten roztrzęsiony facet, który przed nim siedział, nie miał już w sobie ani woli walki, ani rozsądku.

Zaczynał się sypać jak stary mur bez fundamentów. Nawet przez tydzień, nawet przez ten konkretny, najważniejszy tydzień, O'Neill nie będzie potrafił się kontrolować. Stał na skraju osobistej katastrofy. Najłżejszy wietrzyk strąci go w przepaść. A on pociągnie Urquharta za sobą.

Odezwał się stanowczym, ale pojednawczym tonem:

– Roger, za bardzo się przejmujesz. Nie masz się czego bać, nikt nie może niczego udowodnić i musisz pamiętać, że jestem po twojej stronie. Nie jesteś sam. Posłuchaj, nie wracaj do biura, zadzwoń, że jesteś chory, i wracaj do domu. Przewodniczący może poczekać do poniedziałku. A jutro chciałbym cię zaprosić do mojego domu w Hampshire. Przyjedź na lunch i zostań na noc, obgadamy całą sprawę. Razem, tylko we dwóch. Co o tym sądzisz?

O'Neill chwycił dłoń Urquharta jak kaleka trzymający się kurczowo swoich kul.

– Tylko ty i ja, Francis – zaszlochał.

– Ale nie możesz nikomu powiedzieć, że do mnie jedziesz. Byłoby to bardzo kłopotliwe, gdyby prasa się dowiedziała, że wysoki urzędnik partyjny gości u mnie tuż przed ostatnią turą wyborów, nie wyglądałoby to dobrze dla żadnego z nas. Dlatego musi to zostać między nami dwoma. Nawet twoja sekretarka nie może o tym wiedzieć.

O'Neill usiłował wymamrotać słowa podziękowania, ale nie pozwoliły mu na to trzy potężne kichnięcia. Urquhart odsunął się z obrzydzeniem. O'Neill chyba tego nie zauważył, wycierając twarz i uśmiechając się z nową gorliwością spaniela.

– Przyjadę, Francis. Możesz mi zaufać.

– Naprawdę mogę, Roger?

– Jasne. Nawet gdyby miało mnie to zabić, przyjadę.

Sobota, 27 listopada

Urquhart wymknął się z łóżka przed świtem. Nie spał, ale nie czuł się zmęczony. Był sam, jego żona wyjechała na weekend, nie był pewny dokąd, ale sam tego chciał, poprosił ją o trochę czasu dla siebie. Przyjrzała mu się uważnie, szukając w jego oku błysku świadczącego o jakiejś kochance albo uwikłaniu w coś niestosownego. Nie byłby tak głupi, oczywiście, nie w weekend przed tak ważnym tygodniem, ale mężczyźni mieli zdolność do niewytłumaczalnej głupoty.

– Nie, Mortimo – szepnęła, rozumiejąc jej obawy. – Potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć, pospacerować, poczytać Burke’a.

– Rób to, co trzeba, Francis – odparła i odjechała.

Było wcześniej, jeszcze zanim nad wrzosowiskami New Forest zaczął wstawać świt. Ubrał się w swoją ulubioną kurtkę myśliwską, wciągnął buty i wyszedł na mroźne poranne powietrze. Ruszył konną ścieżką, która prowadziła przez Emery Down w stronę Lyndhurst. Zalegająca nisko mgła otulała żywoploty, odstraszała ptaki, tłumiąc wszystkie dźwięki i tworząc kokon, w którym istniał tylko on i jego myśli. Przeszedł prawie trzy mile, zanim zaczął wspinać się po południowym stoku wzgórza. Mgła powoli się rozwiewała, a pierwsze promienie wschodzącego słońca przecięły wilgotne powietrze. Właśnie wynurzył się z tumanu mgły, kiedy zobaczył skubiącego wilgotny kolcolist daniela na oświetlonym słońcem zboczu. Urquhart przycupnął za niskim krzakiem, czekał.

Nie miał skłonności do introspekcji, ale bywały chwile, kiedy potrzebował zagłębić się w siebie i w tej wewnętrznej przestrzeni odnajdował swojego ojca, a przynajmniej coś z niego. To właśnie na podobnym do tego wrzosowisku, tyle że w górach Szkocji, pod żółto

kwitnącym krzakiem kolcolistu znaleźli jego ciało. Obok leżała jego ulubiona, odziedziczona po ojcu strzelba Purdey kalibru dwadzieścia milimetrów z tylko jednym zużytym nabojem. Tyle wystarczyło, żeby odstrzelić mu pół głowy. Głupi człowiek, słaby. Przyniósł nazwisku Urquhart wstyd, który nadal sprawiał, że jego syn kulił się w sobie i czuł się mały.

Daniel podniósł wysoko głowę, wężąc w porannym powietrzu. Szerokie, wiosłowate poroże błyszczało w młodym słońcu, a na nakrapianym boku widać było bliznę, sugerującą, że może walczył podczas ostatniego rykowiska i przegrał. To młody samiec, dostanie następną szansę, ale Urquhart wiedział, że on sam nie będzie miał tyle szczęścia. Walka, którą prowadził, będzie jego ostatnią. Nie pojawi się już następna okazja.

Daniel podszedł bliżej, dalej skubiąc listki, nieświadomy jego obecności. Jego kasztanowa sierść lśniła w słońcu, a krótki ogon drżał. Był to widok, który w młodości Urquhart mógł podziwiać godzinami, jednak teraz nie potrafił tu wysiedzieć, nie z widmem swojego ojca. Wstał, niecałe trzydzieści metrów przed zwierzęciem. Daniel zamarł zdezorientowany, czując, że już powinien nie żyć. Potem uskoczył w bok i w jednej chwili zniknął we mgle. Gonił go śmiech Urquharta.

Kiedy wrócił do domu, poszedł prosto do swojego gabinetu, nie przebierając się, i podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do naczelnych czterech głównych niedzielnych gazet. Dowiedział się, że dwóch z nich pisze wstępniaki z poparciem dla niego, jeden stanął za Samuelem, a ostatni był neutralny. Jednak wszyscy czterej byli przekonani, choć w różnym stopniu, że Urquhart ma wyraźną przewagę, a opinię tę potwierdzali ankieterzy „Observera”, którym udało się dotąd skontaktować ze zdecydowaną większością klubu

parlamentarnej partii. Sondaż przewidywał, że Urquhart może spokojnie wygrać, zgarniając sześćdziesiąt procent głosów.

- Chyba tylko trzęsienie ziemi mogłoby teraz pana powstrzymać – stwierdził jeden z naczelnych.

- Albo prawda – szepnął Urquhart, kiedy już odłożył słuchawkę.

Wciąż jeszcze siedział w swoim gabinecie, kiedy usłyszał samochód O’Neilla hamujący ostro na żwirowym podejździe. Irlandczyk zaparkował byle jak i wygramolił się ze znużeniem z auta. Kiedy szedł do przedpokoju, Urquhartowi rzuciło się w oczy, że jego gość już niemal w niczym nie przypomina człowieka, którego niecałe pół roku wcześniej zaprosił na lunch w swoim klubie. Niedbala elegancja zmieniła się w zwykłą niechlujność, włosy, kiedyś swobodnie ułożone, teraz były zaniedbane, ubranie pogniecione, kołnierzyk rozpięty. Niegdyś czarujący, modny PR-owiec wyglądał teraz jak zwykły menel, a jego głębokie oczy z tym błyskiem, który kobiety i klienci uważali za tak zniewalający, zapadły się gdzieś, zginęły bez śladu, zastąpione przez dwoje dzikich ślepi, które rozglądały się desperacko po holu, bezustannie szukając czegoś, czego nigdy nie znajdą.

Urquhart zaprowadził O’Neilla do jednego z pokoi gościnnych na drugim piętrze. Niewiele mówił, kiedy wchodzili po schodach, bo każdą sekundę wypełniała paplanina O’Neilla i wygłaszane bez tchu komentarze. Gość okazał znikome zainteresowanie pięknym widokiem na New Forest, rozciągającym się z okien pokoju. Niewielką walizkę rzucił niedbale na łóżko. Wrócili schodami na parter, gdzie Urquhart poprowadził go przez stare, sfatygowane dębowe drzwi do pełnego książek gabinetu.

- Francis, jak tu pięknie, naprawdę pięknie - powiedział O'Neill, patrząc na kolekcję oprawionych w skórę książek, na obrazy o tradycyjnej tematyce, od okrętów pod pełnymi żaglami na wzburzonym morzu po członków szkockich klanów w kraciastych zielonych kiltach, oraz na dwa zabytkowe globusy. Gabinet nie był piękny, to typowa dla O'Neilla przesada, ale był przytulny i całkowicie w stylu Urquharta. We wnęce ciemnego drewnianego regału stały dwie karafki otoczone szklankami z rżniętego kryształu.

- Często się, Roger - zachęcił Urquhart. - Mam rzadką speyside i pewną whisky z wysp, z pełnym torfowym bukietem i morskim aromatem. Wybieraj. - Patrzył w chłodnym skupieniu, jak O'Neill napełnia szklankę po brzegi i przechyla ją do ust.

- Och, tobie też nalać, Francis? - wybełkotał O'Neill, przypominając sobie o dobrych manierach.

- Mój drogi Rogerze, jeszcze nie w tej chwili. Muszę zachować jasność umysłu, sam rozumiesz. Ale ty się nie krępuj.

O'Neill jeszcze raz nalał sobie od serca i osunął się na fotel. W trakcie rozmowy alkohol zaczął walczyć z innymi substancjami w jego organizmie i dziki błysk w jego oczach stał się nieco mniej rozgorączkowany, mimo że język bardziej mu się plątał, więc mówił coraz mniej składnie. Środek uspokajający ścierał się z pobudzającym, nigdy nie osiągając równowagi, nie przynosząc mu spokoju, zostawiając go nad skrajem przepaści.

- Roger - mówił właśnie Urquhart - wygląda na to, że pod koniec tygodnia będziemy już na Downing Street. Zastanawiałem się trochę nad tym, czego będę potrzebować. Myślałem, że moglibyśmy porozmawiać o tym, czego ty byś chciał.

O'Neill pociągnął kolejny łyk, zanim odpowiedział.

- Francis, jestem ci niesłychanie wdzięczny, że o mnie myślisz. Będziesz premierem pierwsza klasa, Francis, naprawdę. Tak się składa, że ja też myślałem trochę o tym wszystkim i tak się zastanawiałem, czy nie przydałby ci się ktoś taki jak ja na Downing Street. No wiesz, jako doradca albo może nawet rzecznik prasowy. Będziesz potrzebował pomocy, a nam tak dobrze się współpracowało, więc pomyślałem sobie...

Urquhart gestem nakazał mu milczenie.

- Roger, tam pracują dziesiątki urzędników służby cywilnej, którzy podejmą się tych obowiązków, to zresztą ludzie, którzy już mają w tym doświadczenie. Mnie potrzebny jest ktoś taki jak ty, kto zajmie się kwestiami politycznymi, komu mógłbym zaufać, wiedząc, że uniknie wszystkich tych parszywych błędów, które popełniała administracja partyjna w ostatnich miesiącach. Bardzo bym chciał, żebyś został w centrali partii, oczywiście pod rządami nowego przewodniczącego.

O'Neill z niepokojem zmarszczył brwi. Ta sama nieistotna praca, przyglądanie się z boku, jak służba cywilna wszystkim kręci? Czy to nie tym się zajmował przez ostatnie lata?

- Ale, żeby zrobić coś takiego skutecznie, Francis, będę potrzebował wsparcia, jakiegoś specjalnego statusu. Wydawało mi się, że wspominaliśmy o tytule szlacheckim.

- Tak, Roger, w rzeczy samej. Bezsprzecznie ci się należy. Byłeś dla mnie absolutnie niezastąpiony i musisz wiedzieć, że jestem ci niezmiernie wdzięczny. Ale popytałem tu i ówdzie. Okazuje się, że wyrażenie uznania w takiej formie może nie być możliwe, przynajmniej na razie. Już tyle osób czeka w kolejce na honorowy tytuł przy okazji odejścia obecnego premiera, a liczba tytułów, które może

rozdać nowy premier, jest ograniczona. Obawiam się, że to może potrwać...

O'Neill siedział w fotelu rozwalony, zsuwając się ze skórzanego siedzenia, ale teraz podciągnął się i wyprostował, zdezorientowany, oburzony.

– Francis, nie tak się umawialiśmy.

Urquhart był zdecydowany sprawdzić O'Neilla, postraszyć go, poszturczyć, wsadzić mu palec w oko albo w dupę, wystawić go na zniewagi i rozczarowania, na próbę poddać go presji, pod którą nieuchronnie się znajdzie w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Chciał zobaczyć, jak bardzo można go naciskać, zanim pęknie. Nie mógł już czekać ani chwili dłużej.

– Nie tak się, kurwa, umawialiśmy, Francis. Obiecałeś! Taka była umowa! Dałeś słowo, a teraz mi mówisz, że nic z tego. Nie ma pracy. Nie ma tytułu. Nie teraz, nie w najbliższym czasie, nigdy! Masz, czego chciałeś, i myślisz, że możesz się mnie pozbyć. No to się lepiej zastanów! Kłamałem, oszukiwałem, fałszowałem i kradłem dla ciebie. Teraz traktujesz mnie tak jak cała reszta. Nie pozwolę, żeby ludzie dłużej mnie wyśmiewali za moimi plecami i patrzyli na mnie z góry, jakbym był jakimś śmierdzącym irlandzkim wieśniakiem. Zasłużyłem na ten tytuł szlachecki i się go domagam!

Szklanka była pusta i roztrzęsiony O'Neill zwlekł się z fotela, żeby dolać sobie whisky. Wybrał drugą karafkę, nie dbając o to, co w niej jest, rozchlapując ciemny słodowy trunek. Z głośnym siorbnięciem pociągnął potężny łyk, po czym odwrócił się do Urquharta i dalej grzmiał z oburzeniem.

– Przeszliśmy to wszystko razem jako drużyna, Francis. Ja to wszystko zrobiłem dla ciebie, a ty beze mnie nawet byś się nie zbliżył

do Downing Street. Albo ten sukces odniesiemy razem, albo razem mamy przejebane. Jeśli mam skończyć w szambie, Francis, niech mnie szlag, jeśli dam się tam wrzucić sam. Nie możesz sobie na to pozwolić, za dużo wiem. Wisisz mi! – Cały się trząsał, rozlewając whisky. Żrenice miał jak punkciki po ukłuciu igłą. Z kącika ust ściekała mu ślina.

Padły słowa, padły groźby. Urquhart rzucił O’Neillowi rękawicę prowokacji, którą ten niemal natychmiast podniósł i wytrząsał nią Urquharta po twarzy. Wyraźnie nie była to już kwestia tego, czy O’Neill straci kontrolę, tylko jak szybko, a jak się okazało, nastąpiło to błyskawicznie. Poddawanie go dalszym próbom nie miało większego sensu. Urquhart szybko zakończył scenę szerokim uśmiechem, kręcąc głową.

– Roger, drogi przyjacielu. Źle mnie zrozumiałeś. Mówię tylko, że trudno będzie załatwić ci tytuł tym razem, przy okazji noworocznej listy uhonorowanych. Ale jest przecież następna na wiosnę, na urodziny królowej. Właściwie zaledwie kilka tygodni później. Proszę cię tylko, żebyś zaczekał do tego czasu. – Położył rękę na drżącym ramieniu O’Neilla. – A jeśli chcesz mieć pracę na Downing Street, to coś ci znajdziemy. Jesteśmy drużyną, ty i ja. Należy ci się. Daję ci słowo honoru, Roger, że nie zapomnę, na co zasługujesz.

O’Neill nie był w stanie odpowiedzieć na to czymś więcej niż mruknięciem. Jego furia opadła, alkohol robił swoje, porwane na strzępy emocje posklejały się z powrotem. Opadł na fotel, poszarzały na twarzy, wyczerpany.

– Słuchaj, prześpij się przed lunchem. Możemy dogadać szczegóły później – zaproponował Urquhart i sam dolał O’Neillowi whisky.

Nie mówiąc już ani słowa, O’Neill zamknął oczy. Opróżnił kolejną szklankę i po kilku sekundach jego oddech zwolnił, ale nawet we śnie

oczy drgały mu gorączkowo pod powiekami. Dokądkolwiek odpłynął umysł O’Neilla, nie zaznał spokoju.

Urquhart siedział, patrząc na jego skurczoną postać. O’Neillowi kapało z nosa. Widok jeszcze raz przypomniał Urquhartowi dzieciństwo i labradora, który przez lata służył mu wiernie jako pies myśliwski i nieodłączny towarzysz. Pewnego dnia łowczy oznajmił, że pies doznał udaru i trzeba go uśpić. Urquhart był zdruzgotany. Pognął do stajni, gdzie spał labrador, i ujrzał żalospny widok: zwierzę, które straciło nad sobą kontrolę. Tylne łapy miał sparaliżowane, wypróżnił się pod siebie, a z pyska i nosa leciał mu śluz, jak teraz O’Neillowi. Zdołał tylko zaskomlić na powitanie. W oku starego łowczego błysnęła łza, kiedy drapał go za uchem.

– Nie będziesz już ganiał królików, staruszkę – szepnął. Odwrócił się do młodego Urquharta. – Niech panicz już idzie, paniczu Francis.

Ale Urquhart odmówił.

– Wiem, co trzeba zrobić – powiedział.

Wykopali więc razem grób na tyłach sadu, koło gęstego żywopłotu z cisów, i przenieśli psa na rozświetlony kawałek ziemi w pobliżu, gdzie mógł czuć ciepło jesiennego słońca. A potem Urquhart go zastrzelił. Skrócił mu cierpienie. Kiedy patrzył teraz na O’Neilla, przypominał sobie, jak płakał, odwiedzając miejsce, w którym pochował labradora, i zastanawiał się, dlaczego niektórzy ludzie zasługują na mniejszą litość niż głupie zwierzęta.

Zostawił O’Neilla w bibliotece i poszedł po cichu do kuchni. Pod zlewem znalazł parę gumowych rękawic i schował je do kieszeni, dokładając jeszcze łyżeczkę do herbaty, po czym wyszedł tylnymi drzwiami i skierował się w stronę wychodka. Stare drewniane drzwi jęknęły na zardzewiałych zawiasach, kiedy wszedł do komórki

w ogrodzie. Woń stęchlizny uderzyła go w nozdrza. Rzadko korzystał z tego miejsca, ale dokładnie wiedział, czego szuka. Pod przeciwległą ścianą stał wiekowy, podniszczony kredens, który wiele lat temu wyrzucono ze starej spiżarni i który teraz służył za magazyn na wpół zużytych puszek farby i oleju oraz za dom dla armii energicznych korników. W tylnym rzędzie, schowana za innymi stała jeszcze jedna, szczelnie zamknięta puszka. Założył gumowe rękawice, zdjął ją z półki i pomaszerował z powrotem do domu, trzymając puszkę tak, jakby niósł płonącą pochodnię.

Zajrzał do gabinetu i sprawdził, co z O’Neillem – wciąż głęboko spał, a jego chrapanie przypominało pomruk odległej burzy. Urquhart wszedł cicho po schodach do pokoju gościnnego i z ulgą stwierdził, że O’Neill nie zamknął walizki na zamek. Znalazł to, czego szukał, w kosmetyczce, wciśnięte między pastę do zębów a przybory do golenia. Była to puszka talku, którą otworzył, lekko przekręcając zakrętkę. W środku zamiast talku tkwił plastikowy woreczek strunowy z mniej więcej łyżką stołową białego proszku. Zaniósł torebkę na wypolerowane mahoniowe biurko stojące pod oknem wykuszowym i wyjął z szuflady trzy kartki niebieskiego papieru listowego. Położył jedną na blacie i wysypał na nią zawartość woreczka, formując niewielką kupkę. Obok umieścił drugą kartkę, i nie zdejmując gumowych rękawiczek, otworzył przyniesioną z komórki puszkę, po czym nabrał z niej łyżeczką biały proszek i usypał z niego kupkę podobnej wielkości. Trzonkiem łyżeczki starannie podzielił oba kopczyki białego proszku na dwie równe części i przesypał po jednej połowie na trzecią kartkę, którą wcześniej zagiął na środku. Ziarenka miały niemal identyczny kolor i konsystencję. Zmieszał dwie połówki ze sobą, aby nie dało się poznać, że wcześniej nie był to jeden i ten

sam proszek. Podniósł kartkę i przygotował się do wsypania mieszanki z powrotem do plastikowego woreczka, w czym miało mu pomóc biegnące przez środek arkusza zagięcie.

Popatrzył na kartkę i na swoją dłoń. Lekko drżała. Czy to nerwy, wiek, niezdecydowanie? Coś, co odziedziczył po ojcu? Nie, tylko nie to. Nigdy! Zrobi to, co trzeba. Proszek bez oporów przesypał do plastikowej torebki, a następnie ją zamknął. Wyglądała, jakby nikt jej nie ruszał.

Pięć minut później, w rogu ogrodu koło wierzby płaczącej, gdzie ogrodnik zawsze gromadził na kupę różne śmieci gotowe do spalenia, Urquhart rozpałił ognisko. Puszka była już pusta, jej zawartość spuścił w klozecie, a ją samą wrzucił w płomień, razem z niebieskim papierem listowym i gumowymi rękawiczkami. Patrzył na ognisko, które najpierw rozbłysło, potem dymiło, aż w końcu została z niego tylko stara, zniszczona pushka, przysypana popiołem.

Wrócił do domu, nalał sobie dużą whisky, wypił ją prawie tak chciwie, jak wcześniej O'Neill, i dopiero wtedy się rozluźnił.

Załatwione.

Rozdział 45

Francis Drake, ten stary, mądry żeglarz pływający po wzburzonych morzach, powiedział, że skrzydła szansy są opierzone piórami śmierci. Najlepiej śmierci kogoś innego.

O'Neill spał od trzech godzin, kiedy obudziło go gwałtowne potrząsanie za ramię. Powoli odzyskał ostrość widzenia i zobaczył pochylającego się nad nim Urquharta.

- Roger, zmiana planów. Właśnie dzwoniли do mnie z BBC z pytaniem, czy mogą tu przysłać ekipę filmową, która ma coś nakręcić do wtorkowej relacji. Samuel podobno już się zgodził, więc uznałem, że nie mam wyboru i też muszę ich przyjąć. Trochę tu zabawią. Właśnie takiego scenariusza nie chcieliśmy. Jeśli cię tu zastaną, zaczną się najróżniejsze spekulacje na temat ingerencji centrali partii w wybory. Wolałbym uniknąć zamieszania. Przykro mi, ale chyba najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz natychmiast.

O'Neill nie zdążył jeszcze znaleźć języka w gębie, a Urquhart już wlewał w niego kawę, tłumacząc ponownie, że bardzo mu przykro z powodu tego skróconego weekendu, ale że się cieszy, że wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia.

- Pamiętaj, Roger. Tytuł szlachecki na Zielone Świątki, a sprawę twojej pracy możemy doprecyzować w przyszłym tygodniu. Tak się cieszę, że mogłeś przyjechać. Naprawdę jestem wdzięczny - mówił Urquhart, wpychając O'Neilla do samochodu.

Patrzył, jak jego gość z wystudiowaną ostrożnością wykręca na podjeździe i wyjeżdża przez bramę.

- Żegnaj, Roger – szepnął.

Rozdział 46

Żądza poszerza horyzonty. Miłość je zawęża aż do zaślepienia.

Niedziela, 28 listopada

Poranne trele poważnych niedzielnych gazet były muzyką dla uszu rzecznika dyscypliny i jego zwolenników.

„Urquhart na prowadzeniu” – obwieszczał „Sunday Times” na pierwszej stronie, uzupełniając tę deklarację poparciem wyrażonym w dziale opinii. Zarówno „Telegraph”, jak i „Express” otwarcie stanęły za Urquhartem, natomiast „Mail on Sunday” zajął niewygodną pozycję w rozkroku. Tylko „Observer” udzielił poparcia Samuelowi, ale jednak z zastrzeżeniem, że Urquhart wyraźnie prowadzi w sondażach.

Trzeba było dopiero jednego z brukowców, „Sunday Inquirer”, żeby porządnie wstrząsnąć kampanią. W przeprowadzonym z Samuelem wywiadzie o „młodych latach” gazeta wróciła do sprawy jego przelotnego uczestnictwa w wielu różnych klubach uniwersyteckich. Naciskany, Samuel przyznał, że zanim skończył dwadzieścia lat, był sympatykiem szeregu modnych wówczas spraw, które trzydzieści lat później wydają mu się naiwne i niestosowne. Dopiero kiedy reporter dobitnie podkreślił, że gazeta ma dowody świadczące o tym, iż wśród tych spraw znalazła się kampania na rzecz rozbrojenia atomowego oraz republikanizm, Samuel zaczął podejrzewać, że został podpuszczony.

– Tylko nie wracajmy do tych starych bredni – odparł cierpko.

Myślał, że uporał się z tymi niedorzecznymi zarzutami dwadzieścia lat temu, kiedy po raz pierwszy kandydował do parlamentu. Jeden

z rywali wysłał list z oskarżeniami do centrali partii. Zarzuty zbadała rzetelnie partyjna stała komisja do spraw kandydatów i wystawiła mu dobre świadectwo. Ale teraz znów je wyciągnięto, upiory powstałe z grobu po tych wszystkich latach, zaledwie kilka dni przed ostatecznym głosowaniem.

– Robiłem to, co robił osiemnastoletni student w tamtych czasach. Poszedłem na dwa marsze kampanii na rzecz rozbrojenia atomowego i nawet dałem się przekonać, żeby zaprenumerować pewną studencką gazetę, którą, jak się później dowiedziałem, prowadzili republikanie. – Próbowałem zaśmiać się na to wspomnienie, usilnie starając się nie sprawić wrażenia, że ma coś do ukrycia. – Popierałem też z pełnym przekonaniem ruch przeciwko apartheidowi i do dziś czynnie się apartheidowi sprzeciwiam – powiedział dziennikarzowi. – Czy czegoś żałuję? Nie, tak naprawdę nie żałuję tych moich wczesnych prób zaangażowania politycznego. Były to nie tyle błędy młodości, co znakomity poligon doświadczalny dla moich obecnych poglądów. Wiem, jak niemądry jest ruch na rzecz rozbrojenia atomowego, bo widziałem to na własne oczy. I kocham królową!

Jednak to nie ten tekst „Inquirer” zdecydował się podkreślić. „Samuel był komuchem!” – krzyczał nagłówek wołami na pół pierwszej strony, a dopisek zapowiadał „szokujące rewelacje”, przedstawione „tylko u nas”, o tym, że minister środowiska był na studiach aktywnym lewicowcem. Samuel nie mógł uwierzyć w to, jak zinterpretowano jego słowa. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie jest to de facto oszczerstwo. Jednak sam artykuł pod nagłówkiem okazał się jeszcze gorszy.

Samuel przyznał wczoraj, że maszerował ulicami Londynu, popierając Związek Radziecki, jako członek ruchu na rzecz rozbrojenia atomowego

w latach sześćdziesiątych, kiedy manifestacje przeciwko broni jądrowej często kończyły się aktami przemocy.

Wspierał także finansowo grupę antymonarchistycznych bojówkarzy, dokonując regularnych, comiesięcznych wpłat na konto Cambridge Republican Movement, ruchu, którego część liderów głosiła poparcie dla IRA.

Lewicowe zaangażowanie Samuela w młodości od dawna niepokoi partyjnych liderów. W 1970 roku, w wieku dwudziestu siedmiu lat, Samuel zgłosił się do startu w wyborach powszechnych jako oficjalny kandydat partii. Przewodniczący partii był na tyle zaniepokojony, że zwrócił się do niego na piśmie z żądaniem wyjaśnienia „częstotliwości, z jaką jego nazwisko wiązało się na uniwersytecie ze sprawami, z którymi nasza partia się nie solidaryzuje”. Samuelowi udało się przejść tę próbę pomyślnie i zdobyć mandat. Jednak wczoraj nadal twardo obstawał przy swoim.

„Niczego nie żałuję” – stwierdził, dodając, że wciąż sympatyzuje z niektórymi z tych lewicowych ruchów, które kiedyś popierał.

Przez resztę dnia panowało nerwowe zamieszanie. Nikt tak naprawdę nie wierzył, że Samuel jest kryptokomunistą. Artykuł był po prostu jednym z tych bzdurnych, sensacyjnych tekstów napisanych raczej z zamiarem podniesienia sprzedaży niż uświadamiania społeczeństwa, ale te rewelacje trzeba było sprawdzić. Jak było do przewidzenia, doprowadziło to do chaosu akurat w momencie, kiedy Samuel rozpaczliwie próbował uspokoić swoich zwolenników i skupić ich uwagę na poważnych kwestiach kampanii.

W południe lord Williams wydał oświadczenie ostro potępiające gazetę za wykorzystanie poufnych dokumentów, które, jak twierdził, zostały skradzione. „Inquirer” natychmiast odpowiedział, że chociaż partia najwyraźniej wykazała się niewybaczalną niekompetencją w pilnowaniu własnych tajnych materiałów, gazeta chętnie spełni swój obywatelski obowiązek i zwróci teczkę, która znalazła się w jej

posiadaniu, prawowitym właścicielom w centrali partii – co rzeczywiście zrobiła jeszcze tego samego dnia, tak że zdążyły to uchwycić telewizyjne wiadomości, przywracając temat do życia.

Nikt nie przypisywał tej historii głębszego znaczenia. Większość potraktowała ją lekceważąco, uznając, że w równej mierze dotyczy typowej niekompetencji centrali partii, co samego Samuela. Jednak jego kampania od początku miała pecha. Napoleon prosił o generałów, którzy mają szczęście, a Wielka Brytania nie mogła być gorsza. Cała ta sytuacja nie wpływała szczególnie uspakajająco na kogoś, kto twierdził, że ma wszystko pod kontrolą. Nie tak powinno się spędzać ostatnie godziny przed bitwą.

Zadzwoił do Mattie.

– Potrzebuję cię. Możesz przyjść?

Przyleciała do niego jak na skrzydłach, do jego domu przy Cambridge Street, a kiedy tylko zamknął drzwi, odgradzając ich od świata, już był przy niej, na niej, w niej. Przepelniała go niesłychana energia, jakby desperacko potrzebował ulgi. Krzyknął krótko, kiedy skończył, a ona w tym samotnym dźwięku doszukała się w pierwszej chwili wyrazu udręki, a może winy? Dążenie do władzy budzi wiele namiętności, które nie zawsze można łatwo ze sobą pogodzić. Sama o tym wiedziała. Kiedy skończyli, zsunęła się z niego i leżeli przez chwilę obok siebie w milczeniu, pogrążeni w swoich myślach.

– Dlaczego do mnie zadzwoniłeś, Francis? – zapytała w końcu.

– Potrzebowałem cię, Mattie. Poczułem się nagle bardzo samotny.

– Niedługo będziesz miał wokół siebie cały świat. Ani chwili dla siebie.

– Chyba częściowo o to chodziło. Trochę się boję. Potrzebuję kogoś, komu mogę ufać. Mogę ci ufać, Mattie, prawda?

– Przecież wiesz, że tak. – Pocałowała go. – Wiem, że to nie będzie trwać wiecznie, ale jak już ze mną skończysz, lepiej zrozumieć samą siebie i wszystko, co mnie interesuje.

– Czyli?

– Władzę. Jej granice. Kompromisy, których wymaga. Oszustwa.

– To przeze mnie zrobiłaś się taka cyniczna?

– Chcę być najlepszą korespondentką polityczną w kraju, a może na całym świecie.

– Wykorzystujesz mnie! – roześmiał się.

– Mam nadzieję.

– Różnimy się od siebie pod tyloma względami, ty i ja, Mattie, ale jakoś czuję, że jeśli mogę być pewny twojej... – poszukał właściwego słowa – lojalności, to przez jakiś czas cały świat może iść za twoim przykładem.

Przesunęła delikatnie palcem po jego wargach.

– To chyba coś więcej niż lojalność, Francis.

– Nie możemy wejść w to zbyt głęboko, Mattie. Świat nam nie pozwoli.

– Ale tutaj jesteśmy tylko ty i ja, Francis. – Z powrotem wsunęła się na niego i tym razem nie krzyknął z udręką.

Rozdział 47

Czasem niena widzę się za swoje niedociągnięcia. Ale łatwiej jest mi bar dziej niena widzieć inn ych.

Poniedziałek, 29 listopada

Woźny znalazł zwłoki zaraz na początku swojej zmiany, którą zaczął o 4:30, w ciemny, mroźny poranek, w punkcie obsługi podróżnych Rownhams przy autostradzie M27 w pobliżu Southampton. Sprzątał toalety, kiedy odkrył, że drzwi jednej z kabin nie chcą się otworzyć. Miał prawie sześćdziesiąt osiem lat, więc zaklął, że musi przygiąć swoje stare kości niemal do podłogi, żeby zajrzeć pod drzwi. Trudno mu było schylić się tak nisko, ale w końcu dostrzegł dwa buty. Wystawały z nich skarpetki i nogi, co całkowicie zaspokoilo jego ciekawość. W kabynie siedział facet, i czy był pijany, martwy, czy umierający, cały harmonogram sprzątnania i tak szlag trafi. Woźny znów zaklął i ruszył chwiejnym krokiem po kierownika.

Kierownik posłużył się śrubokrętem, próbując otworzyć zamek od zewnątrz, ale okazało się, że kolana faceta blokowały drzwi, więc chociaż kierownik pchał z całej siły, nie dał rady otworzyć ich szerzej niż na kilka cali. Wsunął rękę w szparę, chcąc przesunąć te zaklinowane kolana, ale zamiast nich dotknął zwisającej bezwładnie dłoni, zimnej jak lód. Odskoczył ze zgrozą i uparł się, żeby dokładnie umyć ręce, zanim poszedł wezwać policję i karetkę, podczas gdy woźny został na straży.

Policjanci przyjechali kilka minut po piątej, i mając więcej doświadczenia w takich sprawach niż woźny i kierownik, w kilka sekund zdjęli drzwi kabiny z zawiasów. Ciało O'Neilla, całkowicie

ubrane, opierało się bezwładnie o ścianę. Błada jak płótno twarz była rozciągnięta w odsłaniającym zęby upiornym grymasie. Oczy miał szeroko otwarte. Na jego kolanach policja znalazła rozkręconą na pół pustą puszkę po talku, a na podłodze obok – plastikową torebkę z kilkoma ziarenkami białego proszku oraz teczkę wypchaną politycznymi broszurami. Więcej białych granulek wykryli na skórzanym wieku teczki, którą O'Neill ewidentnie ułożył sobie na kolanach jako płaską podkładkę. Z jego zaciśniętej pięści udało im się wyciągnąć skręcony banknot dwudziestofuntowy, który najpierw musiał być zwinięty w rurkę, a potem zgnieciony w przedśmiertnym paroksyzmie. Drugą rękę O'Neill miał wyciągniętą nad głową, jakby szczerzący się trup żegnał się ostatnim, makabrycznym gestem.

– Jeszcze jeden narkol bierze złoty strzał – mruknął sierżant do swojego młodszego kolegi. – Zwykle znajduje się ich raczej z igłą w żyłę, ale ten tutaj chyba odwalił umierającego łabędzia na kokainie.

– Nie wiedziałem, że od kokainy można umrzeć – zdziwił się posterunkowy.

– Może serce nie wytrzymało. Albo towar był przeżeniony. Dealerzy dużo tego opychają po tych parkingach na autostradzie, a ćpuny nigdy nie wiedzą, co kupują. Czasem mają pecha. – Zaczął przetrząsać kieszenie O'Neilla, szukając jakichś wskazówek co do jego tożsamości. – Do roboty, synek, zadzwoń po cholernych fotografów, niech uwiecznią tę potworną scenkę. Nie ma co tu stać i medytować nad tym... panem Rogerem O'Neilem – obwieścił, znalazłszy portfel z kilkoma kartami kredytowymi. – Ciekawe, kto to jest. Czy raczej był.

O 7:20 przedstawiciel koronera zezwolił na wyniesienie denata. Załoga karetki z trudem wyciągnęła poskręcane ciało z kabiny

i właśnie kładła je na nosze, kiedy policja odebrała wiadomość przez radio. Trup miał nie tylko nazwisko, ale także życiorys.

– Cholera – powiedział sierżant do radiooperatora. – No to rozpęta się piekło. Zwalą się inspektorzy z kryminalnego, komisarze, nawet komendant, żeby rzucić okiem na tego gagatka. – Podrapał się po brodzie i odwrócił do młodego posterunkowego. – Trafił nam się przypadek za sto punktów. Wygląda na to, że nasz chłoptaś tam na noszach był polityczną figurą z powiązaniem na Downing Street. Lepiej się przyłóż i napisz cholernie dobry raport, synek. Skrupulatnie i ze szczegółami. Ma szansę na bestseller, tak sobie myślę.

Mattie brała prysznic, splukując z siebie ostatnie ślady poprzedniego wieczoru, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się Krajewski, prosto z newsroomu „Chronicle”.

– Cholernie wczesna pora, Johnnie – zaczęła z pretensją, ale jej przerwał.

– Musisz się o tym dowiedzieć. Jeszcze jeden z tych twoich nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności. Właśnie przyszło teleksem. Policja z Southampton znalazła twojego Rogera O’Neilla martwego w publicznej toalecie, dosłownie parę godzin temu.

Stała nago, ociekając wodą, nieświadoma, że na dywanie zbiera się kałuża.

– Powiedz, że to tylko taki twój niesmaczny żart na dzień dobry, Johnnie. Proszę.

– Najwyraźniej jest mi pisane być dla ciebie ciągłym rozczarowaniem, Mattie. To się dzieje naprawdę. Już wysłałem na miejsce reportera, ale wygląda na to, że miejscowa policja wezwała wydział do spraw narkotyków. Podobno mógł przedawkować.

Mattie zadrżała, bo jeden z kawałków układanki wskoczył na miejsce z hukiem przypominającym zatrzaśnięcie drzwi więziennej celi.

– A więc o to chodziło. Narkoman. Nic dziwnego, że był taki rozdygotany.

– No nie był to facet, którego by się chciało posadzić w samolocie koło wyjścia awaryjnego, to na pewno – odparł Krajewski, ale jeszcze kiedy mówił, usłyszał w słuchawce głośny jęk przygnębienia i frustracji.

– Mattie, co jest...?

– To był nasz człowiek. Jedyne, o którym wiemy na pewno, że był zamieszany we wszystkie świństwa i przekręty, który wszędzie zostawił za sobą ślady. Facet, który mógł być dla nas kluczem do całej tej choleralnej zagadki. A teraz zniknął ze sceny dzień przed wyborem nowego premiera, zostawiając nas z niczym. Nie rozumiesz, Johnnie?

– Czego?

– Że to nie może być przypadek. To morderstwo, do cholery!

Kiedy tylko zarzuciła na siebie jakieś ciuchy, nawet nie susząc włosów, Mattie pognęła na poszukiwania Penny, ale jej wysiłki wydawały się daremne. Bezskutecznie dzwoniła domofonem w bramie jej kamienicy przez kilka minut bez przerwy, aż jakiś młody lokator w pośpiechu zostawił uchylone drzwi i Mattie wślizgnęła się do środka. Pojechała skrzypiącą windą na trzecie piętro i odszukała mieszkanie Penny. Pukała przez następne kilka minut, wreszcie usłyszała jakieś szuranie, a potem szcęk odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się powoli. W pierwszej chwili nigdzie nie było widać śladu Penny, ale kiedy Mattie weszła do środka, znalazła ją siedzącą w ciszy na kanapie, przy zaciągniętych zasłonach, zagapioną w pustkę.

- Już wiesz - szepnęła Mattie.

Ból, który przeorał twarz Penny, wystarczył jej za odpowiedź.

Mattie usiadła koło niej i wzięła ją za rękę. Palce Penny powoli zacisnęły się wokół dłoni Mattie, z desperacją tonącej osoby, która chwyta się kurczowo kawałka dryfującego drewna.

Kiedy wreszcie Penny się odezwała, mówiła łamiącym się głosem, pełnym udręki.

- Nie zasługiwał na śmierć. Może był słabym człowiekiem, ale nie nikczemnym. Miał dobre serce.

- Co robił w Southampton?

- Pojechał do kogoś na weekend. Nie chciał powiedzieć do kogo. Taka tam głupia tajemnica.

- Może się czegoś domyślasz?

Penny pokręciła głową sztywnym, mechanicznym ruchem.

- Wiesz, dlaczego nie żyje? - zapytała Mattie.

Penny spojrzała jej w twarz płonącymi oskarżycielsko oczami.

- On nic cię nie obchodzi, co? Interesuje cię tylko jego śmierć.

- Przykro mi, że nie żyje, Penny. Jest mi też przykro, bo myślę, że Rogera obwiniają o dużo różnych złych rzeczy, które ostatnio miały miejsce. I uważam, że to nie fair.

Penny zamrugnęła powoli, jak tępak usiłujący zrozumieć zagadnienie z fizyki kwantowej.

- Ale dlaczego mieliby obwiniać Rogera?

- Myślę, że ktoś go zrobił. Ktoś go wykorzystał w brudnej politycznej grze, manipulował nim, kręcił i naciskał, aż Roger pękł.

Penny zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

- Nie on jeden został wrobiony - powiedziała w końcu.

- Jak to?

– Pat. Przysłali mu kasetę. Myślał, że to ja.

– Jaki Pat?

– Patrick Woolton. Myślał, że to ja nas nagrałam, jak byliśmy razem w łóżku, żeby go szantażować. Ale to ktoś inny. Nie ja.

– To dlatego się wycofał! – krzyknęła Mattie, nagle wszystko rozumiejąc. – Ale... kto mógł was nagrać, Penny?

– Nie wiem. Chyba prawie każdy, kto był na kongresie partii. Każdy w Bournemouth, każdy w hotelu.

– Penny, to niemożliwe! Ten, kto szantażował Patricka Wooltona, musiał wiedzieć, że z nim spałaś.

– Rog wiedział. Ale on by nigdy... prawda? – Spojrzała błagalnie, nagle rozpaczliwie pragnąc potwierdzenia swojej wiary. Zaczęły ją przytłaczać wątpliwości.

– Rogera też ktoś szantażował. Ktoś, kto musiał wiedzieć, że bierze narkotyki. Ktoś, kto zmusił go do ujawniania poufnych sondaży, zmieniania plików komputerowych i wszystkich tych innych rzeczy. Ktoś, kto...

– Go zabił?

– Tak sądzę, Penny – powiedziała cicho.

– Dlaczego...? – zawyła Penny.

– Żeby zatrzeć ślady.

– Znajdziesz go dla mnie, Mattie?

– Spróbuję – odparła. – Tylko nie wiem, od czego zacząć.

Zrobiło się przejmująco zimno, ale Mattie jakby tego nie zauważała. Jej umysł zaczął przypominać kosz na brudną bieliznę – był przepełniony użytymi teoriami. Próbując je uporządkować, dała sobie wycisk. Przebiegła długą trasę w parku, wygarnęła masy szpargałów, które uzbierały się w każdym kącie jej mieszkania, zabrała się nawet

do prasowania bielizny, ale nic nie pomagało. Śmierć O’Neilla zmieniła każdą myśl w jej głowie w ślepią uliczkę. Zapadł już wieczór, kiedy zadzwoniła do Krajewskiego.

– Przyjedź, Johnnie. Proszę.

– Musisz być zdesperowana.

Jej milczenie nie poprawiło mu samopoczucia.

– Ale pada cholerny śnieg – zaprotestował.

– Naprawdę?

– Dwadzieścia minut – mruknął i odłożył słuchawkę.

Zjawił się po prawie czterdziestu. Stał na progu, trzymając duże pudełko z pizzą.

– To dla mnie? – zapytała, otwierając drzwi. – Kochany jesteś.

– Nie, właściwie to dla mnie. Założyłem, że już jadłaś. – Westchnął.

– Ale chyba wystarczy dla nas dwojga. – Twardo sobie postanowił, że nie będzie jej niczego ułatwiał. Nie zasłużyła na to.

Zjedli pizzę oparci plecami o ścianę w dużym pokoju, nakruszyli, rzucili pudełko w kąt, znów robiąc bałagan na świeżo wyczyszczonej podłodze.

– Powiedziałeś Grevowi, że piszę książkę? – zapytała.

Wytarł palce w jakąś ścierkę.

– Jednak nie. Uznałem, że to nie najlepszy pomysł mówić mu, że dalej jestem z tobą w kontakcie. W „Chronicle” raczej cię w tej chwili nie kochają, Mattie. A poza tym – dodał z nutą rozgoryczenia w głosie – wszyscy by założyli, że cię bzykam.

– Zraniłam cię, co?

– Owszem.

– Przepraszam.

- Zawsze istnieje szansa, że wspomnisz o mnie w jakimś przypisie tej choleralnej książki.

- Robi się z tego coraz większa bomba, Johnnie, ale nie mam zakończenia, brakującego kawałka układanki.

- Czyli?

- Kto zabił O'Neilla.

- Co?! - wykrzyknął ze zgrozą.

- To jedyne sensowne wyjaśnienie - powiedziała poważnie i z ożywieniem. - Nic tu nie było przypadkiem. Dowiedziałam się, że Woolton był szantażowany i dlatego wycofał się z wyborów. Ktoś się go pozbył, tak jak Collingridge'a, McKenziego i Earle'a, jak podejrzewam. I O'Neilla.

- Masz w ogóle pojęcie, o czym mówisz? Ten głupi buc przedawkował! Nie mamy przecież do czynienia z KGB.

- Jeśli chodzi o O'Neilla, to równie dobrze moglibyśmy mieć.

- O Jezu!

- Johnnie, tak działa ktoś, kto nie cofnie się przed niczym.

- Ale kto? I dlaczego?

- W tym właśnie problem, do diabła. Nie wiem! Wszystkie tropy prowadzą do O'Neilla, a on nie żyje! - Kopnęła z frustracją puste pudełko po pizzy.

- Słuchaj, a nie prościej założyć, że te wszystkie wygłupy to dzieło samego O'Neilla?

- Ale po co by w to wchodził?

- Nie wiem. Szantaż. Może chciał mieć pieniądze na narkotyki. A może z żądy władzy. Nałogowcy nigdy nie wiedzą, kiedy przestać. Za bardzo się w to uwikłał i strach go obleciał. Stracił kontrolę i się zabił.

– Kto popełnia samobójstwo w publicznej toalecie? – prychnęła pogardliwie.

– Miał kompletnie zryty mózg!

– I ten, kto go zabił, to wykorzystał!

Oboje sapali z frustracji, siedząc ramię przy ramieniu, ale jakby na przeciwnych biegunach.

– Jeszcze raz od początku – powiedział Krajewski z uporem. – Wszystkie przecieki. Zastanówmy się, kto miał motyw i sposobność.

– Forsa nie była motywem. Nic na to nie wskazuje.

– W takim razie to musi być jakaś brudna gra o władzę.

– Zgadzam się. Co oznacza, że to nie O'Neill za tym wszystkim stał.

– Ale miał sposobność.

– Nie przy wszystkich przeciekach. Niektóre wyszły z rządu, nie z partii. Wyciekły poufne rzeczy, do których nie mieliby dostępu nawet wszyscy członkowie gabinetu, a co dopiero jakiś funkcjonariusz partyjny.

– Nawet Teddy Williams?

– Nie musiałyby się włamywać do własnych archiwów, prawda? A już zwłaszcza wyciągać teczek, które spuściły jego kumpla Samuela do ścieku.

– Czyli...

– Rząd. To musi być ktoś z rządu.

Krajewski znalazł drobny kawałek pizzy, który utknął mu gdzieś w policzku, i przesunął go językiem w zamyśleniu.

– Masz listę ministrów?

– Mam gdzieś w szufladzie.

– No to rusz ten swój fantastyczny tyłek i ją znajdź.

Po dłuższej chwili poszukiwań, które ujawniły poważne ograniczenia jej wcześniejszych wysiłków porządkowych, wyciągnęła listę z jakiejś sterty papierów i podała ją Krajewskiemu. Podszedł do jej roboczego stołu i odsunął na bok stosy książek i różne śmieci, odsłaniając gładki, laminowany biały blat. Ta biel była jak otwarty notes, który czeka, aby go zapisać. Krajewski wziął flamaster i zaczął bazgrać w pośpiechu wszystkie dwadzieścia dwa nazwiska.

– Dobra. Kto mógł być odpowiedzialny za przecieki? No, Mattie. Myśl!

Zaczęła chodzić po pokoju, chcąc się skoncentrować i próbując znaleźć drogę w biurokratycznym labiryncie.

– Były dwa przecieki, które mogły wyjść tylko z rządu – powiedziała wreszcie. – Cięcia w Armii Terytorialnej i dopuszczenie leku Renoksu do obrotu. Tak na oko możemy chyba jeszcze dodać do tego odwołanie programu rozwoju szpitali. Nigdy nie kupiłam tej bajeczki, że O’Neill i partia byli w to głębiej zaangażowani.

– W takim razie kto w rządzie wiedziałby o tych sprawach?

– Każdy, kto był w odpowiedniej komisji rządowej.

– Możesz zaczynać – powiedział z przyszykowanym flamastrem w rękę.

Zaczęła wymieniać członków różnych ministerialnych grup, które powinny wiedzieć wcześniej o tych decyzjach.

– Dobra, cięcia w armii – zaczęła. – Minister obrony, minister finansów, może kanclerz skarbu. – Członkostwo w komisjach rządowych miało być trzymane w tajemnicy, ale było przedmiotem plotek wśród wszystkich dobrze poinformowanych w kuluarach. – I oczywiście premier. – Liczyła na palcach. – No i jeszcze minister pracy, i minister spraw zagranicznych.

Krajewski odhaczył nazwiska na liście.

– Programem szpitalnym musiała się zajmować zupełnie inna komisja. Minister zdrowia, ministrowie skarbu, handlu i przemysłu, edukacji, środowiska. To chyba tyle.

Kolejne odfajkowane nazwiska.

– Ale zatwierdzenie leku Renoksu... Cholera, Johnnie, to w ogóle by nie poszło do żadnej komisji. To była sprawa w obrębie jednego ministerstwa, powinien się nią zajmować minister zdrowia i jego podsekretarze. Kancelaria premiera miałaby o tym pojęcie, oczywiście. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

Stała obok niego i oboje pochylili się nad stołem, przyglądając się dziełu Krajewskiego. Kiedy przebiegła wzrokiem listę, ramiona opadły jej bezradnie.

– Coś spieprzyliśmy – mruknął cicho Krajewski.

Tylko przy jednym nazwisku widać było trzy ptaszki. Tylko jeden człowiek miał dostęp do wszystkich trzech informacji, które pojawiły się w przeciekach, tylko jednego mogli uznać za winnego.

Henry Collingridge. Człowiek, który padł ofiarą tych przecieków. Dedukcja doprowadziła ich do najbardziej absurdalnego z możliwych wniosków.

– Kurwa! – krzyknęła z rozgoryczeniem i odwróciła się, jeszcze raz kopiąc sfatygowane pudełko po pizzy, z którego wyleciały kolejne okruszki. Po chwili jej frustracja przerodziła się w cichy płacz. Łzy zaczęły ściekać jej po policzku na piersi.

Objął ją.

– Przykro mi, Mattie – szepnął. – Chyba jednak Roger cały czas działał sam. – Pocałował jej policzki, poczuł smak soli, a potem

pocałował ją w usta w sposób, który miał w zamyśle rozproszyć jej smutki. Odsunęła się gwałtownie.

– Co się stało, Mattie? – zapytał urażony. – Czasem jesteśmy tak blisko, a potem...

Nie odpowiedziała, znów zaczęły jej lecieć łzy. Postanowił spróbować jeszcze raz.

– Mogę zostać na noc?

Pokręciła głową.

– Na kanapie?

Jeszcze jeden odmowny ruch głowy.

– Sypie jak na cholernej Alasce – powiedział błagalnie.

Podniosła wzrok, szepnęła:

– Przepraszam, Johnnie.

– Jednak masz kogoś innego, prawda?

Znów nie odpowiedziała.

Trzasnął za sobą drzwiami z taką siłą, że kilka luźnych kartek sfrunęło na podłogę.

Rozdział 48

Westminster to zoo. Znajdziecie tu wystawione na pokaz wielkie bestie zamknięte za kratami. Opadły z sił, powoli złamano w nich ducha, stały się obiektami drwin dla prostych umysłów i czymś zupełnie obojętnym dla umysłów wybitnych.

Ja wolę dżunglę.

Wtorek, 30 listopada

Poranne gazety spadły na wycieraczki milionów domów niczym podzwonne dla kandydatury Samuela. Jeden naczelny po drugim stawał murem za Urquhartem – nie tylko tych tytułów, na których łapę trzymał Landless, ale także większości pozostałych. Czasem nawet naczelni chcą działać ostrożnie, płynąć z prądem, a ten znosił ich nieubłaganie w kierunku Urquharta.

Tylko dwie gazety wśród poważnej prasy płynęły samodzielnie: „Guardian”, bo był uparty i popierał Samuela, oraz „Independent”, bo był zbyt rozdarty i w efekcie postanowił nie poprzeć nikogo.

Takie nastroje znalazły też odzwierciedlenie w obu obozach: zwolennicy Urquharta z trudem skrywali pewność siebie, poplecznicy Samuela już szukali wymówek.

Jeszcze przed wyznaczoną godziną dziesiątą duża grupa posłów zebrała się przed dębowymi drzwiami sali posiedzeń numer 14. Każdy z nich miał nadzieję, że odda głos jako pierwszy i zasłuży sobie na przypis w historii. Gęstniejący śnieg, który zaczynał przykrywać Westminster, tworzył aurę surrealistycznego spokoju. Niedługo Gwiazdka. Już włączono świąteczne lampki na Oxford Street. Pokój na

ziemi. Za kilka godzin będzie po bitwie, przy ogłoszeniu wyników nastąpią publiczne gratulacje i uściski dłoni, chociaż po stronie zwycięzcy będą po cichu planować, komu się teraz odgryźć, a po stronie przegranego – knuć zemstę.

Mattie całą noc nie spała. Czuła się przytłoczona, zbyt wiele myśli kłębiło jej się w głowie i nie dawało spokoju. Dlaczego tak źle traktowała Johnniego? Dlaczego zaczynała zakochiwać się w takim facecie jak Urquhart, którego nigdy nie mogła mieć? Dlaczego nie potrafiła ułożyć tego, co się działo, w logiczną całość? Za dużo ślepych uliczek. Poczwała się jak ofiara losu, której nic się nie udaje.

Przez cały ranek łaźiła bez celu, brnąc w śniegu, w poszukiwaniu inspiracji, ale w efekcie tylko przemokły jej buty, stopy zmarzły na kość, a włosy zwisały w wilgotnych strąkach. Do Westminsteru dotarła dopiero wczesnym popołudniem. Śnieg przestał padać, przejaśniło się i niebo lśniło krystalicznym błękitem, a stolica przypominała scenę z wiktoriańskiej kartki świątecznej. Szczególnie olśniewająco wyglądał parlament – jak bajeczny tort pokryty białym lukrem. Brytyjska flaga powiewała dumnie na Victoria Tower, a nad nią przeleciał concorde zmierzający na Heathrow. Na cmentarzu przy kościele Św. Małgorzaty, przycupniętym pod skrzydłami wielkiego średniowiecznego opactwa, powietrze rozbrzmiewało śpiewem kolędników i grzechotaniem puszek do kwestowania, które podsuwali turystom. Na żadną z tych rzeczy Mattie nie zwróciła uwagi.

W różnych częściach Izby Gmin już świętowano. Kiedy przechodziła w cieniu Big Bena, jeden z jej kolegów z galerii prasowej podbiegł, żeby podzielić się najnowszymi wiadomościami.

– Jakies osiemdziesiąt procent posłów już zagłosowało. Urquhart ma zwycięstwo w kieszeni. Wygląda na to, że wygra przytłaczającą

większością. – Obrzucił ją ciekawskim spojrzeniem. – Jezu, Mattie, wyglądasz okropnie – stwierdził i pognął dalej.

Mattie poczuła dreszcz podniecenia. Jeśli Francis znajdzie się na Downing Street, miała szansę na odbudowanie swojego życia. Jednak kiedy tylko o tym pomyślała, ogarnęły ją wątpliwości, zaciskając się wokół niej jak zimne palce. Nie zasługiwała na to. Wcześniej rano poszła jak głupia w stronę jego domu na Cambridge Street, bo coś ją do niego przyciągało, bo rozpaczliwie potrzebowała jego mądrości, ale zobaczyła go z daleka, jak stał na progu i całował swoją żonę Mortimę pod obstrzałem kamer. Mattie schyliła ze wstydem głowę i oddaliła się pośpiesznie.

Jednak jej wątpliwości i potrzeby wzrosły. Działo się coś niegodziwego, skandalicznego, ale świat uparcie był na to ślepy. Francis na pewno zrozumie, będzie wiedział, co robić. Zdawała sobie sprawę, że już nigdy nie znajdzie się z nim sam na sam, kiedy trafi na Downing Street, będzie otoczony ochroniarzami i sztabem sekretarzy. Jeśli miała z nim porozmawiać, to tylko teraz. Jedyna okazja.

Urquharta nie było w jego gabinecie ani w żadnym z barów i restauracji w pałacu westminsterskim. Na próżno pytała o niego na korytarzach – nikt nie potrafił jej pomóc. Już miała dojść do wniosku, że wyszedł z budynku na lunch albo jakiś wywiad, kiedy jeden z życzliwych pałacowych policjantów powiedział jej, że widział Urquharta niecałe dziesięć minut temu, idącego w kierunku ogrodu na dachu. Nie miała pojęcia, gdzie to jest, ani nawet że takie miejsce istnieje.

– No właśnie – roześmiał się policjant – mało kto wie o naszym ogrodzie na dachu. Właściwie tylko personel, nie politycy. Wolimy

tego nie rozpowiadać, żeby się tam wszyscy nie zlecieli i nam go nie popsuli. Ale pan Urquhart to co innego, zna tu chyba każdy kąt.

– Gdzie to jest? Powie mi pan?

– Wprost nad salą obrad. To taki taras, na który wstawiliśmy kilka stolików i krzeseł, żeby w lecie móc trochę posiedzieć na słońcu, zjeść kanapki i napić się kawy. Ale o tej porze roku będzie tam pusto. Nie licząc pana Urquharta, ma się rozumieć. Pewnie chce pobyc sam, pomyśleć. Niech mu pani nie przeszkadza, bo pojutrze będę musiał panią aresztować!

Uśmiechnęła się, on jej uległ i szła teraz zgodnie z jego wskazówkami po schodach za galerią dla publiczności, aż minęła wyłożoną boazerią szatnię zarezerwowaną dla pałacowych portierów. Kawalek dalej zobaczyła uchylone drzwi pożarowe. Kiedy przez nie przeszła, znalazła się na dachu skąpanym w słońcu i aż westchnęła z podziwu. Widok zapierał dech w piersiach. Na wprost niej, na tle bezchmurnego nieba, lśniąca od słońca i śniegu, górowała oblana miodową poświatą wieża Big Bena. Każdy szczegół pięknie rzeźbionego kamienia był zdumiewająco wyraźny, widziała też, jak drgają wielkie wskazówki zegara, napędzane niepowstrzymanym biegiem wiekowego mechanizmu. Po lewej stronie ujrzała bezkresną połąć dachu Westminster Hall, najstarszej części pałacu, która przetrwała pożar, wojnę, bombardowanie, zamieszki i rewolucję. Po prawej nieokiełznana Tamiza falowała w odwiecznym rytmie przypiływów i odpływów.

W śniegu było widać świeże ślady stóp. Stał przy balustradzie na przeciwległym końcu tarasu, spoglądając ponad dachami Whitehall na białe kamienne ściany Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dalej

znajdował się pałac Buckingham, do którego nowy szef partii pojedzie triumfalnie dziś wieczorem.

Przeszła po jego śladach, dla wygody. Odwrócił się nagle, zaskoczony, kiedy usłyszał jej kroki.

– Mattie! – wykrzyknął. – A to niespodzianka.

Zbliżyła się do niego, wyciągając ręce, ale coś w jego oczach powiedziało jej, że to nie czas ani miejsce. Ramiona opadły jej wzdłuż boków.

– Musiałam się z tobą zobaczyć, Francis.

– Ależ oczywiście. Czego sobie życzysz, Mattie?

– Nie jestem pewna. Może się pożegnać. Pewnie już nie będziemy mieć okazji, żeby się spotykać, nie tak jak...

– Tamtej nocy? Chyba masz rację, Mattie. Ale zawsze zostanie nam to wspomnienie. I zawsze będziesz mieć we mnie przyjaciela.

– Chciałam też cię ostrzec.

– Przed czym?

– Dzieje się coś złego.

– Gdzie?

– Wszędzie wokół nas... wokół ciebie.

– Nie rozumiem.

– Było tyle przecieków.

– Polityka to grząski grunt. Podmokły.

– Patrick Woolton był szantażowany.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią nagle zaalarmowany, jakby ktoś go spoliczkował.

– Collingridge'ów ktoś wrobił w te akcje Renoksu.

Tym razem milczał.

- I sędzę, że ktoś zabił Rogera O'Neilla. - Patrzyła na wzbierający w jego oczach wyraz niedowierzania. - Myślisz, że zwariowałam?

- Nie, skąd. Wyglądasz, jakby coś cię gnębiło, nie jakbyś zwariowała. Ale to bardzo poważne oskarżenie, Mattie. Masz jakieś dowody?

- Trochę. Niedużo. Jeszcze za mało.

- Więc kto za tym wszystkim stoi?

- Nie wiem. Przez chwilę myślałam, że może Teddy Williams, nadal go nie wykluczam, ale sama nie dam rady, Francis. Nie mam już nawet gazety, w której mogłabym pisać. Miałam nadzieję, że mógłbyś mi pomóc.

- A jak miałbym to zrobić, Mattie?

- Uważam, że za tym wszystkim stoi jeden człowiek. Wykorzystał Rogera O'Neilla, a potem się go pozbył. Jeśli znajdziemy jedno ogniwo w tym łańcuchu, tylko jedno, może akcje, to doprowadzi nas do pozostałych i wszystko by wyszło na jaw, zawsze wychodzi, i możemy...

Mówiła coraz szybciej, wyrzucając wszystko z siebie. Podszedł do niej bliżej i złapał za ramiona, ściskając lekko, zmuszając ją, żeby zamilkła.

- Wyglądasz na zmęczoną, Mattie. Jesteś zdenerwowana.

- Nie wierzysz mi.

- Przeciwnie. Być może trafiłaś na największy temat, o jakim napiszesz. Westminster to mroczne, czasem brudne miejsce, gdzie ludzie prehandlowują swoje zasady za kilka lat u władzy. To bardzo stara gra. Ale także niebezpieczna. Musisz bardzo uważać, Mattie. Jeśli masz rację i ktoś maczał palce w śmierci Rogera O'Neilla, to ty też znajdujesz się na linii ognia.

- Co mam robić, Francis?

– Pozwolisz, żebym ja się tym zajął za ciebie przez jakiś czas? Przy odrobinie szczęścia już jutro moja pozycja pozwoli mi stawiać najróżniejsze pytania, spuścić psy, żeby szukały tropu. Zobaczymy, co wywęszą.

– Zrobiłbyś to?

– Dla ciebie zrobiłbym prawie wszystko, Mattie, na pewno o tym wiesz.

Jej głowa opadła mu na piersi z wdzięcznością i ulgą.

– Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem, Francis. Lepszym niż cała reszta.

– Można tak powiedzieć, Mattie.

– Wielu ludzi tak twierdzi.

– Ale wiesz, że ja nie mogę tego skomentować.

Uśmiechnął się. Ich twarze dzieliło od siebie tylko kilka cali.

– Musisz mi w tej sprawie całkowicie zaufać, Mattie. Dobrze? Nikomu innemu o tym ani słowa.

– Oczywiście.

– A w któryś weekend, już niedługo, podczas przerwy świątecznej, może mogłabyś przyjechać do mojego domu na wsi. Wymyślę jakiś pretekst, na przykład, że muszę stamtąd zabrać jakieś papiery. Moja żona będzie słuchać Wagnera gdzieś na kontynencie. Ty i ja będziemy znów mogli być sami. Spróbujemy to rozwikłać.

– Jesteś pewny?

– W New Forest może być pięknie o tej porze roku.

– Mieszkasz w New Forest?

– Koło Lyndhurst.

– Zaraz za autostradą M27?

– Zgadza się.

– Ale tam właśnie zginął Roger O’Neill.

– Naprawdę?

– Chyba nie więcej niż jakieś sześć mil stamtąd.

Dziwnie na nią teraz patrzył. Odsunęła się od niego, poczuła słabość w nogach i zawroty głowy, oparła się o balustradę. Kawałki układanki przesunęły się w jej myślach i nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Twojego nazwiska nie było na liście – szepnęła.

– Jakiej liście?

– Członków gabinetu. Bo rzecznik dyscypliny nie jest pełnoprawnym członkiem gabinetu. Ale ponieważ odpowiadasz za dyscyplinę w partii, musieli się z tobą konsultować w sprawie odwołania programu rozwoju szpitali. I cięć w Armii Terytorialnej. Żebyś mógł – jak ty to mówisz? – „sięgnąć czasem po kij”.

– Mattie, nie bądź niemądra.

– A do każdego ministerstwa przypisany jest twój podwładny, jeden z posłów odpowiedzialnych za dyscyplinę, żeby zapewnić właściwą koordynację. Ręka na pulsie, słuchanie, co w trawie piszczy, i tak dalej w ten deseń. Twoi ludzie, Francis, którzy zdają ci raporty. A ponieważ jesteś rzecznikiem dyscypliny, znasz wszystkie słabostki polityków, wiesz, kto ma mózg przeżarty kokainą, kto z kim śpi, gdzie ustawić dyktafon...

Zbladł, krew odpłynęła mu z twarzy, która teraz przypominałaby alabastrową maskę, gdyby nie oczy.

– Sposobność. I motyw – szepnęła, wstrząśnięta. – Od zera do premiera w zaledwie kilka miesięcy. Jak na litość boską mogło mi to umknąć? – Pokręciła głową z autoironią. – Przegapiłam to, bo chyba się w tobie zakochałam, Francis.

– A więc nie jesteś szczególnie obiektywna. Jak sama powiedziałaś, Mattie, nie masz ani cienia dowodów.

– Ale je zdobędę, Francis.

– Czy jest jakaś radość w dążeniu do takiej prawdy, Mattie?

Z nieba spadł samotny płatek śniegu. Patrząc na niego, przypomniał sobie coś, co powiedział mu pewien stary, zgorzkniały poseł, kiedy on sam po raz pierwszy dostał się do parlamentu: że życie poświęcone polityce jest równie daremne, jak przykuwanie swojej ambicji do płatka śniegu. Piękne słowa. A potem płatek zniknął.

– Jak zabiłeś Rogera? – zapytała.

Pałała ogniem zrozumienia, który świecił groźnym blaskiem. Wiedział, że uniki nie mają sensu.

– Nie zabiłem go. Sam się zabił. Ja mu tylko wręczyłem pistolet. Odrobinę trutki na szczury zmieszaną z jego kokainą. Był narkomanem, na drodze do autodestrukcji. Strasznie słabym człowiekiem.

– Nikt nie zasługuje na śmierć, Francis.

– Sama mi powiedziałaś wtedy, tamtej nocy, wyraźnie pamiętam twoje słowa. Pamiętam każdy szczegół tamtej nocy, Mattie. Powiedziałaś, że chcesz zrozumieć władzę. Kompromisy, których wymaga, oszustwa, z którymi się wiąże.

– Ale nie coś takiego.

– Jeśli zrozumiesz władzę, będziesz wiedzieć, że czasem konieczne jest poświęcenie. Jeśli zrozumiesz mnie, będziesz wiedzieć, że mam potencjał, aby zostać wyjątkowym liderem, przywódcą, który może stać się wielki. – W jego głosie narastała pasja. – A jeśli zrozumiesz miłość, Mattie, to właśnie ty dasz mi tę szansę. W przeciwnym razie...

– Co, Francis?

Stał bez ruchu, z zaciśniętymi ustami, ściągniętą twarzą.

– Wiedziałaś, że mój ojciec się zabił? – zapytał głosem tak cichym, że prawie nikt nie usłyszał w zimowym powietrzu.

– Nie, nie wiedziałam.

– Właśnie to mam twoim zdaniem zrobić?

– Nie!

– Tego ode mnie oczekujesz?

– Nigdy!

– To dlaczego mnie dręczysz? – Chwytał ją mocno za ramiona, twarz wykrzywił mu grymas. – W życiu musimy dokonywać wyborów, Mattie, rozpaczliwie trudnych wyborów, za które możemy samych siebie nienawidzić, ale które stają się nieuniknione. Ty i ja, Mattie, musimy wybierać. Oboje.

– Francis, kocham cię, naprawdę, ale...

I przy tym małym, drobnym spójniku coś w nim pękło. Klębiący się w nim chaos nagle zamarł, w patrzących na nią oczach topniał smutek, jak płatek śniegu, który wcześniej spadł z krystalicznie czystego nieba nad Westminsterem. Wydał z siebie rozdzierający, rozpaczliwy szloch, jak zwierzę cierpiące nieznośny ból. A potem poderwał ją z ziemi i wyrzucił za balustradę.

Krzyczała, spadając, bardziej z zaskoczenia niż strachu. Krzyk się urwał, kiedy uderzyła o bruk. Nie ruszała się.

To była dziwna dziewczyna. Chyba była we mnie zadurzona. To się czasem, niestety, zdarza osobom piastującym publiczne stanowiska. Zjawiała się kiedyś na progu mojego domu, późnym wieczorem, zupełnie ni stąd, ni zowąd.

Czy była nie zrównoważona? Cóż, można tak powiedzieć, ale nie powinienem tego komentować, chociaż wiem, że ostatnio odeszła z pracy w „Chronicle” i nie mogła znaleźć nowego zatrudnienia. Nie potrafię

powiedzieć, czy rzuciła posadę, czy została zwolniona. Najwyraźniej mieszkała sama. Bardzo smutna sprawa.

Kiedy podeszła do mnie na dachu, wyglądała na zdenerwowaną, miała włosy i ubranie w nieładzie. Kilka osób może to poświadczyć, między innymi jeden z jej kolegów dziennikarzy oraz jeden z naszych policjantów z pałacu. Poprosiła mnie o pracę. Powiedziałem, że to nie będzie możliwe, ale ona nalegała, była natrętna, wpadła w histerię. Próbowałem ją uspokoić, ale było z nią coraz gorzej. Staliśmy przy balustradzie i zagroziła, że skoczy. Chciałem ją złapać, ale chyba poślizgnęła się na lodzie, warunki były dość zdradliwe, i zanim się zorientowałem, zanim zdołałem ją powstrzymać, już jej nie było. Czy rzuciła się z dachu specjalnie? Mam nadzieję, że nie. Śmierć tak młodej osoby to tragiczna strata.

Nie jest to oczywiście najlepszy początek mojego urzędowania. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powinienem raczej ustąpić, zamiast dalej nieść to brzemie. Zamierzam jednak bliżej zainteresować się problemem chorób psychicznych wśród młodych ludzi. Musimy więcej robić, żeby im pomóc. Nigdy nie zapomnę smutku, jaki towarzyszył tamtej chwili na dachu. Może zabrzmiało to dziwnie, ale wierzę, że cierpienie tej młodej kobiety da mi siłę, będzie pewnym kompasem. Rozumieją to państwo, prawda?

Zaczynam urzędowanie na Downing Street z nową determinacją, by zjednoczyć nasze społeczeństwo, położyć kres ciąglemu zalewowi cynizmu, który niszczy tak znaczną część naszego życia, oraz poświęcić się sprawom naszego kraju. Dołożę starań, aby śmierć panny Storin nie poszła na marne.

A teraz, jeśli państwo wybaczą, obowiązki wzywają.

Posło wie

Dwadzieścia pięć lat temu przydarzyła mi się najwspanialsza, przewyborna, monumentalna wpadka. Kompletnie odmieniła moje życie. To była ta książka, House of Cards.

Byłem na maleńkiej wyspie Gozo, w podłym nastroju. Zacząłem narzekać na wszystko – na słońce, morze i w szczególności na najnowszy bestseller. Moja partnerka miała dosyć. „Przestań być taki cholernie nadęty – powiedziała. – Jeśli uważasz, że potrafisz napisać coś lepszego, to na litość boską weź i napisz. Nie przyjechałam na wakacje, żeby słuchać twojego biadolenia na temat tej przeklętej książki!”.

Tak zdopingowany, udałem się nad basen. Nigdy wcześniej nie myślałem o napisaniu książki, ale teraz zaopatrzyłem się w notes, długopis i butelkę wina, wszystko, czego potrzebowałem, żeby zostać pisarzem – poza, oczywiście, paroma irytującym szczegółami, zwanymi bohaterami i fabułą. O czym w ogóle mógłbym pisać? Wróciłem myślami do wydarzeń sprzed kilku tygodni, do powodu moich fochów i rozżalenia.

Centrala Partii Konserwatywnej, rok 1987. Tydzień przed wyborami byłem szefem kancelarii premier Margaret Thatcher. Za chwilę miała odnieść trzecie, rekordowe zwycięstwo w wyborach, ale pewien niekorzystny sondaż i nietypowa dla niej nerwowość przekonały ją, że może przegrać. Od wielu dni miała problemy ze snem, wściekle bolała ją ząb i uznała, że ktoś inny też powinien pocierpieć. Tym kimś okazałem się ja. W dniu, który potem nazywano „chwiejnym czwartkiem”, zaczęła się pieklić, wywołała burzę, była okrutnie

niesprawiedliwa. Wielokrotnie zamachnęła się na mnie swoją metaforyczną torebką. Miałem stać się kolejnym przypisem w księdze historii.

Kiedy wyszliśmy z gabinetu, wicepremier Willie Whitelaw, mądra głowa, przewrócił oczami i stwierdził: „Ta kobieta już nigdy nie będzie walczyć w żadnych wyborach”. Dostrzegł załączki autodestrukcji, które już niebawem stały się wyraźnie widoczne dla całego świata.

Kiedy tak siedziałem nad basenem, słowa Williego wciąż dźwięczały mi w uszach. Sięgnąłem po długopis i po butelkę wina. Trzy butelki później stwierdziłem, że znalazłem swojego bohatera – będzie miał inicjały FU – i fabułę. To będzie książka o pozbyciu się premiera. Tak narodzili się Francis Urquhart i House of Cards.

Nie myślałem, żeby to opublikować – dla mnie była to tylko mała, prywatna terapia – ale cudowny, szczęśliwy i całkowicie niezaplanowany zbieg okoliczności sprawił, że książka wkrótce stała się bestsellerem, a BBC przerobiło ją na obsypany nagrodami serial ze wspaniałym Ianem Richardsonem w roli głównej. Odszedłem, zrażony, z czynnej polityki i zostałem pełnoetatowym pisarzem. Dziś, dwadzieścia pięć lat po ukazaniu się książki, FU jeszcze raz zmienia moje życie. Na scenę wkroczył Kevin Spacey ze swoim rewelacyjnym nowym serialem. Mój domek z kart został odbudowany.

Z okazji przywrócenia FU do życia, skorzystałem ze sposobności, aby przygotować nową wersję powieści – zmiany nie są wielkie, nikt, kto czytał oryginał, nie uzna jej za inną książkę, ale narracja jest trochę spójniejsza, postacie barwniejsze, a dialogi bardziej cięte. Wróciłem do tej książki, żeby odwdzińczyć się za przyjemność, którą House of Cards dawał mi przez te wszystkie lata. Niezmienna

pozostała aura bezwstydnej nikczemności, jaką przesiąknięta jest ta powieść. Pławcie się w niej. Dobrej zabawy.

A zatem, czy warto było dostać wtedy ten wycisk od Maggie Thatcher? No cóż, jak to szło? Można tak powiedzieć, ale nie mogę tego w żaden sposób skomentować.

Michael Dobbs
Lord Dobbs of Wyllye
www.michaeldobbs.com
@dobbs_michael

Tytuł oryginału

House of Cards

Copyright © Michael Dobbs 1989

Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Copyright © Henrik Sorensen/Stone/Getty Images

Copyright © r.nagy/shutterstock

Opieka redakcyjna

Ewa Polańska

Bogna Rosińska

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu

Kamila Czok, Editio

ISBN 978-83-240-2714-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com